

Louis de Bernieres

Senior Vivo i król kokainowy

Tłum. Beata Długajczyk

CZEŚĆ PIERWSZA

1. Prezydent Veracruz wzywa do siebie ministra finansów

W chwili gdy jego małżonka urodziła kota, co było zgoła nieprzewidywanym rezultatem eksperymentów w dziedzinie alchemii seksualnej, i po zupełnie przypadkowym wynalezieniu nad wyraz osobliwego materiału wybuchowego, tracącego całą moc dokładnie w odległości dwóch metrów od centrum eksplozji, co z kolei zaprzeczało wszelkim prawom fizyki newtonowskiej, prezydent Veracruz zaczął uważać się nie tylko za wtajemniczonego, lecz także za intelektualistę. Swoje przemówienia gęsto szpikował teraz zawiłymi i tajemniczo brzmiącymi cytatami z Paracelsusa i Basila Valentine, wstąpił do Bractwa Różokrzyżowców, uznając się za godnego sukcesora doktora Johna Dee, Hermesa Trismegistosa, sir Francis Bacon, Christiana Rosencreuza i Eliphasa Leviego, wreszcie zaprzestał lektury kobiecych magazynów żony, z których dotychczas czerpał większość swoich opinii, a jął czytywać „La Presse”. Wiadomości krajowe z reguły pomijał, wiedząc, że większość z nich pochodzi z jego własnego Ministerstwa Informacji, a więc najpewniej są wyssane z palca, pil-

nie natomiast śledził wiadomości z zagranicy, a po nich dział listów, rubrykę stanowiącą rodzaj forum, na którym intelektualna elita narodu oraz koteria możnych i bogatych prezentowały swoje opinie. Ostatnio Jego Ekscelencja stał się gorliwym czytelnikiem licznych listów niejakiego Dionisia Vivo, traktujących o handlu koką. Uporawszy się z najnowszym listem na ten temat, zapisał w swoim notatniku, że seniorowi Vivo należy przyznać Medal Kondora za Waleczność, szybko jednak skreślił ten zapis, przypomniawszy sobie w porę, że odznaczenie to przysługuje wyłącznie wojskowym. Wobec tego naszkicował projekt ustawy o nowym odznaczeniu za waleczność, tym razem dla cywilów, któremu postanowił nadać miano Orderu Hermetycznego Zakonu Rycerskiego. Później sekretarz opacznie zinterpretował prezydencką instrukcję, co należało zawdzięczać temu, że Jego Ekscelencja był na bakier z ortografią, natomiast osobistemu sekretarzowi Veracruz brakowało biegłości w odcyfrowywaniu gryzmołów zwierzchnika. W rezultacie ustanowiony został Order Zakonu Rycerskich Eremitów, odznaczenie posiadające własny herb, nie posiadające za to żadnych członków kapituły poza samym prezydentem Veracruzem, któremu automatycznie nadawano wszystkie medale za odwagę, zgodnie z przywilejem przyznanym mu przez wdzięczny kongres po zwycięstwie w wojnie Los Puercos.

Poirytowany, gdyż bez przerwy coś odrywało go od lektury, a to telefon, a to jego osobisty sekretarz, zalotna żona, czy wreszcie duży czarny kot, o którym ciągle jeszcze nie nauczył się myśleć jako o swojej córce, Jego Ekscelencja zabrał egzemplarz „La Prensya” i schronił się z nim w prezydenckiej toalecie. Uruchomił głośnik z muzyką Beethovena, której zadaniem było zagłuszenie odgłosów burczenia i donośnych eksplozji, dobiegających z pierwszych rzędów narodu, po czym zasiadł na podniesieniu

i zagłębił się w rubryce listów, notując jednocześnie w pamięci, że należałoby zainstalować jakiś rodzaj ogrzewania w desce sedesowej.

Choć upłynęło już tyle lat, Jego Ekscelencję nadal trapił problem deficytu budżetowego. To prawda, że udało się pohamować nienasycone apetyty armii, żadnej potężnych, zgoła apokaliptycznych rodzajów broni, fakt też, że ostatnimi czasy nieźle kształtowały się ceny kawy i cyny, a kopalnie szmaragdów - i to uznał za najlepszą z nowin - przynosiły spore zyski. Ale prawdą było również, że kraj nigdy nie zdołał się do końca podźwignąć po eksplozji „cudu gospodarczego”, który zrujnował przemysł, a wydarzył się w czasach, kiedy funkcję ministra finansów sprawował doktor Badajoz. Także stolica nigdy nie odzyskała wypłacalności finansowej, odkąd poprzedni burmistrz, Raoul Buenanoce, prowadził w niej działalność budowlaną na skalę godną zaiste faraonów. Jakby nie dość było jeszcze nieszczęść, żadna z finansowanych przez rząd ekspedycji, wysłanych z zadaniem odnalezienia El Dorado, nie dotarła do celu, wszystkie natomiast pochłonęły gigantyczne sumy pieniędzy, a prezydenckie eksperymenty w dziedzinie alchemii zaowocowały jedynie kilkoma niezwykłymi zjawiskami paranormalnymi i sporą dawką rozkoszy seksualnej. Swoje niewątpliwe od- młodzenie i uduchowienie Jego Ekscelencja uważał za prawdziwe dobrodziejstwo owych zabiegów, nadal jednak przeżywał męki, widząc, jak krnąbrna gospodarka w żaden sposób nie chce się nawet zbliżyć do celów wytyczonych w najostrożniejszych i najpowściągliwszych programach. W rezultacie pan prezydent doszedł do wniosku, że nie może polegać na żadnym ze swoich współpracowników, i postanowił od tej chwili dawać wiarę jedynie temu, co wyczyta w prasie. Siedząc na sedesie w zaciszu prezydenckiego apartamentu, podjął dwie decyzje. Po pierwsze, postanowił zdymisjonować ministra informacji, po drugie, wezwać do siebie

ministra finansów i zażądać od niego wyjaśnień na temat pewnego punktu, który podniósł w swoim ostatnim liście Dionisio Vivo. Pociągnął za spłuczkę; odruch, któremu zawsze ulegał, nawet jeśli nie zrobił niczego, co zmąciłoby pachnące wody muszli, i udał się do swojego gabinetu, żeby zatelefonować.

„... Emperador Ignacio Coriolano, znany powszechnie jako Imperator Cunnilingus Nienasycony (bardziej z powodu plotek o jego intymnych upodobaniach niż z racji podobieństwa do jego prawdziwego imienia), przybył o piątej po południu. Był człowiekiem, który wystawnością strojów pokrywał niedostatki higieny osobistej i od lat dźwigał na swoich barkach ciężkie brzemie odpowiedzialności za zredukowanie przytłaczającego ciężaru zadłużenia zagranicznego, nie dysponując przy tym żadnymi środkami, za których pomocą miałby tego dokonać. Całe dni spędzał z głową w dłoniach, pochylony nad dokumentami, z których jednoznacznie wynikało, że jego zadanie jest niemożliwe do zrealizowania, noce zaś, pragnąc zagłuszyć świadomość swojej nieodpowiedniości na tym stanowisku, w ramionach kobiet określonego rodzaju; ich wynagrodzenie, księgowane przez niego w rubryce „koszty osobiste”, powiększało jedynie narodowy deficyt.

Przybywszy do pałacu, zastał Jego Ekszelencję Pana Prezydenta Republiki odzianego w szlafrok z perskiego jedwabiu, którego wytworna poła obsunęła się odrobinę, niedyskretnie odsłaniając prezydenckie genitalia. Rozmawiając z głową państwa, senior Coriolano uznał to za poważną przeszkodę w jasnym formułowaniu myśli.

- Dobry wieczór, szefie - zaczął minister finansów, wyciągając rękę.

Jego Ekszelencja potrząsnął nią, zmarszczył brwi i powiedział:

- Ile razy mam ci powtarzać, abys tytułował mnie Jego Ekscelencją? Pewnego dnia publicznie nazwiesz mnie szefem i ściągniesz wstyd na nas obu.

- Przepraszam, szefie, ale nie tak łatwo jest zapomnieć o dawnych, dobrych dniach. Czasami wydaje mi się, że pan i ja nadal sprzedajemy konserwy mięsne w Panamie. To były czasy, co, szefie?

Na moment Jego Ekscelencja przeniósł się myślami w przeszłość i powtórzył:

- To były czasy.

Potem sięgnął po egzemplarz „La Prensya”.

- Chciałbym, abys posłuchał ostatniego listu Dionisia Vivo, a potem udzielił mi kilku wyjaśnień. - Zaczął czytać: - „Niedawno rząd kolumbijski otrzymał uwłaczającą propozycję spłaty dziesięciu miliardów dolarów zadłużenia zagranicznego w zamian za nieingerowanie w handel narkotykami. Naturalnie, co należy z uznaniem podkreślić, oferta została odrzucona”. A teraz chciałbym się dowiedzieć, dlaczego nasz rząd nigdy nie otrzymał podobnej propozycji.

- Widocznie, szefie, dług naszego państwa jest zbyt wielki nawet dla nich. Przypuszczam, że skoro nie stać ich na spłacenie obu zadłużeń jednocześnie, wybrali mniejsze.

Prezydent Veracruz sposepniął i powiedział:

- Słuchaj dalej. „Zdecydowanie występuję przeciwko tym, którzy uważają, że handel narkotykami wspomaga nasz narodowy budżet. Według ogólnych szacunków, zyski mafii kokainowej wynoszą około dziesięciu miliardów dolarów rocznie: Z tej kwoty dziewięć miliardów wypływa z naszego kraju przez Szwajcarię i inne państwa i następnie jest inwestowane w różnych gałęziach przemysłu w Europie i Stanach Zjednoczonych.

Jeden miliard, który pozostaje w kraju, natychmiast go opuszcza, wydany na luksusowe dobra zagranicznego pochodzenia, sprowadzane dla przyozdobienia pałaców narkotykowych caudillos. Wypływa z tego oczywisty wniosek, że zniszczenie rynku koki wpłynęłoby pozytywnie na nasz bilans płatniczy. A teraz powiedz mi, Emperador, jak to się dzieje, że ten profesor filozofii ma lepsze rozeznanie w tych sprawach niż ty? Zawsze twierdziłeś, że jeśli nie przykniemy oczu na handel koką, nasz kraj popadnie w ostateczną ruinę. Jak to wygląda naprawdę?

Minister finansów ponownie łypnął na genitalia, które tak bardzo przeszkadzały mu się skupić, i zaszurał podszwami.

- Te statystyki zostały opublikowane zaledwie miesiąc temu. Miałem poinformować pana o nich i jakoś zupełnie wyleciało mi to z głowy. Pochodzą ze źródła w Stanach, najpierw opublikowano je w „New Herald Tribune”, a potem przedrukowała je nasza prasa.

- Ale czy są prawdziwe, Emperador, czy są prawdziwe?

Senior Coriolano poczerwieniał cały, zanim zdobył się na odpowiedź.

- No cóż, szefie, obawiam się, że tak. Przez dłuższy czas działaliśmy, opierając się na fałszywych przesłankach. - Zerknął na twarz prezydenta i z powrotem opuścił wzrok na podłogę. - Chciałem to panu powiedzieć, ale na skutek pewnych okoliczności nie było to takie proste. Sam pan wie, że stawka jest spora...

Jego Ekscelencja złożył gazetę i rzucił ją na stół. Minę miał pełną niesmaku.

- Słuchaj, Emperador. Nie urodziłem się wczoraj i doskonale wiem, że każdy bierze swoją dolę, zwłaszcza w ministerstwie. Powiem ci coś zupełnie prywatnie, okay? Możesz brać od nich tyle, ile ci się żywnie podobą, ale nigdy im się niczym nie odwdzięczaj, choćby nie wiem jak naciska-

li, i zawsze informuj mnie o wszystkim. Od tej chwili na nic nie będziemy przymykać oczu, ponieważ stawką jest wypłacalność republiki. Rządzenie zbankrutowanym krajem doprowadza mnie do szaleństwa, pojmujesz? Kiedy opuszczę swój urząd, zamierzam znaleźć się w podręcznikach historii nie tylko jako zwycięzca w wojnie Los Puercos, ale także jako ten, który wyciągnął nasze państwo z długów po raz pierwszy od czterdziestu lat.

Minister finansów zerknął do tyłu i skrzywił się.

- To będzie większy cud niż rozdzielenie wód Morza Czerwonego, szefie, ale chciałbym to zobaczyć.

Jego Ekscelencja uniósł w górę brwi i dokończył:

- Jeśli jednak przyłapię cię na tym, że zataiłeś przede mną jakieś informacje albo że karmisz mnie kłamstwami, zostaniesz poddany śledztwu, które może skończyć się plutonem egzekucyjnym, jeśli dowiodę ci zdrady, przyjacielu.

- Tak jest, szefie.

Prezydent Veracruz odprawił ministra i zadzwonił do „La Prensy” z poleceniem przysłania wszystkich numerów zawierających listy Dionisia Vivo, a następnie udał się do apartamentów żony. Pani prezydentowa, odziana w lekki negliz, leżała wyciągnięta na łóżku i karmiła ogromnego czarnego kota tureckim rachatłukum. Jego Ekscelencja ogarnął wzrokiem tę wzruszającą scenę i odezwał się:

- Niesforna mała dziewczynka znowu karmi kota moimi słodyczami. Zdaje się, że chce dostać klapsa.

- Och, tatuśku - odeła wargi pani prezydentowa - bądź słodki i daruj mi tym razem.

- Jeden małej klaps.

Odpozywając na łóżku w jakiś czas później, prezydent zmarszczył brwi i odezwał się z wyrzutem:

- Jak sądzisz, dlaczego ci kokainowi gangsterzy nigdy nie proponowali mi pieniędzy? Jak to się dzieje, skoro korumpują wszystkich dookoła?

- Och, tatuśku, nie przejmuj się tym tak bardzo - odparła prezydentowa, całując męża w czoło i jednocześnie błędząc myślami wokół swojego konta bankowego w Panamie.

2. Krawat

Dionisio z ociąganiem podniósł się z łóżka i podszedł do okna zobaczyć, jaki zapowiada się dzień, po czym sięgnął po telefon i wykręcił numer policji. Po dwóch niewłaściwych połączeniach usłyszał wreszcie pełen zniechęcenia głos na drugim końcu linii:

- Policja.

- Ramon, to ty? Tu Dionisio z Calle de la Constitution. Słuchaj, Ramon, na trawniku przed domem mam kolejny kolumbijski krawat. Możesz przyjechać i usunąć go? To już trzeci w tym roku.

- Dobra, Dionisio. Dopóki nie przyjedziemy, postaraj się trzymać sępy z daleka od ciała. To nam ułatwi identyfikację.

- Jeśli je zastrzelę, zabierzecie także ich ścierwa?

- Wiesz, że zabicie sępa przynosi nieszczęście - powiedział policjant. - Po prostu odganiaj je.

Dionisio roześmiał się.

- A ty wiesz, że nie wierzę w podobne zabobony. Gdybym dawał wiarę przesądom, przestałbym być wiarygodny i musiałbym pożegnać się z pracą.

- Sam mnie kiedyś uczyłeś, że to, co dzisiaj uważamy za naukę, jutro będzie traktowane jak zwykły przesąd. Skoro tak, to dzisiejszy przesąd jutro może okazać się nauką. Zastanów się nad tym.

Dionisio wydał dziwne prychnięcie.

- Boże, uchronij nas przed filozofującymi policjantami. Przecież oczekuje się od was, abyście byli brutalni i głupi.

- W Boga także nie wierzysz - odparował policjant - więc jak miałby chronić cię przede mną? Escuchame, przyjadę i zabiorę ten twój krawat. Trzymaj sępy z dala od niego.

- Claro - powiedział Dionisio. - Cześć, do zobaczenia niebawem.

Z kosza na bieliznę wygrzebał możliwie najczystsza z brudnych koszul, włożył ją i zszedł na dół przypatrzeć się zwłokom. Zmarły był młodym, krępy męczyzną w splamionej krwią niebieskiej koszuli. Nie miał butów, za to modne spodnie i skórzany pas. Rysy twarzy wskazywały na pochodzenie tak mieszane, że zgoła wymykające się wszelkiej klasyfikacji. Czarne włosy lśniły wypomadowane grubą warstwą taniej brylantyny, a z przeciętej krtani sterczał groteskowo język. Dionisio przypomniał sobie, jak strasznie wymiotował, kiedy pierwszy raz ujrzał podobny widok, i pomyślał, że jest coś głęboko zatrważającego w fakcie, iż tak łatwo można się do wszystkiego przyzwyczaić. Pochylił się i strząsnął kilka mrówek, poruszających się żwawo po twarzy zmarłego i rojących się wokół jego ust, a potem cisnął kamieniem w sępa, który głośno i ociężale opadł na drzewo pinii.

- Hijo de puta! - wrzasnął z nagłą furją, uświadamiając sobie jednocześnie, że jest bardziej wściekły, niż mógłby sądzić.

Popatrzył na zegarek, z rezygnacją przyjmując do wiadomości, że znowu spóźni się na wykład, i zastanawiając się, czy dziekan mu uwierzy, po raz kolejny słysząc raczej dość niezwykle usprawiedliwienie: zwłoki w ogrodzie. Usadowił się oparty plecami o pień drzewa i ciskał kamieniami w sępa, aż wreszcie pojawił się Ramon w towarzystwie drugiego oficera. Wchodząc przez furtkę, obaj policjanci wkładali żółte kuchenne rękawice.

- Halo! - zawołał Ramon. - I znowu mamy ten sam, uroczy początek idealnego dnia.

Dionisio uśmiechnął się do swojego przyjaciela ze szkolnej ławy, który - ku konsternacji wszystkich kolegów - zdecydował się na ten tak niewiarygodny krok i został policjantem, w związku z czym znajomi całkiem otwarcie przezywali go Cochinillo. Ramon przyjmował szyderstwo w takim duchu, w jakim było pomyślane, i odgrywał się, nie szczędząc złośliwości.

- I jak tam, mój mały Sokratesie? - zapytał teraz.

- Jestem już odrobinę zmęczony tymi kolumbijskimi krawatami - odparł Dionisio, uśmiechając się blado. - Dlaczego ci ludzie podrzucają je zawsze w moim ogrodzie, a nie u kogoś innego?

- Albo uznali, że potrzebujesz trochę rozrywki, i w swojej życzliwości postanowili ci jej dostarczyć, albo też chcą ci udzielić małego ostrzeżenia

- odparł Ramon. - Osobiście skłaniam się ku tej drugiej hipotezie.

- Ostrzeżenia? - powtórzył Dionisio niczym echo.

- Nie udawaj, Dionisio. Wiesz dobrze, że mówię o listach.

- Ależ te listy to przecież nic wielkiego - zaprotestował Dionisio. - A poza tym, jak się o nich dowiedziałeś?

- Wszyscy o nich wiedzą, łącznie ze mną. Mogę być Cochinillo, ale przecież czytuję różne gazety dla intelektualistów, takie jak „La Prensa”. Uwierz mi, że niektórzy handlarze narkotyków również posiadli sztukę czytania. Dzięki swoim listom stałeś się lokalną osobistością, jako że nikt inny w okolicy nie publikuje regularnie listów w poważnym periodyku. Mnóstwo ludzi życzyłoby sobie, abyś przymknął jadaczkę i zajął się pilnowaniem własnych spraw. - Ramon uniósł w górę brew i lekko pogładził palcem skrzydełko nosa. - Moja rada, cabron, brzmi dokładnie tak samo, inaczej skończysz jak nasz obecny tutaj mały amigo z językiem wystającym z niewielkiej, zgrabnej dziurki w krtani.

- Wiesz, kim on był? - zapytał Dionisio.

- Wiem, i zapewniam cię, że nikt nie będzie wylewał łez na jego pogrzebie. Jeżeli zaś chodzi o mnie, to te kanalie mogą się wzajemnie powyrzynać, jeśli mają taką fantazję. Pakowanie ich do więzień byłoby sprzeniewierzeniem publicznych pieniędzy.

Ramon w zamyśleniu pogładził brodę, przekręcił czapkę na głowie pod jakimś osobliwym kątem i splunął na ziemię tuż obok ciała.

- Chodź - powiedział do swojego kompana. - Czyńmy naszą powinność.

Wpakowali zwłoki na tył samochodu, po czym Dionisio podszedł do drzwi kierowcy i uścisnął rękę przyjaciela.

- Masz u mnie drinka - powiedział. - Dzięki. Policjant skinął głową.

- Nie trwońmy czasu, pracując nad ulepszeniem tego nie najdoskonalszego ze światów.

Odjechał, zostawiając Dionisia łamiącego sobie głowę, czy przyjaciel zaczerpnął skądś ten cytat, czy też sam jest jego autorem.

3. List Ramona

Szanowna Redakcjo, Piszę ten list jako oficer policji w Ipasueño i jednocześnie jako wieloletni przyjaciel Dionisia Vivo. Niniejszym pragnę publicznie polemizować z niektórymi jego uwagami dotyczącymi braku wiarygodności sił policyjnych.

Jak słusznie zauważa Dionisio Vivo, niejednokrotnie daje się nam do wyboru: plata albo plombo . Albo będziemy partycypować w zyskach, albo zginiemy, poddani przedtem torturom. Mimo to nie obawialibyśmy się aż tak bardzo tej drugiej ewentualności, gdyby było nas więcej, gdybyśmy byli lepiej wyszkoleni i wyekwipowani. Nasze oddziały są żałośnie nieliczne, kraj zaś rozległy, z całymi obszarami zupełnie dziewiczymi, nigdy nietkniętymi stopą kartografa. Miejscami nawet sam przebieg granicy budzi wątpliwości, szczególnie w rejonie Amazonki, co w przeszłości doprowadziło do kilku bezsensownych i haniebnych wojen z naszymi sąsiadami. Kontrolowanie tego niezmiernego terytorium staje się fizyczną niemożliwością, a co gorsza, wielu policjantów, znużonych i zdemoralizowanych syzyfowym wysiłkiem dokonania niemożliwego, zrezygnowało ze służby.

Po drugie, psychologii znany jest fakt (przynajmniej Dionisio Vivo zapewniał mnie, że tak jest), iż każdego można przekupić, jeśli ofiaruje mu się sumę dziesięciokrotnie przewyższającą jego roczne pobory. Roczna pensja policjanta w naszym kraju jest nieporównanie niższa niż w Stanach Zjednoczonych zasiłek dla bezrobotnego, wypłacany mu przez opiekę społeczną. Czy w tej sytuacji kogokolwiek może dziwić, iż policja tak łatwo ulega pokusie przekupstwa? Nie znam policjanta, który poza służbą nie miałby się dodatkowego zajęcia, po prostu aby przeżyć. Ja osobiście trzymam stadko kóz.

Na koniec chciałbym zakomunikować Dionisiowi Vivo, że moim zdaniem - a ten pogląd dyktuje mi doświadczenie zawodowe - jego życiu zagraża niebezpieczeństwo. Pragnę też zadać mu jedno pytanie. Czy znany mu jest fakt, iż w naszym kraju liczba zbrodni w afekcie trzykrotnie przewyższa liczbę morderstw, u których podłoża tkwi handel koką? Czy przeciwko tym zabójstwom także zamierza wszcząć listowną krucjatę?

Ramon „Cochinillo” Dario, oficer policji, Ipasueno

4. Dionisio powodowany miłością do Aniki wyrzeka się dziwek

Ipasueno położone było częściowo na równinie, częściowo zaś na zachodnich zboczach Sierra Nevada de Santa Margarita. Bielone wapnem domy wznosiły się jeden nad drugim, połyskując w słońcu, podobnie jak śniegi wysoko nad nimi, a stromo biegnące uliczki wypełniał harmider wózków ciągnionych przez muły, zgrzytanie skrzyń biegów zdezelowanych samochodów i ochryple nawoływania sprzedawców ofiarujących arepy i sok ananasowy. W wąskich uliczkach panował wieczny półmrok, gdyż nadwieszane balkony, najczęściej udekorowane praniem, skutecznie hamowały dostęp promieni słonecznych.

Miasteczko było niewielkie - co sprzyjało częstym odwiedzinom u przyjaciół i błyskawicznemu obiegowi plotek - i w dużym stopniu samowystarczalne. Żywność kupowano głównie od Indian Acahuatec, uprawiających tarasowate pola na zboczach Sierry, i od mieszkańców Cochadebajo de los Gatos na wschodzie. Ipasueno słynęło z produkcji najlepszych ziaren kawy Supremo i z doskonałej jakości kokainy, uzyskiwanej tu za pomocą kwasu siarkowego i ropy. Nie było, co prawda, aż tak znane, by komukolwiek przyszło do głowy zapragnąć się w nim osiedlić, lecz również

nie aż tak zapyziałe, by ktokolwiek ze stałych mieszkańców powziął myśl o wyjeździe. Dzięki temu populacja Ipasueno w swoim zasadniczym przekroju nie zmieniła się od XVI wieku, czyli od czasów, kiedy założył je conde Pompeyo Xavier de Estramadura, który później wraz z ośmiuset pięćdziesięcioma ludźmi zginął przysypany lawiną śnieżną podczas wyprawy poszukującej legendarnego inkaskiego miasta Vilcabamba. Był to ten sam arystokrata, którego Aurelio Czarnoksiężnik przywrócił następnie do życia i który zamieszkał w Cochadebajo de los Gatos, gdzie poznał Remedios, przywódczynię komunistycznych guerrilleros, i zaczął z nią żyć na kocią łapę.

W siedem lat, sześć miesięcy i trzydzieści trzy dni po zakończeniu bezsensownej wojny o wyspę de los Puercos (po której prezydent Veracruz zatriumfował w „wyborach zwycięstwa” i ponownie objął urząd) Dionisio Vivo, profesor filozofii, skończył dwadzieścia osiem lat i świętował swoje urodziny w wężowym uścisku Aksamitnej Luizy w słynnym Casa de Los Putas, przybytku Madame Rosy, położonym w zaułku Calle Santa Maria Virgen. Na dole Jerez zwymiotował właśnie prosto na kolana dziwki znanej jako Największy Wąż Boa Świata, Juanito zaś, wykorzystując swoją urodę i siłę perswazji, namawiał Rosalitę, aby zgodziła się obsłużyć go za frajer. Największy Wąż Boa Świata, piszcząc z obrzydzenia, usiłowała rozbić na głowie Jereza butelkę aguili, nie bacząc na marnotrawstwo trunku, Rosalita natomiast uległa nieśmiało, gdyż kochała Juanita i miała nadzieję wydać się za niego i skończyć z profesją dziwki. Jerez i Juanito, mieszkający wspólnie z Dionisiem, pomagali mu teraz nacieszyć się urodzinami w burdelu. Czynili to w ten sposób, że czerpali z zabawy, ile wlezie, dając tym piękny wyraz solidarności i braterstwa.

Burdel Madame Rosy zaiste stanowił miejsce godne uwagi, i to nie tylko przez fakt, że dziewczęta były urodziwe i czyste, ale także z powodu panującej w nim nad wyraz przyjemnej atmosfery. Raz w tygodniu Madame Rosa zabierała swoje podopieczne na badania do kliniki i zawsze była autentycznie szczęśliwa, kiedy któraś z nich wychodziła za mąż za jednego z klientów i rozpoczynała nowe życie, wypełnione dziećmi i obowiązkami domowymi. Pogodziła się już z faktem, że niebawem miała utracić najbardziej popularną kurwę, jaka kiedykolwiek pracowała w jej zakładzie.

Aksamitna Luiza miała siostrę bliźniaczkę, studentkę uniwersytetu. Ukończywszy siedemnaście lat, siostry rzucały monetą, która z nich pójdzie na studia, a która będzie pracowała na utrzymanie ich obu, i Luiza przegrała. Kurewstwu oddawała się z werwą i animuszem, wiedząc, że skazana jest na ten zawód jedynie przez okres trzech lat, i uważając, że z perspektywy czasu będzie mogła uznać to doświadczenie za pouczające i prawdziwie kształtujące charakter. Sypiała wyłącznie z klientami, którzy jej się rzeczywiście podobali, i nie zgadzała się ani na użycie przemocy, ani na inne brewerie. Dlatego też trzymała pistolet pod poduszką i miała dzwonek elektryczny, aby w razie potrzeby móc wezwać męża Madame Rosy.

Mężem Madame był potężnie zbudowany, za to nad wyraz łagodnie usposobiony Murzyn, darzący wszystkie dziwki takim samym uczuciem, jakim obdarzał swoje córki i swojego konia. Madame Rosę poznał w Wenezueli, dokąd uciekła z Kostaryki od swojego pierwszego męża, który to dżentelmen okazał się nienasyconym dziwkarzem o gwałtownym charakterze i na dodatek ze skłonnością do pijaństwa. Tak więc w rzeczywistości Madame Rosa była bigamistką, nigdy jednak nie przestawała utrzymy-

wać, że gdyby Ojciec Święty wiedział, jak to jej pierwszy mąż dniami i nocami strzelał z rewolweru do wyimaginowanych ogromnych pajaków na ścianie, anulowałby jej małżeństwo bez najmniejszej chwili wahania. Madame Rosa pokładała ogromną wiarę w Ojcu Świętym i uważała, że sama prowadzi prawdziwie katolicki burdel, skoro we wszystkich pokojach na ścianie wiszą krucyfiksy, a każda dziewczyna ma wolne w dniu swojej świętej patronki.

Dionisio gładził nieskazitelne czarne uda Aksamitnej Luizy i drażnił się z nią łagodnie, wycofując się za każdym razem, ilekroć jego palce zbliżały się do przedsonka wrót niebiańskiej rozkoszy. Mówił przy tym:

- Owładnął mną nastrój melancholii, gdyż nie sądzę, abym po dzisiejszym dniu miał tu jeszcze kiedykolwiek zawitać. Widzisz, Luizo, zakochałem się, i myślę, że jest to prawdziwe uczucie, a skoro tak, nie chcę brać w ramiona żadnej innej kobiety.

Luiza usiadła z wyrazem lekkiego zaniepokojenia na twarzy i odezwała się:

- Nie czyn tego, bo wszystkie dziewczęta popełnią samobójstwo. Dla nas kochanie się z tobą to niemal tak jak prawdziwa miłość.

Dionisio zastanowił się chwilę nad jej słowami.

- Zapewne bierze się to stąd, że dla mnie kobiety są czymś najwspanialszym na świecie. Czasami podejrzewam, że większość mężczyzn nienawidzi kobiet, stąd też tak podle je traktują. Myślę, że niejednen z tych prawdziwych machos tak naprawdę wolałby mieć za partnera małego chłopca albo nawet osła.

Dionisio miał krępą, przysadzistą sylwetkę, co od razu kazało się domyślać pewnej domieszki krwi indiańskiej w jego żyłach, oczy natomiast - intensywnie błękitne. Ów zadziwiający odcień był bezpośrednim rezulta-

tem jednego z podbojów conde Pompeyo Xaviera de Estremadury w XVI wieku. Usta miał pełne, zmysłowe, cerę oliwkową, nosił czarny wąsik i bujne baczki; typ uczesania nadal popularny w tym kraju. Odznaczał się też owłosionym, przepięknie umięśnionym torsem, co zawdzięczał narcystrycznemu zgoła opętaniu swoim ciałem w czasach, kiedy był nastolatkiem. Najczęściej ubierał się na niebiesko, i ten kolor stał się jego znakiem rozpoznawczym. Wszystkie dziewczyny w burdelu uważały, że jest wspaniały zarówno w łóżku, jak i poza nim. Aksamitną Luizę dręczyła zazdrość i jednocześnie ciekawość.

- Mówią, że twoją wybranką jest Anika Moreno. Czy to prawda?

Rzuciła mu badawcze spojrzenie, łaskocząc go jednocześnie delikatnie w jeden z sutków, aż Dionisio gwałtownie wciągnął powietrze.

- Tak, to Anika - odparł. - Jutro będziemy kochać się po raz pierwszy. Tak się umówiliśmy.

Anika Moreno miała zaledwie dwadzieścia lat i usiłowała żyć kierując się przede wszystkim poczuciem piękna. Do tej pory niewiele miała doświadczeń natury erotycznej. Mając lat osiemnaście, ofiarowała swoje dziewictwo pewnemu pracownikowi Katolickiej Misji dla Samotnych Matek, mężczyźnie co prawda żonatemu, deklarującemu jednak wielką miłość. Kiedy zaszła w ciążę, ów dżentelmen wyparł się jej zupełnie. Po trzech miesiącach poroniła, tak że nikt się o tym nie dowiedział, od tej pory wszakże odnosiła się do spraw seksu z pewnego rodzaju rezerwą. Tak więc nie można było powiedzieć, by życie nie zmusiło Aniki do przeknięcia pewnej porcji goryczy, zwłaszcza że dokładnie w tym samym czasie zmarła jej ukochana matka, młoda jeszcze kobieta, zmieciona kolejnym nawrotem złośliwego nowotworu. Zgon matki był dla Aniki głębokim wstrząsem, podobnie jak dla jej ojca, małomównego, dobrodusznego,

głęboko religijnego mężczyzny, który dorobił się majątku, handlując bronią.

Drzemały w niej również talenty artystyczne, którym dawała upust, tworząc rysunki charakteryzujące się pewnego rodzaju odświeżającą naiwnością spojrzenia i prostotą. Wśród preferowanych przez nią motywów przeważały zygzakowate, geometryczne wzory, w ostrych, wyrazistych barwach. Była absolutnie przekonana, że pewnego dnia świat uzna ją za wielką artystkę, i chociaż była osobą łagodną i sentymentalną, która nawet największemu wrogowi nie życzyłaby krzywdy, jednocześnie posiadała w sobie sporą dozę determinacji; ta jeszcze w dzieciństwie wpędziła ją w niejedną kłopot, a dla osoby już dojrzałej także stanowiła wątpliwe błogosławieństwo.

Tych dwoje spotkało się po raz pierwszy, kiedy artystyczne ambicje Aniki zawiodły ją w stronę fotografii. Przelotnie знаła jednego ze współlokatorów Dionisia, Jereza, indywidualium o tak łajdackim charakterze, że nikt nawet nie zawracał sobie głowy, żeby jakoś na niego wpłynąć, tylko wszyscy akceptowali go po prostu takim, jakim był (z wyjątkiem Największego Węża Boa Świata, która nienawidziła, gdy ktoś na nią rzygał). W rezultacie życie Jereza upływało spokojnie i szczęśliwie, co najlepiej świadczy o tym, jak rzadko ten świat bywa sprawiedliwy. Swój czas i minimum energii dzielił między ogromną rzeszę samotnych i bynajmniej niepociągających dla innych mężczyzn kobiet w nieokreślonym wieku i o dawno już przebrzmiałej urodzie. Na życie zarabiał dostarczaniem zdjęć do dwóch lokalnych gazet i uważał się za prawdziwego mistrza w swoim fachu. Jedną z jego mniej sympatycznych słabostek było wkręcanie się bez zaproszenia na prywatne fiesty. Właśnie na jednej z nich spotkał Anikę, na której fakt poznania prawdziwego fotografa uczynił wielkie wraże-

nie. Zaraz też zaprosił ją do siebie, tak by mogła się przekonać, czy fotografia rzeczywiście odpowiada jej artystycznemu temperamentowi, choć oczywiście jego prawdziwe cele i zamiary były zupełnie inne.

Anika nawet mieszkała niemal naprzeciwko Dionisia i Jereza, i aż dziw, że tych dwoje nigdy przedtem się nie spotkało. Pewnego dnia pomyślała, że dobrze byłoby wpaść do Jereza, by wytłumaczył jej różne subtelne zaśliski, jakie kryje w swoim wnętrzu aparat fotograficzny, który dostała od ojca na dwudzieste urodziny.

Dionisio, ciągle jeszcze w ubraniu, które nosił do pracy, siedział właśnie z nogami na zmasztrowanym przez Jereza stoliku do kawy; jego blat trzymał się podstawy jedynie siłą grawitacji. Anika zastukała w okiennicę jednego z okien holu. Jerez otworzył drzwi i wpuścił ją do środka.

Kiedy weszła do salonu, Dionisio pomyślał, że nigdy przedtem nie spotkał równie zaskakującej kobiety. W jego pamięci, niczym za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, rozbrzmiały wersety z Pieśni nad Pieśniami. Dziewczynę otaczała taka aura pogody, wiary w siebie i łagodności, że samą swoją obecnością rozświetliła cały dom, jakby ktoś wniósł do niego zapaloną lampę. Od razu też wprawiła Dionisia w wyśmienity humor, pod którego wpływem on sam wydał jej się przystojny i zabawny, podczas gdy w rzeczywistości wyglądał zupełnie przeciętnie i czasami potrafił być bardzo marudny.

Anika Moreno miała metr osiemdziesiąt cztery wzrostu i już samo to czyniło ją uderzająco niezwykłą. Tego dnia miała na sobie spodnie z katanu w kolorze szmaragdowym, którą to barwę astrologowie w osobliwy sposób łączą z Wenus, T-shirt w białe i zielone pasy i stare, liliowe espadryle; przez przetarcia na palcach przebierała zieleni skarpetek. Już sam ten drobny szczegół stopiłby serce każdego mężczyzny. Popielatoblond włosy

- rzadkość w tych stronach - nosiła krótko przycięte i postrzępione, odsłaniając wysokie czoło, wznoszące się nad szarymi oczami barwy zimowego morza. To uczesanie manifestowało jej przynależność do cyganerii artystycznej. Dionisio zauważył od razu, że Anika ma bardzo małe usta, a kiedy się uśmiecha, ukazuje rząd wspaniałych, błyszczących bielą zębów, które sprawiają wrażenie, że gdyby były choć odrobinę większe, zepsułyby harmonię całej twarzy. W jednym jej uchu tkwił ogromny, zielony, plastikowy kolczyk w kształcie równoramiennego trójkąta.

Dionisio zauważył też, że dziewczyna ma szczupłe ręce, z przedramionami jakby nieco grubszymi od ramion. Był zdumiony gracją jej sylwetki, kiedy stanęła z ramionami ściągniętymi do tyłu, wsparłszy się całym ciężarem ciała na jednej nodze, a drugą zginając w kolanie, tak że dotykała podłogi zaledwie czubkiem dużego palca. Przypominała mu małą dziewczynkę, przystępującą do bierzmowania. Piersi miała obfite, co zdawało się wprawiać ją w lekkie zakłopotanie, gdyż zawsze skrywała je pod luźnymi, bezkształtnymi ubraniami. Tak naprawdę krępował dziewczynę nie ich rozmiar, lecz raczej fakt, że jedna jest odrobinę większa od drugiej, co jednak bez bliższych oględzin mogło ujść uwagi.

Dionisio był oczarowany jej wdziękiem i energią do tego stopnia, że zaczął się zastanawiać, czy miałby u niej jakieś szansę, Anika Moreno zaś, układając już swoje kobiece plany względem niego, pożegnała się i nie pokazywała w domu Jereza i Dionisia przez następne trzy miesiące.

Po jej wyjściu Jerez rzucił: „Niezłe ciało”. Dionisio burknął coś niewyraźnie. Za największą zaletę Jereza należało uznać, że wszystko, co myślał i mówił, było albo bezdennie głupie, albo wulgarne i prostackie, tak że w porównaniu z nim każdy mógł czuć się mądry i cnotliwy. „Próbowa-

łem się kiedyś do niej dobrać - ciągnął Jerez. - Uciekała, aż się kurzyło".
Rzeczywiście dziwne, pomyślał Dionisio.

- Zdumiewasz mnie - powiedziała Luiza, kiedy Dionisio przyznał, że istotnie to Anika jest kobietą, w której ulokował swoje uczucia. - Ona jest taka wysoka. Poza tym Mulatka z jasnymi włosami, mnie to razi. Dziwi mnie, że zakochałeś się w kimś tak... niezwykłym.

- Mógłbym pokochać ciebie, ale...

- ...ale ja jestem kurwą?

Dionisio poczuł pewne zakłopotanie, lecz Luiza uśmiechnęła się tylko i powiedziała:

- Nie żywię żadnych złudzeń.

Pochyliła się nad nim, tak że jej przepiękne piersi, przypominające mu głowice rakietowe (zawsze nazywał je „pociskami Kupidyna”), lekko muskały jego tors. Wyszepiała:

- Kochaj się ze mną, kochajmy się po raz ostatni. Rób to powoli, rób to w nieskończoność.

Pochylił się nad nią i ujrzał wyraz jej twarzy.

- Jesteś piękna, Luizo. Proszę, nie płacz. Nikt z nas nie wie, jaka przyszłość go czeka.

5. List generała

Szanowna Redakcjo,

W ostatnich miesiącach z wielkim zainteresowaniem śledziłem publikowane na waszych łamach listy mojego syna Dionisia Vivo, traktujące o handlu koką i jego opłakanych skutkach.

W przeszłości wielokrotnie dręczyły mnie obawy, że syn mój wyrośnie na degenerata, który nie tylko sam używa koki, ale i handluje nią. Kiedy był nastolatkiem, wszystko zdawało się na to wskazywać. Tym większa więc moja duma i jednocześnie ulga, że mogę bez zastrzeżeń zaakceptować ogólny ton jego wypowiedzi. Jest faktem powszechnie znanym, iż w podległej mi prowincji przy pomocy armii, której oddziałami osobiście dowodziłem, wypleniłem handel koką niemal doszczętnie.

Jednakże przeciwko pewnym uwagom mego syna dotyczącym wojska, jakie zawiera jego ostatni list, pragnę niniejszym zaprotestować. Zalecając wykorzystanie żołnierzy do walki z handlarzami narkotyków, pisze on mianowicie: „Wreszcie zajęliby się czymś pożyteczniejszym niż beczynne siedzenie i knucie idiotycznych spisków”. A przecież mój syn doskonale się orientuje, że od czasów Flety, Ramireza i Sanchisa nigdy nie słyszano, aby wśród żołnierzy zawiązał się nowy spisek. Tamte dni przeminęły i najlepiej spuśćmy na nie zasłonę niepamięci, obecnie zaś wojsko zajęte jest wypełnianiem swego niemal syzyfowego zadania, jakim jest walka z jakże licznymi, zarówno prawicowymi, jak i lewicowymi, bandami guerrilleros, czyniącymi wszystko, by przeszkodzić budowaniu cywilizacji w naszej ojczyźnie. Któż mógłby przypuszczać, że w dzisiejszych czasach nadal można spotkać maoistów i stalinowców? A jednak oni istnieją i w walce z nimi armia ponosi ogromne straty. Mój syn jest nam winien przeprosiny.

Generał Hernando Montes Sosa, wybrany gubernator wojskowy prowincji Cesar, Valledupar

6. Ramon zostawia ostrzeżenie

Mój Diogenesie, pisząc do „La Prensya”, Twój ojciec nierozważnie ujawnił Twoją tożsamość. Teraz wiedzą już, że jesteś nie tylko wrzodem na dupie, ale i synem gubernatora prowincji Cesar, i tym bardziej będą chcieli Cię dopaść. Wylaż z barłogu i zwiewaj z miasta tak szybko, jak tylko to możliwe.

Ramon Dionisio przeczytał notatkę dwa razy i powiedział głośno:

- Tak, Ramon, to bardzo zabawne.

7. Dionisio otrzymuje dłoń

Niezwykły tumult na dworze wyrwał Dionisia ze snu. Przez chwilę leżał, zaciskając powieki i usiłując poskromić gwałtowne parcie na pęcherz, pragnąc odwlec moment całkowitego przebudzenia. Zastanawiał się sennie, skąd może pochodzić ten hałas; zajadłe krakanie, odgłosy drapania, furkotanie, wreszcie serie pojedynczych uderzeń w drzwi, jakby ktoś stuknął w nie z całej siły kostkami palców.

Naciągnął kołdrę na głowę, pragnąc uwolnić się od tego rejuwachu, w końcu jednak musiał uznać się za pokonanego. Odrzucił kołdrę na bok, jeszcze przez krótki moment leżał nieruchomo, wreszcie wstał i podszedł do okna. Wychylił się, ale miejsce awantury znajdowało się poza zasięgiem jego wzroku, przysłonięte gęstwiną pnączy. Wysunął się tak daleko, jak tylko potrafił, i ku swojemu zdumieniu zobaczył, że tuż przy wejściu czyhają dwa ogromne sępy, podskakujące do góry i łomoczące w drzwi, a między jednym i drugim podrygiem zamierzające się na siebie dziobami. Dłuższą chwilę przyglądał im się zdumiony, wreszcie huknął:

- Przymknijcie się!

Ptaki przelotnie poniechały swoich harców, obrzuciły go spojrzeniem, w którym bez wątpienia kryła się pogarda, i zaczęły od nowa.

Na litość boską! - pomyślał Dionisio, zbiegając na dół.

Kiedy otworzył drzwi, zaskoczone ptaszyska zastygły na kilka sekund i wyciągnęły szyje, jakby pragnąc go sobie dobrze obejrzeć. Wymachując rękami, próbował je odgonić, a wówczas zaprotestowały oburzonym krakaniem.

- Uciekajcie stąd! - powtarzał Dionisio. - Niech tu wreszcie będzie trochę spokoju.

W tym momencie odkrył przyczynę całego zamieszania. Na drzwiach, na wysokości piersi, przybita była ludzka dłoń. W pierwszej chwili przyszło mu do głowy, że jest sztuczna, ponieważ wyglądała niczym woskowa i nawet pokrywające ją ślady krwi zdawały się mieć nienaturalny kolor. Zastanawiając się, kto mógł mu splatać tak idiotyczny dowcip, dotknął jej palcami i natychmiast cofnął rękę, gdyż w tej samej chwili zdał sobie sprawę, że dłoń bynajmniej nie jest z wosku.

Teraz przyjrzał się jej bliżej. Była to dłoń należąca do mężczyzny o oliwkowej skórze. Paznokcie miała połamane, a jej grzbietem biegła pozioma blizna, prawdopodobnie pamiątka po nożu. Przez głowę przemknęła mu absurdalna myśl, że ktoś obdarzony tak długimi palcami byłby dobrym pianistą. Dłoń pokrywały drobne skaleczenia w miejscach, gdzie się pom udało się wyszarpać kawałek ciała, a między kciukiem a palcem wskazującym tkwiło pióro przytrzymane gumową opaską.

Dionisio wrócił do mieszkania i zadzwonił najpierw na policję, a potem do college'u, aby uprzedzić, że znowu się spóźni. Jego przełożony powiedział tylko:

- Vale co za odmiana; za ledwie jeden kawałek martwego ciała zamiast całych zwłok. Zaczę wykład za ciebie, a ty przyjeżdżaj jak najprędzej. Co teraz przerabiasz?

- Zasadę racji dostatecznej. Każ im przeczytać teksty źródłowe i zreasumować, czym ujęcie Leibniza różni się od Schopenhauerowskiego, dobrze?

Ponownie wyszedł na dwór, gdzie sępy wznowiły swoje ataki na drzwi i na siebie wzajemnie.

W niedługim czasie pojawił się Ramon, a wraz z nim ten sam młody policjant, co poprzednio. Ramon wysiadł z samochodu, gładząc zarost na brodzie swoim ulubionym gestem, i zatrzymał się na moment, obdarzając Dionisia zmęczonym, ironicznym spojrzeniem.

- Agustín - zwrócił się go kolegi - jako że najprawdopodobniej będziemy wzywani tu co chwila, pozwól, że cię oficjalnie przedstawię Dionisio-wi, którego mam zamiar od tej pory nazywać Empedoklesem na pamiątkę pewnego mędrca, który pragnąc udowodnić, że jest bogiem, rzucił się do krateru wulkanu. Osobiście uważam tę analogię za wyjątkowo trafną.

Dionisio uśmiechnął się tylko i potrząsnął dłonią Agustina. Podchwyciwszy spojrzenie Ramona, bez słowa wskazał rękę przybitą do drzwi.

- Aj, aj! - zawołał policjant. - A więc to aż tu zawędrowało.

- Czyżbyście tego szukali? - zapytał Dionisio.

- Niezupełnie, Empedoklesie. Właściciel został znaleziony dzisiaj rano na miejskim wysypisku śmieci. Pewnie będzie ci przyjemnie usłyszeć, że ta oto dłoń należała do dżentelmena, który odmówił użyczenia swojej córki El Jerarce i jego zgrai, wobec tego bandyci zabrali dziewczynę siłą. Właśnie w tej chwili ciała ojca i córki ładowane są na przyczepę na wysy-

pisku śmieci, bo przecież wypada zwrócić je żonie, która została sama, mając do wykarmienia jedynie czwórkę dzieci.

Ramon podszedł do drzwi i przyjrzał się dłoni z uwagą.

- Tego typu gwoździ używa się w hacjendach do zbijania korralu. Pióro jest zupełnie zwyczajne, a dłoń odcięto jednym uderzeniem maczety. Typowo farmerskie morderstwo, można powiedzieć. Wszyscy przecież wiemy, kto jest właścicielem ogromnej hacjendy w pobliżu miasta. - Urwał i zaczął wyciągać gwóźdź z deski. Wyjąwszy go, podsunął dłoń pod nos Dionisia. - Jesteś semiotykiem, więc wyjaśnij mi, co to może oznaczać.

Dionisio cofnął się odrobinę i powiedział:

- Daję mi do zrozumienia, że chcą, abym przestał pisywać do „La Prensa”.

Ramon przez chwilę spoglądał na przyjaciela, po czym wybuchnął niewesołym śmiechem.

- Ależ, Empedoklesie, doprawdy przypisujesz im zbyt wiele subtelności. Daję ci do zrozumienia, że zanim cię zabiją, obetną ci ręce. Ufam, że dostarczą je na posterunek, żebym się zbyt nie namęczył, szukając ich. Najpierw obetną ręce, które pisały te listy, potem zafundują ci jeszcze trochę innych tortur, aż wreszcie założą gustowny kolumbijski krawacik i zostawią cię, abyś mógł się w spokoju wykrwawić na śmierć.

Przyjaciele w milczeniu mierzyli się wzrokiem, potem Ramon uniósł brwi i uśmiechnął się.

- Widzisz to pióro? Będą na nim odciski palców człowieka, który je tu umieścił. Mają tyle tupetu i pewności siebie, cabron, że nawet nie przejmują się, że wiemy, kto to zrobił.

- Aresztujecie go?

Ramon obrzucił go spojrzeniem, które można by uznać za protekcyjne, gdyby nie towarzyszył mu zwykły ironiczny uśmiech.

- Aresztować? Ależ nie będziemy zawracać sobie głowy bawieniem się w takie formalności. Od razu go sprzątniemy.

Dionisio był wyraźnie zaszokowany. Ramon objął przyjaciela ramieniem i przeszedł z nim kilka kroków.

- Pozwól, że coś ci wytłumaczę, mój drogi. Jeśli go aresztujemy, natychmiast znajdą się pieniądze, aby przekupić tysiące sędziów i policjantów, i gościa trzeba będzie zwolnić z powodu uchybień proceduralnych. Zabijając go, unikniemy pokusy wzięcia łapówki.

Dionisio już miał zaprotestować, gdy Ramon nagle stał się bardzo poważny.

- Tak obecnie wygląda oficjalnie nasza nieoficjalna polityka, Dionisio. Trwa wojna domowa i normalnie przyjęte reguły gry nie obowiązują. Nie daj się w to wciągnąć, chyba że męczeństwo ma dla ciebie nieodparty urok. Zdradzę ci sekret, dobrze? Policja i marynarka to jedyne stosunkowo nieskorumpowane siły w narodzie. Od tej chwili to nie wojsko będzie staczało bitwy, lecz policja. Policjanci będą wypełniali nie tylko swoje obowiązki, lecz także powinności żołnierzy, więc nie dawaj mi ekstraroboty, zostając kolejną bezsensowną ofiarą. Pakuj swoją gitarę, kilka książek i zmiataj.

- Nie, Ramon - sprzeciwił się Dionisio. - Jestem uparty i doprowadzony do wściekłości. Będę robił to, co potrafię, nawet jeśli jest to tylko pisanie listów.

- W takim razie postaraj się o broń i nie rozstawaj się z nią.

Zanim samochód ruszył, Ramon otworzył okno po stronie pasażera i wskazał na sępy.

- Powiedz tym dwóm, żeby zaczekały na śmietniku. A właśnie, wiesz, co zostało po Empedoklesie, kiedy rzucił się do krateru wulkanu?

Dionisio popatrzył na Ramona trzymającego gwóźdź i zajadle kręcącego młynka odciętą dłonią i odparł:

- Jego sandały.

Kiedy samochód ruszał, Ramon pokiwał mu ręką i rzucił:

- Bywaj, Empedoklesie.

8. O tym, jak helikopter El Jerarki zamienił się w zamrażarkę

Hiszpanie odwiedzający Amerykę Południową mają czasami kłopoty, próbując kupić masło. Kiedy proszą o mantequilla, napotykają pełne zdumienia spojrzenie, kiedy zaś zaczynają tłumaczyć, że chodzi im o to, czym smaruje się chleb, sklepikarz mówi: „A, rozumiem, chcecie kupić mantecę”. Wówczas Hiszpan, przekonany, że sklepikarz proponuje mu smalec, odpowiada: „Ależ nie, to wcale nie jest to, o co mi chodzi”. Konwersacja toczy się dalej, powodując coraz większe zamieszanie, dopóki sklepikarz nie wyjmie masła i nie powie: „To właśnie jest to, czym my tutaj smarujemy chleb”. Hiszpan najpierw przygląda się podejrzliwie; tłuszcz jest białawy i wyglądem przypomina raczej smalec niż masło, jednak ma konsystencję masła. Doprawdy zagadkowa sprawa. Wreszcie Hiszpan decyduje się na zakup, smaruje na próbę kromkę chleba, żeby przekonać się, że smarowidło wcale nie jest takie złe i smakuje jak coś pośredniego między masłem a smalcem.

Hiszpański podróżny padał po prostu ofiarą społecznej historii słowa „masło”. Dawnymi czasy, kiedy nie hodowano jeszcze bydła mlecznego, do smarowania chleba powszechnie używano smalcu. Ale z biegiem lat

rozwinęła się hodowla mlecznych krów i zaczęto produkować także masło. Jednak zanim do tego doszło, nastąpiły dwa zjawiska. Po pierwsze, wyraz mantequilla zdążył już zostać zapomniany i nowy tłuszcz, służący do smarowania chleba, nazwano manteca. Po drugie, ludzie przyzwyczaili się do smaku smalcu na chlebie i zaczęli wyrabiać masło w taki sposób, by było zbliżone do smalcu.

Wyraz padrino przeszedł równie osobliwą metamorfozę. Dla dobrego katolika oznaczał on, i nadal oznacza, ojca chrzestnego, czyli kogoś, kto wychowuje dzieci w wierze katolickiej, jeśli rodziców zabraknie albo okażą się nieodpowiedni. Dla tych, którzy praktykują santerię, padrino oznacza człowieka dokonującego misterium inicjacji, wprowadzającego w kult, który do Ameryki Łacińskiej przybył na statkach służących do przewożenia niewolników wraz z trądem i tysiącem podobnych nieszczęść. W santerii padrino jest ważniejszy od rodzzonego ojca i kiedy santero spotyka swojego padrino, pada mu do stóp. Padrino pochyla się i błogosławi go i dopiero wówczas santero wstaje, krzyżuje ręce na piersiach i całuje ojca chrzestnego w oba policzki. Związek między nimi opiera się na głębokim uczuciu i wzajemnym zaufaniu.

Ale obecnie wyraz padrino oznacza także barona kokainowego, kacyka w rodzaju El Jerarki, czyli ojca chrzestnego w znaczeniu mafijnym. Słowa „matka chrzestna” nie zmieniły znaczenia, podobnie jak słowo „chrześniak”, gdyż to tylko mężczyźni ciągnie ku bezdennym otchłaniom zła. Jakie to przykre, że słowo compadre, jakim dawniej określano najbliższych i najbardziej zaufanych przyjaciół, obecnie używa się mówiąc o współniku zbrodni, czyli kimś najmniej zasługującym na zaufanie.

El Jerarca był padrino w nowym znaczeniu tego słowa -osobnikiem, któremu nikt nie wierzył, nie lubił go ani nie szanował. Postanowił prze-

jąc kontrolę nad arkadyjskim miastem Cochadebajo de los Gatos, gdyż dzięki takiemu posunięciu szlaki kokainowe uległyby znacznemu skróceniu, a brygadam antynarkotykowym znacznie trudniej byłoby je wytropić, poza tym przeniesienie się do miejsca, które w okolicy było dobrze znane, a jednocześnie nie figurowało na żadnych mapach wojskowych, nawet tych znajdujących się w kwaterze głównej piechoty czy lotnictwa, obfitowało i w inne korzyści.

Pierwszym, który zauważył helikopter, był Sergio. Wracał właśnie do domu, z narywającą dłonią, gdyż usiłował schwytać na łąsku konia pasącego się na pajonale, a lina nie wiedzieć kiedy owinęła się wokół prawej przedniej nogi umykającego rumaka i solidnie pokiereszowała dłoń Sergia, zanim zdołał się od niej uwolnić. Kiedy znalazł się w mieście, helikopter właśnie wylądował na dziedzińcu Pałacu Królów, a jego dwaj pasażerowie szli ulicą, pozdrawiając wszystkich bez wyjątku. W ręce każdej napotkanej osoby wtykali grube zwitki banknotów tysiąc pesetowych. Wkrótce podążały za nimi tłumy pragnące skorzystać z tej nieoczekiwanej szczodrości; ludzie popychali się, wrzeszczeli, tratowali wzajemnie. Dwaj mężczyźni powtarzali:

- Kiedy przybędzie tu El Jerarca, będziecie mieli jeszcze więcej pieniędzy. Poczekajcie, a przekonacie się. Wszyscy staniecie się bogaczami, to zaś jest prezent od niego, na dowód, że będzie waszym padrino i będzie o was dbał.

Niektórzy od razy zaczęli wznosić okrzyki: „Niech żyje El Jerarca”, nie wiedząc nawet, kto to jest.

Sergio dostrzegł jeszcze, jak Hectoro przytomnie zgarnął swój zwitek banknotów, po czym odjechał, badając skaleczoną dłoń ze wzrastającą podejrzliwością. Hectoro obserwował całą scenę przez wpół przymknięte

powieki, gdyż dym z jego puro szczypał go w oczy. Wąskie wargi miał skrzywione, ich kąciki opuszczone ku dołowi. Siedząc w siodle, z czarną brodą, twarzą hiszpańskiego arystokraty i czarną rękawiczką, opinającą dłoń dzierżącą wodze, bardziej niż kiedykolwiek przypominał konkwistadora. Przez moment rozważał możliwość wyciągnięcia rewolweru z olstrów, zabrania całej forsy tym wymuskanym typkom i rozdania jej ludziom, z jednoczesnym poleceniem, żeby się wynieśli. Ten tłum, napierający bez żadnej godności, napełniał go odrazą.

W tej chwili jednak nadeszła skądś Remedios i stanęła przed nim. Nadal nosiła mundur w kolorze khaki, jak w czasach guerrilli, i nigdzie nie ruszała się bez kałasznikowa.

- Hectoro - powiedziała.

- Si? - odparł Hectoro, który nigdy nie używał więcej słów, niż przystało mężczyźnie.

- Widziałam to już przedtem. Tak właśnie postępują handlarze narkotyków, kiedy chcą przejąć kontrolę nad jakimś miejscem. Idź i sprowadź Misaela, Josefa i Pedra. Musimy coś przedsięwziąć.

Hectoro pokręcił głową. Mars na jego czole pogłębił się.

- Wiesz dobrze, że nie przyjmuję rozkazów od kobiety. Remedios westchnęła z irytacją, położyła ręce na biodrach i nagle uśmiechnęła się.

- Więc sam sobie wydaj taki rozkaz, byle szybko. Popatrzył na nią z góry. Bardzo lubił Remedios, jak wszyscy zresztą, ale nigdy by jej tego nie okazał, podobnie jak nigdy - nawet dla niej - nie sprzeniewierzyłby się naczelnej idei swego życia, jaką było bezprzykładne oddanie kultowi machismo. Skinął na przechodzącego dzieciaka i kazał mu zawołać Pedra, Josefa i Misaela.

Kiedy się pojawili, Remedios poinformowała ich o sytuacji i Misael od razu zaproponował, żeby zapytać o radę don Emmanuela, na co jednak Remedios nie chciała przystać. Ostatnimi czasy jego niewyszukane żarty na temat pewnych części ciała mocno działały jej na nerwy, on dla odmiany uważał ją za kołtunkę. Zresztą Misael sam wpadł na pomysł, jak pozbyć się nieproszonych gości, nie narażając przy tym nikogo. Naprawdę nie byłoby dobrze, gdyby cała prawda dotarła do uszu El Jerarki, a zresztą ludzie też mogliby mieć pretensje, gdyby przypadkiem wyszło na jaw, że Hectoro pozbawił ich możliwości wzbogacenia się.

Hectoro posiadał wątrobę, która już od lat była w stanie niemal całkowitej ruiny, a przecież ciągle służyła mu wiernie, wbrew wszelkim prognozykom medycznym, rachunkowi prawdopodobieństwa i nieodgadnionym wyrokom sprawiedliwości. Potrafił wlać w siebie niewiarygodne ilości mocnych trunków, mimo to nie zdarzyło się, aby ktoś widział go pijanym.

W burdelowym barze u Consuelo zafundował elegancikom drinka. Kiedy się wzbraniali i próbowali uchylać od dalszych kolejek aguardiente, perswadował im szyderczo:

- Jesteście chyba mężczyznami, co? Pijcie jak mężczyźni. Oni spoglądali na niego z coraz większą desperacją, ze strachu nie śmiąc zaprotestować.

- W porządku, cabron, ale to już ostatni kieliszek, bo potem trzeba nam się zbierać.

Wyczuwali w nim bezlitosną siłę, w jego oczach bez uśmiechu, chmurze błękitnego dymu, który kojarzył im się z El Jerarcą, w stanowczo zaciśniętych ustach, żyłastym, szczupłym ciele, we władczości, z jaką rozkazywał im wypić do dna, cabron. Przerażało ich, że Hectoro staje się coraz

trzeźwiejszy, w miarę jak wlewa w siebie kolejne copas , nie mrugnawszy nawet powieką i nie tracąc ani na moment lodowatego opanowania.

Pedro i Misael dołączyli do kompanii, poklepując tamtych po plecach i wciągając w burzliwą dyskusję, którą mogli śledzić tylko z najwyższym trudem i w której zupełnie nie potrafili wziąć udziału. Oczy uciekały im na bok, a spojrzenia stawały się coraz bardziej maślane. Odpowiadali bez sensu: „Si, si, amigo, tak jest, masz rację”, nawet kiedy głowy opadały im na szynkwas, a Misael pokpiwał z nich, mówiąc:

- Każdy z was to prawdziwy hijo de puta, z gębą pionową niczym bab-ska chucha; wasze matki to maciory, a ich mleko to szczurze szczyny; wasze culos zdobią tysiące wrzodów, a cojones macie mniejsze od rodzynek.

Słyszając to, wszyscy obecni wybuchali gromkim śmiechem, nawet kurwy, które z przyjemnością zrobiły sobie chwilę wytchnienia od całowania i obłapek.

A potem Misael wyciągnął dwa pitillos . O, nie były to zwykłe pitillos, ale pitillos grube niczym hawańskie cygara dla prawdziwych milionerów i pełne najprzedniejszej marihuany. Był to ten rodzaj papierosów, jakie człowiek pali w łóżku w objęciach kochanki, zanim miłość przeniesie go gdzieś poza zewnętrzny krąg świata realnego, pitillos będące prawdziwym urzeczywistnieniem platońskiej idei Pitillo. Misael wręczył je elegancikom, a Hectoro dopilnował, by wypalili je aż do ogarka, dopóki cały burdel nie wypełnił się aromatyczną wonią, a nieszczęsne ofiary nie zaczęły chichotać, ilekroć zleciały ze stołka, i domagać się nowej kolejki po każdym ataku wymiotów.

Kiedy zapadły ciemności, Hectoro i Misael zawlekli nieszczęśników do helikoptera i wwindowali do kabiny. Dopóki silnik się nie rozgrzał, bili

ich po twarzach i szczypali w uda, a potem przyglądali się, jak maszyna startuje i oddala się z obłądną szybkością i w niewłaściwym kierunku.

W kilka dni później helikopter został odnaleziony wysoko w górach, w śniegach sierry. Indianie, którzy się na niego natknęli, pochodzili z wioski Chachi. Ciała były zamrożone na kość, co podsunęło im myśl, aby w kabine helikoptera trzymać mięso, zamiast zagrzebywać je w śniegu i oznaczać to miejsce żerdzią. Dwaj gangsterzy, na wieki już przymarznięci do siedzeń, czczeni byli przez cholos jako nieśmiertelne duchy opiekuńcze metalowej puszki na mięso, zesłanej łaską szczodrobliwego Viracochy.

9. Nożownicy

- No dobra, chicos - powiedział El Jerarca. - Kapujecie, o co chodzi? Ma to wyglądać na najzwyklejszy w świecie rabunek, tyle że brutalny, zrozumiano? Zabieracie forszę i wszystko, co tam jeszcze będzie miało cenę; okay? Co zgarniecie, to wasze, mnie tam nic do tego. Jeśli sprawicie się dobrze, obu wam kapną małe ganancias, dostaniecie nowe motory, może nawet awansuję was na prawdziwych sicarios. Podaruję wam też po magnum, takim którym można odstrzelić jaja nawet słoniowi; dobra?

Dionisio i Anika szli ulicą, trzymając się pod rękę, odbywając krótkie paseo przed spotkaniem z Ramonem, z którym byli umówieni na drinka. Dwaj napastnicy podążali dziesięć metrów za nimi; każdy raz po raz sięgał nerwowo ręką w zanadrze, by namacać ukrytą rękojeść noża. Rozmawiali przyciszonymi głosami.

- A jeśli będzie stawiał opór? - zapytał jeden.

- Mierda - odparł jego towarzysz. - Widzisz przecież, że to grubas, więc pewnie rusza się powoli. Pomacamy go nożem po brzuchu i od razu zwiewamy.

- Dziewczynę także obrobimy?

- Dlaczego nie? Na pewno ma przy sobie trochę forsy. Widziałem też ładny pierścionek.

- El Jerarca mówił, żeby nie robić jej krzywdy.

- Ale nie mówił, żeby jej nic nie zabierać. - Facet mrugnął znacząco, a jego kompan kiwnął głową i uśmiechnął się na znak zgody.

Anika, szczęśliwa i zrelaksowana, czuła przepelniającą ją tkliwość.

- Chodź tutaj, querido chcę cię pocałować.

Pociągnęła Dionisia w boczną alejkę i gdy znaleźli się w cieniu, przycisnęła ukochanego do ściany. Przymknęła oczy, żeby go pocałować. Widząc śledzoną parę, zamkniętą we wzajemnym uścisku, napastnicy uznali, że właśnie nadarza się okazja, skręcili za nimi i zaczęli biec. Kiedy już byli blisko, przeżyli moment rozterki, widząc, że Anika znajduje się bezpośrednio na linii ciosu, i jeden z nich potknął się na jakieś puszce. Dionisio otworzył oczy i zobaczył, co się święci.

Być może na miano prawdziwego bohatera zasługuje ten, kto potrafi przezwyciężyć własny strach i uczynić coś, czego się lęka. Dionisio natomiast, choć nigdy by tego o sobie nie powiedział, należał do ludzi, dla których heroizm jest czymś oczywistym, czymś, co przychodzi w sposób zupełnie naturalny. Jego głęboko zakorzeniony instynkt moralnego oburzenia w krytycznych chwilach przemawiał znacznie silniej niż impuls nakazujący szukać ucieczki. Dostrzegłszy napastników zbliżających się z wyciągniętymi nożami, pomyślał, że chcą obrabować jego i Anikę, i po-

czuł wzbierający gniew. Popchnął dziewczynę na ziemię, by odsunąć ją z linii bezpośredniego ataku, a sam stanął twarzą w twarz z napastnikami.

Rozjuszony, z oczami błyszczącymi pogardą, zaciśniętymi ustami, szeroko rozstawionymi nogami i wyciągniętymi ramionami, wyglądał niczym prawdziwy tygrys, atakujący bezbronną nutkę. Napastnicy zatrzymali się jak wmurowani, zezując oczami na boki i spoglądając niepewnie jeden na drugiego. Ich ofiara nagle zdała się urosnąć dwukrotnie, a to, co przedtem brali za tłuszcz, obecnie wyglądało jak góra mięśni.

- Czego chcecie, gnojki? - zapytał Dionisio bardzo wyraźnie i nader złowieszczym tonem.

Zapadła chwila ciszy, gdyż każdy z napastników miał nadzieję, że kolega przemówi pierwszy. Wreszcie jeden z nich odezwał się:

- Wyciągaj portfel.

- Chinga tu madre, hijo de puta. - Dionisio splunął i chociaż była to najstraszliwsza obelga, jaka może spotkać mężczyznę, obraza, którą zmazuje jedynie śmierć przeciwnika, żaden z nożowników nie poruszył się.

Za plecami Dionisia Anika zaczęła podnosić się z ziemi, szara niczym popiół i cała drżąca. Nożownicy z niejaką ulgą odwrócili się w jej stronę.

- A ty, flaca, ściągaj pierścione.

- Zostaw go na swoim miejscu, querida. Jeśli któryś z tych dwóch dotknie cię choć jednym palcem, na Boga, obetnę mu jaja i wepchnę je do gardła.

Napastnicy zdawali sobie sprawę, że muszą wreszcie zdobyć się na działanie, że któryś musi postąpić krok do przodu i przystawić Dionisiowi nóż do brzucha, żaden jednak nie chciał być tym pierwszym. W końcu jeden, zawstydzony własnym tchórzostwem, wystąpił naprzód, robiąc fintę nożem. Dionisio zareagował z chyżością wielkiego kajmana. Błyskawicz-

nie schwycił mężczyznę za nadgarstek i pociągnął do przodu, podcinając mu jednocześnie nogi. Przyklęknął za upadającym i kiedy łokieć napastnika wszedł w kontakt z jego kolanem, trzasnął nim z całej siły. Mężczyzna zaskowyczał, zatoczył się pod mur i legł nieruchomo, pojękując.

Drugi z nożowników odwrócił się, chcąc się salwować ucieczką, Dionisio jednak był tak naładowany wściekłością, że udaremnił mu ten zamiar. Rzucił się na niego całym ciężarem ciała, niczym tocząca się z gór lawina. Nożownik upadł, turlając się po ziemi. Wtedy - ku zdumieniu Dionisia - Anika poderwała się z bojowym okrzykiem i z całej siły kopnęła go w żołądek, poprawiła kopniakiem w twarz, wreszcie splunęła na niego, kiedy nieszczęśnik podniósł ręce, usiłując osłonić zakrwawione usta. Dionisio złapał go za włosy, zmuszając do odgięcia głowy do tyłu. Drugą ręką sięgnął po leżący na ziemi nóż.

Dionisio był człowiekiem z natury delikatnym i łagodnym, którego ulubionym zajęciem było mozolne wgryzanie się w skomplikowane tomy filozoficzne, granie na rozmaitych instrumentach muzycznych i oddawanie się miłości. W wieku osiemnastu lat wprawił w osłupienie komisję poborową narodowych sił zbrojnych, oznajmiając, że jest pacyfistą. Ale teraz był to inny Dionisio, Dionisio dyszący żądzą krwawego odwetu niczym Bóg ze Starego Testamentu, Dionisio, który nie poderznął napastnikowi gardła wyłącznie dlatego, że Anika położyła mu dłoń na przegubie i powiedziała z mocą:

- Querido, nie.

Dionisio przyłożył nóż pod innym kątem i zadał gwałtowne pchnięcie w górę, tak że ostrze przebiło podbródek, język i utkwilo w podniebieniu.

- Zeżryj to, ty polla de perro - rzucił, nadal płonąc gniewem, po czym ujął Anikę za rękę i oddalił się, nie oglądając się za siebie.

W drodze do baru żadne z nich niezdolne było wykrztusić słowa. W Dionisiu nadal szalała furia, która dosłownie tamowała mu dech. Anika mocno zaciskała pobielające wargi, czując, że zbiera jej się na wymioty, ale naśladowując Dionisia, przyspieszyła tylko kroku. W barze zastali już Ramona siedzącego samotnie przy stoliku. Opadli na krzesła obok niego i Anika ukryła twarz w dłoniach, trzęsąc się cała. Ramon popatrzył zdumiony najpierw na nią, potem na przyjaciela. Dionisiowi wzrok latał dziko, prawa powieka drgała w sposób niekontrolowany, oddychał zaś z takim wysiłkiem, jakby przed chwilą szarpał się z bykiem na powrozie.

- Co się...? - zaczął Ramon, ale Dionisio zbył go machnięciem ręki.

Ramon wstał ze stołka. Nie ulegało wątpliwości, że przyjaciół spotkało coś okropnego, doświadczenie jednak podpowiadało mu, że trochę to potrwa, zanim wydobędzie z nich, co im się przydarzyło. Pośpieszył więc do baru i wrócił z dwiema podwójnymi aguardiente.

Anika nawet nie podniosła głowy, Dionisio natomiast usiłował sięgnąć po kieliszek, nie potrafił jednak zapanować nad drżeniem rąk. Popatrzył na Ramona i wydusił z siebie:

- Napadli nas.

- Tak? - gorączkował się Ramon. - Jak to się stało?

- Mieli noże.

- Zranili was? Zrobili coś Anice? Co wam zabrali?

- Nic nie zabrali - odparł Dionisio, któremu udało się wreszcie pociągnąć łyk alkoholu, choć więcej go przy tym porozlewał. - To oni oberwali. - A potem wybuchnął: - Ramon, żałuj, że nie widziałeś Bugsity, jak kopnęła jednego z tych drani!

Przytulił ją do siebie, a ona położyła mu głowę na ramieniu. Lewą ręką uczepliła się jego koszuli, podczas gdy łzy spływały jej po policzkach, mocząc mu ubranie. Dionisio objął ją mocniej i tak siedzieli przytuleni do siebie, nadal wstrząsani dreszczami. Pocałował ją w czubek głowy, wdychając zapach jej włosów. Ramon spoglądał na nich, czując, że jemu także robi się miękko koło serca, jakby zaraz miał się rozplakać. Musiał się męczyć przez cały wieczór, zanim wreszcie udało mu się wydobyć od nich dokładny przebieg wydarzeń. Przewyciężywszy pierwszą słabość, Anika i Dionisio dali się porwać fali gwałtownego uniesienia i dumy z własnego bohaterstwa. Ramonowi zdawało się chwilami, że rozmawia z pijanymi uczestnikami fiesty. Kiedy Anika wyszła do excusado pochylił się do przodu i powiedział z naciskiem:

- Posłuchaj, przyjacielu, ostrzegałem cię, że grozi ci niebezpieczeństwo. Lepiej weź sobie wreszcie moje słowa do serca, zgoda?

- Ależ, Ramon, to przecież byli zwyczajni złodzieje, którzy zdążyli już gorzko pożałować swojego postępuku. Nie mogli mieć nic wspólnego z tamtym.

Ramon z ubolewaniem pokręcił głową, więc Dionisio mówił dalej:

- Przede wszystkim wcale nie usiłowali mnie zabić. Żądali tylko pieniędzy.

Ramon zaczął tracić cierpliwość.

- Posłuchaj mnie chociaż raz. Madre de Dios, ale ty jesteś naiwny. Nie wiesz nic poza tym, co wyczytasz w książkach albo co wyprawiasz swoim polla. Idioto jeden, nie ostrzegam cię bez powodu. Jestem w posiadaniu pewnych informacji. Poufnych, więc nic więcej ci nie zdradzę, ale dotyczących tego właśnie, o czym pisujesz w swoich listach. Wyjeżdżaj z mia-

sta albo wystosuję akt oskarżenia i przymknę cię dla twojego własnego dobra.

- To byli zwykli złodzieje - protestował słabo Dionisio, trochę zaniepokojony wybuchem przyjaciela.

Na salę wróciła Anika, krocząc wolno i niepewnie. Ramon wyrzucił w górę ręce w geście zniecierpliwienia i zasyczał:

- Ty głupi bękarcie!

W alejce, w której poprzednio schronili się Anika i Dionisio, żeby się pocałować, dwaj napastnicy kulili się w bramie, czekając na zapadnięcie ciemności. Kiedy wreszcie nadeszła noc, z trudem powlekli się przed siebie. Ten ze złamanym ramieniem powtarzał nieustannie:

- To był przecież zwyczajny profesor, głupi, pieprzony profesor.

Drugi przytrzymał bandaną zraniony podbródek, podczas gdy krew płynęła mu z ust, zostawiając w kurzu drogi ślad, który wkrótce zaroił się od mrówek. Nigdy nie wrócili z raportem do El Jerarki.

Tej nocy Anika i Dionisio kochali się trzykrotnie, z żarliwym oddaniem. Ich ciała zdawały się niesyte rozkoszy, jakby to, że otarli się o śmierć, uświadomiło im nagle wątko nici łączącej ich z życiem i ze sobą nawzajem. Od tego dnia Anika, która w podobnych sprawach obdarzona była wielką intuicją, zaczęła uważać swojego kochanka za kogoś dysponującego ponadnaturalną mocą. Dręczył ją też niepokój; jakby przeczuwała, że Dionisio musi wypełnić swoje przeznaczenie.

10. Minister sprawiedliwości składa rezygnację

Ekscelencjo, W tym tygodniu poprzedni burmistrz Cordoby został zamordowany na oczach swojej żony i dzieci. Kule rozpryskowe po-szatko-

wały go tak, że jego szczątki zbierano do plastikowych worków, a rozstawione na miejscu zamachu posterunki policyjne musiały odpędzać psy zlizujące krew i sępy zlatujące się do resztek, których nie zdążono jeszcze pościągać z drzew.

Nasza konstytucja, powszechnie uważana na najbardziej postępową na świecie, mówi, że: „sprawiedliwość jest zadaniem, jakie naród ma do wypełnienia”, poprawka do konstytucji z 1945 roku głosi zaś, iż „własność nakłada zobowiązania socjalne” oraz że „państwo ma prawo ingerować w zarządzanie przedsiębiorstwami prywatnymi i publicznymi i gałęziami przemysłu w celu zrationalizowania produkcji, dystrybucji i konsumpcji dóbr, a także w celu zapewnienia pracownikom należnej im ochrony”. Dalej stwierdza się, że „państwo stoi na straży życia, honoru i własności wszystkich obywateli”.

Ekscelencjo, w przeciągu ostatnich dwóch lat mieliśmy dziesięciu ministrów sprawiedliwości. Przez ostatnie pięć lat pięciu alkadów, dziesięciu intendentów i pięćdziesięciu sędziów zginęło z rąk baronów kokainowych, a tysiące zwykłych obywateli było torturowanych, terroryzowanych bądź straciło życie.

Nie mogę pozostać na stanowisku ministra sprawiedliwości, jak długo Jego Ekscelencja zdecydowanie odmawia mi możliwości sięgnięcia po środki mające na celu obronę konstytucji. Kokainowi milionerzy za nic mają powinności, jakie nakłada na nich fakt dysponowania własnością i władzą, państwo natomiast nie wypełnia swego obowiązku, polegającego na bronienu życia, honoru i własności obywateli. Przynajmniej jednak nie potrafi ono stanąć na straży własnego honoru i obecnie za granicą poważani jesteśmy jeszcze mniej niż w czasach przemocy.

Wielokrotnie prosiłem Jego Ekszelencję o wprowadzenie stanu wyjątkowego i mobilizację armii, ale nieodmiennie spotykałem się z odmową. Jeżeli Ekszelencja ma zamiar kontynuować taką politykę, traci sens istnienie ministerstwa sprawiedliwości, traci sens posiadanie konstytucji.

Z żalem zawiadamiam, że ze względu na dobro mojej rodziny uważam za niezbędne wyemigrować do USA. Czynię to z ciężkim sercem, opuszczając mój urząd i moją pogrążającą się w mroku barbarzyństwa ojczyznę.

Dr Maria Paz Bernardez, minister sprawiedliwości, Ministerstwo Sprawiedliwości

11. Jak kamień w wodę

- Okay, chicos - powiedział Jerarca - mój plan jest najprostszyszy w świecie. Ten Vivo stał się zbyt popularny, żebyśmy go mogli sprzątnąć ot, tak sobie. - Zaciągnął się mocno swoim puro, znikając na moment w obłoku szaroniebieskiego dymu. -No dobrze, znacie tę szosę na południe od miasta? Dwanaście kilometrów serpentyn i żadnej bocznej drogi. Macie tylko przywarować i poczekać, aż wyjdzie z domu i pojedzie w tamtym kierunku. A wtedy łapiecie za walkie-talkie i w kilka minut później blokujecie szosę. Oczywiście inne auta przepuszczacie; claro? On zaś nie wyrabia na zakręcie i ląduje na dnie przepaści z fatalnym dla siebie skutkiem.

El Jerarca uśmiechnął się, dumny ze swojego geniuszu. Lubił układać plany osobiście, gdyż dawało mu to poczucie pełnej kontroli nad wszystkim, co się dzieje. Jeden z jego ludzi miał pewne wątpliwości:

- Szefie, a jeśli będzie z nim jego chica? Co wtedy?

- Ją wyciągacie z samochodu, a on ma wywrotkę. Od seniora Moreno otrzymałem pewne gwarancje. Jego córka zezna jedynie, że udało jej się wyskoczyć, kiedy samochód wypadł z szosy-. Tak, chłopcy, Moreno to bardzo pojętny człowiek.

Chłopcy zarechotali gardłowo, jak to zwykle czynią konspiratorzy, by zamanifestować swoją solidarność. Był to śmiech mężczyzn, którzy od tak dawna tkwią w zbrodni, że ich jedynym wyborem jest odrzucić wszelką myśl o poprawie i jeszcze głębiej pogрузić się w bagno przewin; śmiech mężczyzn, których życie zmusiło do tego, by nauczyli się nie ufać nawet rodzonemu bratu, i którzy traktują świat z taką podejrzliwością, że mszczą się na nim bez żadnego powodu.

Dionisio zdradził Anice, że zna pewne miejsce, dokąd zawsze jeździ, ilekroć chce coś w spokoju przemyśleć albo pogрузić się w depresji, tak do samego dna, do oporu, by potem móc się z niej jak najprędzej wyzwolić.

- To niedaleko stąd, na południe od miasta. Na pewno ci się spodoba. Będziemy tam całkiem sami.

Anika znowu miała na sobie swoje kuszące szorty. Dionisio włożył luźne, workowate spodnie, pod które naciągnął kąpielówki, żeby na miejscu oszczędzić sobie trudu przebierania się. Anika nie znosiła tych spodni, uważając je za niemodne, ale chociaż przekonywała go z całym zapalem, Dionisio odmawiał noszenia innych, opiętych niczym druga skóra.

- Nie, querida, nie mam zamiaru obciskać sobie cojones, nawet dla ciebie. W opiętych portkach człowiek się poci i od razu dostaje pokrzywki, nie mówiąc już o tym, że trudno jest się w nich poruszać.

Anika wzruszyła ramionami i skrzywiła się, dając do zrozumienia, że dla niej spodnie kochanka są nie do przyjęcia, następnie zaś wygłosiła całą filipikę przeciw paskowi, którego porzuceniu Dionisio także się sprzeciwił, ponieważ matka kupiła mu go w prezencie w Bucaramandze, kiedy pojechała do Kolumbii w odwiedziny do kuzynki. Odmówił także zaprzestania noszenia odznak, które Anika nazwała hippisowskimi. Na jednej z nich wyobrażony był gołąbek z gałązką oliwną w dziobku, na drugiej wschodzące słońce, wszystko w nader jaskrawych kolorach. Dionisio przypinał odznaki w nadziei, że tym kolorowym akcentem ożywi nieco swój wygląd, poza tym skłaniał się ku ideom, które symbolizowały.

Tak więc ubrany w sposób urągający dobremu smakowi Aniki i z nią samą u boku, Dionisio wyprowadził swój stary samochód z miasta i skierował się prosto ku blokadzie założonej przez gangsterów zaalarmowanych w porę przez mężczyznę udającego zamiatacza ulic. Przebywszy jednak mniej więcej połowę dystansu dzielącego go od przeszkody, nagle skręcił ostro, jakby zamierzał wjechać prosto w skałę. Anika wrzasnęła dziko, próbując chwycić kierownicę, a potem zakryła twarz rękami.

Kiedy zerknęła przez rozstawione palce, zobaczyła, że znajdują się w jaskini. Z wyrazem niedowierzania na twarzy odwróciła się gwałtownie na siedzeniu, usiłując zrozumieć, jak też udało im się przeniknąć przez litą skałę. Dionisio uśmiechnął się do niej, zadowolony z efektu.

- Popatrz, pnącza kompletnie przesłaniają wejście.

Anika odrzuciła głowę do tyłu i odetchnęła głęboko, przykładając rękę do piersi.

- Bastardo! - wydusiła w końcu. - Omal nie przyprawiłeś mnie o atak serca. Dosłownie narobiłam pod siebie.

- Mam nadzieję, że nie tak dosłownie - odparł Dionisio. -Czy zabrałaś ze sobą bieliznę na zmianę?

Anika udała, że chce go uderzyć.

- Co za pedancik!

Zostawili zapalone reflektory i wysiedli, żeby się rozejrzeć. Jaskinia była obszerna, miała wilgotną podłogę, a jej ściany pokrywał liszajowaty nalot.

- Spójrz - powiedział Dionisio. - Stalaktyty i stalagmity. Nigdy nie pamiętam, które są które.

Ku swojemu zdumieniu, znaleźli też porzucony na ziemi nowiuteńki damski pantofel i zaczęli na wyprzódki tworzyć rozmaite zupełnie nieprawdopodobne teorie, jakimż to sposobem mógł tutaj wylądować. W końcu zdecydowali, że zostawią go tam, gdzie leży, na wypadek gdyby jego właścicielka zdecydowała się poń wrócić, może nieco rozczochrana po jakiejś swawoli.

- Mam nadzieję, że nie kryje się za tym jakiś koszmar - powiedziała Anika. - To trochę dziwne, żeby ktoś wyrzucił zupełnie nowy but, w dodatku taki kosztowny.

Dionisio wyłączył światła w samochodzie, ale w jaskini nadal było stosunkowo jasno. Anika zadarła głowę i zobaczyła otwór w sklepieniu.

- Ten but pewnie wpadł tu wtedy - powiedziała. - Czy górą biegnie ścieżka?

- Tak, querida, i właśnie zaraz się tam wdrapiemy. Podejście jest zupełnie łatwe, przez drugą taką dziurę, nieco dalej. W górze znajduje się mały raj, prawdziwy Eden w miniaturze. . Skierowali się w głąb jaskini, ku kolejnej plamie światła, wspięli się po kamieniach. Anika wystawiła głowę i rozejrzała się zdumiona.

- Dio! Jadąc tą drogą, człowiek nigdy by się domyślił, że tu się może kryć tak uroczy zakątek.

Przed nimi rozciągała się szeroka, płaska polana, z niewielkim jeziorkiem pośrodku, otoczonym drzewami o dziwacznie powykrzywianych pniach.

- Wyglądają zupełnie jak gromadka koboldów! - zawołała Anika.

Rozłożyła pled i zrzuciła z siebie wszystko, by móc się opalać bez przeszkód, a Dionisio poszedł w jej ślady, rozkoszując się poczuciem niczym nieskrępowanej swobody. Kiedy skończyli oddawać się miłości, Dionisio udał się na brzeg jeziora nałapać trochę skorupiaków, gdyż zamierzał przyrządzić wieczorem paellę. Ale woda była dziwnie mętna, kiedy zaś zanurzył w niej rękę, chcąc zaczerpnąć trochę do picia, poczuł, że jest jakby tłusta i błotnista. Nachylił się i powąchał ją - miała zapach rozkładu.

- Zdaje się, że na dnie leży ścierwo jakiegoś zwierzaka, które zapaskudziło całą wodę. Z pływania nici.

Zebrał swoje skorupiaki i udał się pod niewielki wodospad, zasilający jeziorko, obmyć stopy oblepione cuchnącym mułem.

- Myślę, że woda stąd przesącza się przez skałę do jaskini -zauważył. - Dlatego wszędzie jest tak wilgotno.

- Więc dlaczego nie wypływa później na szosę?

- Może przedostaje się przez jakąś szczelinę i uchodzi poniżej.

Wrócił na swoje miejsce obok Aniki i zaczął ją łaskotać między nogami piórkiem, które specjalnie w tym celu podniósł z trawy. Anika zerwała się z piskiem i zaczęli się mocować. Resztę dnia spędzili, pławiąc się w słońcu, drzemiąc i spacerując między drzewami, dopóki nie nadszedł czas powrotu do miasta.

Zrzucone z helikoptera zwłoki młodej kobiety, ze stopami zatopionymi w betonie, nadal gniły na dnie jeziora w odkrytym przez Dionisia Ede- nie. But, ciśnięty w dół po krótkim namyśle, kiedy helikopter już zawra- cał, nadal spoczywał w jaskini, do której wpadł przez otwór w sklepieniu, tak jak przypuszczała Anika.

Kiedy oboje już spali, dawny kochanek kobiety, której ciało rozkładało się obecnie pod wodą, słuchał nieskładnych tłumaczeń swoich podwład- nych, odpowiedzialnych za blokadę drogi.

- Ależ szefie, niech pan tylko posłucha. Postawiliśmy naszego człowie- ka koło ostatniego domu przy wyjeździe z miasta. Na własne oczy widział tego Vivo przejeżdżającego, naprawdę, szefie. Od szosy nie odchodzi żadna boczna droga, nie ma tam gdzie skręcić, dokładnie tak, jak pan po- wiedział.

- W porządku, chicos, w takim razie gdzie się podziali? -sondował El Jerarca. - Tylko niech wasze tłumaczenie ma ręce i nogi.

_ No właśnie, szefie, czekaliśmy na nich dobrą godzinę, a potem pomy- śleliśmy, że może jego grat rozsypał się gdzieś po drodze, i postanowili- śmy go poszukać. Przejechaliśmy w górę i w dół chyba ze sto razy, ale po nim nie było ani śladu, nic, dosłownie nic. Aż tu w sześć godzin później patrzymy, a on wjeżdża z powrotem do miasta, cały uśmiechnięty, jakby właśnie obrano go prezydentem. Nie jest dobrze, szefie, żeby odstawić podobną sztuczkę, ten facet musi być brujo albo co. Mówię panu, zdener- wowałem się. Jeszcze mnie zamieni w węża czy inną poczwagę.

El Jerarca oparł ręce na biodrach i podszedł do okna, żeby się zastano- wić.

- Macie rację, chicos, coś w tym musi być. Znacie tych chłopaków, których na niego nasłałem? - Podwładni skinęli głowami. - Nigdy nie wrócili. Przepadli bez śladu.

Dwaj gangsterzy popatrzyli po sobie, jakby pragnąc upewnić się nawzajem, że obecna porażka nie wynikała z ich winy.

- Więc co robimy, szefie?

- Jest jedna rzecz, która nigdy nie zawodzi - powiedział El Jerarca.

12. Wielkie candomble w Cochadebajo de los Gatos (1)

Wielu ludzi niesłusznie wierzy, że Eshu jest diabłem; owo błędne przekonanie prawdopodobnie bierze się stąd, że każdy inny Orisha ma swojego odpowiednika w jednym z chrześcijańskich świętych. Eshu nie jest nikim innym poza sobą samym, a ponieważ często płata złośliwe figle i psikusy, łatwo można wziąć go za Pana Piekiel.

Tak naprawdę Eshu jest jedynym Orishą, który zna przeszłość, teraźniejszość i przyszłość bez konieczności uciekania się do wieszczenia, zna lekarstwo na każdą bolączkę, a jeśli jego wyczyny czasami wydają się nam złośliwe i samowolne, to tylko dlatego, że Eshu wie znacznie więcej niż my i zsyła na nas kary, najczęściej w formie okradzenia albo wypadku. Jednakże Eshu bywa także wyrozumiały i chętnie przyjmuje podarki, takie jak pułapki na myszy, rum, puros, zabawki i orzechy kokosowe, pod warunkiem, że nie zaniedba się jednocześnie ofiarowania mu w każdy poniedziałek białej świecy i trzech kropel wody.

Eshu egzystuje w dwudziestu jeden wcieleniach samego siebie i dlatego nikogo nie powinno dziwić, że tak wiele zdaje się wskazywać na jego diabelską naturę. Są i takie dusze, błędzące w swojej wierze, które biorą go

za świętego Antoniego Padewskiego, świętego Benita czy nawet świętego Marcina, opiekuna biedaków; rozstrzygnięcie tej kwestii jednakże przekracza zdolności pojmowania zwykłych śmiertelników, więc musimy zostawić ją otwartą.

Kiedy Raquel urodziła dziecko wyglądające niczym Indianin, byli tacy, którzy sądzili, że to także sprawka Eshu. Antonio, jej mąż, zabił ją, targany zazdrością, a później okazało się, że mały Rafael jest dotknięty mongolizmem. Kiedy dorósł, okazał się powolny, za to niezwykle silny, obdarzony czułym sercem, choć upośledzony dodatkowo jeszcze nietrzymaniem moczu i stolca. Jeśli Eshu maczał w tym palce, to jego żart nie był w dobrym guście.

Nie było też w dobrym guście, że Rafael wpadł w łapy handlarzy narkotyków, którzy zmusili go do noszenia ładunków liści koki ważących pięćdziesiąt funtów każdy; przytłoczony ich ciężarem, dniami i nocami przedzierał się przez dżunglę i przez góry, po setki razy konał z upału, wyczerpania, wyziębienia, ukąszeń mrozu, tropikalnych wrzodów i niedożywienia. A kiedy wreszcie upadł, idąc za mułem, do którego był przywiązany liną, poszczuli na niego gigantyczne psy alamo i nie posiadali się z uciechy, patrząc, jak bestie rozszarpują go na strzępy. Może jednak nie Eshu ponosił za to odpowiedzialność; niewykluczone nawet, że w jakiś czas później odpłacił handlarzom pięknym za nadobne.

Kiedy ksiądz Garda doznał objawienia o naturze uniwersum i powoli zaczął się skłaniać ku herezji, ludzie - co zupełnie naturalne - przełożyli sobie jego nauki na język zrozumiały dla santerii. Tak więc kiedy ksiądz Garcia mówił, że świat w rzeczywistości został stworzony przez diabła i że to diabeł zwabił będące boskim dziełem dusze i uwięził je w ciałach, ludzie zaczęli powtarzać: „Cóż, może to rzeczywiście Eshu stworzył ten

świat i dlatego tyle na nim łajdactwa", podczas gdy inni zapewniali: „Ależ nie. To był Olofi, który jest stwórcą wszystkiego". Ale w gruncie rzeczy ta sprzeczność nie miała większego znaczenia, gdyż prawdziwy intelektualista zawsze wierzy we wszystko jednocześnie, jako że jest to najlepsza metoda, aby umieć wytłumaczyć każdą rzecz, jeśli akurat zachodzi taka konieczność. Albigeńska herezja księdza Garcii została zsynkretyzowana w santerię mieszkańców Cochadebajo de los Gatos, którzy zwracali się ku niej, ilekroć zdawała się właściwym wytłumaczeniem jakiegoś zjawiska.

Ksiądz Garcia, z obliczem posępnego zająca i w wystrzępionej sutannie, uznający, że jedynym autentycznym fragmentem Biblii jest Ewangelia świętego Jana, zyskał sobie spory szacunek ze względu na swoją przeszłość chrześcijańsko-komunistycznego guerrillero oraz spektakularną umiejętność lewitowania podczas głoszenia kazań. Kiedy wzniósł się w górę, dokładnie w momencie, w którym zapowiadał rychłe nadejście Wybawiciela, co przepowiedział mu boski wysłannik Gabriel, ludzie oczywiście sądzili, że Gabriel to Eshu, skoro Eshu jest wysłannikiem Orishów. Kiedy zaś ksiądz oznajmił, że należy przygotować ceremonię powitalną, by uczcić Go darami, wszyscy przyklasnęli temu pomysłowi, ponieważ wszelki pretekst, by urządzać wielkie candomble, był mile widziany. Każdy już sobie wyobrażał gigantyczne pijaństwo, złociste rzeki szczyn, rozkosze cudzołożenia, zapachy kadzidła i ziół, dźwięki muzyki berimbaos, grzmoty trąb otabaque, kiedy wszyscy Orishowie zejdą między ludzi i będą tańczyć wraz z nimi, witając Wybawiciela podarkami.

Wśród tłumu, który zgromadził się, aby podziwiać lewitowanie księdza Garcii i posłuchać jego mistycznego bajdurzenia, zjawił się też Hectoro, jak zwykle dosiadający konia, odziany w skórzane bombachos i trzymający puro w zaciśniętych zębach. Podjechał dokładnie do miejsca, gdzie

Garcia siedział na swej niewidzialnej grzędzie dwa metry nad ziemią, i spojrzał mu prosto w twarz.

- Powiedz mi, cabron, kto to jest ten Wybawiciel i od czego ma nas wybawić?

Po zwykle seraficznych rysach księdza Garcii przemknął wyraz irytacji, on zaś sam zniżył się gwałtownie ku ziemi.

- Skąd mam to wiedzieć? - odparł. - Idź i zapytaj Aurelia.

Odpowiedź na drugą część pytania przyszła niespodziewanie szybko, kiedy usłyszano wieści z Ipasueño, że El Jerarca wraz z bandą kokainowych gangsterów myśli o przeniesieniu całego interesu do Cochadebajo de los Gatos, gdyż rząd coraz bardziej zaostrza kampanię przeciw nim. Cochadebajo nadal nie figurowało na żadnej mapie, jako że przez długie wieki skrywały je wody jeziora, i idealnie nadawało się na miejsce przetrzutu koki, gdyż pozwalało cocaleros omijać Ipasueño.

Odpowiedź na pytanie pierwsze znalazł Aurelio, kiedy po wypiciu naparu z ayahuasca odbył lot nad górami, przybrawszy postać orła.

13. Dwie cholitas

Dionisio podniósł się z łóżka i, jak zwykle, podszedł do okna zobaczyć, jaki zapowiada się dzień. Musiał potrząsnąć głową i kilkakrotnie zamrugać oczami, zanim się upewnił, że wzrok go nie myli i rzeczywiście widzi dwie małe dziewczynki siedzące na trawie plecami do siebie i skrępowane sznurem. Pośpiesznie wybiegł z domu na chłód poranka.

Dziewczynki odziane były w worki z wyciętymi otworami na ręce i przewiązane w pasie sznurkami. Mogły mieć nie więcej niż jedenaście, dwanaście lat. Z ich rysów Dionisio wyczytał, że były pochodzenia in-

diańskiego, z niewielką domieszką krwi murzyńskiej. Znać było po nich skrajne wyczerpanie i szok, bo kiedy rozcinał sznur, który werznął się głęboko w ich ciała, nie odezwały się ani słowem ani też nie zapłakały. Twarze miały usmarowane brudem, w którym łzy spływające im po policzkach wyłobily jaśniejsze smugi. Jedna miała opuchniętą wargę - ślad po uderzeniu. Dionisio podniósł ją, ale dziewczynka ledwo mogła ustać na nogach, więc zaniósł ją na górę i położył na łóżku. To samo uczynił z drugą. Nie miał żadnych wątpliwości, co je spotkało.

Zaprowadził je do łazienki, gdzie bez oporu pozwoliły mu się rozebrać i umyć. Przez cały czas przemawiał do nich łagodnie i serdecznie. Potem wytarł je, ubrał w swoje własne koszule, uczesał im włosy, nakarmił słodką galaretką z gwajawy i sokiem ananasowym, wreszcie posadził na łóżku i tak długo przekonywał, aż wreszcie udało mu się nakłonić je do powiedzenia, skąd pochodzą i co im się przytrafiło.

Ujął je za ręce i sprowadził po schodach do samochodu. Kiedy jechali do małego puebla Santa Virgen, oddalonego o pięćdziesiąt kilometrów od miasta, zabawiał je historyjkami o pewnym armadil imieniem Enrique, który koniecznie chciał zostać prezydentem.

Widok puebla wstrząsnął nim do głębi. Wioska przedstawiała obraz nędzy i zaniedbania; niektóre barracas były spalone do fundamentów. Wśród stert nieuprzątniętych śmieci wałęsały się sparszywiałe psy. Jeden z nich, kręcący się w kółko i toczący pianę z pyska, najwyraźniej cierpiał na wściekliznę, i Dionisio zdumiał się, jak to się stało, że do tej pory nikt jeszcze zwierzęcia nie zastrzelił.

Ludzie byli w podobnie opłakanym stanie, jak ich domostwa. Wychudzeni niczym szkielety, siedzieli apatycznie na progach, z rozdziawionymi ustami, wpatrzeni w przestrzeń nieruchomym spojrzeniem.

- Halo - zagadnął Dionisio najpierw jednego, potem jeszcze kilku, ale żaden mu nie odpowiedział, nie podniósł nawet ręki w geście pozdrowienia.

Kiedy przyprowadził dziewczynki do rodziców, nikt mu nie podziękował, tak samo jak nikt nie wydawał się przejęty ich wcześniejszym zniknięciem. Ledwo skinęli mu głową, mamrocząc jakieś oderwane słowa, i od razu posłali córki z jakimś poleceniem. Z każdą chwilą bardziej wstrząśnięty Dionisio wędrował uliczkami puebla, aż natknął się na wiekowego już staruszkę, którego oczy jednak spoglądały żywo i rozumnie. Staruszek, cedząc słowa przez połamane zęby, opowiedział mu dokładnie, co takiego wydarzyło się w wiosce. Dionisio wrócił do domu, płonąąc oburzeniem, i wystosował kolejny list do „La Prensya”.

Szanowna Redakcjo, Występując w obronie nielegalnego i antyspołecznego handlu kokainą, który tak bardzo podważył naszą pozycję na arenie międzynarodowej, wielu ludzi przytacza rozmaite korzyści, jakie przynosi naszym miastom działalność owej zdegenerowanej mafii. W mieście, w którym mieszkam, powstała cała dzielnica, wybudowana przez handlarzy koką dla ich robotników, obfitująca w najrozmaitsze udogodnienia, kojarzące się z cywilizowanym światem, znana lokalnie pod nazwą Barrio Jerrarca - od nazwiska kokainowego barona, który kazał ją wystawić. Domy wzniesiono, stosując technologie odporne na trzęsienia ziemi, wszystkie mają bieżącą wodę, zarówno ciepłą, jak i zimną, centralne ogrzewanie wręcz wzbudza w mieszkańcach pragnienie nadejścia mroźnych nocy, tak by mogli je sobie uruchomić. Nie brak i innych udogodnień, takich jak basen, sklepy pełne najrozmaitszych towarów, nocne kluby i bary ze striptizem. Są tam także pałace kokainowych kacyków, z własnymi lądowiskami

dla helikopterów i rokokowymi portykami, oraz kościół, w którego wyłożonym płatkami złota wnętrzu stoi posąg Madonny z lanego srebra i w którym narkotykowa arystokracja uzyskuje za swoje nieprzeliczone i niewybaczalne zbrodnie rozgrzeszenie ze strony uległych, obłudnych kapłanów, zamieszkujących domy o pałacowym wręcz przepychu.

Na jednym z krańców opisywanej dzielnicy znajduje się most, pod którym nikt nie odważyłby się przejść, gdyż miejsce pod nim okupowane jest przez narkomanów doprowadzonych przez uzależnienie do krańcowej nędzy, chorób, wreszcie do zbrodni. Przez most prowadzi droga wychodząca z miasta. Co noc można natknąć się na niej przeciętnie na pięć martwych ciał, porzuconych na ulicy, noszących ślady najrozmaitszych tortur. Łączą te wszystkie tortury okrucieństwo i wyrafinowanie, jakie w Ameryce Łacińskiej nie zdarzały się od bardzo dawna.

W samym centrum Barrio Jerarca działa cieszący się podejrzaną sławą klub nocny, którego gośćmi są kokainowi gangsterzy i inne szumowiny. Jego podjazd okupują prostytutki obojga płci, nieszczęśnicy, których przynęcała tu desperacja i konieczność zdobycia pieniędzy na narkotyki. Co noc z klubu wyruszają dzipy pełne uzbrojonych pijanych zbirów, którzy grasują po całym kraju, docierając nawet do najodleglejszych i najtrudniej dostępnych zakątków w poszukiwaniu młodziutkich wieśniaczek, aby je porwać z domów i dostarczyć albo do wspomnianego klubu, albo do pałaców swoich feudalnych władców, gdzie dziewczęta są wielokrotnie gwałcone, czasami przez wiele dni z rzędu, przez owych władców i ich sługi. Nasyćwszy się wdziękami nieszczęsnych ofiar, oprawcy zabijają te, które i tak już były bliskie śmierci, a inne wywożą nocą hen, poza miasto, całe kilometry od domów, i tam je zostawiają, albo też porzucają związane i zakneblowane gdzieś w mieście, w zależności od fantazji. Zdarza się, że od-

wożą je do miejsc, z których je zabrali, by móc kiedyś przyjechać po nie ponownie. Dowiedziałem się, że dawniej istniał zwyczaj wypłacania rodzicom sporych sum pieniędzy jako ekwiwalentu za zgodę na uprowadzenie córek (a czasami także nieletnich synów). Teraz jednak rodzice jako zapłatę otrzymują pochodną koki, zwaną basuco, skażoną ołowiem i kwasem solnym. Basuco to śmiertelna trucizna; palenie tej używki prowadzi do niemal błyskawicznego uzależnienia, któremu towarzyszy równie szybki zgon. Produkcja rolna w promieniu stu kilometrów od miasta kompletnie upadła, w wyniku uzależnienia wieśniaków od basuco. Puebla są zrujnowane, nikt nie pracuje, trzoda wydychała, wszędzie panoszą się głód i choroby, niepodzielnie panuje przemoc i zbrodnia. Jedyne, co trzyma ludzi przy życiu, to nadzieja, że wkrótce córka zostanie ponownie uprowadzona, a oni otrzymają kolejną działkę basuco.

Nasz kraj jeden z pierwszych na świecie obdarował kobiety prawem głosu. Słynął też z troski, jaką otaczał dzieci. Posiadał kwitnące pola uprawne i plantacje, mogące wyżywić cały naród, co czyniło import całkowicie zbędnym. Słynął z uwielbienia dla kobiet, przez co w oczach cudzoziemców uchodziliśmy za zniewieściałych. Istotnie można było odnieść wrażenie, że przyjemność i zadowolenie naszych kobiet były jedynymi sprawami, które traktowaliśmy serio. Pielęgowaliśmy matriarchalny model rodziny, doprowadzając go czasami do granic absurdu.

Był taki czas, kiedy wszyscy mężczyźni poczytywali sobie za zaszczyt starać się o względy kobiety, zaś punktem honoru kochanka było składać swoje hołdy w taki sposób, by jego wybranka nie potrafiła sobie nawet wyobrazić rozkoszy bardziej wyszukanych, zwłaszcza zaś wówczas, kiedy doświadczała ich po raz pierwszy.

Niechże więc nasze społeczeństwo otworzy wreszcie oczy i zobaczy, jak nisko upadliśmy. Nasze nieletnie dziewczice są brutalnie gwałcone i torturowane przez zbirów, którzy beztrosko rujnują możliwość, by te niewinne istoty kiedykolwiek w swoim życiu miały zaufać mężczyźnie. Na jakie kobiety wyrosną, skoro żadna z nich nie będzie zdolna poznać rozkoszy, jaką może dać miłość fizyczna, gdyż ta będzie wywoływała w nich jedynie kosztmarne wspomnienia? Jakimi żonami i matkami się staną, skoro ledwo minie ich pierwsza miesiączka, a już porodzą bękarty swoim oprawcom? Jakie mają szansę na życie w zdrowiu fizycznym, jeśli już w wieku dwunastu lat zostały zarażone chorobami wenerycznymi? Czy kiedykolwiek poczują się pewnie i bezpiecznie, skoro zwykły hałas przejeżdżającego samochodu będzie napętniał ich serca grozą?

Wszystkie kobiety tego kraju, które domagają się prawa do miłości zgodnie ze swoim wyborem, i wszyscy mężczyźni, dla których kobiety są istotami godnymi miłości, powinni połączyć swoje głosy przeciwko tym, którzy w swej ignorancji utrzymują, że handel koką jest usprawiedliwiony „dobrodziejstwami”, jakie ze sobą niesie. Powinniśmy też zadać sobie pytanie, jakaż to choroba dotknęła tamtych nędzników, że tak bardzo zniechęcili kobiety.

Dionisio Vivo, profesor filozofii świeckiej, Ipasueño

Przez najbliższych kilka dni Dionisio wiele rozmyślał o dwóch małych cholitas z plemienia Zambita, aż uświadomił sobie, że zapadły mu w pamięć dlatego, że jego serce wyrywało się już do ojcostwa.

Jego list został opublikowany dopiero w siedem dni po tym, jak dostarczyła go poczta, gdyż z powodu zamachu bombowego, który zniszczył budynek redakcji, „La Prensa” nie ukazywała się przez cały tydzień.

14. Wielkie candomble w Cochadebajo de los Gatos (2)

Tolerancja i otwartość na świat mają tę zaletę, że człowiek potrafi odnaleźć pożytek w każdej rzeczy, z jaką przyjdzie mu się zetknąć. Tacy santeiros z prawdziwym upodobaniem uczestniczyli w katolickiej mszy świętej, nie tylko dlatego że hostia i odrobina wody święconej były im potrzebne do ich magicznych obrzędów, lecz także i dla tej przyczyny, że znajdowali przyjemność w dołączeniu swoich głosów do chóru śpiewającego hymny, przyglądaniu się księżom obleczonym w liturgiczne szaty, ministrantom i zakrystianom, obłokom kadzideł unoszącym się ku górze, wreszcie wszystkim pogańskim Orishom, poprzebieranym za chrześcijańskich świętych i zajmującym miejsca w niszach obiegających ściany kościoła. Przyjemnie też było mieć wolne w dniu świętego patrona.

Nie brakowało też aleyos, czyli ludzi, którzy chociaż nie byli santerami, lecz porządnymi katolikami, nie wzbraniali się przed uczestniczeniem w candombles, gdzie można było obejrzeć niezwykle tańce i popisy siły, posłuchać prawdziwych proroków i na własne oczy zobaczyć jaguos przybierających postać bogów i przemawiających głosami, od których cierpła skóra. Przyjemnie było obejrzeć sobie ludzi, którym piana toczyła się z ust, wstrząsanych konwulsjami, wykrzywionych w niesamowity sposób, podziwiać kunsztowne szaty oluwos, ajigbonas i awaros. Przyjemnie też było wdychać zapach kadzidła, przyłączyć się do śpiewów i oszukiwać samego siebie, udając wiarę w to, że Orishowie tak naprawdę są świętą Barbarą, świętym Benedyktem, świętym Łazarzem i innymi świętymi. A jak wspaniale było wziąć udział w ogólnym pijaństwie i rozpuście!

Ksiądz Garcia nie dołączył do świętujących, mimo że to właśnie on zainicjował całe zamieszanie. Zupełnie nieoczekiwanie ogarnęło go prężne pragnienie odkrycia prawdziwej tożsamości świętego Jana Ewangelisty, całą fiestę spędził więc we własnym domu, zamknięty na cztery spusty, czekając na ukazanie się archanioła Sandalphona, niezwyklej niebiańskiej istoty, będącej niejako objawieniem in microprosopus archanioła Metatrona. Ksiądz Garcia święcie wierzył, że anioł ów pomoże mu odsłonić tajemnicę tożsamości autora czwartej Ewangelii. Cztery dni spędził na modlitwie, podczas gdy wzrok zachodził mu łzami, zanim przed jego oczami objawiła się jakaś wielce niechlujna istota. Obdarzony haczykowatym nosem anioł miał wygląd zgrzybiałego starca, a jego wyliniałe skrzydła pokryte były łupieżem. Aureolę wokół głowy miał dziwnie zszarzałą, obficie strzykał śliną przez wyszczerbione zęby, a na dodatek zapomniał swojego imienia, kiedy Garcia zapytał go o nie. Pełen niesmaku ksiądz otworzył z rozmachem drzwi, postanowiwszy nie tracić więcej czasu na tę obmierzłą kreaturę i przyłączyć się do świętujących, stwierdził jednak, że fiesta już się skończyła. Poszedł więc do baru Consueli wlać w siebie kilka copas, a kiedy wrócił, zastał wyraźnie przygnębionego anioła, siedzącego apatycznie w kącie. Garcia popatrzył na niego z pewnego rodzaju współczuciem i odezwał się:

- Chyba możesz już sobie pójść.
- Dokąd? - zapytał anioł po hebrajsku.
- Do nieba? - zasugerował Garcia po łacinie.

Anioł westchnął, a jego twarz omroczył cień smutku.

- Czy nie mógłbym raczej zostać tutaj? - ozwał się.

Ale Garcia pokręcił tylko głową, więc anioł, nie bez pewnej gracji, uniósł się ku sufitowi i rozplynął w powietrzu. Ksiądz pełnym rezygnacji gestem wzruszył ramionami i zanotował następującą uwagę:

Zdaje się, że przy braku odpowiedniego zajęcia anioły popadają w zramolenie. Zastanawiam się, czy pełna koncentracja może powodować halucynacje. A może biorą się one raczej stąd, że zbyt wiele nasłuchałem się różnych kolumbijskich historii?

Większość pozostałych aleyos znalazła sposób, aby okazać się użytecznym podczas święta. Rudobrody, obdarzony potężnym brzuchem don Emmanuel, z zamiłowaniem szafujący sprośnościami, przyrzędził gargantuiczne ilości guarapo, zużywszy setki łupin ananasowych, porozlewał ją w tykwy i częstował biesiadujących, ani na chwilę nie tracąc dobrego humoru. Francoise i Antoine Le Moing, którzy podobnie jak donia Constanza, należeli do nielicznych białych mieszkańców miasta, napiekli masę ryb i podawali je z dodatkiem ryżu na liściach palmowych. Constanza i Gloria ugotowały dwa kotły sancocho, na które poszło pięćdziesiąt kurcząt. Urobiły sobie ręce po łokcie, skubiąc, czyszcząc wnętrzości, szatkując kassawę i skrobiąc ziemniaki. Profesor Luis i jego żona Farides prowadzili akcję ratowniczą dla cierpiących na kaca, pojąc sokiem cytrynowym słodzony cukrem chancaca wszystkich, którzy leżeli, jęcząc, na ulicy po spożyciu nadmiernych ilości chafty, chichy, aguardiente i roncanylu. Profesor ani na chwilę nie przestawał się przy tym rozwodzić na temat najprzeróżniejszych okropności, jakie alkohol wyprawia z wątrobą, ale ostatniego dnia on także pofolgował sobie i ten wyczyn stał się słynny, wspiął się bowiem na dach Pałacu Królów, gdzie pełną piersią zaintonował „El Preso Numero Nueva”, aż w końcu padł i Hectoro z Josefem musieli wspiąć się na dach i opuścić go na lassie.

Remedios, niegdysiejsza przywódczyni komunistycznej guerrilli, która nigdy nie przestała myśleć po wojskowemu, patrolowała ulice uzbrojona w kałasznikowa. Towarzyszył jej enamorado , Pompeyo Xavier de Estremadura. Tenże, odmrożony przez Aurelia po czterystu latach spędzonych pod lawiną, chociaż zrezygnował już z noszenia zbroi, ciągle jeszcze nie potrafił się do końca odnaleźć w nowej rzeczywistości. Wymachując mieczem, chodził teraz za Remedios, gromiąc gwałtowników swoją archaiczną hiszpańszczyzną i rozdzielając walczących. W XX wieku po raz pierwszy miał się poczuć jak w domu dopiero tego dnia, w którym rozpoznał swój własny pierścień na palcu Dionisia Vivo i odkrył, że oto spotkał swojego potomka.

Kapitan Papagato, którego serce rozgorzało uczuciem do młodej i pięknej Franceski, obsługiwał gramofon, podłączony przez profesora Luisa do wiatraka, zmieniając płyty ze skocznymi bambuco i vallenato, a między jedną a drugą płytą z zapalem kradł całusy swojej wybrance. Ostatni niedowiarek, generał Fuerte, o którym powszechnie sądzono, że nie żyje, a który tak naprawdę zdezerterował z armii, uznał, że fiesta jest doskonałą okazją, by zebrać obserwacje o swoich ziomkach, i czynił to z taką samą dokładnością i obiektywizmem, z jaką przedtem gromadził dane o krajowych motylach i kolibrach. Krążył między ludźmi z notesem w ręku, w towarzystwie wielkiego czarnego kota, zapisując rozmaite dane antropologiczne na temat konsumpcji alkoholu i wzorców promiskuityzmu. Między innymi zanotował skrupulatnie zasłyszaną rozmowę między don Emmanuelem a frywolną Felicidad.

Zaczął don Emmanuel:

- Ma rację to przysłowie, które głosi, że mężczyzna nie dałby rady prze-
spać się ze wszystkimi kobietami na świecie, a mimo to powinien próbo-
wać.

Felicidad roześmiała się na to i odparła:

- Kobieta ma więcej rozsądku. Dobrze wie, że spotkała najlepszego ko-
chanka, i zostaje z nim na stałe.

- Przecież ty nigdy nie miałaś nikogo na stałe.

Felicidad uśmiechnęła się i rzekła:

- Ale nikt nie może mnie oskarżać, że nie włożyłam dość wysiłku w
jego szukanie.

Generał zanotował:

Kiedy byłem w wojsku, jakoś umknęło to mojej uwadze, ale doprawdy
ten kraj jest jedną wielką miłosną łożnicą.

15. Żart, ponowne ostrzeżenie i nieoczekiwana gratka dla Jereza

Anika głowiła się, jakim prezentem odwdzińczyć się Dionisiowi, od
którego dostała buteleczkę perfum zawierającą substancję śmierdzącą jak
psia bździna.

Zaczęła od odwiedzin u szalonego starego Indianina, zarabiającego na
życie rzeźbieniem w glinie bardzo realistycznych wyobrażeń wszelkiego
rodzaju gówien, które następnie polewał, wypalał w piecu i sprzedawał z
tacy nieopodal burdelu Madame Rosy. Potem zaszła jeszcze do sklepu
medycznego i kupiła gumową nakładkę na dziecinny palec, wykonaną z
przezroczystego kauczuku. Zapakowała ją i włożyła do małego pudełecz-
ka. Na wierzchu napisała: Para mi amigo pequeño, i starannie owinęła pu-
dełeczko zieloną bibułą.

Znalazłszy się u Dionisia, powiedziała:

- Zobacz, przyniosłam ci prezent.

Widząc jej usiłowania, by się nie roześmiać, Dionisio od razu domyślił się jakiegoś psikusa i zapytał:

- Okay. Czy to żart?

Anika zaś uśmiechnęła się szeroko, choć bardzo starała się tego nie robić, i odparła:

- Otwórz, to zobaczysz.

Dionisio odwinął bibułki i ujrzał niewielkie, czerwone pudełeczko. Dla swojego małego przyjaciela - przeczytał. Następnie zdjął wieczko i znalazł coś, co wyglądało jak mikroskopijny kondom, spoczywający w gniazdku z waty.

- Och, bastarda, przecież mój wcale nie jest taki mały. Co za szczer z ciebie... - Tu brakło mu słów i wymierzył jej żartobliwego szturchańca w żołądek.

Anika się zaśmiewała, ujawszy się pod boki.

- Ja przecież nie myślałam tego serio - zapewniała go.

- Do tej pory żadna się nie uskarżała - oznajmił Dionisio, udając, że jest obrażony, i po dziecinnemu wydymając wargi.

- Ja też się nie skarżę - odparła, obejmując go ramionami. - Jestem z ciebie bardzo zadowolona.

- Powinnaś wiedzieć - ciągnął Dionisio - że na całym świecie chłopcy rodzą się z miarką w swojej małej, spoconej rączce, podważyłaś moją wiarę w siebie.

- W takim razie przestań nazywać mnie Bugsitą tylko dlatego, że mam duże zęby, zgoda? Och, byłabym zapomniała. Mam tu list do ciebie od mojego ojca.

- Od twojego ojca? - zdumiał się Dionisio, rozdzierając kopertę. List, skreślony dużym, czytelnym charakterem pisma, napisany był brązowym atramentem na wytwornym papierze. Nie miał nagłówka.

Słyszałem, że jest Pan bardzo przyzwoitym młodym człowiekiem, aczkolwiek poglądom hołduje Pan raczej niekonwencjonalnym. Widzę też, jak bardzo szczęśliwa jest Anika, odkąd Pana poznała. Zapewne większość ojców interweniowałaby w podobnej sytuacji, zabraniając swoim córkom tego typu kontaktów. Jestem doskonale świadom faktu, że obecny sposób życia Aniki zasługuje na potępienie, że wraca ona do domu o nieprzyzwoicie późnej porze i spotyka się z Panem sam na sam, co jeszcze kilka lat temu byłoby powodem skandalu obyczajowego.

Ja jednak zawsze starałem się być nowoczesnym ojcem dla swoich córek i nigdy nie krępowałem ich wolnej woli, aczkolwiek nie apróbuję większości tego, co robią, co mówią i w co wierzą. Nie wtrącałem się, sam bowiem przecierpiałem niejedno, kiedy interwencja rodziny omal nie odwiodła mnie od poślubienia matki Aniki. Nie będę więc stawał między wami, zresztą widok mojej córki, szczęśliwej po raz pierwszy od śmierci matki, jest dla mnie wielką radością.

Jednakże czuję się zmuszony Pana ostrzec, gdyż zwrócili się do mnie pewni ludzie i od nich wiem, że Pańskie życie znalazło się w niebezpieczeństwie. Zdradzam to Panu w wielkim zaufaniu i proszę absolutnie nikomu, nawet Anice, nie mówić, że podzieliłem się z Panem tą informacją. Jako że moja córka spędza większość czasu w Pańskim towarzystwie, rozumiałe jest, iż obawiam się, by nie stała się przypadkową ofiarą tego, co noże się wydarzyć. Błagam Pana, przez wzgląd na nią, niech Pan uważa i przestanie mieszać się w sprawy, których złożoności nie jest Pan w stanie

pojąć. Córka opowiadała mi o tym incydencie, kiedy to omal nie zabił Pan dwóch rabusiów, którzy was zaatakowali. Niech Pan jednak będzie świadom, że sama fizyczna odwaga nie wystarczy, aby uchronić Pana przed tamtymi ludźmi.

- Co on pisze? - zapytała Anika.

Dionisio szybko zaczął szukać w myślach czegoś, czym mógłby się wykręcić.

- Pragnie poznać moją opinię jako profesora filozofii świeckiej na temat ontologicznych dowodów świętego Anzelma na istnienie Boga.

- Och! - wykrzyknęła Anika. - Co za bełkot! Nawet nie próbuj mu tego wyjaśniać.

- Proszę, przekaz ojcu, że z najwyższą uwagą przeczytałem jego list i rozważę przytoczone argumenty z całą wnikliwością.

- Słuchaj, musimy iść do Janity, ponieważ mój norton został u niej i nie potrafię go uruchomić.

Norton Aniki był to bardzo stary, dwusuwowy moped, do którego jeden z poprzednich właścicieli dopasował zupełnie nieodpowiedni bak ze starego nortona. Wyglądało to dziwnie, ale okazało się nad wyraz praktyczne, ponieważ moped zużywał minimalną ilość benzyny, bak zaś był tak ogromny, że niemal nie trzeba go było napełniać. Nie wiedząc, że w domu jest Jerez, Dionisio zabrał ze sobą kilka narzędzi i wychodząc, zamknął drzwi na klucz.

Dwaj autorzy blokady na drodze przekwalifikowali się teraz na włamywaczy. Oni również nie mieli pojęcia o obecności Jereza, odsypiającego noc spędzoną na paleniu marihuany, i z głośnym hukiem wyłamali drzwi frontowe. Jerez poderwał się i słysząc czyjeś pośpieszne kroki na scho-

dach, z wielką przytomnością umysłu schował się do szafy. Włamywacze byli doskonale zorientowani, który pokój należy do Dionisia, gdyż błyskawicznie wbiegli tam, po czym niemal natychmiast wybiegli i w okamgnieniu znaleźli się z powrotem na dole.

Kiedy Jerez nabrał pewności, że już sobie poszli, wygramolił się z szafy i otworzył drzwi pokoju Dionisia, z wielką ostrożnością, bo przecież mogła tam być na przykład bomba. Ale na łóżku leżał zwykły worek z przypiętą kartką, stanowiącą parodię ostrzeżenia umieszczanego na opakowaniach papierosów: Las Autoridades Sanitarias aduerten que: PARTICIPAR EN UNA CRUZADA PERJUDICA SERIAMENTE LA SALUD. I pod spodem, mniejszymi literami: Dinero, es mejor. Jerez powoli odczytał na głos:

- Ministerstwo Zdrowia ostrzega: uczestniczenie w krucjacie zagraża zdrowiu. Pieniądze są lepsze.

Pomacał worek i stwierdził, że wypchany jest banknotami. Otworzył go i zobaczył, że w środku znajduje się więcej pesos, niż Dionisio mógłby zarobić, nauczając filozofii świeckiej, przez całe życie. Dobrą godzinę przesiedział na skraju łóżka, podpierając głowę rękami niczym zafrasowany mędrzec, ale nie wymyślił żadnej poszlaki, na podstawie której ktoś mógłby wydedukować, że to on zgarnął pieniądze. Tak więc zabrał worek i schował go do tej samej szafy, która przedtem udzieliła schronienia jemu samemu.

Wyważony zamek pierwsza zauważyła Anika. Dionisio natychmiast pognął na górę, spodziewając się jakiejś straszliwej katastrofy, ale zastał tylko Jereza, z nogami na stole, opychającego się sancocho.

- Przykro mi z powodu tych drzwi - oznajmił Jerez. - Zapomniałem kluczy, a bardzo mnie przypiliło, żeby się wysrać.

- Zawsze mówiłem, że powinniśmy zostawiać klucz w jakiejś skrytce w ogrodzie - przypomniał Dionisio.

Szukając czegoś w swoim pokoju, natrafił na kilka pesos, leżących na stole pod książką. Przyniósł je triumfalnie i zaproponował, żeby wybrać się do sklepiku na dole na smażony maniok i meksykańskie burritos.

Kiedy wrócili do domu, Jerez wszedł do pokoju i zastał kochanków na tapczanie, oplecionych ramionami.

- Wy dwoje jesteście niezmordowani - zauważył. - Czy nigdy nie przestajecie?

Anika wyprostowała się i poprawiła na sobie ubranie, a Jerez mówił dalej:

- Czy nie byłoby zabawniej, gdybyście się tak pobrali? Moglibyście połączyć wasze nazwiska. Montes Sosa Vivo Moreno. To brzmi niezłe.

Anika skrzywiła się, może z niesmaku, a może z ukontentowania, i powiedziała:

- Kto tu coś mówi o małżeństwie?

Dionisio zaczął obracać w głowie tę myśl.

Jerez udał, że musi na dłuższy czas wyjechać w interesach, i zniknął, zabierając część pieniędzy z worka. Pojechał do Rio i do Caracas, gdzie trochę przegrał, resztę zaś stracił na najlepsze i najdroższe kurwy, jakie mógł znaleźć. Wrócił, zafundowawszy sobie nadzwyczaj wyszukany koktajl chorób wenerycznych, za nic nie chcący się poddać leczeniu; z podobnym lekarze w klinice zetknęli się dodaj po raz pierwszy w życiu. Zabronili Jerezowi zbliżać się do kobiet co najmniej przez rok. Z wydaniem reszty

pieniędzy Jerez zdecydował się poczekać, aż Dionisio umrze. Jak wszyscy inni, sądził, że nastąpi to raczej wcześniej niż później.

Tak więc Dionisiowi nigdy nie dane było sprawdzić na sobie psychologicznej teorii korupcji, głoszącej, że każdego da się przekupić, jeśli ofiaruje mu się sumę dziesięciokrotnie przewyższającą jego roczne pobory, i nadal pisał listy przeciw handlowi kokainą. Później tego samego dnia, już wieczorem, natknął się na leżącą na schodach kupę i nie posiadał się ze zdumienia, jak, u licha, mógł się tutaj dostać kot.

16. Noty

(a)

Kwatera Główna Centralnej Agencji Wywiadowczej Do Kwatery Głównej CIA, Sekcja Ameryki Łacińskiej

Proszę o ocenę, w jakim stopniu realne są ostatnie pogróżki kartelu kokainowego, który zapowiedział wysadzenie w powietrze wszystkich amerykańskich baz nuklearnych, zainstalowanych w pobliżu terenów zamieszkałych, oraz przechwałki, że kartel gotowy jest wyznaczyć nagrodę miliarda dolarów za głowę prezydenta, jeśli nie zaprzestanie on swojej dotychczasowej polityki ekstradycji.

(b)

Kancelaria Jego Ekscelencji Prezydenta Veracruz Do Pana Pabla Eco-bandodo,

Ipasueño Jak wysokiego udziału w spłacie zadłużenia narodowego należy oczekiwać w zamian za ustępstwa ze strony rządowej?

(c) Szanowny Prezydencie, Jesteś loco . I tak robimy, co nam się podoba, a tu nie jest Kolumbia. Odpieprz się.

Pablo Ecobandodo

(d)

Klub Hojas Do Pabla Ecobandodo, Ipasueño

Z żalem zawiadamiamy, że Pańskie podanie o członkostwo w naszym poważanym klubie zostało odrzucone przez nasz Komitet Wprowadzający. Radzimy Panu zapoznać się z numerem „La Prensya” z piątego maja bieżącego roku. Znajdzie Pan w nim list Dionisia Vivo, honorowego członka naszego klubu, w którym stwierdza on jednoznacznie, że oligarchia powinna przeciwdziałać temu, aby w jej szeregach formowała się piąta kolumna.

Ponadto Komitet wyraża ubolewanie z powodu Pańskich pogroźek użycia siły w przypadku odrzucenia Pańskiego podania o członkostwo. Oburzeniem także napawa nas Pańska oferta przekupstwa finansowego oraz Pańskie sugestie, że członkowie klubu winni mieć zapewnione gratisowe usługi prostytutek.

(e)

Pablo Ecobandodo Do El Guacamayo i El Chiquitina

1. Rozpieprzyć klub Hojas w drobny mak 2. Wykupić cały teren i wybudować nowy klub Hojas, dwukrotnie większy 3. Nie przyjmować do niego żadnych członków starego klubu 4. Sprowadzić mnóstwo dziewczyn 5. Wykonać jak najprędzej

(f)

Kancelaria Jego Ekscelencji Prezydenta Veracruz Do Ministerstwa Rolnictwa

Czy ma rację Dionisio Vivo, pisząc w liście z szóstego czerwca, że z powodu handlu koką nastąpiło całkowite załamanie naszego rolnictwa i musimy obecnie importować żywność? Jeśli tak, proszę obliczyć straty budżetu państwa z tego tytułu.

(g)

Ja Do Rodriga Zrób coś z tym pismem z kancelarii prezydenckiej, bo ja mam już dosyć tej jego vivomanii.

(h)

Kancelaria Jego Ekscelencji Prezydenta Veracruz Do Ministerstwa Sprawiedliwości

Czy prawdą jest to, co utrzymuje Dionisio Vivo, mianowicie że wskaźnik zabójstw w naszym kraju jest niemal tak wysoki, jak w Waszyngtonie, i że przyczyną takiego stanu rzeczy jest handel koką? Czy istotnie odstrasza to zagranicznych inwestorów i rujnuje nasz przemysł turystyczny?

(i)

Ministerstwo Sprawiedliwości Do Kancelarii Jego Ekscelencji Prezydenta Veracruz

Niestety, odpowiedź na oba pytania brzmi „tak”. Po raz kolejny błagamy Jego Ekscelencję o ogłoszenie stanu wyjątkowego.

(j)

Kancelaria Jego Ekscelencji Prezydenta Veracruz Do Kancelarii Prezydenta Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej

Proszę o zapoznanie się z załączoną kopią pisma słynnego Dionisia Vivo. Autor listu stoi na stanowisku, że handel koką w naszym kraju jest bezpośrednią konsekwencją bezrobocia na wsi oraz upadku przemysłu, przez co ludzie, jedynie imając się brudnego handlu koką, mogą zapewnić sobie przyzwoite warunki życia. Proszę zważyć, iż w konkluzji Vivo stwierdza, że aby rozwiązać ów nabrzmiały problem, potrzebne są inwestycje zagranicznego kapitału i stworzenie nowych gałęzi przemysłu, oferujących pełne zatrudnienie i odpowiednie zarobki. Pragnę podkreślić, że zgodnie z jego szacunkami, konieczne będą nakłady wysokości minimum 10 miliardów dolarów.

(k)

Kancelaria Jego Ekscelencji Prezydenta Veracruz Do Pabla Ecobando-do, Ipasueño

Jego Ekscelencja ma zaszczyt serdecznie zaprosić Pana na nieformalne spotkanie w pałacu prezydenckim w dogodnym dla Pana terminie w celu omówienia problemów istotnych dla obu stron.

(1)

Wydział Badań Genetycznych Uniwersytetu w Kordobie Do Jego Ekscelencji Prezydenta Veracruz

Niniejszym pragniemy uzyskać potwierdzenie, iż istotnie leży w Pańskich zamiarach zlecić nam zbadanie próbek z dużego czarnego kota w celu ustalenia, czy rzeczywiście jest on Pańską córką.

(m)

Kancelaria Jego Ekscelencji Prezydenta Vera Cruza Do Ministerstwa
Informacji

Proszę dostarczyć do kancelarii prezydenckiej pełne akta Pabla Ecoban-
dodo (El Jerarki).

(n)

Ministerstwo Informacji Do Kancelarii Jego Ekscelencji Prezydenta Ve-
racruza

Przypomina się Jego Ekscelencji, że rozwiązał Ministerstwo Informacji
dwa miesiące temu.

17. Mitologizacja i miłość

Dionisio zakleił kopertę zawierającą kolejny list przeciw handlowi ko-
kainą, zaadresował ją i udał się na pocztę, gdzie okazało się, że ktoś zdą-
żył go uprzedzić i wysadzić urząd w powietrze. Wczesnym rankiem bom-
ba pozbawiła budynek frontowej ściany, a przymocowana do wyłamanej
framugi drzwiowej notatka informowała, że urząd został przeniesiony do
ratusza. Dionisio udał się tam i zastał poczciarza z zimną krwią obsługują-
cego swój interes.

- Halo, Dionisio, jak tam nasz Pitagoras z Ipasueño?

- Zaniepokojony - odparł Dionisio.

- Słusznie. Oto do czego się posunęli, aby powstrzymać cię przed wy-
słaniem kolejnej słynnej epistoły, adresowanej do inteligencji tudzież do
owej oświeconej elity, która łaskawie raczy rządzić naszym krajem.

Chciałbym ci osobiście podziękować. W ratuszu jest o wiele przestronniej niż w starym urzędzie pocztowym i nie ma tylu karaluchów.

Dionisio uśmiechnął się i wręczył poczciarzowi kolejny list.

- Serio, Dionisio, powinieneś zaprzestać swojego pisania. Ludzie już typują daty, kiedy zostaniesz zamordowany, i zawierają zakłady. Zdążyli już tak wywindować stawki, że jeszcze któryś gotów sam cię sprzątnąć, żeby zgarnąć wygraną.

- Pewnie tylko tak plotą, bo uwielbiają wszelkiego typu dramaty.

- Powiadają, że było już kilka zamachów na twoje życie, tak że zadziwiasz mnie. Krążą pogłoski, że przeżyłeś, bo jesteś brujo, a więc potrafisz robić się niewidzialnym, i znasz jeszcze parę innych sztuczek.

Dionisio położył rękę na ramieniu listonosza.

- Vale, w takim razie rozpowiadaj, gdzie się tylko da, że rzeczywiście jestem brujo i że każdego, kto będzie próbował pozbawić mnie życia, spotka natychmiastowa śmierć, dobrze? Zabawimy się, mitologizując Dionisia Vivo, zgoda?

_ Zgoda. Sam się setnie przy tym ubawię - odparł listonosz. - Mam też dla ciebie list.

Wyszędłszy z ratusza, Dionisio rozdarł kopertę i wyjął z niej pierwszy w swoim życiu list od wielbicielki. Przez jakieś dziwne przeoczenie do tej pory żaden z dziennikarzy telewizyjnych czy prasowych nie zwrócił się do niego z prośbą o wywiad, przez co Dionisio stracił szansę zostania gwiazdą mediów i wystąpienia w telewizyjnym show. Za to - chociaż on sam nie miał o niczym pojęcia - jak kraj długi i szeroki powstawały Towarzystwa Dionisia Vivo. Ludzie zbierali się na spotkaniach, aby przedyskutować jego zapatrywania i pofantazjować na temat wyglądu zewnętrznego.

Nie było to aż takie zdumiewające, jak ktoś mógłby przypuszczać, ponieważ rozgrywało się w kraju, w którym gwiazdy filmowe znane były jedynie z zagranicznych seriali i gdzie niemal nikogo nie było stać na zakup książki, stąd też żaden autor nie zdobył sławy i uznania. Ale był to kraj ludzi piśmiennych, spragnionych wiedzy i edukacji, uważanych za najważniejsze szczeble w drabinie wiodącej od ubóstwa do dobrobytu. W żadnym innym państwie Ameryki Łacińskiej, a może nawet i na całym świecie, nie wychodziło tyle gazet; licznych dzienników lokalnych i poważnych periodyków, czytanych z prawdziwym zainteresowaniem i pasją nawet przez tych, którzy mieszkając w jakimkolwiek innym zakątku globu, sięgali co najwyżej po prasę bulwarową. Był to jeden z niewielu krajów na świecie, gdzie dziennikarzom udawało się wykreować wokół kogoś atmosferę takiego uwielbienia, jaka zwykle towarzyszy gwiazdom rocka. Pełne zaangażowania listy Dionisia, publikowane przez najbardziej liczącą się gazetę kraju, sprawiły, że - nie mając o tym pojęcia - stał się prawdziwą gwiazdą, w państwie zmęczonym i zbrzydzonym narkotykową anarchią.

Ale jednocześnie wszystko to rozgrywało się w kraju pełnym Przesądów, w którym możliwe było wyznawanie kilku religii jednocześnie i gdzie prawowierni katolicy modlili się do Oxali, praktykowali santerię i uczestniczyli w seansach spirytystycznych, a wszystko to z czystym sumieniem. Po prostu z całej gamy najrozmaitszych wierzeń każdy wybierał sobie to, co w danej chwili wydawało mu się najbardziej użyteczne.

Tak więc skorzystano z usług jasnowidzów, żeby opisali, jak też wyglądała ta nowa dziennikarska supergwiazda, tak aby malarze mogli ją sportretować. Niektórzy członkowie Towarzystw Dionisia Vivo, obdarzeni siłą psychiczną i inklinacjami artystycznymi, sami sięgali po pędzel. Panowała

ogólna zgoda, że bohater jest biały, nosi brodę i długie, kasztanowate włosy, ma łagodne spojrzenie łani, a jego głowę otacza poświata na kształt nimbu. Bardzo szybko zaczęto go przedstawiać z gorejącym sercem w piersi, krwawiącym dla ojczyzny, powołując do życia postać łączącą w sobie przymioty Jezusa Chrystusa i Błogosławionej Dziewicy. Błyskawiczne rozmnażanie się Towarzystw spowodowało boom na zamówienia dla artystów i nieoczekiwany wzrost nakładu „La Prensya”, co z kolei przyczyniło się do szybkiego odbudowania budynku redakcji, wzniesionego teraz z odpornego na eksplozje brytyjskiego granitu i wyposażonego w kuloodporne szyby w oknach. Gazeta cieszyła się tak dużą poczytnością, że kiedy w Paryżu założono Towarzystwo Dionisia Vivo na Wychodźstwie, w „La Prensie” zastanawiano się nawet nad otwarciem w tym mieście oddziału biura zbierającego i realizującego zamówienia na numery archiwalne.

Oczywiście, jak zwykle w podobnych sytuacjach, sporą liczbę członków Towarzystw stanowił pewien typ młodych niewiast, których najczęstszym powołaniem jest klasztor. Swoje silne, acz wysublimowane libido karmiły fantazjami na temat tego odległego, nieosiągalnego i wyidealizowanego mężczyzny, który nawiedzał je w snach i pobudzając do serafickich uniesień, przekazywał, także słownie, swoje przesłania. Dla tych, które zdawały sobie sprawę, że nie są na tyle godne, by udało im się zbliżyć do swojego bóstwa w formie cielesnej, doskonałą rekompensatę oferowała poczta. Istniały wszakże i takie białogłowy, które niczym apokryficzna Maria Magdalena, żyły ogarnięte tak żarliwą tęsknotą do swego ideału, że -jak opowiadały później przyjaciółkom - potrafiły osiągnąć wszechogarniający orgazm, nie dotknąwszy się nawet. Egzystowały ogarnięte prężnym pragnieniem ofiarowania mu swojego ciała i - jeśli to możliwe -

urodzenia jego dziecka. Ich niewiarygodne wręcz wysiłki, wkładane w próbę osiągnięcia skoncentrowanej wizualizacji, zaowocowały licznymi i zgoła zadziwiającymi efektami natury fizycznej, odnotowanymi na przykład w przypadku dziewicy z Antiochii, Letycji Aragon, która jakoby omal się nie udusiła, kiedy spadł na nią deszcz białego pierza.

Dionisio otworzył swój pierwszy w życiu list od wielbicielki. W kopercie znajdowała się nieco sfatygowana fotografia, przedstawiająca dość tęgą Mulatkę, która ofiarowywała mu swoje wdzięki zupełnie gratis, żądając w zamian jedynie pukla jego włosów i pokrycia kosztów przejazdu do Ipasueño. Dionisio z pewnym niedowierzaniem odczytał list kilkakrotnie i zaraz zaczął układać w myślach taktowną odpowiedź odmowną. Kiedy wrócił do domu, zastał Anikę czekającą na niego na schodach, więc pokazał jej ową korespondencję. Anika przeczytała list na poły rozbawiona, na poły ogarnięta zazdrością, a potem oświadczyła, że postanowiła wpaść do niego, ponieważ przyszło jej do głowy, że byłoby świetnie wziąć razem prysznic.

Rozebrali się w nieprzyzwoitym pośpiechu i pobiegli do łazienki. Tam Anika zdjęła ze ściany gekona, „żeby mydło nie dostało się biedaczkowi do oczu”, i położyła go wyżej na kafelkach. Odkręciła kurki i oboje zaczęli się przepychać, walcząc o miejsce pod wąłym strumieniem wody. Pysznic, składający się z dwóch kawałków gumowego węża, podłączonych odpowiednio do kurków z ciepłą i zimną wodą i wetkniętych do garnka z wybitymi w dnie dziurami, przymocowanego do ściany za pomocą skręconego wieszaka, był jedynym urządzeniem skonstruowanym przez Jereza, które funkcjonowało jako tako, aczkolwiek strumień wody podlegał nieoczekiwanym wariacjom, zarówno jeśli idzie o temperaturę,

jak i ciśnienie, tak że czasami trzeba było w pośpiechu wyskakiwać z wanny, aby nie zostać ugotowanym żywcem bądź zahibernowanym.

Kiedy zaciągnęli plastikową zasłonkę wokół prysznicza, Dionisio zauważył, że Anika zapomniała wyjąć z ucha kolczyk, ale milczał, nie chcąc nawet o krótką chwilę odwlekać tego, co miało zaraz nastąpić. Namydlał ją szczerze, aż piana niczym biały puch pokryła każdy centymetr kwadratowy jej ciała. Delikatnie ujął w dłonie piersi dziewczyny i zaczął je masować celowymi, okrężnymi ruchami, aż ich brodawki nabrzmiały, rozwijając się niczym pąki. Masował też Anice plecy, brzuch, wreszcie jej długie nogi, zwiększając udrękę pieszczoty w miarę zbliżania się ku biodrom. Pieszczotliwie wcierał mydliny w miękkie rudawe włoski łonowe, naciskając ich okolice dłońmi w sposób najbardziej subtelny i zarazem stanowczy, aż Anika z jękiem przymknęła powieki i przywarła do jego ramion owładnięta rozkoszą.

Kiedy skończył, wręczył Anice mydło, a ona powtórzyła wszystkie jego czynności, tyle że z jeszcze większą delikatnością i czułością. Następnie wyciągnęli rurki z garnka i zaczęli się polewać, aż mydliny popłynęły po całej łazience, przyskajac banieczkami piany. Anika złapała wąż od zimnej wody i skierowała go wprost na jego polla. Dionisio wrzasnął okropnie i zaczął się wyrywać. A potem objęli się ciasno ramionami i Anika czuła, jak jego mały ptaszek trzepoce, garnąc się ku niej. Wetknęła mu w ucho czubek języka i wyszeptała:

- Poczekaj tylko, aż natrę cię całego oliwą i masłem kokosowym.

W sypialni Dionisio opadł na kolana przed stojącą Aniką, okrywając ją pocałunkami, a jego język poruszał się po niej ze zręcznością prawdziwego mistrza tańca vallenato, wędrując niezmordowanie po całym jej ciele, sięgając do różowych pączków, aż oboje stanęli, złączeni pocałunkiem,

podczas gdy jego polla poruszał się w przód i w tył w swoim prawdziwym domu. Wreszcie Anika szepnęła:

- Querido, la cama .

Opadli z dwóch stron na łóżko i Anika wchłonęła go w siebie i ścisnęła z taką mocą, że nie potrafił już dłużej stłumić pełnego zaskoczenia jęku, który zawsze z siebie wydawał, a czego później nie potrafił sobie nigdy przypomnieć.

Kochali się najpierw bardzo powoli, dopóki nie uniosła ich i nie pochłonęła fala, a później odpoczywali, leżąc obok siebie, mokrzy od potu i objęci ramionami. Dionisio odezwał się pierwszy:

- Chwilami, kiedy jest tak cudownie, jak tym razem, wydaje mi się, że tracę przytomność, i potem czuję się oszukany, ponieważ nie potrafię odtworzyć w pamięci każdego drgnienia, każdego porywu.

A Anika pogłaskała jego pierś i roześmiała się.

- Czy wiesz, że w czasach konkwisty nazywano to „małą śmiercią”? Jeśli tak wygląda mała, to spróbuj sobie tylko wyobrazić tę wielką.

18. El Jerarce i Jego Ekscelencji nie udaje się zawarcie historycznego porozumienia

Od samego początku Jego Ekscelencja szalał z gniewu. Planował przecież nieformalne, utrzymane w najgłębszej tajemnicy spotkanie, mające na celu uzgodnienie, jakie korzyści może przynieść obu stronom porozumienie między kartelem a rządem. Jego umysł rozsnuwał już wizję skarbu państwa zasilonego kilkoma miliardami w zamian za przymknięcie przez to państwo oczu na handel koką, a może nawet i zmianę prawa. Na przykład można by zalegalizować samą uprawę koki, a produkcję kokainy

przenieść do innego kraju; dodatkowy profit byłby taki, że gromy ciskane przez rząd USA spadłyby na tamten kraj, a nie na własne państwo. Podobną politykę prowadził Paragwaj. No i oczywiście gdyby uprawa stała się legalna, wówczas byłoby możliwe jej opodatkowanie. Tak, Jego Eksceleńcja nie mógł się już doczekać owych sekretnych negocjacji, mogących zaowocować tak wspaniałymi korzyściami.

No i jaki widok ukazał się moim oczom, kiedy wyjrzałem przez okno, wypatrując nobliwej limuzyny tego Pabla Ecobandodo? Dokładnie naprzeciw bramy pałacu stoi potężna lora do przewożenia koni, z której właśnie opuszczają rampę. Potem nadjeżdża Ecobandodo w różowym chevrolacie, z ogromnym cygarem, przyklepionym do warg, w sombrero, jakie noszą campesinos, ozdobionym wianuszkami diamentów i szmaragdów. Jak spod ziemi wyrasta skądś cały tabun dziennikarzy i fotografów, migają flesze, wszyscy tłoczą się niczym oszaleci, a ten Ecobandodo oznajmia wszem wobec, że Jego Bylejakość Prezydent Zakuta Pała Veracruz zaprosił jego, Pabla Ecobandodo, do swojego pałacu, tak aby on, Pablo Ecobandodo, mógł wyłożyć prezydentowi, co jest grane i kto tu naprawdę rządzi. Zewsząd nadciągają tłumy z plakatami głoszącymi hasła: „Viva El Jerrarca”, „Ecobandodo na prezydenta”, „Ecobandodo na wiecznego dyktatora” i „Ecobandodo El Supremo”. Dopiero potem wyszło na jaw, że każdy z manifestujących dostał po tysiąc pesos za przyście pod pałac i nikt z nich nie miał choćby najbledszego pojęcia, o co chodzi. Ale ludzi zebrało się dobre cztery tysiące i każdy wiwatował na cześć Pabla Ecobandodo, o którym wcześniej nigdy nie słyszał.

Cała heca idzie oczywiście przez radio i telewizję i CIA reaguje cholernie szybko, tak że w dwie godziny później mam już napastliwy w tonie telegram od prezydenta USA, pełen inwektyw, tyle że poskreślanych, do-

magający się wyjaśnień i grożący sankcjami oraz sięgnięciem po „inne środki, które mogą się okazać konieczne”, na który szybko muszę słać odpowiedź z wyjaśnieniami, brzmiącą miejscami tak kretyńsko, że mogłaby śmiało uchodzić za raport CIA. Jawne upokorzenie.

A ten Ecobandodo, który jest tak spasiony, że waży chyba tyle, co osiem upchanych razem w windzie osób, wchodzi na łódź i wyjeżdża stamtąd na białym koniu, z rzędem tak bogato zdobionym, że mógłby nim bez trudu spłacić całe nasze narodowe zadłużenie. Dźwigając taki ciężar, biedna szkapota potyka się co krok, jakby miała lada moment upaść, Ecobandodo zaś wjeżdża na pałacowy dziedziniec, świeżo wysypany żwirem, holując cały zastęp fotoreporterów trzaskających zdjęcia jedno za drugim i dziennikarzy skwapliwie notujących każde jego słowo, podczas gdy to grube łajno rozrzuca zwitki banknotów tysiąc pesetowych i saszetki z koką między ludzi, tłum napiera na pałacowych gwardzistów, a potem widzimy obrazek, jak ci ostatni, w pełnych uniformach paradnych, przepychają się na czworakach i zbierają pieniądze do błyszczących hełmów z kitami z końskiego włosia, na wzór tych, jakie nosi gwardia przed pałacem Buckingham, wpychają je za cholewy butów i do swoich pasów oficerskich. Na dodatek okazuje się, że jeden z gwardzistów ma ładownicę wypełnioną kondomami, które teraz wyrzuca na żwir, żeby zrobić miejsce dla forsy, i oczywiście w gazetach pełno jest później całostronicowych fotografii tego wydarzenia, ba, nawet zostaje ogłoszony konkurs dla czytelników na najtrafniejszy podpis. Na zwycięzcę czekają wakacje dla dwóch osób w Punta del Este, ufundowane przez Pabla Ecobandodo, który osobiście będzie wręczał bilety podczas wielkiej gali.

A ten tłusty ekshibicjonista wjeżdża na białym koniu po stopniach pałacu aż do Wielkiego Holu Republiki i biedne konisko, niemal przygwoż-

dżone do ziemi jego ciężarem, musi oczywiście napaskudzić na czerwony dywan i zostawić wielkie, dymiące łajno w samym środku pałacu - teraz ta plama będzie dla mnie wiecznym wyrzutem, ilekroć przyjdzie mi obok niej przechodzić.

Potem facet zsiada z konia, nieszczęsne zwierzę oddycha z wyraźną ulgą, a on gasi cygaro na popiersiu Simona Bolívara, niedopałek zaś wrzuca do sadzawki z rybkami, gdzie pożera go jakiś nieszczęsny karp, który w dwie godziny później wypłynie na powierzchnię w śmiertelnych drgawkach. Ecobandodo natomiast, otoczony goryłami w tandetnych garniturach porozpychanych bronią, podchodzi bliżej i mówi:

- Zdaje się, że to ty jesteś Jego Ekscelencją Prezydentem Verakretnym Bezsensownym? Przyszedłem tu, aby napluć na twój dywan. O, widzisz? Właśnie to czynię. I chcę ci jeszcze powiedzieć, żebyś ze mną nie zadzierał, teraz ani nigdy, bo zmuszę cię, abyś zeżał swoje tłuste gówno na moich oczach, rozumiano?

Wszyscy jak na komendę zaczynają rechotać, a jeden z ochroniarzy, ze złotym zębem i w najohydniejszych butach, jakie zdarzyło mi się widzieć, wyciąga swojego fiuta i zaczyna szczać do sadzawki z karpami pod wielką złotą arkadą, oznajmiając przy tym:

- Ten zaszczyt będzie cię kosztował dwa tysiące pesos.

Wreszcie Ecobandodo ładuje się z powrotem na grzbiet konia i zjeżdża na nim po schodach, prosto w słońce, bo akurat właśnie przestało padać, pozdrawia tłumy i pozuje do kolejnych zdjęć. A kiedy wreszcie znika, przychodzi do mnie moja mała żonka i powiada:

- Tatuśku, pamiętasz, jak pracowałam w tym klubie w Panamie? Poznałam tego człowieka. Kiedyś przyszedł i zmusił mnie, abym zrobiła to z kimś na stole, na oczach wszystkich gości. A potem, grożąc mi pistole-

tem, zmusił mnie jeszcze, żebym włożyła sobie owoc w to miejsce, a później butelkę, na koniec zaś puścił butelkę między gości i każdy musiał z niej pociągnąć i skosztować tego owocu.

I moje biedne maleństwo aż się trzęsie na to wspomnienie, więc obejmuję ją ramieniem i mówię:

- Nie bój się, moja mała dziewczynko, ponieważ tatusiek dopadnie tego faceta.

Moja maleńka podsuwa mi rachatłukum i prosi:

- Przegnaj go jutro.

Ja na to odpowiadam:

- Jaka mądra mała dziewczynka.

Tak więc od tej chwili mamy wojnę. Zawiadomiłem już szefa Policji i szefa służby bezpieczeństwa, że od tej chwili celem naszej polityki będzie strzelać tak, aby zabić, bo przecież nie sposób tolerować sytuacji, kiedy kryminaliści i wszetecznicy mogą się wykupić z rąk sprawiedliwości, i jestem bardzo rad, mogąc jeszcze dodać, że wygląda na to, iż te plamy z końskiego łajna chyba zejdu, jeśli się je solidnie wyczyści, a kot, który jakoby ma być moją córką, zeżarł rybę, kiedy nikt nie widział, ale dzięki Bogu jakoś nie pochorował się od tego.

19. Łut szczęścia

- Okay, chłopcy, mam tego powyżej dziurek w nosie. Ten niegodziwy łajdak Vivo zagarnął całą forszę, a pisać nie przestał, i teraz ludzie się ekscytują, zakładają jakieś towarzystwa Dionisia Vivo, naciskają na policję i burmistrzów, ślą listy do prezydenta, tak że robi się z tego jedno wielkie gównno. A na dodatek okazało się, że to syn tego łajdaka Montesa Sosy, z

którego rozkazu został rozstrzelany mój kuzyn w prowincji Cesar. Musimy się go pozbyć raz na zawsze, chicos, i zaraz wam wytłumaczę jak, okay? Zabieracie ze sobą ten oto przedmiocik, taką namagnesowaną zabawkę, i przyczepiacie ją do jego samochodu pod siedzeniem kierowcy, okay? To jest takie specjalne cacko, chicos, które zrobi wielkie bum i zerwie go na strzępy, poczynając od dupy i jego pieprzonych cojones, okay? Tak więc przyczepiacie zabawkę pod siedzeniem i wyciągacie zawleczkę, jasne? W kwadrans od uruchomienia samochodu, czyli akurat kiedy facet znajdzie się za miastem, zabaweczka wyrwie mu dziurę w dupie, tyle że jego dupa okaże się za mała na taką dziurę, jaką robi jej nasze cacko. A wy, zanim wyciągniecie zawleczkę, upewnijcie się cholernie dobrze, że on rzeczywiście wyjeżdża z miasta, bo jeśli nasza zabawka eksploduje na środku ulicy, to marny wasz los. Nie będę też specjalnie ronił łez, jeśli ta dziewczyna Moreno wyleci w powietrze razem z nim, ponieważ jej tatko musiał go jakoś ostrzec, gdyż inaczej już byśmy go dopadli. W końcu zawsze możemy zaopatrywać się w broń gdzie indziej, może nie, chłopcy? A teraz posłuchajcie, chicos. Pojedziecie za tym Vivo, tylko utrzymujcie odpowiedni dystans; chcę mieć raport z pierwszej ręki, kiedy dzięki naszej zabawce wyleci przez dach swojego gruchota, zrozumiano?

Anika i Dionisio wybierali się na łódki. Jak zwykle, to Aniką przyszła do Dionisia i zapukała w okiennicę i, jak zwykle, Dionisio wiedział wcześniej, że zaraz tu będzie, ponieważ ze swojego pokoju mógł widzieć, kiedy gasiła światło czy zamykała okno. Zbiegł na dół i, jak zwykle, powiedział jej przez zamknięte drzwi, że nie ma zamiaru nabywać encyklopedii, na co Anika odparła:

- Wpuszczaj, ty draniu.

Dionisio otworzył drzwi, porwał ją w ramiona, przycisnął do ściany i obsypał pocałunkami, przy czym musiał wspiąć się na palce, gdyż była wyższa od niego. Jak zwykle, Anika skrzywiła się i powiedziała:

- Zbyt wiele osób zna mnie tutaj i wiesz, que diran

Dionisio odparł:

- Wstydzisz się, że ktoś może zobaczyć cię ze mną?

- Wiesz, querido, przed domem zagadnął mnie jakiś mężczyzna. Powiedziałam mu „dzień dobry”, a on na to: „Przyjemnego weekendu. Czy macie jakieś specjalne plany?”

- Pewnie mu się spodobałaś. Co mu odpowiedziałaś?

- Ze wybieramy się do Iragun popływać łódką po rzece, a wtedy on ostrzegł: „Lepiej się pośpieszcie, bo możecie nie dostać łódki”, więc zapytałam: „Dlaczego?”, a on powiedział, że bardzo często wszystkie łódki są wypożyczone. Może lepiej rzeczywiście się pośpieszmy, querido.

Kiedy wyszli, obcy mężczyzna nadal stał przed domem. Anika uśmiechnęła się do niego, a Dionisio zagadnął:

- Słyszałem, że flirtował pan z moją kobietą.

Tamten uśmiechnął się i odparł:

- Z taką dziewczyna każdy chętnie by poflirtował.

- Masz rację, hombre - skwitował Dionisio, a Anika zrobiła zakłopotaną minę.

Skierowali się za miasto i przejechali już kilka kilometrów, kiedy się odezwała:

- Querido, zdaje się, że zostawiłam u ciebie moją mochila .

- Niewiele brakowało. Wrzuciłem ją pod moje siedzenie.

Anika usiłowała sięgnąć ręką i sprawdzić, czy torba rzeczywiście leży pod siedzeniem, nie mogła jej jednak namacać, więc zapytała:

- Jesteś pewien, że ją tam położyłeś?

Tym pytaniem zasiała ziarno wątpliwości w umyśle Dionisia, który choć przedtem był całkowicie pewien swego, gdy nie przestawała nalegać, zatrzymał samochód i uniósł przedni fotel. Szło mu dość ciężko, gdyż magnes przyciągał go do metalowych części podwozia, więc pomyślał przelotnie, że należałoby naoliwić nasadki. Kiedy ruszył ponownie, bomba spoczywała sobie spokojnie na drodze, a gangsterzy w samochodzie za nimi nie posiadali się ze zdumienia.

- Mierda, maricon, mówiłem ci, że ten człowiek to brujo. Jak on to zrobił?

- Słuchaj, ta zabawka lada moment eksploduje. Co robimy?

Podnieśli bombę i przerzucili ją nad skrajem drogi, tak że odbiła się kilkakrotnie od zbocza i zatrzymała, natrafiwszy na jakiś głaz. Kiedy wybuchła, jedyną szkodą, jaką wyrządziła, było całkowite zasypanie mieszkania pewnej szczurzej rodziny, która resztę poranka spędziła na mozolnym odkopywaniu się.

- Czyś zauważył, że kiedy zatrzymaliśmy się, żeby poszukać mojej torby, samochód za nami także stanął? - zapytała Anika.

- Pewnie miał kłopoty z silnikiem. Widziałem, jak kierowca zaglądał pod maskę. Te dzisiejsze auta nadają się jedynie na złom. Specjalnie tak je projektują, żeby wytrzymały najdłużej trzy lata i żeby potem człowiek musiał sprawiać sobie nowy wóz. To cały biznes. Wszyscy powinni mieć stare samochody, takie jak mój, i wtedy nie byłoby żadnych problemów.

Anika roześmiała się.

- Twój samochód psuje się niemal codziennie, a ty ciągle uważasz go za najlepszy na świecie.

- Bo jest najlepszy, Bugsita.

Tego dnia Dionisio opowiedział jej o swoich marzeniach:

- Chciałbym mieć dom, gdzieś na tej samej wysokości, co na przykład Medellin. Przy domu powinien być spory staw pełen ryb i ogród zarośnięty niczym dżungla, tak by ciągle mnie czymś zaskakiwał. I jeszcze chciałbym mieć pokój ze sprzętem do nagrywania, bo teraz od razu zapominam wszystko, co skomponuję. Oprócz tego także warsztat z obrabiarką i kanał, żeby móc pracować pod samochodem, i jeszcze największe podwójne łóżko na świecie, bardzo stary motor oraz bibliotekę, której termity nie dałyby rady. A nade wszystko pragnąłbym mieć dużo kotów.

Anika była rozbawiona i zaskoczona jednocześnie.

- Sama nie wiem, jak określić te twoje marzenia, jako zbyt wybujałe czy raczej zbyt minimalistyczne.

- A ty o czym marzysz, querida?

- Pojęcia nie mam. - I udatnie naśladując mizdrzenie się ubiegłorocznej Miss Wenezueli, powtórzyła nieśmiertelne słowa tamtej: - Pragnę jedynie być szczęśliwą i odnieść sukces.

Na chwilę przystanęli przy koniu, który wystawił łeb ponad ogrodzeniem, i Dionisio powiedział:

- Bez wątpienia będę miał też pięknego siwka.

Przyszło mu do głowy, że byłby to dobry moment, aby poprosić Anikę o rękę, jej bowiem pragnął bardziej niż tamtych wszystkich rzeczy razem wziętych, ale zabrakło mu odwagi.

- Popatrz na ten napis! - zawołała Anika. - Ciekawe, w jakim to języku.

- Pewnie po angielsku - odparł Dionisio, przypatrując się graffiti, starannie wymalowanemu na ścianie.

- Earl is a rell cool dude - przeczytał głośno, błędnie wymawiając każdy wyraz.

Po powrocie do domu pożyczył od Ramona słownik angielsko-hiszpański i ze zdumieniem odkrył, że napis oznacza mniej więcej tyle: „Angielski szlachcic w randze między markizem a wicehrabią jest rzeczywiście istniejącym mieszkańcem dużego miasta o umiarkowanej temperaturze”. Całymi dniami dręczyła go potem kwestia, w jakim celu, ktoś zapragnął utrwalić na ścianie tak hermetyczne przesłanie.

Podobnie udręczeni byli dwaj zamachowcy, nie mogąc zrozumieć, jakim sposobem ich niezawodna bomba magnetyczna zdołała odpaść. Odpowiedź była zwykła i banalna. Kilka miesięcy wcześniej Dionisio zauważył, że podłoga pod siedzeniem kierowcy kompletnie przerdzewiała, więc wyciął ją i zastąpił kawałkiem aluminium zamocowanym na nitach. Miał zamiar wymienić później aluminium na blachę stalową, przyspawaną na to miejsce, pod warunkiem, że udałoby się namówić kogoś na wykonanie tej reperacji za rozsądną cenę. Oczywiście po krótkim czasie wyleciało mu to z głowy, magnes zaś utrzymywał się tylko dlatego, że przyciągało go metalowe obramowanie fotela.

Ale zamachowcy byli teraz pewni na mur, że Dionisio jest brujo, i stracili serce do tej roboty tak bardzo, że jeden z nich zauważył nawet:

- Na Świętą Dziewicę, nigdy nie skieruję rewolweru w jego stronę, bo kula mogłaby odbić się od niego i rykoszetem wrócić do mnie.

Towarzysze zgodzili się z nim i przysięgli, że oni także nigdy nie skierowaliby broni na Dionisia, nawet w obronie własnej.

20. Wielkie candomble w Cochadebajo de los Gatos (3)

Ulice Cochadebajo de los Gatos przesycone były subtelną, egzotyczną wonią, niewidocznie unoszącą się w powietrzu. Przybyszom zapach ów mógłby się skojarzyć z najkosztowniejszym kadzidłem w katolickiej świątyni i z pewnością byliby zdumieni, dowiedziawszy się, że to zwykły brązowy cukier i łuski czosnku, ugniecione razem i spalone na węglu drzewnym. Woń miała odstraszać złe duchy, takie jak Iku, Pan Śmierci, tak by nie przybyły i nie objawiły swojej mocy podczas guemilere. Z tej samej przyczyny przez cały tydzień podczas snu każdy trzymał pod łóżkiem albo pod hamakiem tykwę pełną wody, gdyż, jak wiadomo, złe duchy rozpuszczają się w wodzie, zupełnie jakby były z soli albo z cukru.

W związku z tym pojawił się pewien problem, jako że wodę należało wylać wcześniej rano przed frontowymi drzwiami, ale tak, żeby nikt tego nie widział. To jednak okazało się niewykonalne. Felicidad wystawiała głowę zza drzwi dosłownie w tym samym momencie, co Consuelo, i widząc siebie nawzajem, obie cofały się do środka. Sergio wyglądał na ulicę, a tu - niczym diabeł z pudełka - ukazywała się dziwka Dolores. Potem To-mas wychylał się ostrożnie zza uchylonych drzwi i natykał się na Felicidad, próbującą po raz drugi.

Tym sposobem każdego poranka marnowano po kilka godzin; głowy co rusz wyskakiwały zza drzwi i chowały się na powrót i wszyscy byli coraz bardziej wściekli. Ludzie wrzeszczeli jeden na drugiego przez całą szerokość ulicy, a pewnego ranka Francesca tak się rozzłościła, że wymaszerowała z domu i opróżniła całe naczynie złych duchów prosto na głowę księ-

dza Garcii, tylko dlatego, że ją zobaczył, tak że musiał iść do kościoła i pobłogosławić sam siebie, by wyegzorcyzmować złe moce.

W końcu Hectoro i Misael poszli przedyskutować ten problem z don Emmanuelem, który zwołał zebranie na placu.

- Amigos - zaczął - istnieje bardzo proste rozwiązanie waszych kłopotów, ale nie zdradzę go wam, dopóki... - Tu uniósł w górę brwi i skinął znacząco.

- Zaraz zrobi jakąś ambarasującą propozycję którejś z kobiet - podsunął Misael.

- Nie, pewnie uraczy nas jednym ze swoich kawałów na temat cojones - odrzekł Josef.

Don Emmanuel wyraźnie droczył się ze słuchaczami. Znacząco kiwał uniesionym w górę palcem, robił miny, otwierał usta, jakby już miał przemówić, potem zamykał je, nie wydobywszy z siebie ani jednego słowa. Tłum zastygł w oczekiwaniu, aż dziwka Consuelo, ogarnięta czystą desperacją, zawołała „ajajaj”, przewróciła oczami i cisnęła w niego jajkiem.

Jajko zatoczyło niewielki łuk w powietrzu i z głośnym trzaskiem rozbiło się na czole don Emmanuela. „Hopla!” - rozległ się okrzyk radości i zabrzmiał raz jeszcze, kiedy don Emmanuel na oczach wszystkich zeskrobał jajko z twarzy i wpakował sobie do ust razem ze skorupką. Potem z ukontentowaniem poklepał się po żołądku i beknął przeciągle. Tę sztukę wyniósł z ekskluzywnej angielskiej szkoły prywatnej, do której uczęszczał, zanim jeszcze zaszył się w tym kraju. Kiedy wszyscy gromkim aplauzem wyrazili swoje uznanie dla korzyści, jakie daje odpowiednie wykształcenie, don Emmanuel dokończył zdanie:

- ...dopóki Consuelo nie obdaruje mnie jajkiem.

Rozległ się jęk rozczarowania, a potem wszyscy wysłuchali, jakież to eleganckie rozwiązanie znalazł don Emmanuel dla ich kłopotów.

Poczynając od następnego ranka i przez kolejne dni otyły, zezowaty, kochający kozy mężczyzna, dawny policjant i alkad Chiriguany, obchodził z zamkniętymi oczami wszystkie uliczki i z całych sił dmuchał w gwizdek. Ludzie, przewiązawszy sobie oczy, czekali już za drzwiami i jednocześnie opróżniali swoje naczynia, zawierające rozpuszczone duchy, prosto na ulicę, ku zadowoleniu wszystkich poza psami, kurczętami i ogromnymi czarnymi jaguarami, które odruch Pawłowa prędko nauczył błyskawicznego uskakiwania na boki na dźwięk gwizdka.

Dzięki temu fortelowi don Emmanuel jeszcze bardziej umocnił swoją reputację człowieka wielce roztropnego. Otrzymał też całusa od Felicidad, którego zamierzał się domagać jako warunku zdradzenia pomysłu, a w burdelu u Consuelo opowiedział całej kompanii historię, którą miał zamiar przytoczyć wcześniej, o matadorze, byku i jądrach kardynała.

21. Nocne odwiedziny u Dionisia

Kiedy wszyscy trzej byli w domu, nie zawracali sobie głowy ryglowaniem drzwi na noc. O trzeciej nad ranem, zanim jeszcze Dionisio zdołał się na dobre rozbudzić, był już skrępowany i zakneblowany.

Dwaj mężczyźni w kapturach z otworami na oczy i na usta zachowywali całkowite milczenie. Przez cały czas świecili mu w oczy latarką, tak że nie widział nic dookoła i mógł tylko miotać się w daremnym gniewie, rozdając na oślep kopniaki. Ale szarpanina trwała krótko, gdyż jeden z mężczyzn rzucił: „A niech to szlag”, i zdzielił go w skroń kolbą rewolweru.

Kiedy przebudził się ponownie, znajdował się w zupełnie pustym pomieszczeniu, przywiązany do krzesła, z rękami skrępowanymi na plecach. Zdążył tylko pomyśleć: „A więc tak to wygląda”, kiedy do pokoju wszedł wysoki mężczyzna, nadal w kapturze na głowie. W jednej ręce dzierżył pistolet, w drugiej trzymał kubek z wodą.

- Muszę się wysikać - zaczął Dionisio, w nadziei, że może go rozwiążą, a wtedy a nuż uda mu się uciec, ale mężczyzna zareagował krótko.

- Szczaj pod siebie - powiedział i przysunął mu kubek do ust.

Dionisio zaczerpnął pełny łyk, wypił odrobinę, a resztą splunął prosto na swego prześladowcę. Mężczyzna wzdrygnął się i powiedział:

- Możesz sobie pluć, przyjacielu, nas to i tak nie powstrzyma od pokrojenia cię na drobne kawałeczki i założenia ci krawata, a więc bądź grzeczny, bo możemy zacząć nieco wcześniej, niż początkowo zamierzaliśmy.

Dwa dni Dionisio spędził, siedząc w półmroku, i kilkakrotnie rzeczywiście musiał sikać pod siebie. Przyzwyczał się do nieustannej wilgoci, a nawet do pewnego stopnia polubił przyjemne doznanie ciepła, jakiego dostarczał pierwszy strumień moczu. Nie pozwolił sobie natomiast na zrobienie pod siebie. Starał się oswajać z myślą o torturach i śmierci, choć często przyłapywał się też na zupełnie absurdalnych rozważaniach, w jaki sposób kosmonauci korzystają z excusado, skoro przez wiele dni tkwią zamknięci w specjalnych skafandrach. Sporo też rozmyślał o Anice i o tym, jak zareagowała na jego zniknięcie. Wyobrażał sobie pocieszającego ją Ramona i nawet czuł się trochę zazdrosny, oczami duszy widząc już jego ramię otaczające jej barki i dłoń ocierającą łzy. W końcu jednak doszedł do wniosku, że gdyby przyszło mu zginąć, małżeństwo z Ramonem byłoby dla Aniki najlepszym rozwiązaniem. Ramon przecież lubi dzieci,

przemknęło mu przez myśl. Zabawiał się wspomnieniami o mamie Julii i generale, swoim dzieciństwie w Ipasueño i młodości w Valledupar. Przypominał sobie, jak to kiedyś wspinał się na sam wierzchołek góry, pragnąc osiągnąć wzrokiem Karaibów, i jak wszystko otoczyła mgła, zaledwie zdążył postawić stopę na szczycie. To wydarzenie wydało mu się teraz metaforą całego jego życia. Myślał o tym, jak bardzo chce mu się jeść i że mimo głodu w tych okolicznościach pewnie nie byłby w stanie przełknąć nawet kęsa. Odświeżał w pamięci każdy szczegół znajomości z Aniką, uśmiechając się do tych wspomnień nawet tutaj, w swoim więzieniu. Czuł, że tak naprawdę jego życie rozpoczęło się dopiero w owej chwili, kiedy ona stanęła w drzwiach jego domu, dzierżąc aparat fotograficzny i wyglądając tak uwodzicielsko.

Drugiego dnia do pokoju, w którym był trzymany, wrzucono dwa ciała i zakapturzony mężczyzna zwrócił się do niego, mówiąc z dziwnym akcentem:

- Kontemplowanie śmierci wpływa na człowieka głęboko uszlachetniająco, nie uważasz?

Jeden z zabitych był Murzynem, a drugi Mulatem. Na plecach, gdzie kule wyrwały kawałki ciała, widniały ciemne, brunatne plamy krwi, z przodu ziały rany wylotowe. Wokół zwłok kręciły się już zaaferowane muchy, składając jajeczka i brzęcząc nieznośnie, kiedy ponownie pojawili się dwaj zamachowcy i wywlekli trupy. Jeden z nich utykał na nogę.

Początkowy strach i nastrój trwożnego wyczekiwania ustąpiły powoli i Dionisia ogarnął stan niespodziewanego spokoju i pogodzenia ze śmiercią. Przypuszczał, że w chwili zgonu całym jego ciałem owładnie takie samo uczucie, jakie teraz obejmowało same dłonie, a więc zupełny brak jakichkolwiek doznań poza drętwotą spowodowaną zbyt długim skrępo-

waniem przegubów. Czasami bawił się sam ze sobą, usiłując siłą woli przezwyciężyć rozmaite kłucia i swędzenia, bo w normalnych warunkach zwyczajnie by się podrapał, a czasami zwieszał głowę na piersi i drzemał, by potem obudzić się z uczuciem duszenia w gardle i przemożną chęcią zapalenia papierosa.

Trzeciego dnia dwaj mężczyźni weszli do pokoju uzbrojeni w pistolety maszynowe. Jeden z nich wycelował w Dionisia i odbezpieczył broń. Następnie uniósł ją do ramienia, stanął na szeroko rozstawionych nogach i opuścił lufę, celując w żołądek ofiary. Z lufy wypadło cygaro, a głos zza kaptura odezwał się:

- Zapal sobie, Zenonie.

Dionisio osłupiał, nie wierząc własnym uszom.

- Ramon? - zapytał.

- El mismo! - wykrzyknął Ramon, zrzucając z głowy kaptur i okręcając się na pięcie. Agustin także ściągnął kaptur i uśmiechnął się.

- Wy dranie! - wybuchnął Dionisio. - Co to za zabawa?

- Postanowiliśmy udzielić ci lekcji prawdziwego życia, Melissosie.

- Nie macie prawa, mógłbym was zaskarżyć. To jest napad z bronią w rękę, uprowadzenie z użyciem przemocy i coś tam jeszcze. Przysięgam, że kiedy mnie rozwiążecie, natrę wam twarze psim łajnem.

- W takim razie, Ksenofanesie, nie rozwiążemy cię, dopóki nie zapoznasz się z tym oto kawałkiem papieru - oznajmił Ramon, wyciągając z kieszeni na piersi pojedynczy arkusz, zaopatrzony w oficjalne pieczęcie, i przytrzymując go przed oczyma Dionisia, który odczytał:

- Nakaz prewencyjnego zatrzymania Dionisia Vivo, Calle de la Constitution, Ipasueño. Niniejszym zatrzymuje się wyżej wymienionego w areszcie prewencyjnym na okres trzech dni, w terminie według uznania

oficera Ramona Dario z policji w Ipasueño. Wyżej wymieniony Dionisio Vivo nie może być przetrzymywany poza wzmiankowany okres bez oficjalnego przedłużenia niniejszego nakazu.

Dokument nosił podpisy dwóch sędziów, alkada Ipasueño i kontrasygnatę Ramona, który teraz złożył papier, wsunął go na powrót do kieszeni i powiedział:

- Zaopatrzyłem się w ten nakaz przed kilkoma miesiącami i trzymałem, dopóki nie zaszła potrzeba jego użycia, tak więc zapomnij o psim łajnie, Anaksymandrze, i podziękuj nam za uratowanie ci życia, szczególnie zaś Agustinowi, za to, że przyjął na siebie przeznaczoną tobie kulę, która ugodziła go w nogę, mnie zaś za wszystkie siniaki od tego. - Na jego dłoni, leżały dwa odkształcone pociski.

Dionisio popatrzył na nie i uniósł brwi.

- Do diabła, Ramon, jesteś kuloodporny?

- Nie, Talesie, miałem na sobie kuloodporną kamizelkę.

- W takim razie czyje to były zwłoki?

- Tych dwóch, którzy wybrali się, by zrobić z ciebie sito. Miałeś wielkie szczęście, przyjacielu, że wśród podwładnych El Jerarki są i tacy, do których już dotarło, iż pewnego dnia ich szef znajdzie się po stronie przegranych. Pracują na swoje przyszłe uniewinnienie, dostarczając nam okrucichów rozmaitych pożytecznych informacji. Czekaliśmy już na tę dwójkę na twoich schodach i sprawiliśmy im ostatnią w ich życiu niespodziankę. Niestety, z żalem muszę ci wyznać, że dom został przy tej okazji podziurawiony kulami i nie zdołaliśmy zmyć śladów krwi.

Poblądły Dionisio był w stanie myśleć tylko o jednym.

- A co z moimi wykładami, co z Aniką, Jerezem i Juanitem? Jak to załatwiliście?

- Oczywiście wcześniej usunęliśmy twoich przyjaciół i wiesz, to było przekomiczne, bo Juanito koniecznie chciał zostać i przyłączyć się do zabawy, Jerez natomiast zmykał tak szybko, że przy okazji aż zleciał ze schodów. Anikę uprzedziliśmy o wszystkim, a twój szef w college'u powiedział coś w tym stylu: „No cóż, zawsze to jakaś odmiana po zwłokach i odciętych rękach podrzucanych w ogrodzie”. Tak więc widzisz, że wszystko odbyło się zgodnie z literą prawa. I jeszcze coś. To jasne, że nie powinniśmy cię więzić i głodzić i pozwolić ci sikać pod siebie ani też nie powinniśmy użyć siły tamtej nocy, ale... -Ramon przemówił nagle z pasją i śmiertelnie poważnym tonem - ...ale cholernie potrzebowałaś lekcji prawdziwego życia. To jest kraj dla dorosłych i jeśli masz choć odrobinę zdrowego rozsądku, wyniesiesz się stąd, ożenisz z Aniką i przeprowadzisz do krainy wrózek, bo tam lepiej pasujesz.

Siedząc w policyjnym radiowozie, odwożącym go do domu i zaciągając się cygarem, które wypadło z lufy pistoletu Ramona, umyty, nakarmiony i odziany w pożyczone ubranie, Dionisio zwrócił się do przyjaciela:

- Ramon, dlaczego nigdy się nie ożeniłeś? Nie chciałeś? Ilekroć cię widzę, jesteś otoczony gromadką dzieci. Powinieneś zostać ojcem.

- Czasy są kiepskie, Archelaosie. Widziałem zbyt wiele wdów i sierot. Może jak nadejdą lepsze dni. Tak, przyjacielu, bardzo bym pragnął mieć rodzinę, ale każdy ci powie, że błędem jest żenić się podczas wojny.

Wieczorem, kiedy Dionisio zakończył właśnie liczenie dziur po pociskach zdobiących jego ściany - doliczył się trzydziestu czterech - i zastanawiał się, co ma z nimi począć, pojawił się Ramon w wyświechtanych spodniach, dźwigający torbę pełną materiałów budowlanych.

- Zmywaj krew, a ja zabieram się do łatania ścian - powiedział.

Dionisio uściskał przyjaciela i odrzekł:

- Nadal uważam, że jesteś łajdakiem.

22. Interwencja archaniola Gabriela ocala życie Jego Ekscelencji

Minister spraw zagranicznych, Lopez Garcilaso Vallejo, wpadł do prezydenckiego gabinetu w stanie najwyższego wzburzenia. Krawat miał przekrzywiony, a tłuste czoło pokryte kropelkami potu. Zamaszyście gestykulował rękami, wreszcie oparł dłonie na biurku i wykrzyknął:

- Ekscelencjo, Ekscelencjo!

Prezydent Veracruz podniósł głowę znad najnowszej monografii różokrzyżowców, z której usiłował właśnie wyczytać, jak można zmienić kolor płomienia świecy, posługując się wyłącznie siłą woli, i popatrzył na swojego rozwichrzonego protege.

- Lopez - odezwał się - dlaczego przynajmniej nie zapukasz? Akurat studiowałem poufny dokument, nieprzeznaczony dla oczu postronnych, nawet dla twoich.

Lopez Garcilaso Vallejo i prezydent przeszli razem długą drogę. Ich znajomość datowała się od czasów generała Paneli, kiedy przebywający na politycznym wychodźstwie Veracruz bywał częstym gościem pewnego nocnego klubu ze striptizem w Panama City. Był to zresztą ten sam lokal, w którym senior Veracruz po raz pierwszy spotkał swoją młodą małżonkę, pracującą tam jako „artystka”. Postronny owa historia musiała się wydać zupełnie nieprawdopodobna: młoda „artystka” i dystyngowany polityk w średnim wieku znajdujący prawdziwą miłość w burdelu; zapewne niejeden podejrzewał, że najwyraźniej stracił on głowę dla jej młodości i - powiedzmy sobie szczerze - raczej wulgarnej urody, ją zaś pociągał w

nim wyłącznie majątek i perspektywa kariery politycznej. Bez wątpienia jednak każde z nich znalazło w partnerze to, na czym musiało mu zależeć, i nie minęło dużo czasu, jak przyszła seniora Veracruz przestała żądać od kochanka wynagrodzenia za swój panamski kunszt, a nawet odmawiać przyjmowania prezentów, twierdząc, że dopuszcza go do swojego ciała powodowana wyłącznie czystym uczuciem. Ilekroć pojawiał się w mieście, przestawała mieć czas dla innych stałych klientów. On natomiast całkowicie stracił zainteresowanie wirtuozerią i różnorodnością technik miłosnych, prezentowanymi przez jej koleżanki.

Senior Vallejo natomiast w omawianym czasie pełnił funkcję zarządzającego wiadomym przybytkiem. Jego potężne rozmiary, stanowiące istotny czynnik odstraszający, oraz zgoła encyklopedyczna znajomość okultyzmu czyniły go doprawdy predestynowanym do owego metier. Zwłaszcza wiedza okultystyczna okazała się bardzo przydatna, gdyż nawet jeśli komuś chodziło po głowie, żeby sprawić mu kłopot, to i tak wycofywał się czym prędzej ze swoich niewczesnych pomysłów w obawie, że Vallejo ściągnie na niego impotencję, łysienie czy wreszcie wrzody na intymnych częściach ciała, powszechnie wierzono bowiem, że wszystkie te sztuki potrafi przeprowadzić z dziecinną łatwością i niemal od ręki. Oczywiście senior Veracruz i senior Vallejo znali się jak łyse konie i ten ostatni wylądował na stanowisku ministra spraw zagranicznych w wyniku naturalnego związku, jaki często spaja demokratyczne wybory i polityczne kumoterstwo. Jego Ekscelencja miał wobec swojego ministra kolosalny dług wdzięczności, gdyż właśnie przez niego został wprowadzony w hermetyczne arkana seksualnej alchemii, senior Vallejo zaś także sporo wdzięczał Jego Ekscelencji, dzięki któremu mógł za państwowe pieniądze

publikować opasłe tomy na tematy okultyzmu, dyktowane mu osobiście przez archanioła Gabriela.

- No dobra, Lopez, co cię sprowadza? - zapytał prezydent. - Mam nadzieję, że nie przychodzisz z byle drobiazgiem.

Senior Vallejo usiadł ciężko i otarł spocone czoło jedwabną chusteczką.

- Proszę posłuchać - zaczął - niech pan nie odwiedza dziś wieczorem klubu Hojas.

- Ależ ja zawsze bywam tam w czwartki.

- Ekscelencjo, nie może pan tam pójść. Otrzymałem przesłanie, że nie wolno panu tego robić.

- Od kogo pochodzi to przesłanie, Lopez?

Senior Vallejo z lekką trwogą wskazał na sufit.

Jego Ekscelencja popatrzył w górę z pewnym zdumieniem i zmarszczył czoło.

- Chcesz powiedzieć, że otrzymałeś przesłanie od samego Boga? Czy mówisz serio?

- Oczywiście że nie, Ekscelencjo. Nie wmawiałbym panu czegoś podobnie idiotycznego.

- Cieszę się, że tak mówisz, Lopez. Obawiałem się już o stan twojego umysłu. Któż więc ci go udzielił?

- Gabriel.

Prezydent chwilę grzebał w pamięci, bezskutecznie usiłując przypomnieć sobie, kto to jest Gabriel, wreszcie poddał się i zapytał:

- Jaki Gabriel?

- Archanioł Gabriel, Ekscelencjo. Przybył z dziesiątego nieba specjalnie, aby mnie ostrzec, abym ostrzegł pana, aby pan nie wybierał się do klubu Hojas.

- Gabriel, powiadasz. Dlaczego nie zwrócił się z tym ostrzeżeniem do mnie osobiście i jak on właściwie wygląda? Przecież to mógł być każdy, przebrany za archanioła. Wydaje mi się, że okazałeś się zbyt łatwowierny. Czy kazałeś inwigilować tego Gabriela?

- Ekscelencjo, to z całą pewnością był archanioł. Posiadał sto czterdzieści par skrzydeł i nosił lnianą szatę. Głowę miał kobiety, srebrzystą i migoczącą, szczupłą purpurową szyję, złociste, lśniące ramiona o potężnych bicepsach, delikatny szarawy tors, błękitne niczym niebo, ambiseksualne nogi, wirujące bez ustanku i sypiące iskrami, wreszcie niebieskie kobiece stopy. To był bez wątpienia archanioł, Ekscelencjo, i powiedział mi zupełnie wyraźnie - on czasami trochę sepleni, rozumie pan? - że nie powinien pan chodzić do klubu Hojas.

Prezydent Veracruz zmarszczył brwi jeszcze bardziej, nie po raz pierwszy powątpiewając w intelektualną sprawność swojego ministra spraw zagranicznych.

- Skąd wiesz, że tych skrzydeł było sto czterdzieści par? Przeliczyłeś je, czy jak?

- Wiedziałem od razu, Ekscelencjo - wyznał senior Vallejo. - No i przede wszystkim trzymał w ręku wagę i miał róg przewieszony przez ramię. Jego oblicze skrywały kłębiące się chmury, pełne wyładowań przypominających kurtynowe błyskawice, dzięki czemu od razu się zorientowałem, że to archanioł.

- Rozumiem - powiedział prezydent. - Nie jestem pewien, czy mam ci wierzyć, czy nie, ale jako człowiek ostrożny mam -jak wiesz - jeśli idzie o sprawy nadprzyrodzone, otwarty umysł. Nie pójdę do klubu. Co więcej, zadzwonię do nich i powiem, żeby na dzisiejszy wieczór zamknęli lokal, tak na wszelki wypadek.

Minister spraw zagranicznych odetchnął z wyraźną ulgą.

- Nawet nie potrafię wyrazić, jak wielki kamień spadł mi z serca. Gabriel potrafi być w najwyższym stopniu niemiły, jeśli ktoś ignoruje jego napomnienia. Sam to raz uczyniłem, za co w odwecie przez sześć miesięcy raczył mnie wyłącznie najbardziej wyuzdanymi obscenami.

Tej nocy klub Hojas wyleciał w powietrze, wysadzony na rozkaz El Jerarki, który wysłał telegram do „La Prensya” informujący o autorstwie tego wyczynu. Na szczęście obyło się bez ofiar w ludziach i tylko jedna osoba została ranna, don Hugh Evans z Chiriguany, który przyjechał bardzo późno i nie miał pojęcia o zamknięciu klubu. Znajdował się może dwadzieścia metrów od wejścia, kiedy podmuch odrzucił go do tyłu, tak że nadwerżył sobie kark w wyniku zderzenia z koniem, który jakimś cudem także wyszedł bez szwanku z tego niespodziewanego kontaktu z potężnym Walijczykiem.

Jego Ekscelencja posłał do Urzędu Bezpieczeństwa po akta ministra spraw zagranicznych, gdyż doszedł do wniosku, że ostrzeżenie mogło pochodzić nie od Gabriela, tylko od jakiegoś członka kartelu kokainowego, który miał wobec niego dług wdzięczności. Ale tak na wszelki wypadek zapalił również świecę z wosku archaniołowi, a uczyniwszy to, poszedł poszukać w słowniku wyrazu „ambiseksualny”.

23. Wielkie candomble w Cochadebajo de los Gatos (4)

Z bogów ciemności nie zaproszono żadnego, ani Iku, który jest śmiercią, ani Ofo, który jest zgubą, ani Egby, który jest paraliżem, ani Aruna, który jest chorobą, ani Ewona, który jest potwarzą, ani Epego, który jest przekleństwem. Aby ich odstraszyć, wszyscy palili kadzidła, gorączkowo

sporządzali rozmaite talizmany oraz przez cały tydzień sumiennie przestrzegali jedenastu przykazań Olofięgo.

Zapadał zmierzch w Cochadebajo de los Gatos. Starożytne kamienie, pokryte ciemnymi plamami, stanowiącymi pozostałość trwającego przez wieki potopu, przybrały łagodny, szary odcień, w miarę jak słońce staczało się w zawrotną przepaść za górami. W oczekiwaniu na guemilere mieszkańcy odbywali stateczne paseos albo odwiedzali przyjaciół. Potężne czarne jaguary, z których miasto słynęło, patrolowały ulice, trącając się nosami przy wymijaniu. Niektóre żartobliwie zmagaly się ze sobą, tworząc splątane kłębowiska, przewracając ludzi, strasząc psy i kury. Inne, zgodnie z tym, co im dyktowała ich kocia natura, wyszukiwały sobie rozmaite dziwne miejsca do spania; jeden rozciągnął się na dachu domu Pedra, inny udrapował się wzdłuż muru, wystawiając do góry wszystkie cztery łapy, w sposób doprawdy pozbawiony godności, jeszcze inny rozłożył się u stóp jaguara z obelisku, jakich wiele flankowało wejście do miasta, i ostrzył sobie pazury na rzeźbionym kamieniu, przez co wyglądał, jakby wdawał się z nim w zapasy. Niektóre przymilały się do swoich ludzkich ulubieńców, ocierając pachnące piżmem mordy o ich uda i dopraszając się o jakiś przysmak. Ale nie brakowało też i takich, które po prostu siedziały pogrążone w kontemplacji, przybrawszy pozę Bastet czy Sekhmet, patrząc przed siebie nieruchomym wzrokiem i tylko od czasu do czasu mrużąc oczy i poziewując. Te królewskie zwierzęta były całkowicie obłaskawione i mieszkańcy Cochadebajo de los Gatos traktowali je z przyjacielskim respektem. U przyjezdnych natospacery, przechadzki miast najczęściej wzbudzały ogromny lęk, zwłaszcza że bezbłędnie potrafiły wyczuć czyjś strach i wówczas biada takiemu człowiekowi. Kociska opadały go natychmiast, powalały na plecy i zaczynały wylizywać mu twarz

szorstkimi niczym tarka ozorami. Napadnięci reagowali paniką i czasami dochodziło do przekomicznych scen. Misael - i nie on jeden zresztą - utrzymywał, że zwierzęta czynią to wyłącznie dla rozrywki. Ludzie słusznie byli dumni ze swoich kotów i uważali, że właśnie one przydają charakteru miastu.

Kiedy bębny bata odezwały się po raz pierwszy, w zwierzęta wstąpił niepokój, jakby wyczuły obecność bogów. Zaraz też skierowały się w stronę źródła dźwięków i otoczyły podwórzec, stanowiący dawniej dziedziniec Pałacu Królów, obecnie zaś służący jako ileocha ceremonii.

Trzy bębny, każdy innych rozmiarów, odezwały się z łoskotem, przemawiając jeden do drugiego, i cały świat spowiła nagle ciemność. Pochodnie zamigotały, roniąc smolne łzy. Wielki bęben Okonkolo brzmiał monotonie, podczas gdy Iya i Itotele pytały i odpowiadały, wysławiały i zaklinały, ani na chwilę nie zwalniając oszałamiającego tempa. Tej nocy pod gwiazdami zdawał się nie istnieć żaden inny dźwięk poza tym jednym.

Przyzwani muzyką bębnów ludzie zaczęli ściągać na ileocha. Przyklekali przed bębnami i przed ołtarzem, wsłuchiwali się w głos Sergia, do którego dzisiaj należało przyzywanie bóstw, a potem zaczęli tańczyć bambulę, ekstatyczny taniec, podczas którego Orishowie zstępują w ciała swoich czcicieli, czemu towarzyszą rozmaite nadprzyrodzone zjawiska, dzięki nim można dokładnie określić, kiedy ów moment ma miejsce. Jest to doprawdy znieawidzona chwila, kiedy bóg przejmuje wiernego w posiadanie, i nie bez powodu zwykło się nazywać ją asiento, gdyż taki wybraniec czuje się wówczas, jakby ucapiała go jakaś stara wiedźma, jego dusza opuszcza ciało, żeby zrobić miejsce świętemu, a on sam do tego stopnia traci kontrolę nad swoimi poczynaniami, że musi później dowiadywać się od innych, coż takiego robił wówczas i mówił.

Na stole przed Sergiem leżała czaszka Juanita, jego brata bliźniaka, wyśmienicie oczyszczona przez termity, zanim jeszcze Sergio wykopał ją z grobu, i każdy mógł na własne oczy zobaczyć miejsce na skroni, gdzie odłamek wojskowego granatu dawno temu utorował sobie drogę do mózgu. Sergio wypożyczał czaszkę do celów magicznych, a dzisiaj przyniósł ją ze sobą, gdyż Juanito lubił się zabawić na dobrym candomble.

Sergio przyzywał Eshu, ponieważ Eshu jest heroldem Orishów, to on sprowadza ich na candomble i bez niego żadna praca nie może się udać. Przed ołtarzem leżało wyobrażenie głowy Eshu, wykonane z muszelek ślimaków, przed nim zaś postawiono obiatę z orzechów kokosowych, poskręcanej, rozwidlonej gałęzi, kawałków wędzonego oposa i gwizdka wykonanego z trzciny, cana brava. Stał tam także wielki gar wypełniony czarnymi i czerwonymi kamieniami, zalany wywarem z trzynastu ziół z dodatkiem abre camino, pata de gallino i itamo real. Do tego wszystkiego dodawano jeszcze krwi kozła, myszy i czarnej kury. Wszyscy wierzący w moc podobnych omieros zdążyli już zawczasu spróbować tych wyśmienitych i uzdrawiających wywarów. Dla każdego z zaproszonych Orishów przygotowano osobne naczynie, wypełnione stosownymi kamieniami i odpowiednim omiero, sporządzanym wyłącznie przez wyznawców, którzy dostąpili wtajemniczenia w kult danego Orishy. Ofiary natomiast sprawowali wyłącznie ci, którzy przeszli inicjację noża. Zwierzęta zabijano w imię Ogguna, zgodnie z formułą rytuału Oggun, choro, choro, gdyż Oggun jest bogiem przemocy i stali, i to on zadaje śmierć, a nie człowiek wznoszący nóż.

Przemawiając w języku przywiezionym przez niewolników, Sergio przywoływał Eshu:

- Ibarakou mollumba Elegua... - Jego głos wibrował i załamywał się w ciemności, chwilami przechodząc w przejmujące zawołanie.

Żadnego odzewu. Ale skoro wszyscy wiedzieli, że Eshu jest Orishą psot i figli, nikt też nie wątpił, że już przybył i tylko droczy się z wiernymi, udając, że go tutaj nie ma. Sergio powtórzył swoje zawołanie:

- Elegua kulona Ibarakou mollumba...

I wtedy pojawił się Eshu, a było to wystąpienie zupełnie w jego stylu.

Wśród zebranych znajdował się starzec imieniem Gomez, który ledwo przetrzymał trudy wędrówki. Chodził, podpierając się laską, a kiedy mówił, z jego ust wydobywał się charczący poświst. Teraz, tocząc pianę z ust, wykrzywiony konwulsyjnie, sadził potężnymi susami wśród tańczących, wykonywał rozmaite karkołomne akrobacje na rękach, zaczepiał zebranych, szczypiąc ich w pośladki albo łapiąc za nosy, fikał koziółki na stołach.

- Ache! - zabrzmiał gromki okrzyk pozdrowienia.

Sergio także zawołał:

- Ache, Eshu, ache! Powiedz Orishom, że jesteśmy gotowi, nam zaś objaw, Eshu, jaki dar przygotujesz dla Wybawiciela.

Wygięte w łuk ciało Gomeza wykonało przewrót w tył i Eshu wykrzywił usta w przebiegłym grymasie, który na niewierzących zawsze robi wrażenie szyderstwa. Głosem głębokim niczym łoskot lawiny odpowiedział:

- Ukradnę mu to, co mu się nie należy; będę go strzegł przed wypadkami, jakie zsyłam na innych, by zaspokoić głód Ogguna; otworzę przed nim wszystkie drogi.

- Moddu cue - odparł Sergio na to, czyli tyle co „dziękuję”, i Eshu zniknął, porzucając Gomeza leżącego na podłodze niczym żalosna, złachma-

niona kupka, aż do chwili, kiedy bóg pojawił się ponownie wraz z innymi świętymi, znowu wybrał Gomeza na swojego rumaka i porwał go do nieustającego tańca.

Ruchy Felicidad nabrały dzikości. Była teraz wcieleniem Chango, który jest także świętą Barbarą i słynie z licznych miłostek. Felicidad była bardzo piękna, a dziś nosiła naszyjnik Chango, składający się na przemian z sześciu czerwonych i sześciu białych paciorków, pasujący do jej sukni, także w barwach Chango. Wirowała w tańcu wokół bębnów bata, a czarne włosy chłostały jej twarz, kiedy Chango wyłonił się ze swojego drewnianego naczynia batea, wypełnionego belemnitami, krwią tryka, śluzem ślimaków i olejem palmowym.

Chango zagarnął Felicidad gwałtownym podmuchem, który zmiotł ją na podłogę, a potem podniósł się.

- Ache! - zawołali wszyscy. - Kabio, kabio sile! - co znaczy: „Witaj w moim domu!”

- Ache, Chango - przemówił Sergio. - A czym ty obdarujesz Wybawiciela?

Chango wznosił palec wskazujący ku niebu i przemówił niskim, głębokim głosem:

- Obdaruję go grzmotem i pękiem błyskawic, które wytryskają z moich palców.

- Moddu cue, Chango.

A on tańczył w ciele Felicidad, radując się zabawą i zerkając na kobiety.

Nadeszła kolej na Letycję Aragon, która zbłądziła do Cochadebajo de los Gatos podczas swej niespiesznej wędrówki do Ipasueño. Przebywała tu od kilku tygodni i wszyscy zdążyli już zaakceptować jej niezwykłość, a nawet, kiedy coś im zginęło, nauczyli się przychodzić do niej z prośbą o

odszukanie zgubionych przedmiotów. Przyglądali się jej twarzy, łamiąc sobie głowę w daremnej próbie określenia koloru oczu, i dziwili się, jak to możliwe, by czyjeś włosy były delikatne niczym babie lato.

Kiedy zjawiała się Oshun i ogarnęła sobą Letycję, jej taniec stał się płynny niczym bieg strumienia. Ludzie żegnali się znakiem krzyża, ponieważ Oshun to nie tylko Orisha miłości, ale także Nuestra Señora de la Caridad del Cobre, przyobleczona w miedź i złoto. Letycja była ubrana na żółto, ponieważ Oshun tak bardzo dba o czystość, że wszystkie jej suknie przybrały żółtą barwę od codziennego prania w rzece. Oshun darzy miłością Chango, więc ruszyła z nim w tany, wirującym w ciele Felicidad, ofiarując mu swoje wdzięki i pokazując czerwone paciorki w złotym naszyjniku, który włożyła dla niego. A kiedy już skosztowała specjalnie dla niej przyrządzonego ochinchin, puszystego omletu z rzeżuchą i krewetkami pochodzącymi ze strumieni zasilających kordylierę, dopiero wówczas przemówiła podczas guemilere.

- Ache, Cachita! - pozdrowił ją tłum, nazywając ją jej zdrobniałym imieniem, kiedy zaś Sergio zadał jej swoje pytanie, odpowiedziała:

- Dam mu miłość wielu przedstawicielek mojej płci, tak że pocieszy się po tej, która będzie mu odebrana, obdarzę go rozkoszą łagodzącą jego ból.

I Oshun, próżna i chępiąca się swoją urodą, zrzuciła szaty i tańczyła nago wśród tłumu, gibka i zwinna, podczas gdy bębny na nowo podjęły swój dialog.

Sergio przywołał siostrę Oshun, Yemayę - Ache, Yemaya! - i oto Yemaya, zajmując ciało Franceski, także tańczyła z Chango, bo chociaż była jego matką, kiedyś miała z nim romans, nie rozpoznawszy go, i ich obecne przywitanie w niewielkim tylko stopniu przypominało powitalny

uścisk matki i syna. Poruszając się rozkołysanym ruchem, niczym falująca morską wodą, przywitała się ze swoją siostrą, której dzieci miała pod opieką. Yemaya nosi naszyjnik z siedmiu kryształków i siedmiu błękitnych paciorków, u pasa zaś Francesca miała jeszcze wyobrażenie przybierającego księżyca. Yemaya ofiarowała Wybawicielowi wiele dzieci, które na zawsze miały nosić znak jego ojcostwa.

Kolejne gliniane naczynie wypełniała krew żółwia, szklane kulki, rogi jelenia, zebrana w maju deszczówka, ziarenka pieprzu, woda święcona, woda z rzeki i woda morską. Naczynie to przez sześć dni zakopane było pod palmą, a potem przez kolejne sześć pod drzewem ceiba, w końcu zaś pobłogosławione przez Eshu na rozstaju dróg. Z tej kadzi wyłonił się Osain.

Nagie, umazane krwią ciało Pedra Łowcy przykrywały pióra kurcząt. Za sprawą Osaina kuśtykał, ponieważ Osain ma tylko jedną nogę i chodzi o kulach. Misael wręczył Pedrowi poskręcaną, rozwidloną gałąź i Pedro tańczył z nią na jednej nodze. Wybawiciela obdarzył mocą uzdrawiania.

Kto jeszcze pojawił się przy muzyce bębnow? Eshu przybył w pięciu wcieleniach: Eshu Alabwanna, Eshu Aye, Eshu Barakeno, który zamienia starca w dziecko, Eshu Anagui, który dziecko zmienia w starca, i Eshu Laroye, który chowa się za drzwiami. Obtala ukazał się w bieli, ofiarując dary niesprzedajności i mocy twórczej, jak przystało na kogoś, kto jest identyczny z Dziewicą Marią i Jezusem z Nazaretu. Drżał z zimna, gdyż zamieszkuje wysoko w sierze, i tańczył, szurając nogami, podczas gdy wszyscy wołali: Hekua, baba, hekua! - co oznacza: „Błogosławieństwo, ojczy, błogosławieństwo!”

Pojawił się Osuń, przyrzekając być aniołem stróżem; Yegua, obiecująca, że stanie na straży wrót śmierci; i Inie, będący także archaniołem Ra-

faelem, ofiarowujący Wybawicielowi „dar uzdrowienia, kiedy będzie mu zadana rana”. Obba powiedział, że rodzina Wybawiciela dochowa mu wierności, a Jimaguas, którzy są świętymi Kosmą i Damianem, przyszli, ale bez daru, ponieważ wszystko, co mogli ofiarować, to dobrobyt. Orisha Oko, noszący różowe i błękitne paciorki, który jest także świętym Izydo-rem Oraczem, przybył z darem „równowagi, która pozwoli przewyciężyć szaleństwo”. Zjawiła się też Oya. Uraczywszy się ofiarą z kur i kozłów, przysięgła, że Wybawiciela nie zniszczy ogień, którym władała wraz ze swoim odstręczającym małżonkiem Chango. Oya jest świętą Teresą i Nu-estra Señora de la Candelaria i zawsze nosi szaty czerwone niczym wino. Kocha kwiaty i nie zezwala swoim wtajemniczonym, by je zrywali, gdyż pragnie zachować wszystkie dla siebie. Jej naszyjnik jest brązowy, czerwony i biały. Widząc Yemayę, natychmiast rzuciła się do bitki, ponieważ Yemaya oszukała ją kiedyś, zabierając jej morze i dając w zamian cementa-rze. Był to wielce zabawny spektakl, kiedy Francesca i dziewczka Dolores wodziły się za łby, przewracając naczynia rywalki i szarpiąc słomiane maty petate. Trzeba było aż Chango, żeby jej rozdzielić, ponieważ Chango był pierwszym mężem Oyi i wiedział, czym ją przestraszyć. Wystarczyło, żeby pokazał jej czaszkę barana. Nieco później, podczas fiesty, Oya od- płaciła mu pięknym za nadobne, kradnąc czaszkę Juanita i podsuwając mu ją zniecka przed oczy, tak że Chango z krzykiem rzucił się do ucieczki, nic bowiem nie budzi w nim większego przerażenia, niż właśnie ludzka czaszka.

Trzej dawni kochankowie Oshun, z którymi romansowała, zanim zako-chała się w Chango, Oggun, Ochosi i Orunla, zjawili się jednocześnie. Oggun i Eshu bardzo się przyjaźnią i Eshu właśnie dla Ogguna aranżuje wszystkie wypadki samochodowe, tak by przyjaciel mógł do woli nasycić

się krwią. Oggun jest Orishą zabijania i rozlewu krwi i w tym wcieleniu nie zna odpoczynku, tylko dniem i nocą przemierza ziemię. Jest też Orishą metalu i wszelkiej wykonanej z niego broni. Zaledwie się pojawił, natychmiast podążył do Oshun, którą nadal desperacko kochał, nie bacząc na to, że ona obdarzyła swoim uczuciem Chango, woląc namiętność od przemocy. Dawniej przysługiwał mu kolor krwi, ale później utracił swe czerwienie na korzyść Chango, podobnie jak utracił swoją ukochaną, i teraz odziewa się w czerń i zieleń. Oggun jest świętym Piotrem, który obciął mieczem ucho człowiekowi, dlatego też nie rozstaje się z maczetą, a oprócz tego nosi słomiane sombrero i spódniczkę z mariwo. Objawiwszy się na guemilere, uciął sobie krótki flirt z Oshun, splunął na Chango i zaraz porwał w objęcia potężnego mastyfa i zaczął go tulić do siebie, gdyż psy kocha Oggun nade wszystko. Wybawicielowi ofiarował „dar władania fatalną siłą”.

Ochosi, miłośnik jeleni i pan kuszy, także wziął w posiadanie ciało Pedra, tak że Osain dosiadł Misaela. Ochosi jest patronem myśliwych, świętym Norbertem. Jego wierny przyjaciel Osain wyuczył go sztuki medycznej, a teraz, właśnie przez wzgląd na łączące ich więzy, pozwolił mu dosiąść Pedra. Ochosi wypił obiatę z mleka, miodu i mąki kukurydzianej i podziękował wszystkim za ofiarę z gołębi. Wybawicielowi ofiarował „sprawiedliwość w nagrodę za jego wytrwałość”.

Orunla był niegdyś Orishą tańca, ale wymienił się z Chango, biorąc za to umiejętność jasnowidzenia. Jest prawdziwym mizoginem i objawia się wyłącznie przez intelekt, dlatego nigdy nie zmusza swojego konia do dzikich harców. Jest świętym Franciszkiem z Asyżu, a dzięki zręcznemu trikowi sprawił kiedyś, że śmierć unika wszystkich, którzy noszą jego zielone i żółte paciorki. Tego dnia obdarował Wybawiciela umiejętnością

„przewidywania, aby uczynić go silnym, gdy przyjdzie mu zmierzyć się z przyszłością, i zdolnością wyprowadzenia w pole Iku, Pana Śmierci". Zanim odszedł, wdał się w kłótnię z Yemayą, która dawniej była jego żoną i która poniżyła go kiedyś, lepiej wróżąc z muszelek ślimaków.

Najstraszliwszy, Aganyu, objawił się, choć rzadko to robi. Ucałował swojego syna Chango, z którym przedtem bardzo się różnili, zanim zaplanowała między nimi całkowita zgoda. Aganyu to święty Krzysztof, i chociaż sam jest porywczy i popędliwy, Wybawicielowi ofiarował „nieustępliwy gniew wulkanu i wulkaniczną siłę destrukcji".

Przybył też święty Łazarz, zniedołężniały, podpierający się laską Babalu-Aye, żebrak trawiony wszelkimi możliwymi chorobami zakaźnymi. Jest tak ubogi, że odziewa się w łachmany, a jego jedynym pożywieniem jest przypiekana kukurydza. On także kocha psy i ma wspólne tajemnice z Eshu i Orunla. Odkąd Olofi wyleczył go za pomocą oczyszczającego deszczu, Babalu-Aye stał się wielkim lubownikiem kobiet, a ponieważ wie, jak leczyć choroby, potrafi wykurować syfilis sarsaparillą i odkazić dom albahacą i apasote. Jego kolorem jest fioletowy odcień rozkładającego się ciała, on zaś sam nie jest pozbawiony poczucia humoru. Właśnie dlatego na rumaka wybrał sobie Hectoro, który zaliczał siebie do niewierzących, a zresztą nawet gdyby był gorliwym wyznawcą, nigdy nie zezwoliłby na to, aby jego godność doznała jakiegokolwiek uszczerbku, gdyż owładnięcie przez boga pocztywał sobie za sromotę. Niebawem powód tego złośliwego wyboru stał się oczywisty. Święty Łazarz nie tylko obiecał Wybawicielowi, że jego wrogów powalą straszliwe choroby, ale także powiedział, że on sam będzie dysponował seksualną siłą ogiera. Rozśmieszyło to wszystkich, zwłaszcza Eshu i lubieżnego Chango, ponieważ było tajemnicą poliszynela, że Hectoro ma trzy żony, które trzyma w bezpiecznej odle-

głości od siebie nawzajem, i wszystkim trzem regularnie świadczy męzowskie powinności.

I tak candomble szalało przez całe trzy dni. Ludzie tańczyli przy dźwiękach bębnów bata bez chwili odpoczynku, a mimo to nie odczuwali utrudzenia. Alkohol lał się strumieniami, w ciemnościach zaułków wielkiego dziedzińca kwitła miłość, ludzie z nieprzystojnym łakomstwem rzucali się na ofiarne jedzenie, ledwo Orishowie raczyli się nim nasycić. Czarne jaguary wpadały pod nogi tańczącym, gryzły porozrzucane kości, zabiegały drogę bogom.

Świat pełen jest legend jeszcze z czasów, kiedy bogowie chodzili po ziemi, a święci czynili cuda w imię Jezusa. Najczęściej owe historie są wyrazem naszej tęsknoty za tamtymi dniami, które obecnie mogą wydawać się naiwne. Ale dla mieszkańców Cochadebajo de los Gatos i dla milionów santeros wszystkich ras i kolorów skóry całej hiszpańskojęzycznej półkuli zachodniej bogowie nadal stąpają po ziemi w pełnym świetle dnia, czyniąc cuda, rozmawiając ze zwykłymi ludźmi, sprzecząc się, walcząc, kochając, rozdzielając zaszczyty i kary, i wszędzie pozdrawiani są okrzykiem: Ache!

Nadal też folgują swoim apetytom. Popatrzcie tylko na Francescę, która dzisiaj jest Yemayą i na klęczkach poszukuje karaluchów, żeby wpakować je sobie do ust. Połyka je z niemal namacalną rozkoszą i Chango na ten widok czuje wyraźnie podniecenie. Inni Orishowie usiłują ją powstrzymać, bo, jak wiadomo, karaluchy służą im za posłańców.

24. Dziennik Aniki (1)

Listów od wielbicielk Dionisia przybywa w oszałamiającym tempie, w miarę jak upływają dni. Drugiego dnia nadeszły dwa, za to w drugim tygodniu już pełne dwa worki pocztowe, i naprawdę nie nadążamy z ich czytaniem. Podzieliliśmy je na trzy grupy: prośby o wsparcie, deklaracje miłości platonicznej, wreszcie oferty uciech cielesnych. Wszystkie docho- dzą za pośrednictwem pocziwej redakcji „La Prensya”, która poinformo- wała D., że każdy list poddawany jest rutynowemu prześwietleniu pro- mieniami Roentgena. Twierdzą, że do tej pory natrafili na piętnaście ko- pert nafaszerowanych wybuchowym plastikiem i cztery paczki-pułapki z zapalnikami czasowymi.

Wspólnie skomponowaliśmy dwa rodzaje odpowiedzi: taktowną, uprzejmą odmowę dla tych wszystkich, które pragną jego dziecka, i list z wyrazami szczerzej sympatii dla pozostałych, i daliśmy odbić po tysiącu egzemplarzy każdej wersji w drukarni, tej samej, w której drukują swoje druki propagandowe wszystkie cztery zwalczające się nawzajem partie komunistyczne, z których każda głosi dokładnie co innego. Dali nam na- wet zniżkę. Same znaczki kosztowały D. tyle, że w końcu pożyczyłam mu forsy na łapówkę dla jednego faceta z ratusza, żeby przepuścił wszystkie koperty przez municypalną maszynę do frankowania poczty.

Mnie ta cała sytuacja zaczyna przejmować grozą, a Dionisia, jak sędzę, chyba także. Ostatniej nocy, kiedy leżeliśmy w łóżku, nagle przeraził się czegoś i powiedział do mnie:

- Anika, czasami mam okropne uczucie, że jestem zaledwie częścią twojej historii.

Zupełnie mnie zamurowało i zapytałam go:

- Co chcesz przez to wyrazić, querido? - chociaż w głębi serca wiedzia- łam, co ma na myśli.

Popatrzył na mnie, ale chyba nie wyjawiał mi tego, co tak naprawdę zaprzętało jego myśli.

- Wszyscy ludzie, których znałem, będąc w twoim wieku, obecnie stanowią dla mnie zaledwie część mojej historii.

Wygląda na to, że wreszcie wziął sobie do serca te wszystkie pogróżki i może nawet ośwładnęło nim przeczucie śmierci (prieczucie - to za mocno powiedziane, lepiej napiszę „znak”; D. sam często używa tego słowa). Nie wiem, czemu zachciało mi się płakać, i powiedziałam:

- Czy przyszło ci kiedyś do głowy, że to ja mogę być częścią twojej historii?

Oczy Dionisia załśniły w ciemnościach. Zdaje się, że on także był bliski łez. Pochyliłam się nad nim, a on dotknął mnie i powiedział:

- Wiesz, twoje piersi są niczym nocne zwierzątka. To wrażenie, kiedy ocierają się o mój tors... nigdy go nie zapomnę.

Zabrzmiało to niemal jak pożegnanie. Po raz pierwszy, odkąd umarła mama, zaczęłam się modlić.

Wczoraj przydarzyła nam się niecodzienna przygoda. Szliśmy właśnie ulicą, kiedy natknęliśmy się na Indianina Ajmara (czego Ajmara może szukać w tej okolicy?). Nosił kompletny strój plemienny, trenzas i miał w sobie tę wyniosłość, która sprawia, że człowiek od razu czuje się nic nieznaczący i niewart poznania. Towarzyszył mu wysoki Murzyn o niewiarygodnie prężnych mięśniach, ale łagodnej twarzy i siwych włosach. Murzyn nosił maczetę, jak campesinos, ze skórzanym chwostem przy futerale. A najdziwniejsze było to, że każdy z nich prowadził na smyczy potężnego czarnego jaguara.

W pobliżu było jeszcze kilka osób, wszyscy tak wystraszeni, jakby ujrzeli diabła. Ale D. ma bzika na punkcie zwierząt i przysięgam, że potrafi

się z nimi porozumiewać telepatycznie. Straciłam już rachubę tych wszystkich psów, które łąszą się do niego. Kiedyś zobaczyłam go na plaży siedzącego pod murem; na kolanach trzymał kota, wokół niego natomiast stały dwa konie, burro i jeszcze trzy psy na dodatek. Wbijam mu do głowy, że któregoś dnia obleżą go pchły albo złapie wściekliznę, ale on się tylko śmieje. Myślę, że cieszy go ta komitywa ze zwierzętami, ponieważ jest to jedna z tych rzeczy, które sprawiają, że ludzie uważają go za kogoś obdarzonego magiczną mocą.

Jak tylko D. zobaczył jaguary, od razu okropnie się rozochocił. Usiłowałam go powstrzymać, ale on natychmiast podszedł i przedstawił się temu Indianinowi i Murzynowi. Murzyn, okazało się, miał na imię Misa-el, ale moje serce aż podskoczyło, kiedy usłyszałam, że ten Indianin to Aurelio, słynący na całą okolicę ze swoich czarów. Mówią, że potrafi uleczyć nawet raka, a podobno koty w Cochadebajo de los Gatos stanowią coś w rodzaju efektu ubocznego jednego z jego seansów terapeutycznych. Każdy się go trochę boi, nie wyłączając mnie.

D. zapytał, czy te koty to słynne oswojone jaguary z Cochadebajo de los Gatos. Murzyn Misa-el skinął tylko głową, ale Indianin Aurelio zmrużył oczy i zaczerpnął potężny haust ze swojego tłuczka z koką. Postaram się dokładnie odtworzyć jego słowa. Powiedział coś w tym rodzaju:

- Grozi ci niebezpieczeństwo, i to trojaki.

D. roześmiał się i odparł:

- Wszyscy mi to prorokują, ale ja w to nie wierzę.

- Po pierwsze, zdaje ci się, że wiesz wszystko, a to wiedzie bezpośrednio do drugiego niebezpieczeństwa, mianowicie takiego, że nic nie rozumiesz. Trzecie zaś polega na tym, że śmierć trafi w niewłaściwe miejsce, uderzy zaś znienacka.

Po uśmiechu D. zorientowałam się, że ma on ochotę wydrwić starca, i naprawdę się wystraszyłam, że mógłby to zrobić. D udaje, że wierzy wyłącznie w to, co może zobaczyć albo czego może dotknąć, ale ja wiem, że to tylko poza. Pod tym względem znam go dobrze. Dzięki Bogu, powstrzymał się od drwin, tylko zaczął rozmowę o tych kotach. Zapytał:

- Dlaczego prowadzicie je na smyczach, które przecież są zbyt słabe, aby je utrzymać?

Misael wytłumaczył mi, że gdyby ludzie zobaczyli jaguary idące w ślad za nimi, mogliby je zastrzelić, myśląc, że zwierzęta skradają się, aby ich zaatakować, tak więc biorą je na smycz, chcąc pokazać, że koty są z nimi, a nie polują na nich. Zdaje się, że niezbyt jasno to wyłożyłam.

D. popatrzył na koty i od razu wiedziałam, że zaraz uklęknie, żeby je pogłaskać. Omal nie narobiłam w majtki ze strachu. Kociska były naprawdę potężnych rozmiarów, w dodatku jeden z nich oblizywał się, a ludzie powiadają, że bezpiecznie pogłaskać je może tylko ktoś, kto je dobrze zna, albo brujo. Usiłowałam odciągnąć Dionisia, ale on zrobił dokładnie tak, jak przewidywałam. Wyzwałam go od głupców, to go jednak bynajmniej nie powstrzymało.

Zaczął klepać je po łbach i przemawiać do nich jak do dzieci: „Jak się macie?”, i różne tam takie. Jeden polizał go po ręce, a D. popatrzył na mnie z triumfującym uśmiechem i rzucił:

- Smakuje im mój pot.

Zaczął drapać zwierzaka pod brodą i za uszami, a kot nagle podniósł się na tylne łapy, a przednie położył na ramionach Dionisia. D. upadł do tyłu i przez krótką chwilę naprawdę pomyślałam, że zwierz rozerwie mu gardło. Nie wiedziałam, co robić, i znowu omal się nie sfajdałam, ale następną rzeczą, jaką zobaczyłam, był D. toczący się po ulicy, mocujący się na

niby z tym potworem i zaśmiewający się, niczym przy łaskotkach. A potem po prostu wstał, skinął na pożegnanie tamtym dwóm i podszedł do mnie jakby nigdy nic. Później przez całą drogę do domu opowiadał, że koty stęchło, ale jednocześnie słodko pachną, i że był to piękny zapach, i tak w kółko.

Ale zanim jeszcze odeszliśmy, wyraźnie słyszałam, jak Misael pytał Aurelia:

- Czy to ten człowiek?

Indianin przytaknął:

- Tak, to on.

Myślę, że chcieli, abym to usłyszała, bo inaczej trochę by odczekali.

Wieść o postępku Dionisia rozeszła się błyskawicznie i dzisiaj w mieście, gdy przechodziliśmy, kto żyw żegnał się znakiem krzyża, odmawiając modlitwy i despachos. D. nigdy przedtem nie słyszał o Aureliu, a kiedy wytłumaczyłam mu, kto to jest i czym się zajmuje, wyśmiał mnie tylko, aż poczułam się głupio. Zaczynam myśleć, że D. nie wie nic o sobie samym. Jest niczym ksiądz, który nie zdaje sobie sprawy z tego, że wierzy w Boga, albo coś podobnego. Czasami się go lękam. Zapytałam go, czy widział tę piękną córkę z ocelotem, która często towarzyszy Aureliowi, a dla zwykłych ludzi jest niewidzialna, ale znowu mnie wykiął, tak że wyszłam na idiotkę.

Czuję się taka zmęczona i bezradna. Czasami zastanawiam się, co ja robię z tym Dionisem. Muszę być szalona. Wszyscy mi powtarzają, że chodzenie z D. to czyste samobójstwo, a ja mimo to jestem z nim, chociaż wiem, że ludzie mają rację. Kocham go, ale jeszcze mu tego nie powiedziałam, i chociaż jesteśmy kochankami, nigdy nie rozmawiamy o niebezpieczeństwie ani nawet o handlarzach kokainą. Myślę, że dla niego jest to

rodzaj pasji, której pragnie oddawać się samotnie, i nawet nie ośmieliłabym się próbować odwozić go od tego, mimo że we wszystkim innym zawsze potrafię przeprowadzić swoją wolę.

Ludzie mówią mi, że D. naprawdę jest brujo i omotał mnie swoim czarem. Zaczynam z nich sobie wówczas pokpiwać, aż robi im się łyso; dokładnie tak, jak D. postępuje ze mną, ale jest tyle rzeczy, które wprawiają mnie w zdumienie, które każą mi się zastanowić. Przysięgłabym, że D. rzeczywiście urósł do po-nadnaturalnych rozmiarów, kiedy omal nie pozabijał tamtych dwóch nożowników, albo przynajmniej wyglądał tak, jakby urósł. Nie pojmuję, jak może bawić się z dzikimi zwierzętami, tak że nie dzieje mu się żadna krzywda, wiem też, że jego dotknięcie jest dla mnie niczym lekki wstrząs elektryczny. I dlaczego jego ręce są zawsze takie ciepłe?

To już koniec dziesiątego zeszytu mojego pamiętnika, a pięć z nich zapisałam w czasach, odkąd jestem z Dionisem. Od zdania matury nie zdarzyło mi się pisać aż tyle.

25. El Jerarca

Jerarca także nie był wolny od kłopotów. Po pierwsze, chociaż liczył sobie zaledwie pięćdziesiąt dwa lata, zdążył już poznać poczucie zwątpienia i niepewności, nieodłącznych towarzyszy starości. Od swoich lekarzy domagał się dwukrotnych badań w ciągu dnia, raz z rana, drugi raz przed pójściem spać, że zaś z wieloletniego posługiwania się oszustwami i kręctwem wyniósł naukę, iż nikomu nie należy ufać, nie wierzył w ich diagnozy. Sam wmawiał sobie najprzeróżniejsze dolegliwości, których w

rzeczywistości nie odczuwał, i potem sprawdzał je w encyklopedii medycznej, aż w końcu brakło mu chorób i musiał zaczynać od początku.

Doktorzy zaś mówili mu, iż lata folgowania nieposkromionemu obżarstwu nadwerężyły jego system trawienny do tego stopnia, że teraz doprawdy przestało mieć jakiegokolwiek znaczenie, w jaki sposób się odżywia. Mówili mu też, że z jego nadwagą powinien - chociażby ze względów humanitarnych - zrezygnować z dosiadanania swojego słynnego siwego ogiera, któremu grzbiet dosłownie wygiął się w kabłąk i który cierpiał na taką depresję, że przestał nadawać się na reproduktora. Ostrzegali El Jerarcę, że jego zrujnowane i rozdęte serce nie przestało jeszcze bić z tej wyłącznie przyczyny, że brak mu wyobraźni, by się zatrzymać. Radzili mu też, by wreszcie zaprzestał uprawiania seksu co najmniej raz dziennie, więc po raz kolejny musiał im przypominać o przysiędze, którą złożył, mając dwadzieścia jeden lat, mianowicie że ani jeden dzień nie może mu upłynąć bez co najmniej jednego stosunku płciowego, w związku z tym jest to kwestia jego osobistego honoru. W głębi ducha El Jerarca był przekonany, że gdyby zrezygnował z tej praktyki, odebrałoby to blask jego legendzie i spowodowałoby proporcjonalnie umniejszenie jego władzy w kartelu. Doktorzy powtarzali mu, że wielokrotnie przebyte choroby weneryczne osłabiły jego system immunologiczny do tego stopnia, że jeśli żadna z nich nie przykuła go jeszcze do łóżka, to wyłącznie dlatego, iż jego organizm utracił już zdolność manifestowania jakichkolwiek symptomów. Zresztą, patrząc na jego ciało, noszące znamiona dalece posuniętego rozkładu, lekarze nawet zakładali się między sobą, czy robaki zaczną go toczyć jeszcze za życia, czy też dopiero po śmierci.

Oprócz wyniszczeń ciała cierpiał także na stany lękowe, rodzące się ze świadomości, że może posiadać niezmierzone bogactwa, a i tak jego ży-

wot zbliża się do kresu, w dodatku zaś on sam zejdzie z tego świata niekochany, nieopłakiwany przez nikogo; że sępy już zaczynają się gromadzić, wyczekując jego zgonu; że w końcu jego życie okazało się równie mało znaczące i mało satysfakcjonujące, co życie debila bez rąk, nóg i genitaliów.

Ta udreka wiodła go do coraz większych okrucieństw, jakby dzięki nim mógł udowodnić, że przecież nadal trzyma życie w garści, aż w końcu zaplątał się między fantazjowaniem na temat swojej nieśmiertelności, a marzeniami o spotkaniu ze śmiercią - najwspanialszą z kochanek. Ale w miarę jak potęgowało się jego okrucieństwo, władza nad środkami terroru coraz bardziej wymykała mu się z rąk.

A wszystko to było sprawką Dionisia Vivo. To właśnie on, niczym jakiś cholerny Don Kichot, poruszył elity polityczne, napęłnił je przestachem i wstrząsnął ich sumieniami, tak że obecnie nawet najwierniejsi spośród przedstawicieli tychże elit odbiorcy finansowych gratyfikacji El Jerarki nagle w jakiś tajemniczy sposób zaczęli być niezwykle trudno uchwytnei, a przecież znacznie podwyższył im apanaże. Owszem, nadal chętnie wyciągali po nie ręce, ale przestali dawać cokolwiek w zamian. Co więcej, jak kraj długi i szeroki, mnożyły się Towarzystwa Dionisia Vivo, organizujące grupy nacisku na polityków i grożące, że nikt, kto w swoim okręgu nie podejmie konkretnych działań, wymierzonych przeciwko kartelom kokainowym, nie może liczyć na zwycięstwo w kolejnych wyborach. Tym sposobem dyrygowanie całym narkotykowym interesem, tak by wszystko chodziło jak w zegarku, stawało się coraz trudniejsze. El Jerarca nie miał racji, obwiniając o wszystko Dionisia, gdyż tak naprawdę jego wpływ był tu raczej niewielki. Po prostu w kraju od lat wzbierała żarliwa tęsknota za ładem i spokojem, po tym jak krwawa rozrywka wojny domowej i zniepra-

wienie kokainowych gangów zaczęły stopniowo tracić swój powab. Innymi słowy, wreszcie objawiła się pewnego rodzaju dojrzałość cywilizacyjna, która uczepiła się listów Dionisia niczym pnącze w dżungli, by rozkwitnąć w pewnym momencie masą białego kwiecia, stanowiącego schronienie dla maleńkich kolibrów i motyli morpho.

Ale El Jerarca za wszystko winił Dionisia osobiście. Co więcej, po raz pierwszy w swoim życiu okazał się bezsilny, gdyż jego ludzie albo prosto z mostu odmawiali sprzątnięcia Dionisia, albo też udawali, że biorą się do dzieła, potem zaś wynajdowali tysiące usprawiedliwień, dlaczego po raz kolejny nie dopisali. Tych, którzy odmówili wprost, zastrzelił, zanim jeszcze zdążyli opuścić jego gabinet, ten incydent jednak nie obył się bez następstw.. Obecnie niezmiernie trudno było mu zebrać swoich podwładnych, którzy zamiast pojawiać się we własnej osobie, zaczęli przysyłać rozmaitych posłańców z meldunkami, że właśnie wyruszają z jakąś misją, nakazaną im przez niego osobiście, on zaś za nic nie mógł sobie przypomnieć, by w ogóle im cokolwiek zlecał. Niejeden raz łamał sobie głowę, czy to jego własna pamięć go zawodzi, czy też padł ofiarą spisku, którego celem jest sprawić, by przestał ufać świadectwu własnych zmysłów.

Wszystko sprowadzało się do jednego; jego podwładni wbili sobie do głowy, że Dionisio Vivo jest czarodziejem, którego nie imają się rany. Jeden z nich, pojechawszy do Guaraguany, natknął się przypadkowo na tamtych dwóch złodziejasków i wrócił, przywożąc straszliwą historię o tym, jak to Dionisio Vivo potrafi przybrać gigantyczne rozmiary i łamać ludzi niczym patyczki od lizaków; a już wcześniej krążyły wieści, że jest magikiem, który opanował sztukę stawania się niewidzialnym i przezwy-
cięzania - nawet bez udziału świadomości - siły przyciągania magnetycznego, nie mówiąc o tym, że figłował z mitycznymi czarnymi jaguarami z

Cochadebajo de los Gatos na oczach samego Aurelia Czarnoksiężnika. Szeroko też rozpowiadano, że każdy kto próbowałby go zranić, odniósłby taką samą ranę, jaką przeznaczał dla niego.

El Jerarca był człowiekiem przesądnym. Uważał za konieczne chodzić na mszę w każdą niedzielę i przystępować do spowiedzi, nie dlatego, by odczuwał łaskę bycia dzieckiem bożym, ani nawet nie ze zwykłej, religijnej bojaźni, ale dlatego, że czynił tak od dzieciństwa i uważał, iż zaniechanie tego zwyczaju byłoby równoznaczne z prowokowaniem losu, zwłaszcza w kraju, gdzie zwykły fakt udania się do kościoła powszechnie traktowany jest jako zewnętrzny i widomy znak całkowitej czystości duszy. Za wszystkie niegodziwości, których sam był sprawcą albo których dokonywano w jego imieniu, odklepywał zdrowaśki z identycznym nastawieniem, z jakim Irlandczyk spluwa na widok sroki albo Anglik kłania się trzykrotnie księżycowi i obracając się dookoła, potrząsa miedziakami w kieszeni. Wyznawszy swoje grzechy przed księdzem w złocistych szatach, który nawet nie zwracał sobie głowy ich wysłuchaniem, doznawał radosnego poczucia, że jego rejestr został wytarty do czysta, więc może zacząć zapisywać go od nowa; oto jedyny stan podobny duchowemu pokrzepieniu i moralnej odnowie, jaki udawało mu się osiągnąć.

El Jerarca był przesądny, jak wszyscy, których życie zatruwa nieustanna niepewność i podejrzliwość. Dosiadał wyłącznie siwego ogiera, pił zawsze z tego samego kubka i nigdy nie zapomniał zajrzeć pod łóżko, zanim się położył. Zgromadził ogromną kolekcję talizmanów i amuletów na każdą możliwą okoliczność, miał też swoich obłaskawionych księży, którzy corocznie w dniu świętego Michała i Świętych Aniołów poświęcali je na nowo, tak by nie utraciły swej magicznej mocy. W ten sposób duchy natury, zamknięte w spreparowanych głowach i zasuszonych kawałkach roz-

maitych zwierząt z Brazylii, stanowiących fetysze wudu, rok w rok poddawane były bałamutnej próbie błogosławieństwa udzielanego im przez religię, która je jednoznacznie potępiała.

Ponieważ był przesądny i sam zaczął dawać wiarę wszystkim opowieściom krążącym o Dionisiu Vivo, ogarnęło go zwątpienie, czy należy się upierać przy rozkazie zlikwidowania go, zwłaszcza że jeden z księży uparcie obstawał, iż rozkazać komuś popełnić zbrodnię, to tak jakby popełnić ją samemu. A skoro tak, to nie tylko bezpośredni wykonawca zbrodniczego czynu odniósłby identyczne rany jak te, które przeznaczał dla Dionisia. Takie same pojawiłyby się i ciele El Jerarki. Kazał więc zbudować ogromną skrzynię z kuloodpornej stali, pokrytą poświęconymi obrusami ołtarzowymi, którą następnie kapłani okadzili i pobłogosławili w imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego, i jeszcze dodatkowo świętej Barbary. Umyślił sobie, że w chwili gdy zamachowiec będzie oddawał strzał do Dionisia, on sam schowa się do skrzyni, by w krytycznym momencie żadna kula, widzialna czy niewidzialna, nie mogła go ugodzić. Teraz pozostało mu już tylko wystąpić z taką sumą pieniędzy, by chciwość wzięła górę nad obawą przed natychmiastowym pokaraniem. Okazało się, że w całej Ameryce Południowej do tej pory nie zaproponowano wyższej zapłaty za czyjąś głowę, ale przy mniejszej stawce nie znalazł się ani jeden ochotnik, a i tak młodemu człowiekowi zajęło kilka dni, zanim zebrał się na odwagę, by przystąpić do działania.

Anika i Dionisio byli umówieni z Ramonem na kolację tuż przed zachodem słońca. Ponieważ czasu mieli jeszcze sporo, postanowili przejść się trochę, ot tak, dla podtrzymania tradycji i sprawdzenia, czy coś ciekawego dzieje się na ulicach. Anika opowiadała, że właśnie otrzymała odpowiedź

z uniwersytetu, który zaakceptował jej kandydaturę, na co Dionisiowi od razu z warzył się humor, bo oświadczyła, że postara się o pokój w akademiku, a on słyszał, że w domach akademickich czystość lokatorek strzeżona jest surowiej niż cnota królewskich dziewczyc. Anika jednak pocieszyła go, mówiąc, że zdążyła już sprawdzić, jak łatwo jest obejść regulamin, zwłaszcza podczas weekendów, więc Dionisio odzyskał dobry nastrój i zaraz też powiedział, że mieszkanie w akademiku to dobry pomysł, ponieważ człowiek poznaje tam nowych przyjaciół, i że w takim razie wszystko jest w porządku, pod warunkiem że ich romans na tym nie ucierpi. Anika postąpiła krok do przodu, pociągając go za rękę, i zapytała:

- A dlaczego niby miałby ucierpieć?

Dionisio chciał ją pocałować, ale odepchnęła go, nazywając go przy tym starym zbereźnikiem i tłumacząc, że zna ją tu w okolicy zbyt wiele osób, na co Dionisio odparł:

- To przecież nic takiego, ty naprawdę jesteś przewrażliwiona. - A potem dodał jeszcze: - A jak by ci się podobało, gdybym tak zdecydował się zrobić wreszcie magisterium na tym uniwersytecie? Proponowano mi to już kilka lat temu, ale jakoś wtedy o tym nie myślałem. Czy może uznałabyś, że za bardzo ci się narzucam?

A Anika roześmiała się i odparła:

- Ależ skądże, byłabym bardzo szczęśliwa.

I wówczas Dionisio wyznał jej:

- To jest pierwsza rzecz od wielu lat, jaką pragnę zachować. Nie pozwólmy, aby coś ją zepsuło.

Zajęli stolik na zewnątrz i czekali na Ramona, przyglądając się grupie starszków grających w tejo i popijających chichę, mimo że ten napój był zakazany prawem, jako używka szkodliwa dla zdrowia. Anika wystu-

diowanym gestem zapaliła papierosa, a Dionisio przyniósł drinki i usiadł obok niej, rozglądając się za Ramonem, który zawsze się spóźniał, tak bardzo pochłaniało go sumienne wypełnianie obowiązków zawodowych. Dionisio podszedł nawet do staruszków i powiedział, żeby lepiej schowali swoją chichę, ponieważ lada moment zjawi się tu jego przyjaciel, który bardzo skrupulatnie przestrzega prawa. Staruszkowie podziękowali mu, ale popijali dalej.

- Halo, mój mały Anaksagorasie - powiedział Ramon, unosząc dłoń, a następnie wyciągając ją do Dionisia. Potem pochylił się ku Anice, ucałował ją w oba policzki i uścisnął serdecznie, udając, że chce wzbudzić zazdrość w przyjacielu. Oczy mu błysnęły, kiedy usiadł i zwrócił się do Dionisia:

- Vale, amigo, jaką to odwieczną prawdę odkryłeś dzisiaj, podczas gdy ja oddawałem się znacznie skromniejszemu zadaniu utrzymywania porządku w społeczeństwie?

- Odkryłem dowód na prawdziwość tezy cynika Diogenesa, który powiedział, że jeśli twój przyjaciel jest policjantem intelektualistą, niechybnie padniesz ofiarą jego sarkazmu.

- Bardzo to trafne - zareplikował Ramon. - Diogenes był wystarczająco mądry, by wiedzieć, że jeśli ktoś otrzyma pozwolenie na legalne noszenie broni u boku, natychmiast zaczyna uważać się za ważniaka. Myślałeś o tym, co powiedziałem?

Dionisio uśmiechnął się i odparł:

- Nadal trwam w uporze.

- Jeszcze ci mało dowodów? - zdumiał się Ramon.

- W tym kraju, mój drogi Cochinillo, wszyscy wiedzą, że nic nie jest dalsze od prawdy niż świadectwo policjanta.

Ramon pogładził się po skrzydełku nosa, jak zwykle, kiedy głowił się nad jakąś ripostą.

- Tak samo jak wszyscy wiedzą, że nic nie jest bardziej oddalone od rzeczywistości niż opinia filozofa, prawda, cabron?

Zamówili sancocho dla wszystkich i już zapadał zmierzch, kiedy na drugim końcu ulicy pojawił się sicario.

Nieco wcześniej alcad Ipasueño wprowadził przepis zakazujący motocyklistom noszenia kasków z opuszczonymi przyłbicami, gdyż killerzy na usługach kokainowych baronów upodobali sobie nową metodę zabijania, dziecinnie łatwą i skuteczną. Wystarczyło podjechać do ofiary, na motorze bez tablic rejestracyjnych, z opuszczonym kaskiem, wystrzelić jedną czy dwie kule i zniknąć błyskawicznie, zanim ktokolwiek zdążył zareagować. Owe morderstwa stały się tak nagminne, że gdziekolwiek motocyklista z opuszczonym kaskiem pojawiał się na ulicy, przechodnie natychmiast rzucali się na ziemię albo dawali nurka do najbliższej bramy. Te dramatyczne sceny, w znacznym stopniu zakłócające porządek publiczny, zobligowały wreszcie burmistrza do wprowadzenia wspomnianego zarządzenia, pozwalającego mieszkańcom rozróżnić między prawdziwym zabójcą a niewinnym motocyklistą.

Mężczyzna na motorze miał opuszczoną przyłbicę kasku. Cały dzień spędził na nogach, uganiając się za Dionisiem i polując na moment, kiedy jego ofiara wreszcie usiądzie. Ze zdenerwowania obgryzał paznokcie aż do krwi, w duchu rozważając rozmaite ewentualności, na przykład powrotu do El Jerarki z raportem, że nie udało mu się odnaleźć poszukiwanego, albo też wmówienia mu, że kule odbiły się, nie raniąc ciała, czy nawet zaoferowania Dionisiowi połowy obiecanej sumy w zamian za udawanie, że został zgładzony. Dla dodania sobie odwagi wlał w siebie już tyle piwa, że

teraz czuł rozpaczliwą potrzebę oddania moczu, mięśnie jednak miał tak napięte, że nawet nie potrafił pofolgować swojej potrzebie, tak że pęcherz pękał mu z bólu, ręce drżały i zanim jeszcze rozpoczął swoją jazdę ku śmierci, zdążył już odmówić pięćdziesiąt cztery zdrowaśki.

Ramon wszedł do środka, by przynieść trochę chili do przyprawienia sancocho, i właśnie wyłonił się na zewnątrz, kiedy ulica raptownie opustoszała i nawet psy pochowały się pod stołami. Stojąc w drzwiach restauracji i widząc nadjeżdżającego sicario, Ramon błyskawicznie rozpiął kabinę i wyszarpnął rewolwer, odbezpieczając go jednym ruchem. Ukryty w cieniu drzwi, złożył się do strzału, podczas gdy sicario zatrzymał się na przeciw Dionisia i wrzucił jałowy bieg. Ramon już miał wystrzelić, kiedy domniemana ofiara podniosła się z miejsca i z braku lepszego pomysłu stanęła dokładnie na wprost egzekutora, zasłaniając pole strzału. Krzyknął więc do przyjaciela, by padł na ziemię.

Sicario przekręcił automat i skierował lufę na Dionisia, który ze zdumieniem zauważył, że ręce trzymające broń drżą tak silnie, iż lufa niemal tańczy w powietrzu. Mimo zagrożenia stał jak sparaliżowany, niezdolny do najmniejszego ruchu. Za to Anika, pojmując w końcu, że rzeczywistość, której z takim uporem odmawiała realnego istnienia, przecież znalazła sposób, aby się za-manifestować, przewyciężyła lęk obezwładniający jej umysł i wystąpiła przed Dionisia. Ten przez moment tkwił niczym wrośnięty w ziemię, ułamek sekundy później jednak schwycił ją za ramiona, odepchnął na bok i sam rzucił się na podłogę.

Ramon i sicario wystrzelili dokładnie w tej samej chwili. Dionisio poczuł ból w prawym ramieniu, jakby jednocześnie użądlił go szerszeń, kopnął muł i ukąsił wąż koralowy, kiedy kula rozerwała mu koszulę i przeorała mięsień, zanim utkwiała we framudze, za którą schronił się Ramon. Z

kolei pocisk Ra-mona wyrwał kawał mięśnia w ramieniu zamachowca, który o mały włos, a byłby zleciał z motoru. W ostatnim momencie odzyskał równowagę, wcisnął gaz do dechy i odjechał, kiedy Ramon oddał jeszcze dwa strzały w jego kierunku.

Ramon powolnym krokiem wyszedł na ulicę, podniósł broń porzuconą przez motocyklistę i położył na stole przed Dionisiem, który zdążył już wstać i teraz pomagał się podnieść Anice, która padając, uderzyła głową o stolik.

- Oto dowód dla ciebie, Arystotelesie - powiedział.

Sicario wrócił do El Jerarki, meldując mu, że prawdą jest to, co opowiadają o Dionisiu Vivo. Rzeczywiście, każdy usiłujący go zabić na własnym ciele doświadczył takich samych obrażeń, jakie przeznaczał dla swojej ofiary. Na dowód pokazał własne krwawiące ramię. Oczywiście świadkowie strzelaniny doskonale wiedzieli, że został postrzelony przez policjanta schowanego za drzwiami, ale skoro nikt nie chciał uwierzyć w historię tak banalną, i każdego, kto usiłował ją opowiedzieć zgodnie z prawdą, wyśmiewano i zakrzykiwano, w końcu wszyscy dali wiarę wersji zmitologizowanej. Kiedy zaś Dionisio odmówił pójścia do lekarza, tylko usiadł i nie bacząc na krwawiące ramię, dokończył sancocho, głośno chełpiąc się przy tym bohaterstwem swojej kobiety, na ludziach wywarło to jeszcze większe wrażenie niż jego nietykalność i nadludzka moc. Anika, nadal w szoku, otoczyła go ramionami, przyciskając do siebie tak mocno, że jego krew spływała po jej piersi.

Mimo wszystkich wykoncypowanych metafizycznych środków ostrożności, usłyszawszy o rezultacie zamachu, El Jerarca poczuł ostry ból w ramieniu, który nie ustępował przez kilka dni.

26. Letycja Aragon (1)

Już samym narodzinom Letycji towarzyszyły niezwykle okoliczności. Po pierwsze, kiedy przyszła na świat, od razu miała minkę zadowolonej z siebie mniszki i nawet nie zapłakała, kiedy mama Florencja, akuszerka, odwróciła ją do góry nogami i klepnęła w pośladki. Po drugie, łożysko nie krwawiło i zamiast zwykłego, blad różowego koloru miało odcień zielonkawy niczym limonka i wydzielalo słodkawy zapach. Mama Florencja sądziła początkowo, że dziecko urodziło się martwe, i zastanawiała się już, jak przekazać matce tę smutną wieść, kiedy Letycja uśmiechnęła się i wydmuchnęła potężną bańkę.

Jej matka rozplýwała się w uczuciach, patrząc na okrągłą główkę córki, pokrytą kruczoczarnymi lokami, delikatniejszymi niż pajęczyna, i na jej oczy, które zdawały się mienić wszystkimi kolorami jednocześnie. Nigdy żadne dziecko nie było spokojniejsze i bardziej uległe. Letycja spała o każdej porze, o której małe dzieci powinny spać, ssąc pierś, nigdy nie spowodowała podrażnienia matczynych sutków i nigdy się nie pokakała, jeśli w koszyku brakowało czystych pieluszek. A kiedy narobiła w pieluszkę, jej kupka pachniała mango i owocem drzewa chlebowego.

Przed ukończeniem trzech lat Letycja w ogóle nie mówiła i niektórzy podejrzewali już, że widocznie urodziła się niemową, kiedy pewnego dnia, siedząc pod stołem, podczas gdy jej rodzice i ich przyjaciele raczyli się refritos, nagle się odezwała. Jak sobie później przekazywano, towarzystwo dyskutowało o szansach prezydenta w kolejnych wyborach i ojciec powiedział właśnie: „Myślę, że konserwatyści przejdą”, kiedy spod stołu dał się słyszeć cieniutki, piskliwy głosik: „Bardzo w to wątpię”. Zebranych ogarnęło takie zdumienie, że przepatrzyli cały pokój od dołu do

góry w poszukiwaniu brzuchomówcy, i w chwili kiedy matka Letycji skonstatowała: „Doprawdy, gdyby człowiek nie wiedział, mógłby pomyśleć, że to dziecko przemówiło”, Letycja wygramoliła się spod stołu i rzucała porywczo: „No i co z tego, jeśli przemówiłam?”

Oczywiście nie jest to fakt nieznany, że niektóre dzieci czekają z wypowiedzeniem pierwszego zdania, dopóki nie mają czegoś sensownego do zakomunikowania, jednakże zdawało się, że Letycja przyszła na świat z aparatem intelektualnym od razu załadowanym wiedzą. Jej dokonania w tej dziedzinie były tak zadziwiające, że dla mieszkańców puebla stało się wręcz rodzajem rozrywki wystawiać ją na kolejne próby. Zасыpywali ją najrozmaitszymi pytaniami w stylu: „W którym roku generał Panela sięgnął po dyktaturę?”, „Jak się nazywał komandor marynarki w czasach, kiedy ludzie zaczęli znikać?”, „Jakie nazwisko nosił proboszcz sprawujący tu swój urząd w czterdziestym pierwszym?”, a Letycja marszczyła brwi w głębokim namyśle, poruszała bezgłośnie ustami, by potem wystąpić z prawidłową odpowiedzią. Jej wiedza była tak zdumiewająca, że w końcu przeegzaminował ją sam don Tomaso, sprawdzając, czy Letycja nie jest aby opętana przez szatana. Ukończywszy swoje badania, nie miał jednak innego wyjścia, jak stwierdzić, że, jego zdaniem, geniusz dziewczynki można wytłumaczyć bądź hipotezą o prawdziwości platońskiej teorii anamnezy, bądź też istnieniem reinkarnacji. Tą opinią naraził się na surową reprimendę biskupa, który - tak przynajmniej mówiono - po tym, co zaszło, na zawsze odsunął go od wszelkich awansów i nigdy już nie wyrażał się o nim inaczej jak „ten przeklęty Hindus”.

Kiedy Letycja podrosła, najwięcej kłopotu sprawiało rodzicom przekonać ją, żeby nie zdejmowała z siebie ubranek. Rano wychodziła pobawić się na plantacji platano, a wieczorem wracała naguteńka. Rodzice despe-

racko rzucali się na poszukiwanie zgubionej garderoby, podczas gdy Letycja bezskutecznie usiłowała sobie przypomnieć, gdzie też mogła ją zrzucić. W końcu drogą eksperymentów ustalono, że ubranka muszą być bawełniane, i to koniecznie w kolorze turkusowym, żeby Letycja nie ściągała ich z siebie.

Dziewczynka lubiła przechadzać się pogrążona w rozmarzeniu, i ten zwyczaj, podobnie jak czarne włosy i delikatne kości, przydawały jej aury niezwyklej piękności. Nie był to ten rodzaj urody, który z każdego mężczyzny czyni wyznawcę bożka Priapa, uroda Mulatki z Bahamów, lecz piękność, na której widok kurczy się żołądek i która boleśnie rani oczy. Nawet kiedy Letycja była jeszcze mała, mama Florencja lubiła powtarzać: „Mężczyźni będą umierać z miłości do tej dziewczyny, poczekajcie, a przekonacie się”. Ale nikt nie przewidział, komu pierwszemu przyjdzie umrzeć.

Letycja Aragon tak bardzo zdawała się nie przynależeć do tego świata, że nikogo nie dziwiły niezwykle wydarzenia, towarzyszące jej niczym świetliki przyszpilone do kapelusza Kubanki. Kiedy była mniejsza, jej matka nigdy nie mogła niczego znaleźć, nawet jeśli chwilę wcześniej odłożyła dany przedmiot na swoje miejsce. Sfrustrowana i poirytowana do szaleństwa seniora Aragon poszła w końcu do babalawo, który rozrzucił muszelki i oznajmił jej z wielką pewnością siebie, że bynajmniej nie trapi jej przedwczesna skleroza i nie sobie powinna się przyjrzeć, lecz swojej córce.

Od tej chwili seniora Aragon bacznie obserwowała Letycję i wszystkie zaginione przedmioty znalazła w jej hamaku. Ze złością złapała dziecko, sprawiła mu solidne lanie i był to pierwszy i jedyny wypadek, kiedy Letycja się rozplakała. „Mamo, to nie moja wina” - powtarzała ze szlochem,

kiedy seniora Aragon za karę za ten złodziejski figiel zamknęła ją w kurniku o chlebie i wodzie.

Letycja znakomicie urządziła się w kurniku, tyle że wkrótce od stóp do głów upaprana była spadającym z góry łajnem, gdyż kogut stawał na jej głowie, pragnąc uczynić swoje pianie bardziej donośnym. Ale podczas tych trzech dni, które spędziła w zamknięciu, własność jej matki nadal grawitowała w stronę hamaka, aż wreszcie seniora Aragon doznała czegoś w rodzaju objawienia, uświadomiwszy sobie, kiedy wśród patelni, ścierek, piórek kolibrów i kuchennych noży, codziennie wypełniających hamak, znalazła swoją obrączkę ślubną, która zsunęła jej się z palca, gdy rozkładała pranie na kamieniach w strumieniu, że ów dar, jakim obdarzona została Letycja, jest przecież błogosławieństwem. Ze łzami w oczach i słowami modlitwy do świętego Antoniego na wargach, wypuściła córkę z kurnika i mogła przekonać się naocznie, że jej córka i kogut zawarli wieczne przymierze.

I tak owo poniżenie zapoczątkowało sławę Letycji jako osoby odnajdującej zaginione przedmioty, i doszło nawet do tego, że zaczęła zarabiać więcej dla rodziny niż jej ojciec, zarządzający nie taką znowu małą finca. Znalazła rewolwer Ignacia, do którego był bardzo przywiązany, a który zgubił w Paragwaju, uciekając przed policjantem, znalazła zaginionego kota Marii, złoty medal starego Alfonsa, którym został odznaczony, kiedy służył jako najemnik podczas wojny Chaco, a nawet klucz zgubiony przez don Jesuina w chwili, kiedy korzystając z osłony kościelnego ogrodzenia, zabawiał się z bardzo atrakcyjną Mulatką. Eteryzna piękność, w dodatku tak sławna i szczęśliwa, nic dziwnego, że Letycja łamała wszystkie serca. Nawet kiedy miała zaledwie czternaście lat, rodzina ledwo mogła zmrużyć oczy w nocy z powodu ogłuszającej kakofonii rywalizujących ze sobą

serenad za oknami, gdy zaś skończyła lat piętnaście, konieczne stało się oplecenie ścian domu drutem kolczastym, ponieważ zbyt wielu śmiałków usiłowało rozsunąć palmowe liście w nadziei, że może uda im się zobaczyć ją nago.

Jeśli seniora Aragon roztkliwiała się nad córką, to senior Aragon kompletnie oszalał na jej punkcie. Jako ojciec mógł służyć wszystkim za wzór. Kiedy była małeńka, huśtał ją na kolanach i opowiadał jej bajki, bawił się w chowanego i w berka, zmieniał pieluszki, kiedy się pokakała, kąpał w ustawianej w kuchni wanience i konkurował z żoną o przywilej przygotowywania specjalnie delikatnych potraw dla małej.

Kiedy Letycja urosła i rozkwitła prawdziwym czarem kobiecości, ojcowiska miłość seniora Aragona niedostrzegalnie przekształciła się w coś głębszego, naznaczonego poczuciem winy. Przyglądał się łagodnie zaokrąglonym liniom jej ciała, a potem gorączkowo usiłował skierować swe myśli na inne tory, patrzył, jak wargi córki poruszają się podczas mówienia, i zastanawiał się, jak by to było otrzymać z nich choć jeden pocałunek. Często zatrzymywał wzrok na jej szczupłych udach i potem wyżej, na tym miejscu, o którym śniło tylu mężczyzn, i przez sekundę napawał się sekretną myślą, jaka niewyobrażalna rozkosz ogarnęłaby go całego, gdyby tak mógł przebiec palcami przez ten raj. Nieszczęsny senior Aragon nie potrafił wygnać obrazu córki ze swej wyobraźni ani w wiernych objęciach żony, ani w ramionach dziewcząt w burdelu, i to napełniało go prawdziwą udręką.

27. Kuracja

Wieczorem Anika zdezynfekowała i opatrzyła ranę Dionisia, każąc mu przy tym przysiąc, że następnego dnia pójdzie do przychodni na zastrzyk, żeby zapobiec infekcji. Jak doskonale wiedziała, Dionisio nie znosił lekarzy do tego stopnia, że utrzymywał nawet, iż to właśnie oni są główną przyczyną wszelkich chorób i śmierci na całym świecie, więc od razu zastrzegła, że rano pojawi się u niego osobiście, aby mu towarzyszyć. Usiłowała też wymóc na nim obietnicę, że od tej chwili będzie ostrożniejszy, ale tu Dionisio zaskoczył ją kompletnie, mówiąc, że, jego zdaniem, sicario usiłował zabić Ramona. Anika pokiwała głową z ubolewaniem i wymownym gestem przyłożyła mu rękę do czoła, dając tym do zrozumienia, że jedynie ktoś kompletnie oderwany od rzeczywistości mógłby uwierzyć w coś równie głupiego, Dionisio jednak obstawał przy swoim, tłumacząc, że przecież gangsterzy polują na Ramona już od dłuższego czasu, że sicario zwlekał ze strzałem, dopóki on, Dionisio, nie upadł na bok, a w końcu czy kula nie utkwiała we framudze drzwi, za którymi szukał schronienia Ramon? Anika uczepiła się odrobiny prawdopodobieństwa tkwiącej w tym przypuszczeniu i niemal sama zaczęła wierzyć w jego prawdziwość, niemniej jednak postanowiła, że gdy tylko zaczną się wakacje, zabierze stąd Dionisia, mniejsza o to, co powiedzą sąsiedzi, mniejsza o to, jak bardzo ojciec będzie się pieklił. Później kochali się - bardzo delikatnie, żeby nie urazić jego rany - wreszcie Anika poszła do domu, gdzie znalazła kartkę od Ramona, który prosił ją dokładnie o to samo, co właśnie postanowiła.

Dionisio zgodził się na wizytę w przychodni wyłącznie z jednego powodu, mianowicie dlatego, że odkąd związał się z Aniką, zaczął bardziej cenić sobie życie i coraz częściej przychodziło mu na myśl, że powinien zadbać o swoje zdrowie. Obecnie wszystko, co robił, w połowie robił dla

niej, nie dla siebie, nawet jeśli dana rzecz tak naprawdę nie miała z Aniką nic wspólnego.

W przychodni przyszło im czekać całą godzinę, tak że musiał zadzwonić do college'u i powiedzieć, że się spóźni, ponieważ został postrzelony. Jego szef westchnął tylko i skomentował: „Vale, Dionisio, to coś nowego po zwłokach w całości i odrąbanych rękach w ogrodzie”, Dionisio zaś wrócił do poczekalni, gdzie przestudiował wszystkie plakaty, jakimi obwieszono były ściany, mówiące o roślinach trujących, skuteczności prezerwatyw i profilaktyce chorób wenerycznych. W końcu usiadł obok Aniki, a ona wzięła go za rękę, ponieważ wiedziała, że jest zdenerwowany. Wreszcie wezwała go pielęgniarka i kazała mu wypełnić w trzech egzemplarzach i podpisać formularz mówiący, że przyjmuje do wiadomości, iż przychodnia nie ponosi żadnej odpowiedzialności za uszczerbek na zdrowiu czy śmierć, powstałe w wyniku leczenia, oraz drugi, podobny, że za rzeczy zaginione na terenie przychodni odpowiada wyłącznie on sam, nie zaś przychodnia.

Potem wszedł do gabinetu, gdzie pielęgniarka o marsowej twarzy usianej pieprzykami, z których wyrastały pojedyncze włoski, odwinęła bandaż i zbadała ranę. Sypnęła na nią antybiotykiem w proszku i założyła opatrunek. Wreszcie powiedziała:

- Dostanie pan dwa zastrzyki, antybiotyk i zastrzyk przeciwțęczcowy. Jeden będzie w udo, drugi w pośladek, więc proszę opuścić spodnie i majtki.

Dionisio zaczął protestować, że zastrzyk przeciwțęczcowy jest zbędny, ponieważ żadna bakteria țeżca nie przetrwałaby podrůży przez lufę kara-

binu, ale pielęgniarka spojrzała na niego z taką wrogością, że z miejsca zmienił taktykę i spróbował pertraktacji:

- A dlaczego nie mogę dostać zastrzyku w ramię?

- Ponieważ - odparła siostra - wiem z doświadczenia, że pacjenci najpierw się szarpią, a potem tracą przytomność.

- Ja nie zemdleję. Uważam, że to bardzo interesujące przyglądać się, jak igła zagłębia się w ciało.

- Proszę opuścić spodnie - zarządziła siostra usiana pieprzykami porośniętymi szczecinką i Dionisio, zastraszone i przejęte, natychmiast uczynił, co kazała, z wielkim zażenowaniem, bo miał akurat na sobie swoje najstarsze majtki, dziurawe w kilku miejscach. Był absolutnie przekonany, że jego poniżenie sprawi siostrze dodatkową satysfakcję.

Pierwszy zastrzyk, ten w udo, przeszedł niemal bezboleśnie i Dionisio zrewidował już - przedwcześnie, jak się okazało w chwilę później - swoją kiepską opinię o naukach medycznych, kiedy gderliwa pielęgniarka dźgnęła go w pośladek igłą tak długą i grubą, że nawet byk ceibu zestrachalby się na jej widok. Igła zagłębiła się w mięśnie i Dionisio poczuł gwałtowny spazm bólu, spływający w dół nogi z taką szybkością, że zdało się, iż dotarł do stopy, zanim jeszcze na dobre się rozpoczął. Szarpnął się i krzyknął, a siostra wepchnęła igłę głębiej i syknęła przez zęby:

- Nie napinać mięśni, bo będzie jeszcze gorzej.

Ale ból o takim natężeniu spowodowałby, że napiąłby mięśnie nawet najbardziej zahartowany fakir, a co dopiero Dionisio. Kiedy cała zawartość potężnej, weterynaryjnej strzykawki została wtłoczona w jego pośladek, ból ogarnął go niczym płomień, tak że kiedy wstał, poczuł gwałtowną falę mdłości i padł na kozetkę.

- No właśnie - wycedziła siostra triumfalnie, z wyraźną satysfakcją i bez najmniejszych śladów współczucia. - Proszę poczekać, aż poczuje się pan lepiej, a ja pójdę i powiem pańskiej żonie, że za minutę pan wyjdzie.

Dionisio kilkakrotnie usiłował dźwignąć się z leżanki, nie był jednak w stanie pokonać paraliżującej sztywności w nodze. W końcu, zawstydzony własną słabością, wyczołgał się jakoś na korytarz do Aniki, przytrzymując się krzeseł, ścian i wszystkiego, co tylko napotkał po drodze.

Anika chwyciła go pod ramię i niemal poniosła w górę ulicy. Gdy wreszcie dotarli na szczyt wzgórza, Dionisio opływał potem i czuł się jak ktoś śmiertelnie chory, tak że dziewczyna zapakowała go do łóżka, a sama poszła zatelefonować do college'u z uprzedzeniem, że Dionisio bardzo się spóźni, ponieważ rozchorował się po wizycie w przychodni. Potem przez długi czas siedziała przy jego łóżku, dopytując się z troską:

- Jak tam twój culo? - na co Dionisio odpowiadał:

- Byłoby znacznie lepiej zostać postrzelonym w culo i dostać zastrzyk w ramię.

Dionisio nie wiedział, że odkąd w 1966 roku u dziewięciu tysięcy siedemset trzech zarejestrowanych prostytutek zanotowano ponad wszelką wątpliwość piętnaście tysięcy siedemset czterdzieści sześć przypadków chorób wenerycznych, zgodnie z rozporządzeniem ministerstwa wszystkich pacjentów bez wyjątku zaczęto traktować końską dawką specyfiku, który właśnie przypuścił atak na jego metabolizm i wywiesił triumfalną, wielobarwną flagę zwycięstwa w formie rozległego sińca w barwach zielonej, czerwonej, żółtej i fioletowej, rozlanego po całym pośladku i powodującego, że przez następne dwa tygodnie spełnianie pewnych czynności fizjologicznych stało się niezwykle uciążliwe i bolesne. Anika nakłoniła

go do pozowania i stworzyła subtelny portret jego tyłka w nadzwyczaj żywych kolorach.

W ciągu dwóch tygodni rekonwalescencji Anika obmyśliła kilka różnych sposobów wyciągnięcia Dionisia z Ipasueño. Zaproponowała mu wspólny wyjazd do Madrytu, gdzie miała przyjaciół, i potem może do Francji, gdzie miała jeszcze więcej przyjaciół. Dionisiowi na samą myśl o tym zamarło serce, ponieważ nadal tkwił po uszy w długach, w jakie wpędziła go ostatnia wycieczka do Hiszpanii, mimo że sypiał wyłącznie pod gołym niebem. Anikę los pobłogosławił bogatym i hojnym ojcem, stąd brało się jej przeświadczenie, że brak pieniędzy nie jest żadną przeszkodą, nie posiadała natomiast żadnej wiedzy na temat desperackiej szarpaniny, jaką stanowi usiłowanie prowadzenia życia na pewnym poziomie, jeśli się dysponuje pensją wykładowcy.

- Och nie, querida - próbował protestować. - O tej porze roku w Madrycie panują potworne upały. Nawet miejscowi znoszą je z trudem, stąd te ich niekończące się sjesty. Ale przecież wybierałaś się do Gujany.

- Nie teraz - Anika na to. - Przemyślałam sprawę i doszłam do wniosku, że lepiej będzie pojechać w porze suchej.

Na takie dictum Dionisio zaproponował:

- W takim razie pojedź sama do Madrytu. Mnie na to naprawdę nie stać, ale nie chciałbym psuć ci przyjemności. Jak wrócisz, moglibyśmy wybrać się w odwiedziny do moich sióstr albo pobyc trochę u moich rodziców w Valledupar. Może znajdę jakąś dorywczą pracę i wtedy skoczylibyśmy jeszcze na Wybrzeże Karaibskie, na przykład do Nueva Sevilla. To bardzo stare i niezwykle urocze miasteczko, z całym mnóstwem sekretnych zakątków, wymarzonych dla kochanków.

Anika roześmiała się i zawołała:

- Tobie w głowie tylko jedno! - myśląc równocześnie, że może Valledupar i Nueva Sevilla są wystarczająco oddalone od Ipasueño. A zanim wyjadą, już ona znajdzie jakiś sposób, żeby utrzymać go z dala od jego ulubionych miejsc.

Potężnymi, steatopygicznymi pośladkami El Jerarki nie targnął najłżejszy nawet spazm bólu, w związku z czym nasuwa się pytanie, czy ból w jego ramieniu był pochodzenia psychosomatycznego, czy też nie.

28. Las Locas (1)

Anika i Dionisio siedzieli w saloniku, popijając tintos i oglądając telewizję. Dionisio miał na sobie mokre spodnie, ponieważ jego ekspres do kawy wyprawiał czasami różne fanaberie i w rozdrażnieniu zdarzało mu się prychać kawą na całą kuchnię, a on pechowo znalazł się w zasięgu jednej z takich ejakulacji. Anika wytarła plamy gąbką i kazała mu się przebrać, ale Dionisio powiedział tylko:

- Dobrze, querida, ale najpierw napiję się tinto .

Anika siedziała przytulona do Dionisia, z głową wspartą na jego barku i z ręką wsuniętą głęboko pod jego ramię, nie myśląc o niczym innym poza tym jednym, że dobrze jest siedzieć tak jak teraz, opierając głowę o jego ramię i tuląc się do jego boku.

Dionisio wyciągnął zębami z paczki jedną inkę, wyprostował ją językiem, a następnie sięgnął po fosforo, które zapalił, posługując się jedną tylko ręką w ten sposób, że postawił pudełko na boku, przytrzymał środkowym palcem i potarł zapalną trzymaną między kciukiem a palcem wskazującym.

- Robisz to naprawdę po mistrzowsku - zachwyciła się Anika, którą zręczność, z jaką dokonał swojej sztuczki, napełniła jeszcze większym poczuciem szczęścia.

Dionisio usiłował nauczyć ją tego triku, ale przy pierwszej próbie pudełko nie chciało stać prosto, za drugim razem przeleciało przez cały pokój, wreszcie gdy spróbowała po raz trzeci, główka zapalki odłamała się, zatonęła płomienisty łuk i, kierowana niezawodnym instynktem niszczycielskim, wylądowała na poduszce.

- Madre de Dios! - wykrzyknęła Anika, zrywając się z miejsca i zdeptując płomień. - Na przyszłość będę się posługiwać wyłącznie konwencjonalnymi metodami.

Dokładnie o tej samej porze pewna kobieta imieniem Fulgencja Astiz przybyła do Ipasueño, wiedzona wiarą w mit Dionisia Vivo i złożonym ślubowaniem, że urodzi jego dziecko. Całą drogę z Buenaventury przebyła, mając ze sobą wyłącznie mochila zawierającą trochę żywności i kilka buteleczek niezawodnych eliksirów miłosnych. Podróżowała autostopem, zatrzymując dziopy i ciężarówki, przy czym od niewybrednych zaczepk i niesmacznych zalotów chronił ją krzyżyk, pobłogosławiony specjalnie jako amulet chroniący przed gwałtami, oraz siła jej potężnych mięśni, dzięki którym rozbroiła dzierżącego nóż napastnika i zostawiła go ze złamanym nosem. W Ipasueño zatrzymała się w tanim pensjonacie i całe dni przemierzała miasto w poszukiwaniu Dionisia, pewna, że jeśli tylko padnie na niego jej spojrzenie, instynkt od razu jej podpowie, że to właśnie on.

Ale tego wieczoru Fulgencja Astiz odkryła, że trzy inne kobiety, z którymi dzieliła pokój, przybyły do Ipasueño wiedzione dokładnie tym sa-

mym zamiarem. Najpierw długo się sprzeczały o prawo pierwszeństwa w staraniach o poczęcie dziecka Dionisia Vivo, skrupulatnie wymieniając swoje zasługi i rozwodząc się nad głębią swego uczucia, wreszcie wzięły się za łby. Ponieważ każda walczyła jednocześnie przeciwko każdej, szybko zniknęły w wielorękim kłębie, młóącym na oślep, drapiącym, plującym i sypiącym przekleństwami, od których pokraśniały-by uszy nawet najbardziej zatwardziałemu recydywiście skazanemu na dożywocie. Po chwili podłoga zasłana była puklami czarnych włosów, wyszarpanych z całą siłą, i połamanymi paznokciami. Na krótko przedtem jednak, zanim się pojawił Agustin z posterunku policji, wezwany w celu uśmierzenia brouhacha, przeciwniczki padły sobie w objęcia, przysięgając wieczyste posiestrzenie i pomoc w poszukiwaniach. Resztę wieczoru spędziły, planując batalię, rozmachem i wielkością nieustępującą kampaniom napoleońskim.

Fulgencja Astiz i jej nowe siostry rozsiadły się na łózkach, porównując swoje odczucia względem Dionisia Vivo. Dla Fulgencji nie ulegało wątpliwości, że rozpozna go natychmiast, a to z powodu jego niezwyklej urody. Druga kobieta natomiast powiedziała, że kiedy oddawała się lekturze jego listów w „La Presse”, czuła słaby, ale wyraźny zapach goździków, wypełniający cały pokój, i była pewna, że rozpozna Dionisia właśnie po tej woni. Trzecia oznajmiła, że kiedy we śnie łączyła się z nim cieleśnie, słyszała ryk cyklonu zrywającego z domów dachy z blachy falistej, ostatnia zaś z dam oznajmiła, że Dionisio nawiedził ją jako duch ze świata żyjących i rozmawiał z nią, tak że niechybnie rozpozna go po głosie. W ratuszu kupiły plan Ipasueño, podzieliły miasto na cztery sektory i każda miała przetrząsać swój rewir, wyostrzywszy wszystkie zmysły, dopóki nie

odkryją, gdzie on przebywa. A kiedy już go odnajdą, udadzą się do niego wszystkie cztery i będą go błagały o przyjęcie ich wspólnego oddania.

Tymczasem do Ipasueño ciągnęły kobiety ze wszystkich zakątków kraju. Kobiety z Antioqueni, przepojone klasycznym fatalizmem, kierowane nieposkromioną żądzą walki, nawet kiedy brakowało przeciwnika, ze starannie pielęgnowanym neurotyzmem, absurdalnym regionalizmem i w żaden sposób niedająca się wyplenić manierą wymawiania głoski „s” w sposób jeszcze bardziej syczący niż czynią to rodowici Kastylijczycy. Przybyły pracowite mieszkanki Narinen, ze swym niedorzecznym tradycjonalizmem, żarliwe w głoszeniu opinii politycznych, niezwykle trzeźwo myślące, do przesady gościnne, żywiące zapiekłą niechęć do wszystkiego, co nowoczesne i postępowe, dopóki to, przeciwko czemu występowały, nie zdążyło się zestarzeć, operujące doprawdy kuriozalnym słownictwem i wymawiające wszystkie głoski ściśniętymi wargami. Przybyły mieszkanki Cundiboya, o indiańskich rysach, maniakalnie podejrzliwe, płochliwe niczym wigonie, łapczywie gromadzące oderwane, do niczego nieprzydatne informacje, przepojone gorliwym serwilizmem. Zjawiły się rozkapryszone Costenias, afektowane, dobroduszne, z afrykańską krwią w żyłach, szcudrobliwie rozwiązałe, obdarzone rubasznym poczuciem humoru, szczerze i prostolinijne, przy mówieniu w osobliwy sposób ścieśniające spółgłoski interwokaliczne, tak istotne dla zrozumienia znaczenia wyrazu. Oprócz sporadycznie trafiających się kobiet z innych krajów, na przykład Tybetanek, wierzących, że Andy to pierwotne Himalaje, przybyły też mieszkanki Santandereany, nieprzejednane, nieustraszone, napastliwe bojowniczkami, które w spokojniejszych czasach zajmowały się prowokowaniem utarczek granicznych, rozpamiętywaniem doznanych krzywd, czczeniem bezsensownych aktów męstwa i uprawianiem diabelskiej gry miło-

snej ze śmiercią we wszystkich jej gwałtownych przejawach. Stąd też przybyło ich dwa razy więcej niż pozostałych kobiet razem wziętych, gdyż uznały, że Dionisio jest człowiekiem skazanym na zagładę, i chciały być świadkami jego śmierci i na własne oczy zobaczyć jego heroizm, pragnęły też, by obdarzył je dziećmi i by te dzieci, kiedy przyjdzie im zginąć w równie beznadziejnej walce, umierały z męstwem odziedziczonym po ojcu.

Do tych szczęśliwych przymiotów wymienionych kobiet możemy dorzucić jeszcze kilka cech narodowych, wspólnych im wszystkim. Jak wiadomo, linie podziału w każdej nacji przebiegają nie wzdłuż południków czy równoleżników, lecz zgodnie z układem poziomym. Im wyżej ktoś mieszka, tym mniej jest ufny i otwarty, tym więcej w nim podejrzliwości i skrytości. Jednakże kobiety jednomyślnie uchylały się od wszelkich porównań, w obawie, by nie okazały się one niepoehlebne, podobnie jak z równą jednomyślnością unikały wszelkiej odpowiedzialności, która mogłaby zagrozić utracie wolności osobistej. Trudniej wpadające w gniew od Hiszpanek, w porównaniu z nimi prze- pojone były większym zelotyzmem, gotowością do samopoświęcenia, stoicyzmem i wytrwałością. Każda z nich z pełnym obiektywizmem uważała siebie za centrum wszechświata, dlatego też z trudem przychodziło im tolerować dumę innych. Wszystkie przepełniała także niecierpliwość w oczekiwaniu rezultatów i zdecydowana niechęć do wszelkiego rodzaju mechanizmów, tak że kiedy wiozący je autobus zepsuł się w samym środku bezdroża, poczuły bezmierną satysfakcję, mając kolejny argument na usprawiedliwienie swojej odrazy.

Charakteryzowała je też umiejętność błyskawicznego szacowania każdego z obiektywizmem behawiorysty, intuicją ucznia Junga i niezachwia-

ną pewnością scjentyisty. Najbardziej ze wszystkich cenily sobie ludzi, którzy nie zadzierali nosa, aby zaimponować innym. Dowcip miały ostrzejszy niż maczeta czy kolec kaktusa, i on kompensował ich niechęć do wszelkiej pracy i pozwalał im dobrze się bawić mimo braku podstawowych wygód w obozowisku.

Ale nade wszystko kobiety czerpały pełnymi garściami z narodowego daru przyjaźni i szczodrości. W ich obozowiskach podarki krążyły z taką szybkością, że potrafiły wrócić do pierwszej ofiarodawczyni w przeciągu kilku godzin, przeszedłszy uprzednio przez ręce wszystkich mieszkanek, solenne zaś ślubowania wieczystej przyjaźni padały z taką częstotliwością, że wkrótce święci poczuli się znużeni tym bezustannym wzywaniem na świadków. A ponieważ, podobnie jak ich ziomkowie, potrafiły na każdą okazję znaleźć odpowiedni cytat wierszem, po dłuższym czasie nieustannego przebywania ze sobą ich mowę zaczęło cechować subtelne i wysmakowane metrum.

Już samo zakwaterowanie stanowiło problem. Miasto nie dysponowało hotelami w prawdziwym znaczeniu tego słowa, a pensjonaty były przepelnione i w dodatku podłe. Niektóre z przybyłych koczowały po prostu na ulicach i sypiały po bramach i zaułkach, stając się utrapieniem dla przechodniów, którzy potykali się o nie w ciemnościach. Inne, bardziej przedsiębiorcze, powprowadzały się do rozmaitych domów w Ipasueño, pracując jako służące w zamian za dach nad głową i trochę strawy, tak że mieszkańcy wiodący do tej pory żywot skromniejszy od nędzarzy, nagle znaleźli się w sytuacji osób uprzywilejowanych, posiadających własną służbę. Pozostałe założyły obozowisko na obrzeżach miasta, tak że Ipasueño, zupełnie niczym stolica, dorobiło się własnej niewielkiej favela, wzniesionej naprędce z dykty, blachy falistej, rozmaitych części karoserii

samochodowych, kawałków drewna i odłamków skalnych naniesionych przez lawiny, posklecanych byle jak i połączonych ze sobą szmatami i kawałkami sznurka. Ramon wydzierżawił swoje pastwisko dla kóz, biorąc peso dziennie od osoby, co - jak się okazało - przyniosło mu całkiem niezły dochód. Co więcej, kobiety doily kozy i karmiły je różnymi smakołykami, przez co mleko tych zwierząt nabrało przyjemniejszego zapachu, a ich mięso lepszego smaku i Ramon sprzedawał je teraz nieporównanie korzystniej. Cierpliwe kobiety tolerowały każdy kozi wybryk, łącznie z usiłowaniami pożerania dachów ich nędznych lepianek, gdyż w zamian za to mogły cieszyć się ich dzikim, ale wesołym towarzystwem.

O wiele mniej chętnie witały natomiast natarczywe watahy wygłodniałych mężczyzn, włączających się wokół obozowiska, rzucających obelżywe uwagi i czyniących nieprzyzwoite propozycje. Natrętów traktowały bez wyjątku z wyniosłą pogardą, jako że nie zasługiwali na nic lepszego. Gorzej było z tymi, którzy posuwali się do rękoczynów i usiłowań gwałtu. Sprawa stała się naprawdę poważna, gdy do obozowiska wtargnęła banda uzbrojonych zbirów z klubu, którzy zajechali dżipem i wymachując bronią, usiłowali uprowadzić kilka kobiet, by zaoszczędzić sobie drogi do publitos.

Popelnili fatalny błąd, wynikający z nieznaności charakteru niewiast z Santandereany, mających zdecydowaną przewagę liczebną wśród obozowiczek. Te, gdy tylko zorientowały się w zamiarach napastników, wybiegły ze swoich namiotów i baraków, uzbrojone w maczety, rewolwery, dubeltówki i pałki, i w przeciągu kilku gwałtownych sekund dosłownie zmiotły łajdaków w drogi. Jedna z nich, nie bacząc na własną wygodę, wyszarpnęła liny łączące w całość jej niewielką barraca, przez co domek przechylił się na jedną stronę. Związały napastników w spory tobołek, po

czym zepchnęły tę wyjącą dziko i rzucającą wkoło obłąkane spojrzenia paczkę wprost ze stromizny, nie zapomniawszy przypiąć do koszuli każdego z napastników obszernego listu, tłumaczącego powody tego postępowania. Dzikie wojowniczkę z Santandereany wydały radosny okrzyk, gdy ich pakunek roztrzaskał się o skały na dole. Podobną akcję powtarzały przy każdej kolejnej inwazji potencjalnych gwałcicieli, aż przepaść na dole zaczęła się od sępów, a lokalne porzekadło o rozpadlinie tak głębokiej, że żaden ptak nie potrafił jej przefrunąć, straciło sens. Za to zbójckie rajdy ustały zupełnie.

Ale nie brakowało i mężczyzn przybywających często nawet z daleka, którzy stosowali bardziej subtelne i wyrafinowane metody zalotów, a mianowicie podawali się za Dionisia Vivo. Początkowo niejedna z kobiet dała się zwieść fortelowi, szybko jednak przejrzały oszustwo, przekonawszy się doświadczalnie, że akt miłosny z samozwańcem nie jest przeżyciem w dostatecznym stopniu mistycznym. Tylko nielicznym zdarzyło się ulec czarowi bardziej ujmujących oszustów, tak że opuściły wraz z nimi Ipasueno, nie bacząc na cel, jaki je tu przywiódł, ale po tych wypadkach pozostałe kobiety opracowały stosunkowo prosty system kontroli, który zilustrujemy, opowiadając o tym, co przytrafiło się Jerezowi.

Jak wielu innych, on także pojawił się w obozowisku, podszywając się pod Dionisia Vivo w nadziei na darmowy seks, jednak jego wygląd natychmiast wzbudził podejrzenia. Przede wszystkim był niemal kompletnie łysy, miał obwisły brzuch, wyświechtaną koszulę, wory pod oczami i syfilityczny wrzód na dolnej wardze, kolano natomiast spowijał mu monstrualny opatrunek. Nic w jego twarzy nie zdradzało owej intelektualnej bystrości, jakiej należało oczekiwać od Dionisia Vivo, nie można też było dopatrzeć się w nim najmniejszego nawet podobieństwa do Chrystusa, nie

wspominając już o nimbie. Fulgencja Astiz z marsową miną zażądała podania dokładnej daty ukazania się w „La Prensie” ostatniego listu i opowiedzenia, o czym traktował. Dywagacje Jereza na temat jego treści były w najwyższym stopniu mgliste i nieprzekonujące, więc Fulgencja zażyczyła sobie obejrzyć jego cedułę.

- Moją cedułę? - powtórzył jak echo Jerez.

- Tak, proszę okazać Certificado Judicial, który ma pan obowiązek nosić przy sobie zgodnie z nakazem prawa.

Inna mieszkanka Santandereany, o czarnych włosach okalających twarz, dzierżąca potężne magnum, postąpiła krok do przodu i wyjęła dokument z kieszeni koszuli Jereza. Przyjrzała mu się z uwagą, studiując ornament z kolejnych pieczętek, odnawiających jego ważność, odcisk palca wskazującego, wreszcie dobrała się do nazwiska. Pokazała je Fulgencji, która obrzuciła Jereza spojrzeniem pełnym takiej wzgardy, że ten zaczął się tłumaczyć, mocno zakłopotany:

- Bardzo mi przykro, moje damy, ale jesteście panie tak pociągające, że...

W tym momencie lufa magnum dźgnęła go w krzyże, więc szybko zreiterował, a jego odwrotowi towarzyszyły głośne szyderstwa i grad kamieni. Nigdy też nie próbował powtórzyć swojego triku. Zamiast tego udał się do Casa Rosa, ale tam również go nie obsłużono z powodu szankra na wardze.

Mieszkając w tak prymitywnych warunkach, kobiety szybko upodobniły się do prawdziwych dzikusek i dla mieszkańców Ipasueno stały się przedmiotem nieposkromionej ciekawości, a nierzadko i szyderstw. Ponieważ niejednokrotnie z ich obozowiska dochodziła najdziwsza wrzawa, wkrótce zaczęły krążyć na ich temat najdziwniejsze domysły, w których nie było

ani odrobiny prawdy, poza tym, że kobiety są zdolne rozerwać człowieka na strzępy i że przybyły do Ipasueno w poszukiwaniu Dionisia Vivo.

Co ciekawe, nigdy nie zdobyły się na ten przecież zupełnie oczywisty krok, żeby udać się do Ipasueno College, tak jakby tkwiła w nich obawa, że ujście bohatera we własnej osobie może się skończyć rozczarowaniem. Tworząc własną mitologię, milcząco zaakceptowały przekonanie, że pewnego dnia on sam pojawi się wśród nich.

Miłośnicy antyku od razu dostrzegli pewne analogie i obdarzyli kobiety mianem bachantek bądź menad, w zależności od tego, czy preferowali opcję łacińską, czy grecką. Ramon, prawdopodobnie jedyny policjant, mający jakie takie pojęcie o antycznych mitach, wykorzystywał perfidnie swoją wiedzę, puszczając w obieg najrozmaitsze historie o Dionisiu, skrzętnie wyszperane w encyklopedii, mając nadzieję, że dotrą także do uszu El Jerarki.

Łatwowiernych bywalców barów częstował pełnymi cudów opowieściami, jak to Dionisio, przybrawszy kiedyś postać małego koziołka, pasł się zabawiany przez nimfy wodne, jak widziano go na rydwanie ciągnionym przez tygrysy, jak kiedyś przemienił wodę w wino, tak że ścigający go popotopili się po pijanemu, innym zaś razem sprawił, że wyrósł wokół niego gąszcz winorośli, a kiedy jego prześladowca usiłował wyrąbać drogę maczetą, obciął sobie stopę. Opowiadał, że Dionisia niepodobna związać, gdyż żadne pęta się go nie trzymają, że potrafi on zamienić się w lwa, że swoją matkę wywiódł ze świata duchów, ofiarowując w zamian to, co najbardziej ukochał na ziemi. Wszystkie te historie błyskawicznie obiegiły całe miasto i Ramon, ku swojemu rozradowaniu, niejednokrotnie słyszał je później, przeinaczone i znacznie barwniejsze niż jego własna, pierwotna wersja.

Anika i Dionisio od samego początku wiedzieli o przybyciu kobiet do Ipasueno i o tym, co je przygnało do tego miasta, ale zachowywali się tak, jakby pojawienie się tych osób nie miało nic wspólnego z ich codziennym życiem i miłością. Dionisio widział w obecności przybyłych jedynie kolejny dowód na absurdalność tego świata, Anika natomiast z rzadka tylko odczuwała lekki niepokój, kiedy jej kochanek sprośnie żartował na ich temat albo też udawał, że wybiera się je odwiedzić. Jak wszyscy inni, poza klasykami, Anika i Dionisio nazywali je po prostu Las Locas .

29. Valledupar

Wreszcie nadszedł czas, kiedy kochankowie wyruszyli w swoją uciążliwą podróż do Valledupar, miasta tak frywolnego i płochego, że jego mieszkańcy wieszali ananasy na drzewach cytrynowych, ot tak, dla żartu, żeby zakpić sobie z turystów; tego samego miasta, w którym oślica generała Fuerte urodziła kocięta i w którym narodził się burżuazyjny ruch na rzecz lokalnych demokracji, odkąd ojciec Dionisia, generał Hernando Montes Sosa, ogłosił referendum mające zatwierdzić go na stanowisku gubernatora prowincji i wygrał je bez uciekania się do fałszowania wyników. To z tego miasta wyruszały ekspedycje wojskowe, by rozprawić się z wyimaginowanymi komunistycznymi insurgentami w rejonie Chiriguany, miejscowości pochłoniętej przez spektakularny potop, którego rezultatem było z kolei odsłonięcie starożytnego miasta Inków, ochrzczonego przez Aurelia jako Cochadebajo de los Gatos.

Anika i Dionisio załadowali bagażami antyczny wehikuł. Dzień był parny i wilgotny, tak że wkrótce pot lał się z nich strumieniami od tego noszenia i upychania. Zabierali ze sobą mnóstwo instrumentów muzycz-

nych, by Dionisio mógł bez przeszkód komponować i nagrywać swoje melodie, i bardzo szybko przekonali się, że niewiele miejsca pozostało im na pozostały bagaż. Wpadli też na pomysł zabrania nortona Aniki, ponieważ Dionisio uznał, że powinna mieć możliwość samodzielnego poruszania się, jeśli przyjdzie jej na to ochota. To okazało się niemożliwe ze względu na rozmiar motoru i jego asymetryczny kształt, dopóki Dionisio nie wymyślił, że mogą wywindować go na dach i przymocować linami przeciągniętymi przez okna. Takie rozwiązanie oznaczało jednak, że nie mogli teraz otworzyć drzwi, co zmuszało ich do gramolenia się przez okno za każdym razem, kiedy wsiadali albo wysiadali z samochodu.

Wreszcie rozpoczęli dwudniową wyprawę w dół wypalonych słońcem llanos i Dionisio w nagłym przebłysku pomyślał, że oto kończy się jakiś etap w jego życiu i od tej pory nic już nie będzie takie samo jak przedtem. Odkąd sięgał pamięcią, po raz pierwszy przez szereg miesięcy nic nie mąciło jego szczęścia. Był silny, zdrowy i z pewnym zdumieniem uświadomił sobie też, że przecież jest młody. Okres, kiedy każdego ranka po przebudzeniu nie potrafił zdecydować, czy umarł już tej nocy, czy też może ciągle jeszcze żyje, minął bezpowrotnie. Anika z kolei przez kilka ostatnich miesięcy zdążyła już zapomnieć o płaczu z powodu śmierci matki.

Podróż do domu Dionisia raczej nie obfitowała w wydarzenia, jeśli pominąć rozmaite protesty samochodu. Najpierw pękł przewód doprowadzający wodę, potem obłuzował się rozdzielacz, tak że silnik rozkaszał się gwałtownie, a później zamilkł. Najgorszy jednak okazał się tłumik zmajstrowany domowym sposobem, który po kilku gwałtownych podskokach na jakimś garbie urwał się niemal do reszty i wyjący silnik skutecznie zagłuszał każdą próbę rozmowy. Wreszcie zaś sama droga, jak zwykle, była w fatalnym stanie, pełna dziur i wybojów, podmyta przez kolejne powo-

dzie, tak że tylko ktoś bardzo pijany mógł trzymać się skrajnych pasów szosy i tylko tak niepoprawny optymista jak Dionisio potrafił wierzyć, że nią dokądkolwiek dojedzie.

Niżej, na llanos, każda rzecz przedstawiała się odmiennie. Wynędzniałe, pokryte liszajami pasożytów bydło w niczym nie przypominało tłustych i lśniących krów, spotykanych na pastwiskach sierry. Sparszywiałym i fałszywym kotom daleko było do elegancji i filozoficznego usposobienia ich górskich krewniaków. Trawom brakowało soczystości i miękkości; płożyły się nędzne i spalone żarem, od którego, w którąkolwiek stronę się patrzyło, tworzyły się miraże i który miał do tego stopnia radykalny wpływ na metabolizm, że człowiekowi wystarczało sikać tylko raz dziennie, dopiero wieczorem. Upał panował tak wielki, że wystarczyło tylko ułożyć bochenki z kassawy bezpośrednio na dachu, by przed zmrokiem ściągnąć z niego upieczony chleb. Powietrze przesyciała wilgoć, jakiej nie uświadczyloby się nawet w słynnych fińskich saunach; wywoływała ona wrażenie, że jest się więźniem we własnym ciele, dodatkowo skrepowanym mokrym, wojskowym prześcieradłem. W nędznych pueblitos na dachu niemal każdego szalasu skleconego z adobe i liści palmowych siedział sęp albo myszołów w pozie znudzonego poborowego, trzymającego wartość. W każdych drzwiach tkwił identyczny tłumoczek łachmanów, zwieńczony nieruchomą twarzą wypełniającego go właściciela, nieodmiennie z potężnym puro w zębach i nierzadko z brudnym dzieckiem, uczepionym tłumoczka jedną ręką i pojadającym galaretkę z gwajawy drugą.

Na nocleg zatrzymali się w gaju cytrynowym, rozpinając między drzewami należący do Dionisia acahuatekański hamak. Z nadejściem nocy powietrze pochłodziło nieco, nic też nie zapowiadało deszczu, usiedli więc pod drzewem, popijając kawę, przysłuchując się odgłosom wydawanym

przez czerwonoskóre małpki, obserwując ćmy i zastanawiając się, czy nietoperze mogą przenosić wściekliznę. Wdrapywanie się do hamaka obfitowało w zabawne momenty, jako że bardzo trudno jest wgramolić się doń jednocześnie we dwoje, tak aby jeden z partnerów nie wylądował znienacka za burtą. W końcu Anika położyła się w poprzek hamaka, żeby go ustabilizować i umożliwić wejście Dionisiowi, i w ten sposób empirycznie odkryli sekret znany Indianom już od wieków, że miłość w hamaku najłatwiej jest uprawiać, jeśli się leży po przekątnej. Spali głębokim snem niewiniątek i rankiem obudzili się opuchnięci od ukąszeń i od samego świtu skoszeni palącymi promieniami słońca.

Dionisio jechał z wariacką szybkością, tak aby pęd powietrza ochłodził wnętrze samochodu i aby zdążyć przed czwartą do Puesto Grande, bo bardzo chcieli obejrzeć słynny zegar z Murzynem wybijającym godziny. Punktualnie o czwartej mała, poruszana mechanicznie figurka nieśmiało wyłoniła się ze swojej niszy, jakby z lekkim wahaniem czterokrotnie uderzyła w dzwon i natychmiast schowała się do środka. Ów cud techniki sprawił im srogi zawód, jak to najczęściej bywa z podobnymi cudami, ale i tak postanowili pójść do hotelu Miami jakoś ufetować jego obejrzenie. Po barze kręciło się stado kurcząt, a oprócz tego rezydował tam potężny wieprzek, żywiący się nie-dopałkami papierosów i ogarkami cygar.

- Czy nie uważasz, że my obydwójce jesteśmy locos? - zapytała Anika.

Kiedy zbliżali się do domu rodziców, Dionisio poczuł przyływ ciepłych uczuć, ogarniających go całego. Chociaż rodzina wywodziła się z Ipasueño, generał od tak dawna mieszkał już w prowincji Cesar, że Dionisio uważał Valledupar za swój prawdziwy dom, zwłaszcza że ekstrawagancja i kapryśność tego miasta idealnie odpowiadały jego naturze, tak iż wybacział mu nawet mordercze upały, gwałtowne ulewy, żarłoczne insek-

ty i natrętnie, ochryple granie świerszczy, rozbrzmiewające po zapadnięciu zmroku.

Rodzice zajmowali dom w stylu neokolonialnym, łuszczący się od farby i posiadający ocieniony dziedziniec wewnętrzny. Za domem wznosiła się rekonstrukcja oryginalnego Arystotelesowskiego perypatetykonu obrośnięta bugenwillą i rozciągał rozległy ogród, który matka Dionisia, zamiłowana ogrodniczka, mając zwyczaj upamiętniania każdego ważnego wydarzenia posadzeniem drzewa, przekształciła w coś w rodzaju sypiącego darami lasu. W rezultacie rodzina nieustannie cierpiała na nadmiar awokado, gwajawy i wszelkich cytrusów, tak że generał organizował nawet specjalne komanda i żołnierze zbierali owoce do koszy, które wystawiano potem przed bramą, obok budek strażniczych, gdzie wartownicy mieli rozkaz rozdzielać ich zawartość między ubogie kobiety i zgłodniałych podróżnych.

Sam dom sprawiał wrażenie pogodzonego z upływem czasu. Chociaż ciągle pamiętał okres wystawnych przyjęć i wizyt głów państwa, mimo to bez sprzeciwu przeszedł w stan spoczynku i poświęcił się hodowaniu róż, wspierając się na swych fundamentach bez żalu i goryczy. Hol zdobiły portrety rodzinne, włącznie z tym wyobrażającym conde Pompeyo Xaviera de Estremadurę, któremu generał w czasach młodości za pomocą wiatrówki dodał jeszcze jedną dziurkę w nosie, mszcząc się tym sposobem za pełne wyrzutu i nieustępliwości spojrzenie hrabiego. Ściany zajmowała kolekcja mieczy, pik i muszkietów z okresu kolonialnego, a obok stał niezwykle stary zegar, pochodzący jeszcze z czasów, kiedy nikomu się nie śpieszyło, dlatego też nie uznano za konieczne wyposażyć go we wskazówkę minutową.

Jeden z domowych kotów miał zwyczaj wrzucania do mechanizmu żywych myszy, tak że zamieszkiwała go obecnie niewielka, za to świetnie prosperująca kolonia tych zwierzątek, które z idealnym wyczuciem czasu nauczyły się, o której dokładnie godzinie należy schodzić z drogi poszczególnym częściom mechanizmu.

Rodzina Dionisia sięgała korzeniami daleko w przeszłość i miała w pełni udokumentowaną historię, co wszystkich jej członków napełniało krzepiącym uczuciem, że zasłużyli sobie na prawo do istnienia. Sam generał tak silnie tkwił w rodzinnych tradycjach, że chwilami zapominał, w jakim dokładnie wieku żyje, i dopiero żona musiała przypominać mu o tym. Obdarzony był pojednawczym umysłem, na twarzy nosił wyraz łagodnego zdumienia, w uczuciach zaś kierował się wojskowym zamiłowaniem do porządku, temperowanym dyskretnym miłosierdziem.

Z kolei w matce Dionisia z miejsca można było rozpoznać gorącą wielbicielekę Carmen Mirandy, co przede wszystkim zdradzało jej uczesanie, którego nie zmieniała od czasów młodości i w którym obecnie było jej tak samo do twarzy, jak dawniej. Była wegetarianką, ale - paradoksalnie - uwielbiała przyrządzać soczyste, pieczone mięsiwa i potem, dziobiąc spartańskie porcje duszonych warzyw, przyglądać się pałaszującej je rodzinie. Poza tym posiadała dar owej naiwnej, zawsze trafiającej w sedno bezpośredniości i o wiele lepiej rozumiała bliźnich niż wszyscy znawcy mrocznej metafizyki psychologicznej czy równie posępnej metafizyki chrześcijańskiej. Doskonale wyznawała się też na wszelkich zabobonach i przesądach, które praktykowała wytrwale, traktując je jednak raczej jako hobby i nie dając wiary żadnemu z nich. Jej mąż utrzymywał, że przyszła na świat o wiek za wcześnie, gdyż na całą okolicę słynęła jako salwatorka rannych zwierząt i ptaków. Generał wyznawał teorię, że postęp cywiliza-

cji należy mierzyć stosunkiem człowieka do zwierząt, i wykalkulował, że upłynie jeszcze ze sto lat, zanim reszta społeczeństwa zacznie je traktować w podobny sposób, jak to czyni jego żona; swoją hipotezę opracował, sięgając do statystyk Ministerstwa Rolnictwa, i sporządził potężnych rozmiarów grafik, który porządnie oprawiony w ramki, zawisał w korytarzu obok fotografii wszystkich jednostek, w których gospodarz służył.

Dionisio i Anika zajechali pod dom, minęli posterunki przy bramie, zaparkowali przed frontowymi drzwiami i zaczęli gramolić się przez okna, kiedy obiegił ich komitet powitalny, złożony ze służby, samego generała, zwierząt, zarówno domowych, jak i chorych, przygarniętych znajd, które dołączyły do reszty w obawie, że mogłoby je ominąć coś ważnego. Generał wycałował syna z dubeltówki, przytrzymał w rodzicielskim uścisku, wreszcie z galanterią pocałował Anikę w policzek, obdarzając ją jednocześnie wyszukany komplementem i gratulując Dionisiowi damy o takim wzroście. Z domu wyłoniła się mama Julia, która wyciskała wszystkich po kolei, nie wyłączając własnego męża, i z jednego spojrzenia na Anikę odczytała cały jej charakter. Wieczorem poinformowała syna, że zdążyła już pokochać Anikę za czystość jej duszy. Dionisio zaczął się rozwodzić nad rozlicznymi zaletami i czarem swojej kochanki, ale mama Julia parsknęła tylko i skwitowała krótko:

- Mówisz dokładnie to samo, co ja, tyle że mnie wystarczyło jedno zdanie.

Anika błyskawicznie dopasowała się do domowych zwyczajów, a Dionisio od pierwszej chwili na powrót objął rolę, jaką los wyznaczył mu w rodzinnym domu, czyli był jedynym spośród domowników (nie wyłączając służących, traktowanych przez rodziców niczym honorowi goście), któremu nie brakowało odwagi i jednocześnie nie dostawało wyobraźni,

by sprzątać kocie gówna, usuwać węże i pająki, dobijać okaleczone ptaki i pozbywać się gryzoni, którym dzięki czyjejś nieuwadze udało się wśliznąć do domu.

30. Alchemiczny szturm Jego Ekscelencji

Odkąd Jego Ekscelencja wraz z małżonką rozpoczęli praktykowanie alchemii seksualnej, pan prezydent dokładał wszelkich starań, by jego działania podbudowane były stosownymi podwalinami w zakresie metabolizmu.

Tego dnia, który miał być dniem nieubłaganej zemsty na El Jerarce, wlał w siebie hektolitry naparu z damiany sprowadzanej specjalnie z Meksyku. Ta wielce skuteczna roślina nie tylko posiadała właściwości afrodyzjakalne, ale także oddziaływała na psychikę w podobny sposób jak marihuana, którą Jego Ekscelencja już wcześniej wypróbował jako doskonały środek pobudzający. W dniach, kiedy praktykował swoje hermetyczne misteria, nie był zdolny rządzić państwem, w związku z czym gabinet pozostawał zamknięty, podczas gdy on wolnym krokiem przemierzał komnaty pałacu, gestykulując porywczo i mamrocząc coś do siebie, ilekroć jakimś niepożądanemu impulsowi z zewnątrz udało się przeniknąć zapieczętowane wrota jego przebywającej na wyższych poziomach świadomości.

Oprócz tego Jego Ekscelencja spożywał ogromne ilości guarany i catuaby znad Amazonki, które podczas jednej ze swoich rzadkich wizyt prezydenckich w interiorze otrzymał w podarunku od pewnego indiańskiego wodza wraz z objaśnieniami na temat ich działania. Zarówno jego umysł, jak i ciało funkcjonowały po nich wyśmienicie, tak że zbytecznym stawa-

ło się przyjmowanie jeszcze preparatów żeńszeniowych i ogromnych dawek witaminy E.

Ostatnio Jego Ekscelencja wyczytał gdzieś, że w Stanach Zjednoczonych wymyślono niezwykle sprytne urządzenie, coś w rodzaju hydraulicznego woreczka, wprowadzanego do ciał jamistych prącia. W dolnej części brzucha, na końcu przewodu, znajdował się pojemnik z chemicznie obojętnym płynem, w mosznie zaś umieszczona była pompka. Wystarczyło tylko dyskretnie, acz energicznie nacisnąć mosznę i płyn ze zbiorniczka przepływał do penisa, gwarantując imponującą erekcję, by zaś później spoczął z królewską godnością, należało w odpowiedni sposób nacisnąć dźwigienkę. Jego Ekscelencja uświadomił sobie, że mając zainstalowane to urządzenie, teoretycznie mógłby praktykować alchemię seksualną nieprzerwanie przez cały dzień. Posługując się zmyślonym nazwiskiem, zamówił nawet odpowiednią broszurkę, z dwóch powodów jednak nie zdecydował się na ów cudowny zabieg. Po pierwsze, nawał spraw państwowych nie pozostawiał mu zbyt wiele wolnego czasu, po drugie, sama myśl o chirurgicznej interwencji w takim miejscu napawała go irracjonalnym lękiem. Doceniając jednak spryt i humanitarny aspekt urządzenia, zmienił swoje nastawienie do Stanów Zjednoczonych i zaczął uważać ten przedsiębiorczy kraj za wzór cywilizacji, co z kolei sprawiło, że z większym zrozumieniem podchodził do żądań amerykańskiego rządu, domagającego się podjęcia odpowiednich kroków w celu złamania karteli narkotykowych.

Prezydent Veracruz i posłuszna jego woli małżonka spędzili cały dzień, odpędzając od siebie wszelką myśl o seksie, tak by nie uronić ani krztyny energii psychoseksualnej, potrzebnej podczas późniejszej kopulacji. Ta próba zatrzaśnięcia umysłów przed obrazami rozkoszy płciowych para-

doksalnie sprawiała, że nie potrafili skupić się na niczym innym i dlatego też co chwila wymie- rzali sobie nawzajem dość bolesne policzki, tak by doznanie bólu zniwelowało myśl o pożądaniu (powyższe wyjaśnienie powinno położyć kres krążącym pogłoskom, że prezydent i jego małżonka zwyczajnie powariowali, i uspokoić wzburzone umysły narodu).

Wczesnym wieczorem, kiedy księżyc w pełni świecił prosto w okna pierwszej sypialni kraju, Jego Ekscelencja i seniora Veracruz wzięli wspólną kąpiel, podczas której staranie obmywali wzajemnie swoje ciała, tak by spłukać z nich nie tylko trud sprawowania najwyższego urzędu, lecz także niewidoczne gołym okiem duchowe zanieczyszczenia, których w codziennym życiu nie sposób się ustrzec. Potem osuszyli się nawzajem ręcznikami świeżo wypranymi w andyjskiej źródlanej wodzie z odpowiednim atestem czystości, wolnej od wszelkich zanieczyszczeń chemicznych i przemysłowych i nabywanej w butelkach na Calle Fernando w Emporium Erasma Hildago, dostawcy rzadkich artefaktów i wyszukanych towarów luksusowych.

Zgodnie z udoskonalanym przez lata rytuałem, małżonkowie przebierali się każdy w swojej gotowalni. Jego Ekscelencja objawił się jako Ozyrys, w koronie atef, która z wyglądu przypominała nieco wielki, biały kondom, z przyczepionymi z przodu i z tyłu tłustymi, zielonymi robakami. Do podbródka miał przyklejoną długą woskową brodę, na samym dole wywiniętą ku przodowi, a jego ciało opinała biała szata, której krój naśladował bandażę mumii, jako że Ozyrys był nie tylko bogiem zmartwychwstania, lecz także bogiem sprawującym sąd nad umarłymi. W rękach dzierżył berło pasterskie heka i bicz, oblicze zaś przyobłókł w wyraz najwyższej powagi, przenikliwości i wzniosłości.

Seniora Veracruz ujawniła się jako niezwykle kuszące wcielenie Izydy. W rękę trzymała sistrum, na jej głowie natomiast wznosiła się imponująca konstrukcja, złożona z krowich rogów, których elegancka krzywizna obejmowała błyszczący dysk solarny. Czoło miała ozdobione zasuszoną głową kobry, pukle włosów opadały jej na uszy w autentycznym egipskim stylu, długie czarne sploty peruki podtrzymywała złota opaska, szyję oplatał finezyjnie zdobiony naszyjnik, a przedramiona i przeguby otaczały potrójne bransoletki. Szczupłe ciało pani prezydentowej spowijała biała szata bez ramiączek, prosta niczym zwykle prześcieradło, stopy były bose, oczy zaś, umiejętnie podkreślone czarną kredką, uzyskały uderzające podobieństwo do oczu boga Horusa.

Do komnaty przywiedziono gigantycznego czarnego jaguara, z czerwoną obrozą, błyszczącą od drogich kamieni, będącego pierwszym z magicznych dzieci prezydenckiej pary, aby dzięki obecności bestii mogącej być wcieleniem zarówno bogini Sekhmet, jak i Bastet atmosferę przeniknęła jeszcze większa dawka autentyzmu. W czasie trwania ceremoniału, jaki nastąpił później, majestatyczne zwierzę zwinęło się w kłębek na dywanie i zasnęło.

Małżonkowie, przybrawszy kształty odpowiednich bóstw, a co za tym idzie, wchłonawszy w siebie ich moc i siłę, stanęli naprzeciwko siebie i położyli sobie ręce na ramionach. Potem z wielkim namaszczeniem i powagą odmówili całe czterdzieści dwa wersy szlachetnego wyznania niewinności, występującego we wszystkich poważanych wariantach Księgi Umarłych.

Zakończywszy recytację, podczas której wspomagała się przyklepioną do ściany kartką, seniora Veracruz zwróciła się do swojego małżonka z inwokacją:

- Tyś moim królem, tyś zmartwychwstałym Ozyrysem, tyś mym kapłanem.

W tym momencie on rozpostarł ramiona, skrzyżowane na piersiach w geście Ozyrysa Umarłego, i wznosił je w górę dłońmi na zewnątrz, w geście Ozyrysa Żyjącego, następnie zaś wygłosił inwokację:

- Tyś mą królową, tyś żywą Izydą, tyś mą kapłanką. Potem rozebrali się nawzajem, nie ruszając się z miejsca i powściągając pragnienie nieprzyzwoitego bogom pośpiechu, wreszcie opadli na łożo, gdzie najpierw przez dłuższy czas pieścili nawzajem każdy zakątek swojego ciała jak najwolniejszymi i najbardziej delikatnymi ruchami, co jakiś czas robiąc przerwę, by odświeżyć się mrożonym szampanem, poleconym niegdyś prezydentowi przez francuskiego ambasadora jako niezwykle stymulujący środek w igraszkach seksualnych. Ów francuski dżentelmen utrzymywał, że na dnie żołądka znajduje się niewielka klapka, która zamyka się, ilekroć do żołądka trafi coś zimnego, a następnie odmyka, kiedy temperatura w środku podniesie się do poziomu umożliwiającego trawienie. Z otwarciem klapki cały szampan naraz ląduje w jelitach i stąd bierze się efekt nagłego przyływu wigoru.

Kiedy nie potrafili już dłużej zapanować nad męką pożądania i osiągnęli stan sprzyjający mistycznemu połączeniu, seniora Veracruz z majestatem bogini pochyliła się do prezydenckiego polla i zaprezentowała najbardziej subtelne i wyszukane skurcze mięśni, wyćwiczone w Panamie, tak by przez dłuższy czas oboje mogli balansować na granicy spełnienia. Chwilami Jego Ekszelencję ogarniała nieprzeparta pokusa eksplozowania organizmem i wtedy szybko skupiał wzrok na zadziwiającym przybraniu głowy małżonki, gdyż przekonał się, że ten trik pozwala mu wycofać się z nadkrawędzi przepaści.

Najbardziej wysublimowanym częścią rytuału zwykle towarzyszyły rozmaite paranormalne fenomeny, spowodowane intensywnością koncentracji i niezwykłym natężeniem rozkoszy. Tym razem wielki czarny jaguar uniósł się w powietrze i spał zwinięty w kłębek dokładnie metr nad podłogą, podczas gdy wskazówki pałacowych zegarów zatrzymały się, tworząc kąt prosty. Dodatkowo pokój wypełnił aromat asafetydy i woń palonego kminku, a seniora Veracruz wyraźnie poczuła dłonie anioła przesuwające się po jej plecach w górę i w dół.

Kiedy to nastąpiło, nie potrafiła już dłużej powstrzymać pożądania i zaczęła drzeć tak silnie, ogarnięta paroksyzmem rozkoszy, że przybranie z krowich rogów, otaczających tarczę słoneczną, spadło jej z głowy, a korona Jego Ekscelencji zsunęła mu się na oczy. To jednak bynajmniej nie wyrwało ich ze stanu najwyższej koncentracji, gdyż właśnie w tym momencie ponadnaturalnego zjednoczenia z całą mocą starali się wykreować w swoich umysłach wizję upragnionego „magicznego dziecka” - nagłej śmierci El Jerarki.

Po chwili, kiedy wielki kot opadł nagle na podłogę, a wszystkie zegary ruszyły, gubiąc po drodze dziesięć minut, seniora Veracruz leżała w ramionach męża, szlochając i dysząc.

- Och, tatuśku! - wołała. - Tatuśku, jeszcze!

Przez twarz prezydenta przemknął wyraz przerażenia, on zaś sam po raz kolejny zaczął rozważać wszystkie za i przeciw poddania się wiadomej operacji.

31. Sos guacamole i Nagi Admiral

Mamę Julię gorszyło nocne skrzypienie desek podłogi, kiedy kochankowie przekradali się do siebie, ufając, że szum sfluczki w excusado i granie świerszczy zagłuszą odgłos ich kroków. Ale generał powiedział tylko: „Do diabła tam, kobieto, przecież to oczywiste, że ci dwoje są małżeństwem dłużej nawet niż my”, i mama Julia zaprzestała dalszych uwag, tylko bardzo zacnie zaczęła udawać, że wszystkie noce pod jej dachem są nocami katolickiej czystości.

Mama Julia i generał wyjeżdżali na wakacje do Kostaryki i przed wyjazdem - tak jak to od dawna było uświęcone zwyczajem - zaprosili La Prima Primavera, aby zaopiekowała się domem. Nikt dokładnie nie wiedział, kto to taki ta La Prima Primavera i czy istotnie zalicza się do kuzynek, czy też nie, gdyż od tak dawna uważano ją za członka rodziny, że do prawdy nie miało najmniejszego znaczenia, czy aby przypadkiem nie jest oszustką, ani nawet czy rzeczywiście jest tą osobą, za którą się podaje. Mama Julia żywiła niezłomne przekonanie, że Dionisio, nawet mając do dyspozycji cały oddział służby, nie dałby sobie rady z domem, i byłaby bardzo zdumiona, gdyby kiedykolwiek zdarzyło jej się odkryć, że jej syn doskonale sobie radzi. La Prima Primavera pochodziła z plemienia Zamba i dawno już przekroczyła sześćdziesiątkę. Młodość strawiła na niewyobrażalnej wręcz rozpuście, starość postanowiła poświęcić znalezieniu sobie męża. Żaden psychiatra nie zdołałby uleczyć zaburzeń jej osobowości, polegających na absolutnej niemożności zrozumienia jakiegokolwiek dowcipu, mimo że przecież nie brakowało jej - dość, co prawda, wulgarnego - poczucia humoru, oraz na dosyć denerwującej skłonności do głośnego wypowiedziania sprośności. Miała też i inne słabostki, mianowicie zawsze zabierała się do rozwiązywania krzyżówek mamy Julii i wpisywała atramentem błędne odpowiedzi, co mamę doprowadzało do szaleństwa, dopóki nie

na- uczyła się chować magazynów z krzyżówkami do kufra przed przybyciem Primavera. La Prima Primavera była wszystkiego ciekawa, ale - paradoksalnie - nigdy nie miała o niczym pojęcia. Często czuła się dotknięta czyjąś uwagą, chociaż jej autor naprawdę nie miał zamiaru jej obrazić, i odwrotnie, celowo obrażana, zadawała się tego nie zauważać. Posiadała natomiast ten sam, co mama Julia, dar umiejętnego opiekowania się chorymi zwierzętami i, podobnie jak ona, doznawała poczucia czegoś nieuchronnego, ilekroć Dionisio przywoził do domu dziewczynę. Momentalnie jednak uległa czarowi Aniki, tak że zapomniała nawet odczuwać rozgoryczenie, widząc kochanków w objęciach. Dionisio zdradził Anice, że La Prima Primavera od czasu, gdy pracowała w Meksyku, stała się wielbicieleką sosu guacamole, i teraz oczekuje, że będą sobie życzyli tej potrawy każdego dnia; proroctwo, które spełniło się co do joty.

Kiedy La Prima Primavera zjechała już do domu, obładowana walizami, tak ciężkimi, jakby wypełniała je glina i sprasowana skała wulkaniczna, a generał i mama Julia udali się na wakacje, rozpoczął się najszcześniejszy okres w życiu kochanków. Anika odrzuciła swoje dotychczasowe zwyczaje, jak ktoś, kto pozbywa się krępujących go ubrań. Na ulicy trzymała Dionisia za rękę, całowała go czule na oczach stróżów moralności publicznej i wreszcie zaakceptowała fakt, że jest im lepiej we dwoje, niż każdemu z nich byłoby w pojedynkę.

Bez rodziców i z La Prima Primaverą mamroczącą przekleństwa i pochrapującą na drugim końcu domu, podczas gdy w jej snach wielbłądy o lwich głowach kopulowały z samym prezydentem, nietrudno było przekraść się do pokoju kochanki bez konieczności splukiwania najpierw excusado. Anika czekała pod moskitierą, młodziejąc z dnia na dzień, pełna

tych wszystkich gestów, które poprzedzają akt miłosny. Przygryzała dolną wargę i unosiła brwi, podczas gdy oczy jej jaśniały radością oczekiwania.

Najpierw leżeli obok siebie, czekając, aż opadną z nich wrażenia z całego dnia, rozkoszując się ciepłem swoich ciał, a potem ich dłonie podejmowały wędrówkę, po której następowała wędrówka języków i warg; jego wzdłuż jej smukłych nóg, jej przez jego szorstkie sawanny, aż wreszcie zapadali w sen, wyczerpani i odurzeni rozkoszą, podczas gdy sfrustrowane komary pokrywały moskitierę czarną wibrującą masą, która nieodmiennie w jakiś niewytłumaczalny sposób znikła o świtanie.

Pewnego wieczoru wybrali się w odwiedziny do Nagiego Admirała, przyjaciela rodziny, sprawującego urząd szefa komisji rekrutacyjnej marynarki w całym departamencie, który właśnie z racji pełnionej funkcji znalazł się setki kilometrów od morza, nie mając prawie nic do roboty poza wznoszeniem kolejnych zwariowanych budowli w swoim ogrodzie. Admirał był zagorzałym naturalistą i podobnie jak poprzedni gubernator prowincji, generał Fuerte, żywił patriotyczne zainteresowania ornitologią i lepidopterologią. W młodości sformułował teorię, że noszenie ubrań wpływa niekorzystnie na ilość produkowanej spermy, i od tego czasu przestał się odziewać, poza tymi chwilami, kiedy musiał wyjść poza teren własnej posiadłości, w związku z czym jego żona nigdy nie odważyła się wydać przyjęcia ani też zaprosić żadnej ważnej osobistości. Rzecz zadziwiająca, ten brak gościnności w żaden sposób nie wpłynął na opóźnienie jego awansu, co niewątpliwie miałoby miejsce w armii lądowej albo generalnie w służbach wojskowych innego państwa, na przykład Wielkiej Brytanii. Kiedy Nagi Admirał zdziecinniał na starość, w ogóle pozbył się ubrań i przez cały czas paradował nago, wychodząc z domu tak jak go Pan Bóg stworzył i nie mając pojęcia, dokąd idzie; podobnie po powrocie nie miał

pojęcia, skąd przed chwilą wrócił. Kiedy jego siwowłosa małżonka zmarła w końcu z upokorzenia, Nagiego Admirała zamknięto w domu starców, gdzie jego nagość nie była dla nikogo krępująca. Przebywając w tym życzliwym otoczeniu, nabrał zwyczaju witania wszystkich wchodzących z wyszukaną grzecznością, przez co sprawiał wrażenie, że jest właścicielem wydającym nieustające przyjęcie, aby powetować sobie życie bez zabaw towarzyskich w swoim dawnym domu w Valledupar. Umarł z pogodnym wyrazem twarzy i potężną erekcją, będącą niezbitym dowodem słuszności jego młodzieńczej teorii na temat produkcji spermy.

Nagi Admirał zwrócił się do Dionisia, ponieważ wiedział, że ten podczas wakacji zawsze rozgląda się za jakąś dodatkową pracą, a niezmiernie spodobała mu się idea, że kolejny z jego zwariowanych pomysłów będzie realizował stosunkowo znany filozof. Przy tej okazji jego myśli poszybowały ku śmierci i zapragnął wybudować mauzoleum w kształcie piramidy, takie samo, jak to, które wystawił sobie Nieobliczalny Jack Fuller, poseł do angielskiego parlamentu z Rose Hill w latach 1801-1812. Ten słynny Anglik stanowił prawdziwy wzór dla Nagiego Admirała, który zaprojektował już kopulastą rotundę, samotną wieżę, obelisk i kościelną iglicę bez kościoła, podążając za fantazjami brytyjskiego lekkoducha. Anika i Dionisio zaczęli studiować przedstawione plany, podczas gdy Admirał, wskazując grubym paluchem, który w przedziwny sposób zdawał się być bardziej nagi niż cała reszta jego ciała, objaśniał im swój zamiar. Dionisio natychmiast zauważył, że projekt absolutnie nie nadaje się do realizacji. Przede wszystkim w okolicy nie ma odpowiedniej ilości kamienia, poza tym zaprojektowana budowla jest tak wysoka, że niezbędne byłoby skonstruowanie rusztowań z desek i trzciny, a to od razu podniosłoby koszty. Admirał podumał przez chwilę i zgodził się, aby zewnętrzny mur wznie-

siony został z tapiales obrzuconych zaprawą glinianą. Uznał też, że wystarczy taka wysokość, by po śmierci zmieścił się w swym grobowcu w pozycji siedzącej, nago, w cylindrze na głowie i z butelką klaretu w prawicy.

- A czy ty wiesz, Dionisio, dlaczego ten Ingles nie zgodził się na normalny pochówek? Tłumaczył, że zjadłyby go robaki, które potem pożarłyby kaczkę, które z kolei wylądowałyby w żołądkach jego własnych krewnych. Bał się, że dojdzie do kazirodczego kanibalizmu, pojmujesz? I jeszcze jedno. Podłoga w mauzoleum ma być wysypana tłuczonym szkłem, żeby diabeł, kiedy przyjdzie po mnie, przeciął sobie stopę.

Zjawiała się żona Nagiego Admirala, przynosząc filiżanki z guarapą i plastry ananasa. Była to siwowłosa dama, z niezmiennym rumieńcem zażenowania na twarzy, wywołanym postępowaniem męża. Uważała, że do jej obowiązków należy je jakoś rekompensować, i dlatego zachowywała się w sposób szalenie staroświecki, szafując bez przerwy wyszukanyimi i niezwykle subtelnymi komplementami, które część osób odbierała jako niezamierzony sarkazm, inni jako celową ironię, niektórym wreszcie kojarzyły się z oracją pogrzebową, wygłaszaną nad trumną bohatera narodowego. Od lat pochłaniał ją jakiś mglisty problem badawczy, któremu poświęcała niemal cały swój czas. Często wdawała się w wyczerpujące objaśnienia, opowiadając o kwerendach archiwalnych, nie wspomniawszy jednak ani słowem o przedmiocie swoich poszukiwań. Kiedy po śmierci generałowej przejrzano jej papiery, okazało się, że przez dwadzieścia lat zajmowało ją zbieranie i porządkowanie wszystkich wzmianek o królikach w literaturze europejskiej, poczynawszy od starożytnego Rzymu. Wykonawcy testamentu nigdy nie dowiedzieli się, do jakiej konkluzji doszła, kiedy umarła z upokorzenia, siedząc przy biurku, z piórem w dłoni, zdążywszy jedy-

nie napisać: „Wnioski końcowe”, u góry dziewiczo poza tym czystej kartki.

Wyszędłszy od Nagiego Admirala, Anika i Dionisio zaczęli dyskutować, czy staruszkowie są szaleni, czy też nie, by w końcu dojść do wniosku, że wyglądają na parę najzupełniej normalnych ludzi, posiadających po prostu mnóstwo pieniędzy i wolnego czasu.

W drodze do domu, kiedy Dionisio pogrążył się w rozważaniu szczegółów konstrukcyjnych mauzoleum, Anika z prawdziwym zdumieniem w głosie, powiedziała coś, co cisnęło jej się na usta od chwili, gdy po raz pierwszy rzuciła ukradkowe spojrzenie na Nagiego Admirala:

- Czyś ty zauważył ten ogromny supeł na jego polla?

32. Taniec ognia (1)

Nazywano go Lazaro, ale jego prawdziwe imię brzmiało Procopio. Miał też wiele innych przywisk, jakie przyłgnęły do niego w ciągu całego jego życia. Nikt nie wiedział dokładnie, jakimi drogami przeniosła się choroba; wiadomo było tylko, że kiedy Lazaro, jeszcze jako mały chłopiec, mieszkał z rodzicami nad Amazonką, miał oswojonego pancernika, który zachorował i zdechł, i być może właśnie to zwierzątko było rozsadnikiem zarazków.

Procopio urodził się w rodzinie cabocłów, zamieszkującej zbitą z pali chatę skrytą w lesie. W porze suchej polowali na jaguary i oceloty dla skór, w porze deszczowej chwyтали delfiny i zabijali papugi, żeby zdobyć pióra. Niektórzy utrzymywali, że los, jaki spotkał Lazara, spowodowany był klątwą ciężącą nad wszystkimi, którzy zabijają delfiny, według innych natomiast, jego chorobę zesłał gniew boga jaguarów. Prawdą było, że są-

siedzi raczej unikali rodziny Lazara, bo przecież delfiny czasami przybierają postać ludzką i niejedna dziewczyna zaszła w ciążę podczas fiesty właśnie za ich przyczyną. Delfinice łączą się z mężczyznami za pomocą tak wyszukanych skurczów płetwy ogonowej, że wielu nie dość ostrożnych śmiazków utonęło, oddając się ekstazie. Kiedy wydarzy się takie nieszczęście, samice delfinów godzinami krążą wokół ciała, wyrażając śmiechem swoją boleść i żal i popychając jednocześnie topielca ku brzegowi, żeby nie pożarły go kajmany i żeby spoczął w ziemi, pochowany jak się godzi. Delfiny uratowały już życie niejednemu tonącemu. Zdarza się też, że przez pomyłkę usiłują ratować tych, którzy bynajmniej nie toną, tylko nurkują w poszukiwaniu żółwi. Nie można mieć im tego za złe, gdyż po raz kolejny potwierdzają opinię, jak bardzo sympatycznymi są stworzeniami. Caboclowie pozwalają delfinom podkradać ryby z sieci, a kiedy delfiny przybierają postać ludzką i przepięknie umięśnione, z oczami ubarwionymi każde inaczej, wynurzają się z wody, nie zdarzyło się jeszcze, aby ktoś, kogo uczyniły swoim wybrankiem, odrzucił ich miłość, gdyż nie godzi się odmawiać kochankowi, który potrafi kochać tak czule. Delfinie dzieci zawsze powracają do wody, stąd też niewykluczone jest, że istnieją całe obszary zamieszkane przez delfiny będące w połowie ludźmi, co zabijanie tych zwierząt czyni podwójną zbrodnią. Poza tym delfiny darzą się nawzajem miłością tak pełną, czułą i romantyczną, że w widomy sposób zostały zesłane nam przez Boga, aby swoim przykładem nauczyć nas czynić to samo.

Tak wielką moc ma miłość delfinów, że maść sporządzona z genitaliów samicy bufeo, wtarta w przyrodzenie kobiety, czyni ją nieodpartą dla wszystkich mężczyzn; stąd też środek ów poszukiwany jest nie tylko przez canoeiras, prostytutki uprawiające swój proceder w kanoe pływają-

cych w górę i w dół strumienia, popychanych wiosłami stręczycieli, ale także przez kobiety cierpiące z powodu wiecznego nienasyceńia, a wreszcie i przez takie, które potrzebują pomocy, jeśli chcą zdobyć kochanka. Zdarzają się podróbki owej maści, mającej charakterystyczny cierpki zapach i oleistą konsystencję, ale kwitnie też cały nielegalny rynek, zajmujący się dostarczaniem towaru pierwszej jakości. Kupuje się go po cichu u owych przeklętników, którzy za nic mając prawo boże, zabijają delfiny.

Rodzina Lazara czerpała spore profity z polowań na te zwierzęta, ale nikt nie chciał się z nią przyjaźnić i nikt też nie był zdumiony, kiedy Lazaro zachorował, choć początkowo choroba czyniła tylko niewielkie postępy i ludzie przez dłuższy czas niczego nie zauważali. Potem zaczęto, mylnie zresztą, spekulować, że cierpi na leiszmaniozę, owo deformujące ciało schorzenie, którym można się zarazić od much piaskowych, w końcu jednak stało się jasne, co mu tak naprawdę dolega, i wówczas musiał odejść.

Zaczął się od drobnych zaognionych ranek, którymi nie zaprzętał sobie specjalnie głowy. Później zauważył, że pod koniec dnia miewa opuchnięte nogi, ale do rana opuchlizna znikwała, więc nauczył się wzruszać tylko ramionami i akceptować swoją przypadłość jako niewielki krzyż, który przyjdzie mu znosić tak długo, dopóki nie wyzdrowieje. Nos zawsze miał zatkany i od czasu do czasu wydmuchiwał z niego płaty krwawego śluzu. Kiedy chcąc go oczyścić, wkładał palec do dziurki, odrywał całe strupy, które później zakopywał, mamrocząc przy tym despacho przeciw chorobie.

Komuś, kto żyje w lesie niemal nago i większość czasu spędza w wodzie, rzadko bywa za gorąco, szczególnie w cieniu potężnych drzew, ale kiedy Lazaro wracał z polowania cały spocony, jego matkę uderzyło, że ciemna skóra syna przybiera odcień jakby miedziany, głównie na rękach i

nogach, przypuszczała jednak, że to indiańska krew doszła w nim do głosu, zwłaszcza że tak dużo czasu spędzał w samotności.

Lazaro zdążył ożenić się z Rajmunda i spłodzić dwójkę dzieci, kiedy jego twarz pokryła się naroślami. Po pewnym czasie Rajmunda nie potrafiła już się przemóc, aby go dotknąć albo pocałować, i oddawała mu się - z coraz większą niechęcią - wyłącznie pod osłoną ciemności. Jego własne dzieci, niewinne maleństwa, nieśmiało uchylały się od jego pieszczot i Lazaro nieraz szlochał rozpaczliwie w głębi lasu. Poszedł po poradę do cascabele, którego strój składał się wyłącznie z ogonów grzechotników, poszedł do paje znajdującego zakłęcia, żaden z nich jednak nie potrafił usunąć narośli pokrywających jego niegdyś ładną twarz.

Uszy mu nabrzmiały, skóra na twarzy pomarszczyła się w grube fałdy, przez co ludzie nazwali go „słoniem”. Kiedy popuchły mu nogi, przewisko nabrało wyjątkowej trafności. Ktoś rzucił, że widocznie jeśli ochrzcić go imieniem jakiegoś zwierzęcia, Lazaro wkrótce się do niego upodobni, więc wszyscy na wyprzódki zaczęli wymyślać dla niego rozmaite przezwiska, ciesząc się złośliwie z tego okrutnego eksperymentu. Kiedy przezwali go lwem, jego nos spłaszczył się i poszerzył, a brwi i rzęsy najpierw przerzedziły, by następnie zniknąć zupełnie. Kiedy jego skóra zrobiła się sucha i jakby łuskowata i kiedy zaczęto przezywać go rybą, Lazaro obudził się pewnego ranka i zobaczył, że Rajmunda od niego odeszła, zabierając ze sobą dzieci. Niezdolny znieść już dłużej swojej udręki, wsiadł do kanoe i powiosłował w górę rzeki, ku sierze, tam gdzie na wysokościach człowiek umiera bliżej Boga i z większym spokojem w sercu.

33. Mauzoleum

W Ipasueño przyjaciele wkrótce zauważyli, że Dionisio gdzieś przepadł. Ponieważ nie zawracał sobie głowy informowaniem kogokolwiek o swoich planach, wszyscy zgodnie doszli do wniosku, że w końcu padł ofiarą morderstwa. Niektórzy upewnili się jeszcze, odwiedzając jego dom, jednakże ani Jerez, ani Juanito nie mieli pojęcia, gdzie mógłby się podziać, nikt też nie widział w mieście jego charakterystycznego samochodu. Pomysł, że miałyby wyjechać na wakacje, odrzucono jako niedorzeczny, gdyż nikt nie wierzył, by jego gruchot potrafił pokonać jakikolwiek dłuższy dystans, w dodatku po drogach, które nawet dla traktorów były ledwo przejezdne. Przyjaciele założyli więc żałobne opaski na rękawy i zaczęli opowiadać o jego śmierci, aż wieść obeszła całe miasto i wreszcie sam El Jerrarca dowiedział się, że powszechnie przypisuje mu się czyn, którego tak naprawdę nie umiał dokonać. Jerez wpadł na pomysł, aby zorganizować aukcję rzeczy Dionisia i sprzedać je zbieraczom memorabiliów i dopiero Juanito musiał go powstrzymać, przypominając, że niczego nie należy ruszać bez zezwolenia rodziny. Ramon w głębi duszy był przekonany, że Dionisio żyje i ma się wyśmienicie, ale uznał, że pogłoski o jego śmierci znakomicie przyczynią się do tego, aby lokalna opinia publiczna zwróciła się przeciw baronom kokainowym. Senior Moreno, doskonale poinformowany o tym, dokąd udała się jego córka wraz z Dionisiem, wybrał się w kolejną podróż, aby zakupić kałasznikowy od pewnego oficera armii, który otrzymał je od pewnego kokainowego capo w zamian za materiały wybuchowe, za pomocą których ów narkotykowy gangster planował wysadzenie w powietrze redakcji „La Prensa”. Ten z kolei kupił kałasznikowy od partyzantów z Armii Wyzwolenia Ludu, a transakcja stanowiła część umowy, zgodnie z którą tak zwani komuniści mieli w zamian za gotówkę ochraniać trasy przerzutowe koki. Pierwotnie Armię Wyzwolenia Ludu

zaopatrzył w kałasznikowy senior Moreno we własnej osobie, nabywszy je uprzednio od kapitana panamskiego statku handlowego w Barranquilla, który kupił je od arabskiego handlarza bronią, który z kolei kupił je w Angoli i od afgańskich mudzahedinów, do których trafiły pod odbyciu długiej służby w Wietnamie. Nabywając teraz tę dobrze wysłużoną, tułacza broń, senior Moreno zarobił sporą gotówkę i nie miał pojęcia o rzekomej śmierci przyjaciela córki, dopóki nie stało się powszechnie znane, że ów bynajmniej nie jest martwy.

Szefową wydziału, na którym zatrudniony był Dionisio, była pewna lubująca się w dramatach dama i to właśnie ona podjęła przedwczesną decyzję zawiadomienia „La Prensa” o jego śmierci w zagadkowych okolicznościach, dostarczając jednocześnie do gazety egzaltowany hołd w postaci wspomnienia pośmiertnego. Jedynymi osobami niewierzącymi w śmierć Dionisia były kobiety z obozowiska, które utrzymywały, że bohater ukazuje im się we śnie i zapewnia je, że nadal przebywa między żywymi, wlewając otuchę w ich serca. Żadnej nie nękało uczucie straty czy opuszczenia, spowodowane jego nieobecnością, i niebawem okazało się, że tylko one miały rację co do jego losów, a to wyłącznie dlatego, że jako jedyne nie podeszły racjonalnie do problemu jego zniknięcia. Kiedy Dionisio powrócił w końcu do Ipasueño, przekonał się, że jego stanowisko uznano za wakujące, a wydziałowi filozofii świeckiej po wieczne czasy nadano jego imię, że rozpisano publiczną zbiórkę pieniędzy na jego pomnik, który miał stanąć na plaza, w wypadku zaś gdyby kiedykolwiek miały się odnaleźć jego zwłoki, także i na rokokowe mauzoleum w wyjątkowo podłym guście. Obie te budowle El Jerarca planował już wysadzić, kiedy usłyszał od ludzi w Valledupar, że Dionisio żyje i dobrze mu się powodzi, a wtedy przystąpił do opracowania innego planu, podsuniętego mu przez samego

seniora Moreno, który uznał, że jedynym sposobem ocalenia życia Anice jest odseparowanie jej od kochanka.

Kiedy w Ipasueño rozgrywały się powyższe wydarzenia, Anika i Dionisio, zadowoleni i szczęśliwi, sporządzali drewniane szalunki na tapiales i konstruowali drewniany model mauzoleum Nagiego Admirala, odbywali niekończące się sjesty, zjadali ogromne ilości sosu guacamole przyrządzonego przez La Prima Primavera i kochali się leniwie w obezwładniającym upale późnego wieczoru. Całe dni spędzali umorusani jak nieszczęście, co gorszyło niektórych, mających odmienne wyobrażenie o tym, jak powinien się prezentować generalski syn.

Wznoszenie mauzoleum okazało się ciężką harówką, gdyż Dionisio zaprojektował głębokie fundamenty, tak by budowla oparła się trzęsieniom ziemi i huraganom, pragnął bowiem, by przetrwała jeszcze długo po jego śmierci, stanowiąc widomy ślad istnienia twórcy na tej ziemi. Sęk w tym, że miejsce wybrane na wykop stanowiło prawdziwy detrytus całych stuleci wiejskiego osadnictwa. Łamliwy szpadel, wybrany spośród narzędzi ogrodniczych matki, co chwila natrafiał na skorupy naczyń, cegły, korzenie drzew, splecione z drutu sieci, ośle podkowy, ostrza toporów, nierozpoznawalne kawałki żelastwa, a nawet muszkiet porzucony przez jakiegoś zapomnianego konkwistadora, wyruszającego w swoją ostatnią drogę, wprost ku śmierci. W obezwładniającym upale Dionisio wypacał całe hektolitry wody, która spływała mu po torsie i zalewała oczy, aż Anika musiała go zmieniać przy kopaniu, dopóki ona także nie miała już dość, i wtedy szli do kuchni przymówić się o kolejne szklanki soku owocowego u sprzedawczą grzeczną służby Nagiego Admirala.

W końcu Dionisio zwrócił się do regimentu wojsk inżynieryjnych i powołując się na swojego ojca, pożyczył koparkę, z którą Anika natychmiast

doszła do porozumienia i zgrabnie wykopała fundament w przeciągu zaledwie kilku godzin, podczas gdy cała służba i liryczna żona Nagiego Admirala przypatrywali się jej z podziwem, usadowieni na krzesłach pod drzewami. Od tego czasu sędziwy ogrodnik zaczął uparcie twierdzić, że Anika w rzeczywistości jest mężczyzną, zupełnie ignorując jej krągłe piersi, których przecież nie sposób było nie zauważyć pod bluzką.

Pracy kochankowie poświęcali zaledwie kilka krótkich godzin; zresztą żadna praca na tym świecie nie jest wykonywana inaczej. Harowali przez całe rano, zanim jeszcze zapanował taki upał, że nawet drzewa oblewały się potem. Żona Nagiego Admirala bez przerwy donosiła im rozmaite orzeźwiające napary ziołowe. Sporo czasu spędzali, przesiadując w cieniu, leniwie ciskając niedopałkami papierosów w jaszczurki i rozprawiając o rozmaitych skandalach w Ipasueño. Potem udawali się do domu, gdzie palaszowali rozmaite fantazje na temat sosu guacamole w wykonaniu La Prima Primavera, i podczas sjesty, rozciągnięci w hamakach rozwieszonych w altance stanowiącej kopię Arystotelesowskiego perypatetykonu, drzemali albo przypatrywali się ptakom w zaroślach bugenwilli. Gdy tylko wieczorem zaczynało się ochładzać, ponownie zabierali się do dzieła, pracując z mozołem regularnymi zrywami energii i z każdym dniem mogli obserwować przepiękną konstrukcję, coraz wyżej wznoszącą się ponad ziemię. Dionisio spoglądał na Anikę, której twarz błyszczała dumą z ich wspólnego dokonania, i sam był dumny z tego, że Anika tak rzuciła się do tej ciężkiej, fizycznej harówki, bardziej odpowiedniej dla więźniów w kolonii karnej.

Kiedy zmierzch jednym skokiem przeradzał się w ciemność i wężące krew nietoperze opuszczały dziuple w pniach drzew, wokół których ziemia przybrała barwę szkarłatną od spływających kropli czystej krwi, ko-

chankowie wracali do domu, myli się i raz jeszcze kładli do hamaków wiszących pod bugenwillą.

Wracając w myślach do tego okresu, Anika z wielką radością wspominała wznoszenie mauzoleum, zwłaszcza zaś dzień, w którym wypili dwie butelki chilijskiego wina, a flaszki roztrzaskali o ziemię, tak aby diabeł rozciął sobie stopę. Z okazałego stosiku pesos, jaki zaofiarował im Nagi Admirał jako zapłatę, zgodziła się przyjąć tylko jedną trzecią, żeby więcej zostało dla Dionisia na wakacje w Nueva Sevilla.

34. Kiedy oficerowie armii okazują się demokratami, można mieć nadzieję

Tego ranka Dionisio obudził się z posmakiem surowej cebuli w ustach i uczuciem, że całe jego ciało spowija lepka pajęczyna. Otrząsnąwszy się z resztek snu, uświadomił sobie, skąd bierze się to doznanie: przecież wieczorem miał przyjść brat Aniki, odbywający kurs antyterrorystyczny w garnizonie w Valledupar. Dionisio nie dość, że żywił zapiekłą niechęć do wszystkich wojskowych poza własnym ojcem i tymi, których znał osobiście, to jeszcze nie znosił niczego, co odciągało uwagę Aniki od niego samego. Anika i jej siostra Eloisa uwielbiały brata, służącego w elitarnym oddziale Portachuelo Guards, i Dionisio przypuszczał, że przyjdzie mu spędzić wieczór w towarzystwie krótko ostrzyżonego neofaszysty, z ustami pełnymi frazesów, przyzwyczajonego do tego, że wszyscy otaczają go podziwem.

Kiedy młody kapitan zajechał dżipem w chmurze wirującego pyłu i kiedy warta przy bramie oddała mu honory, Dionisio poczuł, że robi mu się niedobrze na widok tego prawie dwumetrowego, przystojnego mężczy-

zny, wyglądającego niczym nordycki młody bóg, z rzędem baretek rozmaitych odznaczeń zdobiących jego pierś. Anika, której oczy płonęły siostrzanym uwielbieniem, zaproponowała pójście do lokalu, na co Dionisio przystał z wielką niechęcią, gdyż irytacja niczym ogniste mrówki kąsała go po całym ciele, tak że tylko z trudem zdobywał się na uprzejmość. W barze jednak z wolna odtajał, doszedłszy do wniosku, że ten oficer w końcu nie jest taki zły, zwłaszcza kiedy Anika szepnęła mu do ucha, że brat czuł ogromną treść przed spotkaniem z nim, osobistością sławną z powodu swoich listów i jednocześnie kandydatem do palmy męczeńskiej z rąk mafii narkotykowej.

- Przybyłem tu przekonany, że pan nie żyje - mówił kapitan. - Nie dalej jak dzisiejszego ranka znalazłem pański nekrolog w „La Presse” i byłem przygotowany, że wieczór przyjdzie mi spędzić na kojeniu bólu siostry. Proszę sobie wyobrazić moje zdumienie, kiedy znalazłem pana nietkniętym.

Dionisio poczuł się podniesiony na duchu, że wojskowy czytuje gazetę na tym poziomie, i jednocześnie zaskoczony pomysłem, że ktoś mógł go tak bez powodu uznać za zmarłego.

- Czy ma pan ten numer „La Presse”? - zapytał.

Odczytał swój własny nekrolog i artykuł redakcyjny, bolejący nad tą stratą i wynoszący pod niebiosa jego męstwo, i zaraz zaczął układać dowcipny list, anonsujący jego dalszy, niczym nieprzerwany żywot. Pozostała dwójka z zapalem przyłączyła się do zabawy i niebawem wszyscy troje zanosili się od śmiechu, opróżniając butelki w tempie, które napełniłoby obawą nawet pogrążonego w najgłębszej melancholii mieszkańca Półwyspu Skandynawskiego.

Teraz, kiedy całe skrępowanie minęło, a Dionisio zapomniał o swoich uprzedzeniach, obaj mężczyźni odkryli, że mają wiele wspólnych tematów. Kapitan opowiadał o kursie oficerskim, który okazał się zwykłym praniem mózgow i jednocześnie prawdziwą lekcją brutalności i okrucieństwa, tak że niejednokrotnie podczas jego trwania był bliski samobójstwa, że oficerowie nigdy nie mieli pojęcia o poczynaniach podoficerów, wreszcie o tym, jaką ulgę przyniósł mu przydział do Portachuelo Guards, wysoko w górach. Co więcej, jako młody porucznik służył w tym samym oddziale, który brał udział w uwolnieniu więźniów politycznych, przytrzymywanych przez niesławny Escuadron de la Muerte pułkownika Asada. Wspominał, jak dowodzeni przez generała Fuerte wkroczyli o jedenastej rano do Elektryczno-Mechanicznej Szkoły Saperów i ujrzeli piekło na ziemi. Wargi kapitana drżały, kiedy opisywał swąd spalonych ciał, pokrywającą wszystko warstwę krwi i ekskrementów, straszliwie okaleczonych więźniów, błagających, aby ich dobić.

- Nie, nie potrafię opowiadać dalej - zakończył. - Moim zdaniem, generał Fuerte okazał się wyzwolicielem na miarę San Martina i Bolivara. Nie będziemy już mieli drugiego takiego jak on.

Dionisio poczuł wzruszenie, a jego oczy wypełniły się łzami na wspomnienie generała.

- Dla mnie także był ideałem bohatera. Ale wszyscy wiemy, że zginął z rąk żołnierzy. Nawet pogrzebu nie uszanowali, tylko wysadzili w powietrze karawan. Mój własny ojciec, który objął po nim stanowisko gubernatora, oświadczył to publicznie podczas konferencji prasowej.

Kapitan pochylił się do przodu i odezwał się z powagą:

- Nie popełniaj tego błędu, aby wierzyć, że mundur czyni z człowieka bestię. Pamiętaj, że to armia zaprowadziła później porządek. Ludzie tacy jak twój ojciec.

- I ty sam.

- Proponuję wzniesć toast - powiedział kapitan - za demokrację i za pamięć generała Carla Marii Fuerte.

- Niech żyje demokracja, niech żyje pamięć o generale.

Wypili głęboki łyk i przez dłuższą chwilę siedzieli w milczeniu. Kiedy późnym wieczorem przyszło im się pożegnać, kapitan i Dionisio najpierw długo ściskali sobie dłonie, a potem padli w objęcia.

- Mam nadzieję, że zobaczymy się wkrótce, Dionisio. Pisz dalej swoje listy.

- Anika, przypomnij mi, żebym dał im znać, że żyję. Mnie to z pewnością wyleci z głowy i potem będą sądzili, że mój kolejny list jest dziełem jakiegoś oszusta. Felipe, jesteś pierwszą osobą, która każe mi dalej pisać. Wszyscy inni nakłaniają mnie, abym przestał.

- Generał Fuerte nie przestał. Jesteś generałem w cywilu i walczysz w tej samej wojnie. Ale, na miłość boską, uważaj pośród tego wszystkiego na moją siostrę.

Kiedy kapitan odszedł, Dionisio zauważył:

- To bardzo miły człowiek. Polubiłem go, mimo że jest wojskowym.

- Przez cały wieczór nie daliście mi dojść do słowa - poskarżyła się Anika, ale zaraz się zreflektowała. - Wcale mnie nie dziwi, że wy dwaj doszliście do takiego porozumienia. Macie tak podobne charaktery, że moglibyście być braćmi.

- Dzień, w którym stałem się podobny do oficera, jest dniem, w którym cały świat musiał się zmienić.

- Wobec tego istotnie się zmienił.

Dionisio i Felipe nie zobaczyli się już więcej aż do tego dnia w Cochabambajó de los Gatos, kiedy ku swemu wzajemnemu zdumieniu odkryli, że walczą ramię w ramię w tej samej sprawie.

CZEŚĆ DRUGA

*Oto ściga wróg duszę moją, życie moje przygniata do ziemi,
zmusza mnie, abym zamieszkał w ciemnościach, jak ci, co dawno umarli.*

I zemdlał we mnie mój duch, serce we mnie struchlało.

Wspominam dni dawne.

Psalm 143, 3-5 (przełożył Czesław Miłosz)

35. Dziennik Aniki (2)

Od czego mam zacząć? Od początku? To wszystko jest takie przerażające, jakby żywcem wzięte z jankeskiego filmu. Któregoś wieczoru otrzymałam pilny telegram z Ipasueño, rzekomo od mojego ojca, wzywający mnie do natychmiastowego powrotu do domu. Przestraszyłam się, bo przecież Bóg wie co mogło się wydarzyć, ale nawet przez myśl mi nie przeszło, że rzeczywistość okaże się aż tak potworna. D. zaofiarował się, że mnie odwiezie, ale powiedziałam, że pojedę pociągiem i autobusem. Za-

proponował więc, że przynajmniej pokryje połowę ceny biletu, ale odparłam, że nie.

Kiedy wreszcie dojechałam na miejsce, byłam potwornie zmęczona i bardzo niespokojna, ponieważ przez całą drogę łamałam sobie głowę, co takiego mogło się wydarzyć. Przed domem zobaczyłam samochód zaparkowany tuż obok wejścia, a w nim dwóch mężczyzn oglądających komiksy. Serce we mnie zamarło, ponieważ dla nikogo nie stanowi tajemnicy, że ta dwójka to płatni killerzy na usługach tego tłustego ścierwa El Jerarki. Jednego nazywają El Guacamayo, ponieważ zawsze paraduje wystrojony niczym papuga, w najbardziej jaskrawych kolorach. Ma wstawione złote zęby, a wokół siebie rozsiewa zabójczą woń tanich perfum, bo pewnie wyobraża sobie, że wszystkie dziwki pomdleją od samego zapachu. O drugim mówią El Chiquitin, bo jest taki mały.

Już miałam uciekać, kiedy El Guacamayo wycelował we mnie pistolet i powiedział coś w rodzaju:

- Do środka, chica, albo zarobisz kulkę już teraz. Mamy ci coś do przekazania od kogoś bardzo ważnego.

W ustach poczułam nagłą suchość, a serce waliło mi, jakbym lada moment miała stracić przytomność. Widziałam już siebie, najpierw zgwałconą, a potem pokrajaną na kawałki, bo ci dranie tak właśnie postępują z kobietami. Ręce drżały mi tak, że nie potrafiłam trafić kluczem do zamka, i El Guacamayo wyrwał mi kluczyki z ręki i sam otworzył drzwi.

Ciągnąc za włosy, zawlekli mnie do salonu, popchnęli tak mocno, że upadłam na podłogę, i zaczęli mi urągać.

- Jak ci się wydaje, flaca, co z tobą zrobimy? - mówili. -A jakbyśmy tak obcięli ci piersi i zrobili z nich sobie portmonetki? Albo może lepiej powiększymy słodką dziurkę, żeby twój słynny kochanek miał większą

przyjemność? Obejrzymy sobie to miejsce, które on tak bardzo kocha, i zdamy mu później szczegółowy raport.

Próbowałam się podnieść, ale oni cały czas mnie popychali. Powtarzałam w kółko: „Jde, dlaczego? Dlaczego?“, i błagałam ich, żeby mnie puścili. W pewnej chwili El Guacamayo zapytał:

- Co każdy człowiek kocha najbardziej na świecie? Tamten mały pokurcz odparł na to:

- Swoją rodzinę, oczywiście.

A wówczas ten łajdak powiedział coś w tym rodzaju:

- Właśnie. A teraz, quapacita posłuchaj tego, co ma ci do powiedzenia ktoś bardzo ważny. Porzuć Dionisia Vivo, albo zabijemy najpierw twojego ojca, potem twoją siostrę, potem twojego brata, potem twoją macochę, potem psa twojej macochy, a na końcu ciebie; dokładnie w tej kolejności.

Nie przestawałam powtarzać: „Jde dlaczego, dlaczego?“, i El Guacamayo wytłumaczył mi:

- Dlatego, że wpadnie nam za to ładny grosz.

Obaj wybuchnęli śmiechem, ponieważ wydało im się to niezwykle dowcipne, a potem powiedzieli jeszcze:

- Jeśli szepniesz choć słówko temu Vivo albo komukolwiek innemu, wtedy także umrzesz. Wolno i w boleściach.

Jeszcze raz powtórzyłam: „Dlaczego?“, na co ten mały powiedział:

- Bo samego Vivo nie damy rady dopaść. Nie uważasz, że to będzie wyśmienity rewanż? Nam też się tak wydaje.

I znowu zaczęli się śmiać i ciągnąć mnie za włosy, aż zwymiotowałam na dywan, co wprowadziło ich w jeszcze lepszy humor.

- Ile dajecie mi czasu? - zapytałam, a oni na to:

- Jeden miesiąc. Wystarczy na parę pożegnalnych numerów.

Potem wstali i zaczęli poprawiać sobie ubrania przed lustrem, zupełnie jakby byli gwiazdami filmowymi albo kimś takim. El Guacamayo, to śmierzące ścierwo, przeczesał sobie włosy i natarł je oliwą, a potem zbliżył się, złapał mnie i usiłował pocałować, aż zrobiło mi się niedobrze i zacisnęłam zęby. Ale on nadal wpychał mi język do ust i, to było tak ohydne, że niewiele myśląc, ugryzłam go z całej siły. Odepchnął mnie, przycisnął dłonią wargi i zaczął odpinać pasek, chcąc mnie uderzyć, ale ten mały gnojek powstrzymał go, mówiąc, że nakazano im, aby na razie nie robili mi nic złego. Bardzo podkreślał owo „na razie”.

El Guacamayo popchnął mnie na ścianę i w końcu poszła sobie, a ja pobiegłam do łazienki i długo szorowałam usta, żeby pozbyć się jego śliny. Cała aż się trzęsłam i znowu szarpnęły mną torsje, nie miałam już jednak czym wymiotować. Przebrałam się, zeszłam na dół i wypaliłam chyba z dziesięć papierosów jeden po drugim, a następnie pobiegłam do Janity.

Janita wzięła mnie w objęcia i tak długo przekonywała, aż wreszcie opowiedziałam jej, co mnie spotkało. Płakałyśmy obie, a ja drżałam tak mocno, że musiała trzymać mnie za ręce. Powiedziała, że mam natychmiast iść do Ramona na posterunek, a potem dodała jeszcze, że muszę wracać do Valledupar i opowiedzieć o wszystkim Dionisiowi, ponieważ jego ojciec jest generałem, więc sprowadzi wojsko, żeby raz na zawsze zrobić porządek z tymi łajdakami. Ja potrafiłam tylko powtarzać: „Nie, nie mogę tego uczynić, pomyśl tylko, jak to się może skończyć”, na co ona wbijała mi go głowy: „Musisz”, więc w końcu się zgodziłam i powiedziałam: „Dobrze, zrobię tak”, chociaż w głębi serca wiedziałam, że się nie odważę. Jestem wściekła na Boga. Z niego też kawał drania. Czasami myślę, że to istny szatan, z wypaczonym poczuciem humoru sadystycznego

degenerata. Mogłabym go zabić, że dopuszcza do takich rzeczy, kiedy człowiek za ledwie usiłuje być szczęśliwy. Bóg to gnojek.

A teraz wracam do Valledupar i pojęcia nie mam, co robić.

36. Nueva Sevilla

Dionisio wręczył zawiadowcy stacji sto pesos z prośbą, by ten zawiadomił go, kiedy przybędzie pociąg. Szczęśliwym trafem nigdzie nie wezbrała woda, nie zeszła lawina, nigdzie nie przydarzył się wypadek, nikt też wreszcie nie rozkręcił szyn, aby ich użyć do budowy mostu, więc opóźnienie wyniosło za ledwie siedem godzin.

Kiedy Anika wysiadła, Dionisio natychmiast rzucił się w jej ramiona, ona jednak odpowiedziała mu jedynie bladym uśmiechem, sztywniejąc cała w jego uścisku. Natychmiast zorientował się, że coś jest nie tak, i serce w nim zamarło, sądził jednak, że cierpi na nawrót swojej dawnej fizycznej nieśmiałości, i poczuł znajome ukłucie irytacji.

Generał i mama Julia wrócili z wakacji obładowani prezentami, a La Prima Primavera zdecydowała się przedłużyć swój pobyt, tak by wszyscy mogli do woli zakosztować jej sosu guacamole. Słyszając tę wieść, generał zaczął grzmieć, że sadzenie tylu drzewek awokado było wielkim błędem ze strony mamy Julii i że on wiedział o tym już od dawna. Szybko też zaczął wynajdywać rozmaite preteksty, by się stołować w kantynie oficerskiej.

Anika, uwikłana w swoją tragedię, z której nie mogła się nikomu zwierzyć, stała się blada i zamknięta w sobie. Żyła w takim napięciu, że nie potrafiła już nawet kochać się z Dionisiem, więc powiedziała mu, że krępuje się jego rodziców, którzy wrócili do domu i mogliby ich usłyszeć, na

co on zwrócił jej uwagę, że przecież robili to samo co noc, zanim jeszcze rodzice wyjechali na wakacje. Wiedział, że powinien respektować jej nastroje, ale z drugiej strony, był zdania, że naprawdę nie ma się czym przejmować. Irytował go ten upór i urażało go, że Anika nie daje się przekonać. Zastanawiał się, czy przypadkiem nie popadła na powrót w jedną ze swoich obsesji na temat dziewictwa, które nawiedzały ją od czasu do czasu. Sam stał się przez to poirytowany i drażliwy, niczym pies, którego zapomniano nakarmić. Otwarcie manifestował swoją urazę, ignorując Anikę z rozmysłem i odgradzając się od niej rozłożoną płachtą „La Prensa” oraz czyniąc rozmaite sarkastyczne uwagi. Brzydkie, podstępne podejrzenie, że Anika nie mówi mu prawdy, że odsuwa się od niego z zupełnie innego powodu, załęgło się w jego głowie i stało się przyczyną, dla której zaczął ją traktować z okrutną oziębłością, kiedy najbardziej potrzebowała miłości i kiedy zżerała ją rozpacz. Anika popadła w stan prawdziwego przygnębienia; oczy miała zapadnięte i podkrążone, ręce drżały jej nieustannie i przez cały czas walczyła z napływającymi łzami. Przepelniała ją gorycz; czasami miała wrażenie, że Dionisio zachowuje się tak z rozmysłem, doskonale wiedząc o tym, co przytrafiło się jej w Ipasueño.

Samolot linii Aerocondor, relikw z czasów drugiej wojny światowej, najwyraźniej uznał, że to ponad jego siły wznosić się nad górskie szczyty, tak że przemykał między nimi, poddając się każdemu uderzeniu wiatru. Rzucana bezlitośnie na wszystkie strony stewardesa, w eleganckim czerwonym kostiumie i takim samym kapelusiku, z wargami pociągniętymi pomadką w odpowiednim odcieniu, balansowała stoicko w przejściu, częstując sokiem pomarańczowym w plastikowych kubkach, wreszcie oddała się chwiejnie na swoich szpilkach. Dionisio udawał Anice, że jeśli

zostawi się sok w kubku przez dłuższą chwilę, plastik zacznie się rozpuszczać. Spodziewał się, że trochę ją to rozweseli, Anika jednak, dręczona wyłącznie jedną obsesją, że przyjdzie jej go stracić, nie zareagowała tak, jak oczekiwał, co go nieco ubodło. Siedziała z podbródkiem wspartym na dłoniach i rozmyślała o tym, jak to się dzieje, że nawet w dakocie lecącej nad sierrą czuje się osaczona, nękana diabelskimi machinacjami tamtych.

Równie przygnębiający okazał się przejazd autobusem przez wąskie uliczki Bastanquilli, gdzie dosłownie wszystko zdawało się odzwierciedlać jej stan ducha. Z każdego kąta wiało zaniedbanie, murów domostw nie ożywiała ani jedna plama świeżej farby, wszechwładny rozkład dawno już przekroczył ten etap, na którym zasługuje jeszcze na miano malowniczności. Dionisio popatrzył na Anikę i nagle ogarnęło go poczucie, jakby przyjechał tutaj w towarzystwie kogoś zupełnie sobie obcego. Twarz miała nabrzmiałą od przelewanych w samotności łez, była wyraźnie apatyczna, a jej obecne zachowanie stanowiło jedynie bladą imitację dawnego ożywienia. Łączące ich przedtem niewidzialne więzy, utkane z samego światła, jakby uległy zerwaniu i Dionisia ogarnęło poczucie depresji, podobne temu, w jakim nurzała się Anika. Ponurym spojrzeniem obrzucał myszołowy i sępy siedzące na dachach domów, śląc w ich stronę strzały czarnej nienawiści, ponieważ nasuwały mu myśl o śmierci.

W kilka godzin później, wypociwszy z siebie kilka litrów wody, ścisłani i potrącani przez ludzi dźwigających worki wypełnione orzechami kokosowymi albo małymi, ssącymi jeszcze prosiakami, Bóg wie ile razy utkwwszy na drodze zatarasowanej przez campesinos przepędzających stada bydła ceibu, kilkakrotnie mając okazję dostrzec w oddali Karaiby, podziwiając niezliczone palmy, powiewające strzępiastymi, mesjańskimi

liśćmi, obracającymi się niczym ramiona semaforów, dotarli wreszcie do Nueva Sevilla.

Na Calle Santa Marta na przedmieściu miasta bez kłopotu znaleźli pokój w niewielkim pensjonacie, w którym mimo braku przewiewu i kiepskiej wentylacji panował półmrok i chłód. Zaraz też odkryli, że w łóżku rozpanoszyły się pluskwy, po wspólnej kuchni grasują karaluchy, a excusado jest zapchane i śmierdzące, więc Dionisio bez zwłoki udał się na zakupy, i wrócił dźwigając środki czystości i gumowy przepychacz. Podczas jego nieobecności Anika podniosła żaluzje ocieniające drzwi balkonowe i zsunęła razem dwa składane łóżka. Postanowiła bowiem dopomóc losowi, tak by przed ich rozstaniem obdarzył ją przynajmniej dzieckiem Dionisia. Rozpakowywała bagaże, wsłuchując się w szum fal, i w pewnym momencie poczuła, że robi jej się lżej na sercu, jakby cała zgryzota gdzieś odpłynęła. Postanowiła, że podczas tych wakacji, aż po ich ostatni dzień, będą dla siebie dawnymi przyjaciółmi i nowymi kochankami. Kiedy Dionisio wrócił z zakupami, zarzuciła mu ręce na szyję i powiedziała:

- Chodź, querido, pójdziemy nad morze.

Naciągnęli kostiumy kąpielowe pod ubrania i zeszli na brzeg. Plaże zaścierały puszki po coca-coli i pepsi, puste opakowania marlboro i kentów oraz inne, po wiek wieków niezniszczalne plastikowe odpady ekspansji ekonomicznej Stanów Zjednoczonych. Dionisio podniósł puszkę po coca-coli i powiedział:

- Nie byłoby źle, gdyby zostali przy nazwie Incacola.

- Czy można się kąpać w tym miejscu? - zapytała Anika. - Czy aby nie spuszczają tutaj ścieków?

- Myślę, że robią to gdzieś dalej. Ale słyszałem, że na tych plażach rekiny pożerają jedną osobę rocznie. Na szczęście dla nas upodobały sobie

ofiary w żółtych kostiumach kąpielowych, tymczasem ty masz zielony, a ja niebieski.

- A czy w tym roku zjadły już kogoś?

- Pewnie tak.

- O bueno

Dzień był zachwycający, upalny i bezchmurny i tylko w wodzie można było jako tako wytrzymać. Anika od razu nabrała przekonania, że podczas tych wakacji wreszcie uzyska odpowiedni stopień opalenizny i dorówna kolorytem reszcie mieszkańców kraju. Zanurzała się w wodzie, a potem wystawiała na słońce, dopóki lejący się z nieba żar nie zapędził jej z powrotem do wody. Dionisio przypatrywał się oszczędnym, symetrycznym ruchom ukochanej, kiedy pływała klasyczną żabką, i czuł, że cała jego miłość do niej na powrót ogarnia jego splot słoneczny.

Anika zapowiedziała mu:

- Tylko żebyś nie ważył się na żadne błazeństwa, bo jeszcze zgubię szkła kontaktowe, a wtedy wybiję ci zęby.

Kilka metrów od brzegu przystanęli, zamknięci w ciasnym uścisku, wymieniając słone pocałunki, podczas gdy morską wodą spływała im po podbródkach. Anika sięgnęła ręką w dół, czując jego twardniejącą męskość, a Dionisio uczynił to samo, zanurzając swoje palce w jej nabrzmiałej wilgotności. Popatrzyła na niego oczami rozjaśnionymi radością i powiedziała:

- Jesteś starym, diabelskim zbereźnikiem.

Później, już w pensjonacie, oświadczyła mu jeszcze:

- Mam dla ciebie niespodziankę. Nie musisz już używać gumki. Przeszłam na tabletkę.

Dionisio był zdumiony. Podobnie wyrafinowane osiągnięcia przemysłu farmaceutycznego były w ich kraju niemal nieosiągalne i on sam osobiście nie znał nikogo, kto by je stosował.

- Żartujesz sobie? - zapytał.

- Nie, querido, dostałam je od lekarza mojego ojca, który sprowadza je z Niemiec Zachodnich dla swoich zamożnych pacjentek.

Dionisio przypomniał sobie, co wyczytał w jednym z magazynów.

- Ale przecież trzeba zażywać je przez miesiąc, zanim zaczną działać.

- Wiem. Biorę je już od miesiąca - skłamała Anika i pragnąc uniknąć jego niezawodnego, intuicyjnego wykrywacza kłamstw, udała, że poprawia poduszki.

Żarłocznie rzucili się ku sobie i kochali się, leżąc na jej stronie łóżka. Wyszli już trochę z wprawy i z dawnego rytmu i Dionisio nieco zbyt szybko osiągnął spełnienie, na skutek nowego, nieznanego do tej pory, rozkosznego kontaktu z żywym ciałem. Ale mimo to, zupełnie jakby działały tu jakieś czary, na powrót byli w sobie zakochani, kiedy śmiejąc się i całując w ciemnościach, obdarzając się nawzajem pieśczołliwymi imionami, leżeli spleceni ze sobą, z uczuciem jakby odnaleźli się na nowo.

37. Taniec ognia (2)

Płynąc swoim kanoe, Lazaro dotarł do nędznej osady, gdzie pozbawieni najpotrzebniejszych środków do życia robotnicy wędrowni, rozliczni nędzarze, spragnieni bogactw oportuniści i romantyczni marzyciele trudnili się poszukiwaniem złota. W tym tropikalnym piekle nie rosło żadne drzewo.

Lazaro tęsknił do drzew. Jego plugawa postać przemierzała teraz tereny, które uczyniono równie plugawymi, drażąc w głąb ziemi i powodując jej denudację. W potężnych wyrobiskach ludzie krzątali się niczym skrzętne termity, dźwigając wypełnione gliną cebry po osuwających się, śliskich zboczach przepaścistych jam, błyszczących w łonie matki ziemi niczym spocone twarze. Przerzucali hałdy wydobytego gruntu, przekopywali rzeczne dno, zatruwając swoje organizmy i płynącą wodę rtęcią z procesów separacji.

W dolnym biegu rzeki umierali Indianie, spożywszy ryby skażone metalami ciężkimi; zresztą same ryby zdychały od nich także. Niegdyś czarne wody przybrały barwę jasnobrązową, a deszcze wypłukiwały ogołoczone z roślinności skarpy wprost do wody. Obecnie, kiedy rzeka wylewa, po ustąpieniu wód zamieszkujący nad jej brzegami caboclowie zamiast żywej, dziewiczej leśnej gleby widzą tylko ocean kłaskającej gliny, błyskawicznie twardniejącej, a następnie rozpękającej się w tysiące szczelin.

Wieczorami gromady rachitycznych i wychudzonych niczym szkielety robotników szukały rozrywki w miasteczku, wałęsając się wśród baraków z falistej blachy i zwałów śmieci. Młode Indianki z obwisłymi piersiami, pustymi żołądkami, martwym spojrzeniem i pewnością rychłego grobu, ofiarowywały swoje wdzięki pijanym poszukiwaczom złota w zamian za samodzielnie pędzony rum i parę centavos. Kiedy zaś zabierał je syfilis albo gruźlica, ich maleństwa porzucano na brzegu rzeki na łaskę dzikich zwierząt, których do reszty nie zdołano jeszcze wytrzebić, a na miejsce zmarłych Indianek natychmiast pojawiały się następne, spędzone pod groźbą karabinów bądź też zwabione obietnicami paciorków i możliwości znalezienia bogatych mężów, noszących ubrania ze skór prawdziwych czarnych jaguarów. Gwałcone i bite, szybko uczyły się zapominać prze-

szłość i żyć w piekle terażniejszości, trzymając przy ustach butelkę, między nogami zaś mężczyznę o szklistym spojrzeniu, zanoszącego się gruźliczym kaszlem.

Nocami osada rozbrzmiewała odgłosami wystrzałów; ludzie mordowali się, aby zgarnąć kilka okruchów złota, których zdobycie kosztowało bandeirante miesiące straszliwego mozołu i wyrzeczeń. Za dnia handlarze w asyście uzbrojonych ochroniarzy nabywali złoto, oferując zbójckie ceny, a ci którzy nie godzili się na taki handel, znikali bez śladu i natychmiast wszyscy o nich zapominali, może poza wiernymi kochankami, które w domu nie przestawały ich wyczekiwać, wierząc, że powrócą bogaci, choć w głębi serca czuły, że tak naprawdę utraciły swoich najdroższych na zawsze.

Wojsko, przysłane w imię ojczyzny i rozwoju ekonomicznego, by ujarzmić te obszary i zbudować na nich „nową placówkę”, z przerażeniem obserwowało szalejące rozprężenie, wymykające się spod jego kontroli. Nękanani przez pchły piaskowe i larwy lęgące się pod skórą, oficerowie mogli tylko przyglądać się bezradnie, jak ich ludzie wykruszają się stopniowo, powaleni gorączką o nieznannej etiologii czy atakiem szaleństwa spowodowanego upałem, i słać błagalne prośby o przysłanie lekarstw i posiłków, na co w odpowiedzi otrzymywali depesze zachęcające ich do „nieustawiania w dobrej robocie”. Niektórzy wysyłali więc raporty, że sytuacja jest w pełni opanowana, w związku z czym dalsza obecność armii staje się zupełnie zbędna, w nadziei, że ich jednostki zostaną odkomenderowane. Wielu żołnierzy zdezerterowało i zaginęło w dżungli, niektórzy przyłączyli się do poszukiwaczy złota. Dla większości jednak najprostszą drogą ucieczki okazała się śmierć.

Lazaro powiększył armię żebraków, w nadziei na okruchy spadające ze stołów tych, którzy w porównaniu z nim zdawali się prawdziwymi bogaczami. Cura don Ignacio, ulitowawszy się nad jego szpetotą, podarował mu swój habit mnisi, który nosił, zanim jeszcze opuścił klasztorne mury, by rozpocząć misję wśród wszystkich zagubionych dzieci owego grząskiego piekła i złotodajnego błota. Don Ignacio stracił życie, gdy ogarnięty pragnieniem zawładnięcia jego kościanym krucyfiksem nieszczęśnik wbił mu w plecy nóż, Lazaro natomiast nosił jego habit aż po resztę swoich dni.

Zakończenia nerwowe w jego stwardniałych na drewno kończynach zaczęły obumierać, tak że częściowo stracił w nich władzę. Przegroda nosowa zapadła się i nos zniknął zupełnie pod osłoną mnisiego kaptura, a obluzowane górne zęby powypadały jeden za drugim. Obrzmiałe powieki nie chciały się już domykać, więc wybierał najciemniejsze zakątki, uciekając przed oślepiającym słońcem, i tam zebrał, mamrocąc całą litanię swoich nieszczęść, nieadresowaną do nikogo w szczególności, będącą jedynie gorzkim wyrzutem pod adresem Boga.

W tej wylęgarni wszelkiego nieszczęścia, która poraziłaby wyobraźnię nawet samego Hieronimusa Boscha, Lazaro nauczył się czerpać profity ze swojej choroby; chodząc po tawernach, zbierał po pięćdziesiąt centavos od wszystkich, którzy mieli fantazję zdusić niedopałek papierosa na jego kończynie. Niektórzy przytykali je nawet do martwiczych albo ropiejących wrzodów, ponieważ niedopałek - dzięki zjawisku włoskowatości - zasysał ropę i krew, czemu towarzyszył zabawny, świszczący odgłos. Za kolejne pięć pesos Lazaro połykał niedopałki, wśród radosnego wycia i okrzyków zachęty. Sam mógłby się wtedy roześmiać, ale towarzysząca jego chorobie degeneracja nerwów twarzowych przyniosła mu również

porażenie mięśni twarzy. Pięć pesos kosztowało śmiałych pograniczników obcięcie ziarnistych narośli, jakie wyrosły mu na rękach i nogach, i w ten sposób Lazaro wymierzał sobie dodatkową karę za nieszczęście, jakie go dotknęło. Właściwie zebranych pieniędzy wystarczyłoby mu na życie, gdyby nie jego nędzna kondycja fizyczna, która uniemożliwiała mu obronę przed napaściami nocnych rabusiów i band wszelkiego autoramentu niegodziwców.

Pewnego dnia, na miesiąc przed nadejściem pory deszczowej, na powrót ogarnęło go dawne pragnienie, aby umrzeć w sierz. W nocy ukradł kanoe i powiosłował w górę rzeki, tam gdzie wody są czarne, a ryby nieskażone trucizną. Ostatnim dźwiękiem, jaki dotarł do jego uszu, gdy opuszczał miasto, był charakterystyczny lament indiańskiej kobiety.

38. Deszcz

Anika usiłowała odsunąć przyszłość na bok i - tak jak to czyniła w przeszłości - żyć wyłącznie chwilą terażniejszą. Jednak nadciągająca nieuchronnie katastrofa była coraz bliżej, coraz silniej owiewała jej kark gorącym oddechem, co sprawiało, że nastroje dziewczyny zmieniały się jak w kalejdoskopie, od irracjonalnego optymizmu po posępne przygnębienie. Często powarkiwała na Dionisia, a jej dawne poczucie humoru opuściło ją teraz zupełnie. Kiedy podczas kąpieli ściągnął jej w wodzie majteczki od bikini, wybuchnęła gniewem, chociaż normalnie podobny figiel tylko by ją rozbawił. Złościło ją, kiedy podczas przechadzki pogładził ją po udach, gdyż odebrała ten gest jako nieliczenie się z jej cierpieniem, podczas gdy dawniej taka pieszczota wywoływała u niej dreszcz rozkoszy w pachwinach. Bardzo ją dotknęło, kiedy odmówił pójścia z nią na tańce, twierdząc,

że kiepska muzyka to bluźnierstwo wobec świętej Cecylii, Euterpe i Terpsichory, a przecież ona po prostu chciała pójść się pobawić, tak by w tańcu choć na chwilę zapomnieć o swoich zgryzotach. Nawet kiedy Dionisio złapał amebę i całymi godzinami, pojękując, przesiadywał w excusado, nękanie biegunką i kurczami, które przeszywały mu żołądek, zupełnie jakby połknął kilogram szklanych okruchów, miała mu to za złe, uważając, że jego cierpienie jest żałosne w porównaniu z tym, co odczuwa ona. Nie okazując kochankowi ani odrobiny współczucia, zostawiła go samego i poszła powłóczyć się po bazarach wśród ulicznych sprzedawców, złorzecząc mu z powodu jego słabości. Szybko jednak wróciła pełna skruchy, by troskliwie ocierać jego spieczoną twarz i wypytywać, czy czuje się choć trochę lepiej.

Ale mimo to ich pobyt szybko nabrał wszystkich cech wakacyjnej rutyny. Wstawali późno, kiedy morderczy upał wyrzucał ich z pościeli, jedli śniadanie złożone z grzanek, jajek i mocnej kawy, a potem szli popływać i powylegiwać się na plaży. W południe jedli arepy i pili zimne piwo, po czym odbywali sjestę na piasku, w cieniu palm, kiedy zaś słońce rozpoczynało swój pośpieszny odwrót za horyzont, wracali do hotelu, ze wszystkich stron atakowani przez moskity, brali prysznic i szli na miasto na kolację. Wypróbowali wszystkie restauracje jedna po drugiej, co skłoniło Dionisia do następującej konstatacji:

- Doprawdy sancocho napędza ten kraj o wiele bardziej niż benzyna.

Pili wino z lodem, a potem wracali do pensjonatu, by kochać się do późna w noc. Dionisio przypomniał Anice, jak to macocha przestrzegła ją przed niebezpieczeństwami czyhającymi na młodą, niewinną dziewczynę, wyjeżdżającą z mężczyzną na wspólne wakacje.

- Ona jest przekonana, że wrócisz w ciąży.

Anika uśmiechała się skrycie, modląc się żarliwie, aby tak właśnie się stało.

Starsze małżeństwo z pokoju obok wyjechało i na ich miejsce wprowadziły się dwie pulchne nimfy o rubensowskich kształtach, dla których życie sprowadzało się do nieustannej fiesty w towarzystwie miejscowych Romeów. Z sąsiedztwa bez przerwy dobiegały teraz pokrzykiwania, bezwstydnym śmiechy, trzaskanie drzwiami, wzajemne przepychania, rytmiczne uderzenia wezgielami łóżek o ścianę i towarzyszące temu jęki orgazmów, aż wreszcie pewnej nocy o czwartej nad ranem Dionisio zerwał się, nie mogąc już zdzierżyć dłużej tych hałasów, i wpadł do pokoju w sam środek orgii. Dwie rozebrane dziewczyny i czterej także rozebrani mężczyźni, rozwalający się wśród chaosu splątanych prześcieradeł i porozstawianych wszędzie butelek, zastygli schwytni w samym środku swawolnych igraszek; cztery wyprężone członki opadły jak na komendę. Rozbawione towarzystwo zamarło z przerażenia na widok tego potężnego mężczyzny z rozwianym włosami, o dzikim wejrzeniu, gotującego się od gniewu niczym sam Hefajstos, wywracającego do góry nogami łóżka i domagającego się natychmiastowego zaprzestania niekończących się głośnych zabaw każdej nocy. Kiedy ujrzeli Dionisia następnego dnia, nie mogli wprost uwierzyć, by mógł to być ten sam człowiek, ponieważ teraz wydał im się o połowę mniejszy niż wówczas, kiedy napędził im takiego stracha. Na wszelki jednak wypadek od tej pory podczas bachanaliów odzywali się do siebie wyłącznie trwożnym szeptem, co do pewnego stopnia nawet potęgowało przyjemność, ponieważ przypominało młodzieńczy dreszcz grozy, towarzyszący uprawianiu miłości z chusteczką przy ustach, tak aby żaden dźwięk nie dotarł do uszu rodziców.

Anika była głęboko rozczarowana pojawieniem się miesiączki, będącej widomą oznaką tego, że nie powiódł się jej plan zajścia w ciążę, i na powrót stała się swarliwa w oczekiwaniu na kolejny okres płodności.

W tym czasie, kiedy dręczyło ją przygnębienie z powodu - w innych okolicznościach chętnie witanej - miesiączki, a Dionisio sporządzał drobny rachunek sumienia, pragnąc dociec, cóż takiego mógł uczynić, że Anika nagle stała się tak zmienna w nastrojach, zaczęło padać. Przez trzy kolejne dni lało strumieniami, przez co byli całkowicie uwięzieni w pokoju. Mogli tylko siedzieć na balkonie, przyglądając się wartkim strumieniom rwącym ulicą, i wsłuchując się w wwiercający się w uszy nieustanny szum potoków wody, która wzbijała się w górę kłębamii pary, by natychmiast opaść ponownie na ziemię w postaci deszczu. Początkowo Dionisio zabawiał Anikę, czytając jej na głos powieść „Monologo de Isabel Vendo Llover en Macondo”, później ona zajęła się pochłanianiem romansów z wyższych sfer, podczas gdy on przedzierał się przez meandry portugalskiego, zgłębiając „Viva o Povo Brasileiro”. Drugiego dnia lektury tego pasjonującego dzieła zupełnie nieoczekiwanie ogarnęła go taka frustracja z powodu deszczu i ustawicznego wyłączania prądu, że cisnął książką o ścianę, wrzeszcząc przy tym:

- Czy ten pieprzony Ribeiro nie mógłby pisać po hiszpańsku? Niby dlaczego mam czytać książki w tym pieprzonym, pokręconym języku? Dlaczego ci pieprzeni Brazylijczycy nie mogą mówić tak jak my wszyscy?

Anika podniosła głowę znad kolejnego arcydzieła, w którym wysoki dyrektor właśnie zakochał się w aktorce skrzętnie ukrywającej swoją przeszłość, i wyciągnęła ku niemu rękę.

Kędy deszcz zasnuwa cały świat, człowiekowi pozostają jedynie książki albo seks, jednakże tak drastyczne ograniczenie wyboru sprawia, że dusza

buntuje się przeciwko obu możliwościom i trzeba dopiero na nowo odkryć znaczenie miłości, by móc się jej oddać.

- Ja, co prawda, krwawię - odezwała się Anika - ale chodź tu do mnie, mi amor.

Dionisio ujął ją za rękę, a ona pociągnęła go ku sobie, każdym gestem czyniąc pokutę za tę okropną rzecz, którą pewnego dnia, już wkrótce, miała mu uczynić. Zaczęła go pieścić, aż poczuł fizyczny ból, leżąc przytulony do jej pięknego, delikatnego, młodego ciała. Uśmiechnął się i pocałował ją delikatnie.

- Słuchaj - powiedział - kichać na to, że masz okres. Wyciągaj to bawelniane cygaro.

Anika poddawała się miłosnemu rytuałowi, mocno zaciskając powieki, gdyż pragnęła zanalizować i utrwalić w pamięci każdy szczegół, każde najdrobniejsze nawet drgnienie, by zachować je na przyszłość, kiedy jego już nie będzie obok niej.

39. Letycja Aragon (2)

W pueblo San Martin młodzi mężczyźni założyli klub, który nazwali El Club del Dolor, choć bardziej zasługiwał na miano Towarzystwa Czcieli Letycji Aragon. Raz albo dwa razy w tygodniu urządzali spotkania w domu któregoś z członków, które ciągnęły się dopóty, dopóki wszyscy uczestnicy nie byli zbyt pijani albo zbyt splakani, by mocje kontynuować.

Serca przepelniało im współczucie, kiedy każdy z nich po kolei rozwdził się nad ogromem swojego cierpienia i niezmiernością rozpaczy. Oklaskiwali nawzajem swoje bolera i ballady, relacjonowali ze szczegółami każdą chwilę, w której udało im się Letycję zobaczyć, zamienić z nią

słowo, zawierali zakłady, któremu z nich pierwszemu uda się zdobyć pierwszy pocałunek, pierwszą pieszczotę, który pierwszy ją posiadzie. Na temat tej ostatniej możliwości rozgorzała burzliwa debata, podczas której rozpatrywano, czy w ogóle jest możliwe uprawiać miłość fizyczną z Letycją i nie umrzeć przy tym z rozkoszy. Bardziej romantyczni członkowie, który posunęli się nawet do stwierdzenia, że seks z nią byłby profanacją świętości, zostali, co prawda, zakrzyczani i wyśmiani, w głębi duszy jednak każdy z tych mężczyzn czuł, że taka właśnie jest prawda. Letycja nie była zwyczajną kobietą, taką, o której serio myśli się jako o partnerce cielesnych igraszek.

Podczas kiedy wszyscy młodzi mężczyźni w wiosce płonęli pożądaniem, organizowali się w zespoły śpiewające serenady i retrety, kreślili poematy na pudełkach papierosów i za pomocą szkła powiększającego wypalali imię Letycji na korze drzew, seniora Aragona spalała powściągliwość, którą był zmuszony sobie narzucić.

Ożenił się jako młody chłopak i kiedy jego córka skończyła czternaście lat, on sam ledwo co przekroczył trzydziestkę. Był mężczyzną u szczytu swoich fizycznych możliwości, pełnym wigoru, przy tym silnym i przystojnym, nosił idealnie czarny wąsik, miał ciemny zarost i czarne kręcone włosy, które dopiero od niedawna zaczęły się przerzedzać. Był też człowiekiem niezłomnych zasad, który nigdy nie dawał więcej dziwce niż własnej żonie i nigdy też nie zdołał zgłębić natury tej obłąkańczej namiętności, jaką żywił do swej niezwykłej córki.

Zrobił się markotny, często unosił się gniewem i raz o mało nie uderzył żony, kiedy zaczęła mu robić wymówki, co było zupełnie sprzeczne z jego łagodnym charakterem, na całe dni znikał z domu, a potem wracał pijany i cuchnący wymiocinami.

Tymczasem Letycja żyła w coraz większym oderwaniu od rzeczywistości. Czasami w domu powracała do swoich dzieciennych przyzwyczajzeń i zaczynała chodzić nago, a wówczas ojciec obrzucał ją głodnym spojrzeniem i dokładnie w tym samym momencie polecał jej się ubrać i nie przynosić wstydu rodzinie.

Zacząła namiętnie czytać i powieściowy świat, zaludniony przez milionerów, porywane piękności, przystojnych polityków i damy o wątpliwej reputacji, porwał ją bez reszty, jednak nie aż do tego stopnia, by nie zwróciła uwagi na to, co ludzie opowiadali o niejakiem Dionisiu Vivo, który pewnego dnia miał zostać zabity. Zapytała o niego matkę, gdyż jakiś wewnętrzny głos podpowiadał jej, że musi chodzić o kogoś, kto będąc człowiekiem z krwi i kości, nie zaś papierową figurą, jednocześnie jest bohaterem prawdziwie tragicznym. Wprawiała w zdumienie rodzinę, abonując w tienda „La Presse”, i zachłannie czytała każdy numer, mimo że wszystkie przychodziły z dwutygodniowym opóźnieniem, spowodowanym długą podróżą, najpierw samolotem, potem samochodem, traktorem i wreszcie na grzbiecie muła, ze stolicy do jej niewielkiego puebla.

W tonie listów przeciw kokainie wyczuwała coś mesmerycznego, tak że pochłaniała je przepelniona współczuciem i gniewem, przekonana nieodpartymi argumentami i porwana szczerością spojrzenia; dzięki nim odkryła, że gdzieś na zewnątrz znajduje się świat rzeczywisty, świat pełen okrucieństwa, polityki międzynarodowej i żądnych władzy łajdaków. Odkryła również, że w owym świecie zdarzają się także prawdziwi Don Kichoci, którzy walczą bez względu na konsekwencje i porywają się na rzeczy niemożliwe i nieprawdopodobne, choćby wszystko sprzysięgło się przeciwko nim. Osoba Dionisia Vivo pochłonęła ją bez reszty. Z niecierpliwością przewracała kartki kolejnych numerów gazety, docierających do jej rąk, w

poszukiwaniu jego listu, a jeśli go nie było, z wściekłością ciskała gazetą o podłogę, żeby ją potem podnieść i przeczytać rubrykę wiadomości. Często siadała w drzwiach chaty albo na dworze pod platanami i, pogrążona w całkowitym bezruchu, rozmyślała o Dionisiu, jakby oczekując, że prześle jej jakieś wieści przez wyższe partie eteru.

Mając takie predyspozycje, Letycja potrafiła odbierać komunikaty. Podczas candomble była dzieckiem Orishy Oshun, bogini wszystkiego, co czyni nasze życie przyjemnym, która jest także Nuestra Señora de la Caridad del Cobre. Dlatego też Letycja trzymała pieniądze w wysuszonej łupinie dyni i nosiła naszyjnik składający się na przemian z jednego czerwonego i pięciu żółtych paciorków, na pamiątkę romansu Oshun i Chango. Brzuch nacierała miodem i obmywała się w rzece co najmniej raz dziennie.

I oto któregoś dnia, kiedy poszła nad rzekę, aby nanieść matce wody, Oshun, połyskliwa niczym ułuda, objawiła się przed nią w postaci katolickiej świętej, powiedziała jej, że ma się udać do Ipasueño, i nakazała, co powinna tam uczynić (wszystko to Letycja później skrzętnie wypełniła). Oshun dodała jeszcze, że na znak prawdziwości swoich słów ofiarowuje jej specjalny dar, którego Letycja powinna strzec przed oczami innych. Nie otrzymawszy niczego z rąk bogini, dziewczyna poczuła się zdezorientowana, kiedy jednak, wróciła do domu, w swoim hamaku znalazła bransoletkę splecioną z nitek polerowanej miedzi. Zawiesiła ją na żyłce i nosiła ukrytą na piersi. Bransoletka oraz zielona plamka, jaką miedź zostawiła na jej skórze w kolorze miodu, bezustannie przypominały jej o czekającej ją misji.

W przeddzień planowanego odejścia Letycji, jej ojciec wrócił do domu pijany. Nie był przez całe dwa dni; noce przepędzał na finca i nawet we

śnie dręczyła go gorzka świadomość, że jego córka jest dla niego nieosiągalna. W końcu postanowił, że wróci do domu, padnie przed nią na kolana, wyzna wszystko i będzie ją błagał o wyrozumiałość i przebaczenie. Wierzył, że tym wyznaniem oczyści swoją duszę.

Wydarzenia jednak potoczyły się inaczej. Kiedy wszedł do pokoju córki, Letycja już spała w swoim hamaku, wyglądając w półmroku niczym śpiący anioł. Nieprzytomny z emocji senior Aragon zaczął gładzić jej ciało pod cienkim przykryciem, podczas gdy łzy spływały mu po policzkach. Z początku była to pieszczota czysto ojcowska, ale tylko z początku. Znienacka przyszło mu do głowy, że mógłby przecież wziąć ją śpiącą, tak by wydawało jej się, że to tylko sen. Delikatnie próbował podnieść jej koszulę i rozwiązać tasiemki przy szyi, pod wpływem alkoholu jednak palce miał zeszywniałe i niezgrabne, a kiedy pochylił się nad nią, jego cień padł na jej twarz.

- Ja nie śpię, tatusiu - odezwała się Letycja. Zrozpaczony senior Aragon do reszty stracił kontrolę nad sobą, opanowany jedną tylko myślą, że skoro został przyłapany i tak nic go już nie uratuje, więc powinien korzystać, ile się da, zanim ziemia zapadnie się pod nim, pochłaniając go na wieki.

Opadł na nią, zagarniając jej ciało, usiłując dosięgnąć warg swoimi ustami, tak jak to sobie wyobrażał w snach. Hamak zachybotał gwałtownie i zleżały materiał puścił pod podwójnym ciężarem. Ojciec zaciągnął dziewczynę do kąta i właśnie zdierał z niej koszulę, kiedy do sypialni weszła seniora Aragon i odezwała się z łagodnym wyrzutem:

- Alberto!

Następnego dnia Letycja zostawiła list.

Odchodzę ofiarować swoje dziewictwo, wiele przecierpieć i urodzić dziecko dla Oshun.

Kiedy odeszła, znaleziono ciało Alberta Aragona, który poszedł nad rzekę, w to samo miejsce gdzie Letycja czerpała wodę dla matki, i poderżnął sobie gardło.

40. Przeczucie

Miesiączka Aniki zaczęła ustawać w tym samym czasie, co deszcz. Z uczuciem prawdziwej ulgi kochankowie wykorzystywali te momenty, kiedy natura pozwalała sobie na chwilę wytchnienia, aby przejść się trochę. Ulicami rwały strugi brązowej wody niosące to wszystko, co woda potrafi porwać ze sobą, a więc padłe koty, całe szafy, oszołomione prosięta pekari i jaskrawoniebieskie koszule. Z początku powietrze było tak czyste, tak przemyte, że płuca aż wypełniał ból, gdy wdychały tę świeżość, wkrótce jednak słońce zanurzyło w wodzie swoje pazury, wydzwignęło ją ku górze i rozproszyło w postaci pary, która natychmiast pokryła wszystkie chłodniejsze powierzchnie skroploną mgiełką, a wtenczas z każdej rysy i szczeliny coraz zuchwałej zaczęły wypełzać wszechobecne macki pleśni. Wywołujące swędzenie ukąszenia moskitów zastąpiła znieczulająca wilgoć, sprawiająca, że przy najmniejszym ruchu człowiek parował wszystkimi porami, tak że jedynym wyjściem było zanurzyć się w morzu i usiłować prowadzić normalne życie, tkwiąc po szyję w wodzie.

Anika i Dionisio wypożyczyli motocykl, dając jako zastaw pierścień, którym w 1530 roku król Portugalii wynagrodził kondotierskie służby conde Pompeyo Xaviera de Estremadury i który od tej pory przechodził z pokolenia na pokolenie w rodzinie Sosa. Chcieli zwiedzić potężną twierdzę z czasów hiszpańskich, wzniesioną rękami przywiezionych z Afryki niewolników, którzy po uzyskaniu wolności stali się antenatami całego

narodu, budowla jednak wydała im się zbyt potężna, zbyt monolityczna i przytłaczająca, a myśl o scenach, jakie w ciągu wieków musiały rozegrać się w jej murach, tylko wprawiała ich w przygnębienie. Minęli ją więc pędem, wznecając tumany pyłu i przyspieszając obok przybranych świecidełkami maleńkich kapliczek, stojących co kilka metrów dla upamiętnienia miejsc śmiertelnych wypadków; w każdej z nich znajdowała się fotografia ofiary i kilka więdnących kwiatków. Mijali stare wieśniaczki wiodące posępne muły, objuczone wiązkami jakichś niezidentyfikowanych roślin i oganiające się od atakujących natrętnie gzów. Mijali pobielane barracas, przed którymi siedziały nietowarzyskie koty i równie obojętne dzieciaki, mijali kozy o diabelskich oczach i drzewa uginające się pod ciężarem przykurzonych grenadillos .

Anika co każde pół kilometra wołała, żeby się zatrzymać, ponieważ koniecznie chciała zrobić jakieś zdjęcie, zwłaszcza morzu mieniącemu się najprzeróżniejszymi odcieniami jej ukochanego turkus. Czasami Dionisio pozował Anice, to naprężając bicepsy, to zezując, to wreszcie stojąc z bananem w szortach, grymasem pożądania na twarzy i ananasem na głowie. Ilekroć po latach powracał do tych fotografii, zawsze towarzyszyło mu przedziwne, niedające się zamknąć w słowach uczucie, że przeżył swój wiek niewinności, równie odległy, jak wojna wyzwoleńcza, i równie niemożliwy do powtórzenia. Było to doznanie niewypowiedzianej, pustej tęsknoty, owego *saudade* , które wielokrotnie usiłował zawrzeć w swojej muzyce.

We dwoje przemierzali miasto w poszukiwaniu indiańskich wzorów, na które o wiele częściej można było natrafić w Nueva Sevilla niż w jakimkolwiek indiańskim pueblo. Dionisio kupił Anice sznur paciorków. Żadnego droższego prezentu nie chciała od niego przyjąć, zresztą i tak dręczy-

ło ją poczucie winy. Sama nie kupiła mu nic, wiedząc, że jej podarunek byłby prezentem pożegnalnym.

Wychodząc ze sklepiku, natknęli się na procesję kroczącą przez miasto i niosącą zmumifikowane zwłoki jakiegoś świętego. Nie udało im się dowiedzieć, jak brzmiało imię tego, którego czczono w ten sposób, gdyż ogarnięty histerycznym amokiem tłum wiernych napierał ze wszystkich stron; ludzie przepychali się, usiłując dotknąć poczerniałych, odrażających stóp, w nadziei, że dostąpią łaski cudu, choć te zdarzały się rzadko i niejednokrotnie były prawdziwie przewrotne, jak na przykład ten, kiedy świętemu nie udało się przywrócić utraconej ręki trędowatemu, za to sprawił, że ów nieszczęśnik, obudziwszy się pewnego dnia w śmietniku służącym mu za sypialnię, znalazł na swojej piersi parę nowiusieńkich rękawiczek z wyprawionej skórki. Obrzydliwe truchło z obłąkańczym uśmiechem, pożółkłymi zębami, skórą niczym u padłej krowy i kępkami ryżych włosów, jak na ironię przykrywały snopy świeżych, białych goździków, codziennie sprowadzanych samolotem ze stolicy. Za kwiaty płaciło religijne bractwo jego wyznawców, a kupowano je w tej samej firmie, która później wślawiła się strzelaniem do własnych robotników, kiedy ci wybrali strajk zamiast dalszego umierania od trujących pestycydów, importowanych przez nieuczciwe koncerny z Niemiec Zachodnich. Historia milczy, czy święty kiedykolwiek uleczył albo przywrócił z martwych do życia któregoś z nich, za to teraz dokonał cudu najświetniejszego, mianowicie spowodował gigantyczny zator w ruchu ulicznym na skalę dotychczas niespotykaną w Nueva Sevilla. Za jego też przyczyną Dionisio ujrzał małą dziewczynkę z kwiatami we włosach i podjął postanowienie, że pewnego dnia, i to wkrótce, poprosi Anikę o rękę, tak aby mogli mieć córeczki podobne do tamtej dziewczynki.

Odbywali niekończące się przejażdżki na motorze, gdyż był to idealny sposób, żeby złapać trochę ochłody w obezwładniającym upale, który w rozedrganym powietrzu wyczarowywał migotliwą uludę twierdzy Nueva Sevilla, unoszącą się nad pastwiskami. Dla Aniki było to najcudowniejsze w świecie uczucie -oprzeć głowę na barkach Dionisia, całować go w kark, opleść ramionami w pasie i starać się utrwalić w pamięci zapach ukochanego i rzeźbę jego mięśni. Dla Dionisia było najcudowniejszym w świecie uczuciem widzieć po bokach brązowe nogi Aniki, smukłe i pociągające i zdjąć na chwilę ręce z uchwytów kierownicy, by je pogłaskać. Kiedy odwracał głowę, widział jej włosy szarpane pędem powietrza, jej zieloną koszulę, niedbale związaną pod biustem, ogromne kolczyki i szorty w białe i zielone paski. Spoglądając na nią, mocno zaciskając powieki, jakby usiłowała sobie coś przypomnieć, czuł jednocześnie radość i obawę, jak ktoś, kogo nadzieja rozkwitła niczym biały kwiat powojnika, którego delikatne płatki może zwarzyć każdy zimniejszy podmuch.

Po powrocie do pensjonatu porobili sobie jeszcze trochę zdjęć na balkonie, śmiejąc się radośnie, a w chwilę później Dionisio stanął w drzwiach balkonowych, przypatrując się Anice rozciągniętej w poprzek łóżka. Na krótki moment ich oczy spotkały się i wówczas ogarnęło ich oszałamiające, pełne trwogi uczucie autentycznego zdumienia, kim właściwie jest ta druga osoba; zupełnie jakby zobaczyli się po raz pierwszy i próbowali oszacować się nawzajem. Anika uznała, że jest podła i nic niewarta, podczas gdy Dionisio w tym samym czasie wyobrażał sobie, że jest absolutnie niewinna i że z pewnością lojalnie trwałaby przy swoim wybranku aż do śmierci; że ktoś musiałby jej wyrządzić naprawdę wiele zła, zanim zdecydowałyby się go porzucić.

- Czuję się okropnie - odezwał się znienacka.

Zdumiona i przestraszona, że Dionisio czegoś się domyśla, Anika poderała się na łóżku.

- Dlaczego?

- Ponieważ nie chcę wracać do tej pieprzonej pracy w tym pieprzonym mieście i jednocześnie boję się, że jeśli wyjedziesz do stolicy, zostawisz mnie.

Odwrócił się, przywierając plecami do framugi, tak by nie widziała, że wilgotnieją mu oczy.

Przez dłuższą chwilę Anika wpatrywała się w swoje stopy, ze strachem uświadamiając sobie, że przecież Dionisio potrafi telepatycznie porozumiewać się ze zwierzętami, więc może będzie umiał odczytać także jej myśli, może nawet już wykrył w nich to, do czego obawiała się przyznać nawet sama przed sobą. Bała się go, bała się go równie mocno, jak grózb kokainowych rzezimieszków, ponieważ była już świadkiem jego staro-testamentowego gniewu, godzącego skuteczniej niż kula. Czowała pogardę wobec samej siebie za swoją oszukańczą gierkę.

- Querido, dlaczego uważasz, że mogłabym od ciebie odejść?

Dionisio wepchnął ręce do kieszeni, zadrżał i opuścił podbródek na pierś. Dwie łzy bezgłośnie spłynęły mu po policzkach.

- Ponieważ czuję się tak paskudnie.

41. Taniec ognia (3)

Kiedy Lazaro musiał wreszcie ustąpić, pokonany przez spiężenia i wodospady w górnym biegu rzeki, porzucił swoje kanoe i ruszył dalej pieszo. Właściwie by przebić się przez splątany gąszcz lasu, niezbędna była maczeta, ale on i tak nie dałby rady się nią posłużyć, gdyż nie miał normal-

nych dłoni, tylko coś w rodzaju szponów, w których kości palczków dawno już zostały zabsorbowane przez ciało, pozostawiając zamiast palców jedynie tłuste kikuty, zakończone szczątkami paznokci. Przedzierając się przez płataninę liści najeżonych i sterczących niczym piki albo lance, potykał się i zataczał, a całkowita utrata czucia w kończynach była dla niego jednocześnie błogosławieństwem i przekleństwem. Dzięki niej nie czuł ukąszeń much piaskowych, ognistych mrówek ani też kłujących cieni, przebijających ciało, kiedy tak parł nieprzerwanie w stronę zachodzącego słońca, chwilami całkowicie niewidocznego przez zwarty gąszcz, i w stronę zimnych gór, które mimo postępującej ślepoty od czasu do czasu udawało mu się wypatrzeć w oddali.

Rany na jego bosych stopach paskudziły się, przechodząc w głębokie owrzodzenia, z których bez przerwy sączyła się ropa i cuchnący śluz, lecz on dawno już stracił powonienie. Kości w palcach stóp zanikły zupełnie, pozostałe zaś swoją cienkością przypominały raczej igły albo szpilki i - z czego także nie zdawał sobie sprawy - łamały się ustawicznie, tak że coraz trudniej było mu się poruszać na zdeformowanych kończynach. Kiedy wychodził z cienia i przekraczał nieosłonięte słoneczne plamy, na dłoniach i stopach błyskawicznie wyskakiwały mu pęcherze, które widział, ale które nie sprawiały mu bólu. Wieczorami, krótko przed zachodem słońca, oczyszczał ciało z larw i robaków, usuwając je patykiem trzymanym w ustach albo w kikutach rąk.

Kiedy powietrze stało się rzadsze, noce coraz zimniejsze, a wybujala roślinność zaczęła rosnać oszczędniej, Lazaro był bliski śmierci. Z powodu wrzodów oblepiających mu krtań ledwo mógł złapać haust powietrza, a każdy jego oddech przechodził w ochryple pokasływanie, zakończone zduszonym świstem. Jego głos, kiedy odmawiał modlitwy albo wypowia-

dał pieśzcotliwe słowa kierowane do Rajmundy i małych, brzmiał teraz niczym ochryple krakanie sępa. Utracił też zdolność artykulacji głosek, ponieważ wargi pokryte miał pęcherzami, język i języczek w bąblach, a podniebienie podziurawione jak rzeszoto, tam gdzie wrzody przeżarły je na wylot. Kiedy przemierzał podgórze, zataczając się i utykając, oślepiony światłem, od którego nie było ucieczki, i zachłystując się lodowatym powietrzem, poczuł, że ogarnia go szaleństwo nadchodzącej śmierci, więc zaczął śpiewać nad brzegiem strumienia, śniąc długi sen o pięknie, mimo że był głodny, a jego ciało gniło żywcem.

Na powrót był w dżungli i była to ta właśnie chwila, kiedy jego oczy po raz pierwszy spoczęły na Rajmundzie. Wynurzała się z wody, a z jej krągłych, twardych piersi piętnastolatki, z sutkami skurczonymi pod wpływem zimna, spływały kropelki wody. Uśmiechała się, trzymając w ręku rybę tambaqui, którą schwytała, czatując w rzece zupełnie nieruchomo i czekając, aż ryba znajdzie się tuż obok niej. Zawołał do niej ze swojego kanoe:

- Hola, muchacha , czy podarujesz mi tę rybę?

- Dostaniesz ją ode mnie, kiedy miesiąc pożre słońce - odrzuciła ze śmiechem.

Oczy miała ciemnobrązowe, a na szyi nosiła naszyjnik z plecionych muszelek. Śmiejąc się, odsłaniała olśniewająco białe zęby, a kiedy zlizywała wodę z ust, wydała mu się pełna kokieterii.

Jej uwagi z kolei nie uszło, że jest silny i przystojny, że ma kanoe wypełnione rybami pirarucu i characin, a skoro tak, to musi być dobrym rybakiem.

- Podarujesz mi tę? - zapytała, wskazując palcem największą ze złowionych ryb.

- Oczywiście, że ci ją dam - odpowiedział. - W zamian za pocałunek.

Wspominał tę chwilę, kiedy on i Rajmunda po raz pierwszy obdarowali się wzajemnie ofiarą swoich ciał, na plaży iskrzącej się od zimorodków. Przypomnił sobie jęk zaskoczenia, który wydarł się z ust ich obojga, kiedy ich ciała w tak idealny sposób dopasowały się do siebie w każdym dowolnym poruszeniu. Później zasnęli na piasku pokrytym cętkami światła, a po przebudzeniu chlapali się w wodzie, dopóki nie zapadł zmrok i dopóki nie uświadomili sobie, że nie złowili ani jednej ryby i że otaczają ich kolidry.

Przypomnił sobie radość towarzyszącą narodzinom małej Teresy, tej cudownej dzieci, która nigdy nie zapłakała i która opanowała sztukę pływania, zanim jeszcze nauczyła się stać prosto na nogach. Czasami Teresie wszystko się myliło i usiłowała ssać jego pierś zamiast matczynej, tak że musiał wkładać jej palec do buzi, aby ją uspokoić.

Pamiętał chwilę, kiedy jego drobniutki synek natknął się na ropuchę pipa i wskazał ją palcem, jakby chcąc zapytać: „Papo, dlaczego ona jest taka płaska?”, ponieważ Alfonsino, choć jeszcze maleńki, wiedział już, że ropuchy zwykle bywają grube i nadęte. Lazaro wytłumaczył swojemu synkowi, że zdarzają się też ropuchy płaskie jak trzcina, i wyraz *sapo* był pierwszym, jaki Alfonsino usiłował wymówić.

Jestem bardziej odrażający niż ropucha, pomyślał Lazaro i zapłakał przez sen. Przestałem już nawet być mężczyzną, ponieważ wyrosły mi piersi niczym kobiecie, a moje *cojones* całkiem się obkurczyły. Tylko włosy na głowie upodobniają mnie jeszcze do człowieka. Rajmundo, kiedyś byłem równie piękny jak ty, a ty mnie kochałaś.

I znowu był z Rajmunda, kochał się z nią w chacie na palach, którą pobudowali razem i przymocowali lianami do pni drzew, a na dworze padał

deszcz i gdzieś w oddali skrzeczały wyjce, w ciemnościach lśniły purpurą ognia skradzionego bogom oczy kajmanów, kiedy zaś przyływ podniósł wody, rozpoczęły swój śpiew delfiny.

42. Ofiara

Dionisio był niezmordowany, wyszukując najbardziej zaciszne i przytulne zakątki na plaży. Zwinnie i bez wysiłku śmigał w górę i w dół po osuwających się zboczach, jak przystało na kogoś, kto był wychowankiem sierry i całe niemal dzieciństwo spędził na wolnym powietrzu. Szybko też odkrył dwie ścieżki, prowadzące w dół urwiska i wiodące do niewielkiej zatoczki, do której przedtem przeprawiali się łódką.

Na szczycie klifu, w samym środku niegdyś starannie wypielegnowanego ogrodu, który obecnie zmienił się w zdziczały gąszcz, znajdowała się stara studnia. Z jednej strony, dotykając niemal cembrowiny, leżał chwiejny stos zmurszałych oślich kości szczękowych. Dionisio przypatrzył się im dokładnie, czując, że ich obecność w tym miejscu oznacza jakąś tajemnicę. Dopiero później, po długich miesiącach, kiedy o wielu rzeczach dowiedział się już od Pedra, nagle przypomniał sobie o nich i wówczas uświadomił sobie, że były pozostałościami odprawianych tu ceremonii santerii.

Dno zatoczki wyłożone było lśniącymi białymi krzemieniakami, które w ciągu setek lat przywędrowały tutaj, popychane łagodnym prądem wzdłuż wybrzeża. Była tam też jaskinia, wrzynająca się w głąb klifu na długość czterech metrów, z wejściem częściowo zamaskowanym dwiema masywnymi skałami, o które rozbijała się woda. Anika początkowo mocno utyskiwała, że musi pokonywać tak strome miejsca, których sam widok

odbierał jej odwagę, a - co gorsza - Dionisiowi przychodzi to bez trudu i jeszcze pokpiwa sobie z jej ślamazarności. Ale kiedy już znalazła się na dole, ogarnął ją prawdziwy zachwyt na widok zatoczki, a pieczara zdała jej się niczym łono samej Pachamamy.

Zrzucili z siebie ubrania, ponieważ było to takie miejsce, w którym człowiek doznaje uczucia największej radości, swobody i rozkoszy niemal zmysłowej, zanurzając się nago w ciepłych falach, a potem pozwalając słońcu osuszyć krople wody na ciele. Nagła, wszechogarniająca błogość objęła ich oboje.

W pewnej chwili Dionisio, chwytając się kamyków podkurczonymi palcami stóp, aby utrzymać równowagę, wynurzył się z wody niczym Posejdon obwieszony wodorostami i wabiony śpiewem syren i ujrzał Anikę rozciągniętą na piasku, nieskrępowaną w swojej nagości. Jej popielatorudawe włosy lśniły w słońcu, blade piersi wyglądały delikatnie i krucho. Śpiąc poruszała wargami, ponieważ śniła o tych wszystkich rzeczach, których nigdy nie będzie mogła mu powiedzieć.

Zdjęty nagłym lękiem, położył się obok niej, podczas gdy słońce spijało z niego słoną wodę, i kiedy poczuł gorąco przenikające go do wnętrza, docierające do każdego zakątka jego ciała, jednocześnie ogarnęło go pożądanie. Wsparty na łokciu, pochylił się nad twarzą Aniki, a jego ręce podjęły łagodną wędrówkę po wszystkich jej wypukłościach i zagłębieniach. Anika, nie całkiem jeszcze rozbudzona, podniosła rękę i ujęła go za ramię i wówczas żądza porwała ich oboje. Jakby kierowani jedną myślą - ona ciągle w pół śpiąca - zabrali swoje maty i wstąpili do wnętrza łona Pachamamy.

Łagodnie, z przejęciem pieścili każdy centymetr swoich rozgrzanych ciał, aż nagle Anika otworzyła szeroko oczy, z niezachwianą pewnością,

że właśnie poczęła jego dziecko. Jednocześnie przepełnił ją ból i radość; radość, gdyż oto wiedziała, że od tej chwili zawsze będzie towarzyszyła jej częśćka jego samego, ból, gdyż oznaczało to, że teraz nie wolno jej dłużej odkładać ich rozstania.

Leżeli w milczeniu, zamknięci w ciasnym uścisku, dopóki Anika nie zauważyła w pewnym momencie, że nie są sami. Przed wejściem do groty, na wodach zatoczki kołysała się niewielka łódka na wiosła wyładowana koszami do połowu homarów, a bliżej, o kilka metrów od brzegu, zanurzony po szyję w wodzie tkwił dziwnie wyglądający mały człowieczek, łysy niczym balasek balustrady w stylu kolonialnym, i podglądał ich.

Dionisio wstał i wyszedł na zewnątrz, zupełnie nagi.

- Hola, hombre, jak się czuje ktoś, widząc najwspanialszy z ośmiu cudów świata? - zawołał do podglądacza, machając mu ręką.

Łysy voyeur jednak zrejterował z wyrazem paniki na twarzy i popłynął zawstydzony do swojej łódki, a Dionisio odwrócił się do Aniki i powiedział:

- Żał mi tych wszystkich, którzy nie mieli szczęścia oglądać nas w tej chwili. Tylko temu jednemu się udało.

W drodze powrotnej Anika poczuła nagle gwałtowną chętkę na czekoladę; zachciankę, która miała jej towarzyszyć przez wszystkie miesiące ciąży. Dionisio zatrzymał motocykl w pobliżu niewielkiej tienda, z pochylonymi ścianami z chrustu i zakrawającym na ironię szyldem na zewnątrz, głoszącym dumnie:

„Harrods”. Czekolada okazała się na wpół rozpuszczoną, brązową, kleistą mazią wypełniającą folię. Anika żarłocznie wylizała srebrny papierek, który następnie złożyła starannie, z zamiarem schowania go do tiroir de

souuenirs, gdyż postanowiła trzymać taki do końca życia i wypełniać pamiętkami po Dionisiu.

Wieczorem w restauracji usiłowała podzielić się z nim najgłębszymi przemyśleniami i odczuciami, pragnąc nawrócić go na swoją filozofię życiową, tak by kiedy stanie w obliczu tragedii, nie pogrążył się w materialistycznej pustce i nicości. Opowiadała mu o swojej wierze w to, że jej matka nadal czuwa nad jej życiem i kieruje wszelkimi sprawami tak, by na koniec wszystko obróciło się na dobre, o różnicy między ślepym losem a opatrnością i o tym, że opatrność zawsze zatriumfuje nad fatum i doprowadzi rzeczy do przeznaczonego im końca. Przerwała na moment swoje wynurzenia, czekając na reakcję Dionisia, on jednak wolał wspominać, jak zabawnie było przyłapać tego małego tysego człowieczka na podglądaniu, więc w końcu dała za wygraną i siedziała w milczeniu, błędząc myślami wokół tego, co będzie musiała mu powiedzieć, kiedy wróci do hotelu, i zastanawiając się, czy wystarczy jej siły na przetrwanie tego okresu, dopóki opatrność nie wyjdzie zwycięsko ze zmagania z bezwolnym losem.

Nie potrafiąc stawić czoła temu, co musiała uczynić, wyszła jeszcze na dwór i zaczęła szkicować dzwonnice niewielkiego kościółka, zastanawiając się jednocześnie, gdzie się podział Bóg, dlaczego milczy i pozostaje obojętny, dlaczego nic go nie obchodzi ludzkie szczęście. Dionisio wyszedł także, odszukał ją wiedziony instynktem i przyniósł jej do zjedzenia garść fig. Kiedy skończyła swój rysunek, nie otrzymałszy ze strony pogrążonego w wiecznym letargu bóstwa żadnego znaku zainteresowania ani troski, wyruszyli na przechadzkę po mieście. Trochę włączyli się po ulicach, zaglądając przez zabite deskami okna do opuszczonych domów, podziwiając gniazdo olbrzymich szerszeni, na koniec zachodząc na drinka

do małego obskurnego baru. Po raz ostatni wchłaniali w siebie zapach tego zapyziałego miasteczka, z jego malowniczym urokiem i mizernym handelkiem.

Późnym wieczorem, kiedy Dionisio wyszedł spod prysznic, zastał Anikę siedzącą w zadumie na ich zaimprovizowanym podwójnym łóżku, z głową opartą o wezglowie. Zwyczajnym, rzeczowym tonem oznajmiła mu:

- Querido, nie jestem szczęśliwa.

Dionisio zastygł w bezruchu, z jedną nogą tkwiącą do połowy w nogawce spodni.

- Zaraz, co ty właściwie masz na myśli?

Anika przygryzła wargę, w beznadziejnej próbie powiedzenia tego, co musiała mu powiedzieć, bez uciekania się do kłamstwa.

- Po prostu nie jestem szczęśliwa.

W jednym momencie Dionisio pojął wszystko, gdyż już wcześniej dręczyły go przecucia, jasne i klarowne niczym woda spływająca z gór, i w żaden sposób niedające się odpędzić.

- Masz na myśli, querida, że odchodzisz ode mnie?

Usiadł obok Aniki na łóżku i uśmiechnął się do niej, spoglądając w jej udręczone, pełne niepokoju oczy.

- Nie widzę innego wyjścia. Cóż więcej mi pozostaje?

Dionisio poczuł, że serce w nim zamiera, a jego duszę wypełnia paniczny strach. Przez moment siedział kompletnie ogłuszony, a potem zwiesił głowę i zapytał z wielkim spokojem:

- Proszę, powiedz, co takiego złego uczyniłem?

Anika objęła go za szyję i odrzekła:

- Ty nic. Wina tkwi wyłącznie we mnie.

Dionisio poczuł falę obezwładniającego paraliżu, przesuwaną się w jego wnętrznościach bardzo powoli, wypływającą gdzieś z głębi przepony. Żadne z nich nie pamiętało później, jak długo siedzieli w milczeniu, niezdolni do koncentracji, podczas gdy ich myśli rwały się dziko i bezładnie. W końcu Dionisio objął rękami brzuch i zaczął się kołysać w przód i w tył, uświadamiając sobie z przerażającą jasnością, że zaraz schwyci go atak wewnętrznego bólu, który skurczy jego mięśnie w nagłym spazmie, tak że nie mogąc złapać tchu, będzie leżał skulony na podłodze, krztusząc się i walcząc o każdy haust powietrza, zanosząc błagania o łaskę śmierci do obojętnego Boga, w którego istnienie przecież nie wierzył. Z jego ust wydobył się jęk, który wprowadził go w osłupienie, gdyż zdawał się pochodzić z jakiegoś zupełnie innego miejsca. W końcu strumień gorących łez zaczął mu spływać między palcami, które przyciskał do twarzy z taką siłą, że aż pobielaly mu stawy.

Anika objęła go ramionami, a wtedy dał upust słowom. Zaczął jej opowiadać o sobie, o każdym szczególe swego nędznego żywota, o tym, że wszystko, czego się kiedykolwiek imał, zaczynało się wspaniale, pod pomyslnymi auspicjami, kończyło zaś katastrofą, że w głębi duszy zawsze czuł, iż pod każdym względem jest kompletnym pechowcem, że całe jego bravado, machismo i przewaga intelektualna stanowiły w gruncie rzeczy upokarzające oszustwo, że uświadamiał to sobie już dawniej i nawet usiłował popełnić samobójstwo z tego powodu, że zawsze wiedział, iż pewnego dnia nadejdzie taki właśnie moment, kiedy zostanie z pustymi rękoma, nie posiadając nic, i że to nigdy już się nie odmieni, gdyż pod jego dotknięciem nawet zarodki złota rozpadają się w okruchy zwykłego kurzu.

- Nie płaczesz z mojego powodu - wtrąciła Anika łagodnie. - Płaczesz nad swoim życiem.

Dionisio popatrzył na nią przez łzy i powiedział:

- Jak widzisz, Bugsita, zżera mnie litość nad sobą. Zobojętniała, ponieważ cała gorycz i ból tego, co przyszło jej uczynić, jeszcze do niej nie dotarły,

Anika pochyliła się do przodu i pocałowała go.

- Ty Judaszu - odezwał się Dionisio.

- Byłeś moim najdroższym - powiedziała. - Byłeś najwspanialszym mężczyzną mojego życia.

Popatrzył na nią z tak straszliwym gniewem, niczym sam Jowisz Olimpijski, że zwiesiła głowę i szlochając, odezwała się zdławionym głosem:

- Proszę, Dio. Jestem niewinna.

- Kto zabija miłość, jest gorszy nawet od tych wszystkich kokainowych zbirów - powiedział z goryczą.

- Nie, querido - wymamrotała. - Jest taki sam.

Siedzieli w zimnym milczeniu i nagle z rozpaczą rzucili się ku sobie, porwani desperacką, wszechwładną, dojmującą żądzą, która nieuchronnie bierze człowieka w posiadanie w chwilach, kiedy ktoś jest przekonany, że to już nadszedł ostatni raz, kiedy ze zjednoczenia się dwóch ciał zdaje się rodzić okultystyczny biały ogień. Wierząc zapewnieniom Aniki o pigułce, Dionisio rozpaczliwie uczepił się myśli, że może okaże się nieskuteczna, że może los choć raz będzie mu sprzyjał i uczyni ją brzemienną, tak by była zmuszona z nim zostać.

43. Taniec ognia (4)

Lazara otaczał już pierścień sępów i kondorów, kiedy znaleźli go Pedro i Misael. Handlowali z Indianami Acahuatec z wiosek położonych wyso-

ko w sierze, wymieniając jarzyny uprawiane na andenes Cochadebajo de los Gatos na górskie owce, i właśnie wracali od nich, prowadząc karawanę mułów i młodego dzikiego byczka, schwytanego na łąso między skałami. Zwierzę walczyło ze wszystkich sił, ale Pedro, oplątawszy mu łąnę nogi, powalił je na ziemię, a potem wyszeptał do ucha kilka secretos, aż byk pojął, że jest teraz w dobrych rękach, a ponadto od tej pory będzie korzystał z wdzięków niejednej karłowatej jałówki.

- Aj, aj, a co to takiego? - zawołał Misael, kiedy nad brzegiem arroyo natknęli się na coś, co w pierwszej chwili wzięli za zwłoki zakonnika.

Pedro pochylił się i odsunął kaptur. Odskoczył gwałtownie do tyłu, mamrocząc żarliwą modlitwę do Eshu, aby bóg nie czynił go ofiarą swoich złośliwych sztuczek i psikusów.

Oczom obu mężczyzn ukazała się najpierw bujna kępka białych włosów, jednak to, co znajdowało się poniżej, w żadnym wypadku nie przypominało ludzkiej twarzy. Ujrzeni potężne, mięsiste fałdy zgrubiałej skóry, uszy ogromne i bezkształtne, wreszcie - w miejscu w którym powinien znajdować się nos - głęboką, ziejącą jamę, wypełnioną krwią i śluzem, w której roiło się od larw i którą gęsto obsiadły muchy. Szeroko otwarte oczy zasnuwane białawą błoną sprawiały wrażenie martwych. Co zaś było najgorsze w tej twarzy, to porastające ją guzy i narośle, wszystkie ropiejące i gnijące, i język pokryty wrzodami i strupami, z którego wszystkich spękań sączyła się krew, widniejący w otchłani stanowiącej niegdyś usta. Cała twarz drgała konwulsyjnie, niczym w ataku apopleksji.

Lazaro ocknął się ze snu o Rajmundzie i ujrzał przed sobą Pedra, co prawda, już starca, ale przecież gibkiego i pełnego sił, odzianego w skóry zwierząt i z muszkietem w rękę. Przesuwając oczami, zatrzymał wzrok na Misaelu, także starym mężczyźnie, jednak ciągle krzepkim, umięśnionym

jak campesino i noszącym maczetę u pasa. Przyszło mu na myśl, że widocznie już umarł i teraz aniołowie dają mu do wyboru, jak pragnąłby wyglądać w dalszym życiu. Uniósł swoją podobną do szponów dłoń i wskazał nią Pedra.

- Ten - powiedział.

Odwróciwszy się do swego towarzysza, Misael zauważył:

- Chrypi niczym sęp.

- Powinniśmy dobić nieszczęśnika - odparł Pedro - bo przecież nic już w nim nie zostało życia. Będzie to akt prawdziwej litości.

Pojąwszy, że nadal przebywa między żywymi, Lazaro poruszył się i zaczął błagać:

- Zabijcie mnie.

Pedro sięgnął do ładownicy po nabój, wtłoczył go do lufy swojej staroświeckiej strzelby, opuścił na sam dół i przybił przybitką. Następnie przyklęknął obok tego żalosego strzępu człowieka i zwrócił się do niego ze słowami:

- Błagam cię, cabron, pozwól mi uczynić to, co zamierzam, i przebac mi mój postępek. Niech Yemaya weźmie cię w swoje objęcia, a tam w niebiosach niech Babalu-Aye obdarzy cię zdrowiem.

Lazaro, niezdolny już nawet skinąć głową, przechylił ją tylko boleśnie na znak przyzwolenia, a łzy szczęścia potoczyły mu się po policzkach. Pedro uniósł muszkiet, opierając lufę o jego czoło.

W tym momencie jedna z suk Pedra podeszła bliżej i obwąchała ten ludzki łachman. Cicho skowycząc, poczęła lizać jego poranione stopy. Misael powstrzymał rękę Pedra.

- Amigo, jeśli nawet pies ma litość nad tym człowiekiem, my tym bardziej powinniśmy się nad nim ulitować. Może Aurelio potrafi go wyleczyć.

Pedro odłożył broń i zastanowił się

- Czy dasz radę iść? - zapytał.

- Nie - wyszeptał Lazaro.

- Vale, w takim razie weźmiemy cię na muła. Mamy wielkiego babalawo, potężnego brujo, który potrafi więcej niż my, i zabierzemy cię do niego. De acuerdo?

Lazaro, zbyt wyczerpany, by się sprzeciwić albo chociażby pożądać śmierci tak mocno, by teraz nalegać, ponownie skłonił głowę. Pedro i Misael zaprzęgli razem dwa muły i umocowali między nimi hamak. Zanim położyli doń Lazara, oczyścili jego rany z larw i pasożytów, a potem nagrzali wody ze strumienia i obmyli go całego. Misael nalał na gałganek trochę oliwy z buteleczki i zaczął namaszczać wszystkie złuszczenia i owrzodzenia na jego ciele. Popatrzył na piersi, na bezwłosy tors, na skurczone męskie genitalia.

- Wybacz mi, przyjacielu - zapytał - ale czy jesteś mężczyzną, czy kobietą?

- Kiedyś byłem mężczyzną, obecnie jednak jestem niczym. Jestem bestią. Jestem słoniem, lwem, rybą, sępem. Jestem kreaturą nieznaną Bogu.

- Z pomocą bożą na powrót staniesz się mężczyzną, cabron. - Misael wrzucił do ognia gałganek, po czym obaj z Pedrem odziali Lazara w jego habit i podsadzili do hamaka.

W Cochadebajo de los Gatos Aurelio miał przeczucie nadchodzących wydarzeń, więc napił się gorzkiego naparu z ayahuasca i jego duch prze-

mienił się w orła. Szybując coraz wyżej, niesiony wznoszącymi się prądami powietrza, dostrzegał ptaki alcamarini, wiskacze i cuis, frunął jednak dalej, nie ulegając instyktowi drapieżnika. Przeleciał nad miejscem, gdzie w wydrążonych w ścianach jaskiń niszach kulily się mumie dawnych Indian, zatoczył krąg tam, gdzie niegdyś Pachacamac zapragnął wzniesć dla siebie pałac, a potem jego oczy spoczęły na karawanie mułów wiedzionej przez Pedra i Misaela. Misael dosiadał jednego z nich, podczas gdy Pedro, jak zwykle, szedł pieszo. Zobaczył, czym objuczone są zwierzęta, i dokładnie przypatrzył się ciału Lazara, tak by być przygotowanym na wszystko, co przyjdzie mu uczynić, kiedy karawana dotrze do miasta.

Pofrunął teraz nad dżunglą, zataczając krąg nad swym drugim domem, gdzie mieszkał wraz ze swoją żoną Carmen, której prawdziwe imię brzmiało Matarau, i miejscem gdzie spoczywała jego córka Parlanchina. Przepatrzył swoim sokolim wzrokiem każdy zakątek w poszukiwaniu odpowiednich ziół i kory, a potem wrócił do Cochadebajo de los Gatos. Teraz szedł już na nogach, tak jak inni ludzie, niespiesznym, miarowym krokiem, a mimo to dystans dzielący go od domu w lesie pokonał szybciej, niż zrobiłby to szybko biegnący margaj, który w dodatku nie zatrzymałby się ani na moment, aby odpocząć. Zanim recua dotarła do Cochadebajo de los Gatos, był już z powrotem w mieście i miał wszystko przygotowane.

Pedro potrafił pokonywać pieszo długie dystanse w krótkim czasie i bez pośpiechu, Misaelowi jednak obca była owa sztuka, a poza tym musieli także brać pod uwagę dodatkową okoliczność. Zarówno Lazaro, jak i zwierzęta potrzebowały więcej czasu, by ich organizmy przystosowały się do tak znacznej wysokości. Kiedy wspinali się coraz wyżej, pokonując

pajonales, quebredas , punas i llochias, musieli coraz częściej przystawać, gdyż Lazaro z coraz większym trudem łapał powietrze. Jego oddech stał się rżący i urywany i Pedro zaczął się obawiać, że jeszcze trochę, a nie-szczęśnik udusi się od tego połączenia, jakie stanowiła jego sfatygowana tchawica i rozrzedzone górskie powietrze. Pewnego wieczoru wmusił w niego tyle copas chichy, że Lazaro stracił przytomność.

Wówczas rozgrzał nóż w płomieniu ogniska i zbliżył się do leżącego bez przytomności Lazara. Odsunął kaptur mnisi i namacał palcami odpowiednie miejsce. Przeciął ostrzem gardło, aż fetor palonego ciała napełnił powietrze. Następnie, przytrzymując otwartą ranę dwoma palcami, wepchnął weń krótką, szeroką rurkę wyciętą z trzciny. Po tym zabiegu Lazaro oddychał o wiele lżej, a nawet owrzodzenia w jego gardle zaczęły trochę przysychać. Misael, który nie był w stanie przypatrywać się zabiegowi, spędził ten czas, karmiąc muły trawą ichu, przygotowując posłanie w niewielkiej, brudnej choza , w której Indianie pozwolili im przenocować, i przygotowując canche .

Trzy dni spędzili wśród błękitnych łubinów, nieco poniżej granicy wiecznych śniegów, tak aby Lazaro nawykł do wysokości. Dawali mu do jedzenia bulwy chroniące przed ślepotą śnieżną, kazali żuć zwinięte liście koki i połykać rozdrobnione kawałki chancaki, żeby podtrzymać jego nadwątlone siły. Mimo tych wszystkich zabiegów, soroches mocno dała mu się we znaki; jego oczy niemal wypłynęły na wierzch, w skroniach tętniło mu i pulsowało, kiedy pokonywali portachuelos przed rozpoczęciem marszu w dół, do Cochadebajo de los Gatos. Jednakże zanim jeszcze dotarli do miasta, niektóre z obrażeń i zmian na jego ciele już zaczynały się goić dzięki owej nieśmiałej, skromnej kuracji, pierwszej, jakiej doświadczył w całym swoim życiu.

44. Uniwersytet

Przybita świadomością tego, jak kruche i ulotne potrafi być szczęście, Anika siedziała obok Dionisia w autobusie, spoglądając na krajobraz przesuwany się za oknem w podobny sposób, w jaki - a przynajmniej taka jest powszechna wiara - przed oczami tonącego przesuwały się obrazy z całego jego życia. Obok niej siedział mężczyzna, którego znała w każdym, najintymniejszym nawet szczególe, który stał się połówką jej własnego ciała, jej własnej duszy. Był rwącym potokiem, w którym kąpała się przy księżycu, nocnym ptakiem, wypełniającym swoim śpiewem pustkę ciemności, był idealnym odbiciem wszystkiego, co powiedziała, uczyniła czy postanowiła. A jednak teraz, mimo wszystkich miesięcy, które spędzili razem, czuła, że ten mężczyzna oddala się od niej, staje się kimś zupełnie obcym. Bez najmniejszego skrępowania szlochał na oczach pasażerów, z każdą wylaną łzą coraz bardziej upodobniając się do kamiennej maskary.

Na lotnisku, gorącym i przesyconym wilgocią niczym wnętrze czajnika z ukropem, odmówił siedzenia obok niej. W samolocie, wznoszącym się i opadającym w powietrzu jak wielka, pelagiczna ryba, podrzucana prądami oceanów, kompletnie ją zignorował. W Valledupar rzucił się w objęcia mamy Julii, a potem zatonął w uścisku La Prima Primavera. Mama Julia pośpieszyła za synem do ogrodu i gdy tylko znaleźli się w perypatetykonie, odezwała się z troską:

- Może okazywałaś jej za mało uczucia?

- Nawet gdybym był Jezusem Chrystusem we własnej osobie, ty i tak byś uważała, że do niczego się nie nadaję! - wrzasnął na nią Dionisio.

Zagwizdał na psa i zabrał go na spacer, najbardziej forsowny i wyczerpujący, jaki kiedykolwiek przyszło odbyć biednemu zwierzęciu. Wróciwszy, złapał gwałtownie Anikę i rzucił porywczo:

- A teraz idź i powiedz mojej matce, że okazywałem ci uczucie.

Mama Julia wyznała mu z wyrazem zakłopotania na twarzy, że sama próbowała porozmawiać z Aniką.

- A ona po prostu oznajmiła mi, że zawsze postępuje w ten sposób.

- Co?

Mama Julia urwała na chwilę i zmarszczyła brwi.

- Tłumaczyłam jej, że nie wolno iść przez życie, krzywdząc innych dla swojego widzimisię. - Wzruszyła ramionami. - Wydaje mi się, że tej dziewczynie po prostu brak piątej klepki.

- I to wszystko, co ci powiedziała?

- Maglowałam ją bez końca, ale nie potrafiła mi podać żadnego racjonalnego powodu. Dionisio, nie rozumiem tego. Sądziłam, że to dobra dziewczyna. - Mama Julia była wyraźnie zbita z tropu. Objęła syna mocnym uściskiem. - Z inną na pewno będzie ci lepiej.

- Na miłość boską, nie chcę żadnej innej. Mam gdzieś wszystkie inne.

Podczas dwudniowej drogi powrotnej do Ipasueno Anika srodze doświadczyła gniewu kochanka; pod jej adresem płynął nieprzerwany strumień oskarżeń, krytyki, wyrzutów i złośliwych uwag. Siedziała sztywno, przyjmując to wszystko bez słowa i myśląc jednocześnie, że jeśli tak będzie dalej, to rzeczywiście przestanie go kochać.

Przez następnych kilka dni wielokrotnie wpadali na siebie na ulicy, gdyż kierowany intuicją Dionisio zawsze wiedział, kiedy podążała w górę Calle de la Constitution, i wybiegał pośpiesznie, by ją złapać, zanim zniknie w drzwiach domu ojca. Dwa razy zgodziła się pójść z nim na tinto i

dwukrotnie wylądowali potem w łóżku, gdzie kochali się z żarliwością kochanków, którzy odnaleźli się na powrót po długiej rozłące. Dwukrotnie przyznała, że nadal pragnie być razem z nim, i dwukrotnie pojawiała się u niego następnego dnia, aby to odwołać. Dionisio zarzucił jej, że z rozmysłem niszczy każdą próbę pojednania, a Anika popatrzyła na niego i odparła:

- Ty może tego nie rozumiesz, ale ja nie mogę pragnąć, abyśmy znowu byli razem. I nie będę już dłużej wysłuchiwała, jak mnie obrażasz.

W odpowiedzi Dionisio złapał ją za kołnierz, przycisnął do ściany i rzucił jej prosto w twarz:

- Właśnie, że będziesz.

I za chwilę znowu leżeli w łóżku, spleceni uściskiem, i Dionisio odezwał się w ciemnościach:

- Czy chcesz, abym przyniósł nóż, tak abyś mogła pozbawić mnie życia jednym ciosem i dokończyć to, co zaczęłaś?

A Anika usiadła gwałtownie, gdyż uprzytomniła sobie, że przez to, co teraz robi, rzeczywiście może stać się przyczyną jego śmierci.

Wywołane zdjęcia stały się kolejnym pretekstem do odwiedzin. Usiedli razem na podłodze zasłanej porzucanymi w krąg fotografiami. Oglądając je, Dionisio wybuchnął płaczem i zaczął błagać Anikę, żeby zrobiła mu odbitki ze wszystkich ujęć, na których jest ona sama, ponieważ pozostałych nie chce nawet widzieć. Wychodząc, Anika także się rozplakała, i kiedy wybiegała pośpiesznie, zapomniawszy nawet zamknąć za sobą drzwi, odwróciła się jeszcze i powiedziała:

- Przepraszam, to ja spieprzyłam wszystko.

Dionisio robił, co mógł, aby Anikę odzyskać. Zaprosił ją do restauracji na obiad, ale jedzenie okazało się nie do przełknięcia, tyle w nim było an-

gielskiego pieprzu, a on sam zepsuł cały nastrój, nie przestając ani na chwilę zalewać się łzami.

Anika zauważyła:

- To mi trochę przypomina nasz pierwszy wspólny wypad do restauracji. Wtedy także nie wiedziałam, co powiedzieć.

Napisał do niej długi, napastliwy list, że potrzebuje bardziej psychiatry niż kochanka i przyjaciela. Napisał jej też, że on sam obecnie będzie częstym gościem w stolicy, gdyż wiele klubów i rozmaitych gremiów akademickich zaprasza go, aby wygłosił referat na temat handlu koką, przy tej okazji jednak z pewnością nie ulegnie pokusie, aby się z nią zobaczyć. Anika przerażona jego słowami przybiegła natychmiast, przepelniona skruchą, która jednak szybko się ulotniła, gdy tylko przypomniała sobie, co ją zmusiło do takiego postępowania. Nie poprzestawszy na jednym liście, Dionisio wysłał do niej kolejną epistołę, w której błagał ją, aby wytłumaczyła mu, dlaczego go opuściła, i Anika przyniosła mu odpowiedź - na wpół dokończony list. Dionisio usłyszał ją na schodach, rozmawiającą z Janitą, która szeptała:

- I co masz zamiar mu powiedzieć? Powiedz mu prawdę, idiotko, powiedz mu prawdę.

List okazał się tak pokrętny i zagmatwany, że Dionisio nic z niego nie zrozumiał, podobnie jak z tłumaczeń Aniki. Nigdy jednak nie otrzymał od niej wyjaśnienia, które byłoby bliższe prawdy, gdyż od tej chwili Anika - acz niechętnie - postanowiła uciec się do kłamstwa. Powiedziała mu, że nie była z nim szczęśliwa, że uległa jedynie chwilowemu zaślepieniu. Celowo przeinaczała rozmaite wydarzenia z ich wspólnej przeszłości, by uwiarygodnić swoje wydumane wymówki, i tak wspólnie, krok po kroku - acz bez udziału świadomości - tworzyli fałszywą mitologię, posługując się

najczystszą dialektyką, gdyż Dionisio zakładał, że cała wina tkwi w nim samym. Do reszty zdeprimowany, pogrążył się w prawdziwej orgii samokrytyki, próbując dociec, co takiego uczynił, że Anika się od niego odwróciła. Wymyślał więc rozmaite przyczyny, najczęściej idiotyczne i zupełnie błahe, a Anika mówiła:

- Ależ nie, to bynajmniej nie przez to.

Jednakże w kilka tygodni później przystawała na tłumaczenie, że rzuciła go, bo miał nieświeży oddech, bo był za stary, bo czuła się schwyтана w pułapkę, bo dręczyło ją poczucie winy z powodu ogromnej radości, jaką sprawiał jej seks. W końcu miał już cały stos długich listów od niej, pełnych rozmaitych powodów jej odejścia, które sam jej podsunął i którym początkowo zaprzeczała, by je później podchwycić i przedstawić jako swoje.

W wyniku tego osobliwego procederu jego wiara w siebie i poczucie własnej wartości zaczęły pękać, rozpadać się powoli, kruszyć się aż do fundamentów skrytych głęboko pod ziemią, by z czasem zostać wypłukanym przez wodę i spłynąć z nią z gór, wsiąknąć w llanos, a na koniec wyparować w powietrze.

Ale tego wieczoru, kiedy przyniosła mu swój pierwszy list, jej samej zabrakło siły na dalsze odgrywanie komedii, tak więc znowu byli razem, a Anika desperacko chwyciła się nadziei, że może wszystko jakoś się ułoży. Kochali się z taką zachłannością, że w ferworze rozbierania odzież Dionisia została porwana na strzępy. Rano Anika zostawiła mu liścik, wetknięty między szczeble żaluzji:

Bardzo się śpieszę, więc piszę zaledwie te kilka słów, aby podać Ci mój nowy adres i telefon w stolicy. Jeśli będziesz chciała nawet jeśli nie ze-

chcesz, to także - zadzwonię do Ciebie do Ro-samundy o jakiejś rozsądnej godzinie. Czy natknąłeś się może na mój zielony trójkątny kolczyk? Gdzieś go zapodziałam ostatniej nocy.

Kocham Cię Anika

Dionisio przez godzinę bezskutecznie przeszukiwał dom, aż wreszcie znalazł kolczyk w łóżku. Poszedł do domu Aniki i wsunął go przez pręty żaluzji.

Tego samego dnia, tylko później, otrzymał od niej kolejną karteczkę:

Dziękuję za kolczyk, Dio. Niestety, zmieniłam decyzję. Nawet nie wiesz, jaki ból mi to sprawia, ale z nami definitywnie koniec. Tak mi przykro. Musisz zrozumieć, że nie mogę się z Tobą więcej widywać.

Co dziwne, Dionisio nie przyjął do wiadomości, aby to rzeczywiście miał być koniec. Nadal zachowywał się tak, jakby ciągle byli razem. Wiele myślał o ukochanej, pełen radości, pisywał do niej czułe listy, w których dzielił się z nią wszystkimi nowinami, zapewniając jednocześnie, że nie może się już doczekać spotkania. Kupował jej prezenty, wyobrażając sobie, że któregoś dnia wręczy jej je wszystkie, i czuł się bardzo szczęśliwy.

Ale jednocześnie jakaś część jego umysłu zamierała z trwogi, dręczona świadomością tego, że prędzej czy później będzie musiał pogodzić się z utratą ukochanej, a wtedy rozpacz wepchnie go na drogę szaleństwa.

45. Pedro Łowca

Podczas pierwszej nocy spędzonej w stolicy, Anika śniła, że Dionisio śni o niej, co istotnie było prawdą. Obojgu przyśniła się mesa wyrastająca wysoko ponad dżunglę, zamieszкана jedynie przez żółtoskrzydłe ary, kapibary i potężne wydry. Z wznoszącego się niemal pionowo płaskowyzu opadały całe wodospady piór warzęchy białej, wirowały między lianami, przemieniając się w kolibry i motyle. W swoim śnie Anika widziała Dionisia stojącego nago i samotnie na skale. W rękach dzierżył laskę sędziowską, a jego czoło wieńczyła korona ze złotych liści. Stał z szeroko rozpostartymi ramionami i odrzuconą do tyłu głową, modląc się do Viracochy i przyzywając go do ponownego przyjścia. Widziała jego ciało, obasypane od stóp do głów złotym pyłem, i karminowe wargi. We śnie Dionisia przyodziana w płatki lapis-lazuli Anika pochylała się, przesypując między palcami czarną ziemię mesa. Potężna ręka Pachamamy przebiła kurtynę spadających liści i delikatnie musnęła jej usta jednym palcem. A potem obojgu przyśniło się to samo, że widzą siebie nawzajem i zaczynają zbliżać się ku sobie, z rozpostartymi ramionami, każdy jednak krok do przodu oddala ich od siebie. Po chwili byli już niczym ledwo dostrzegalne plamki gdzieś na horyzoncie, a wtedy odwrócili się i zaczęli iść w przeciwnym kierunku, by w ułamku sekundy znaleźć się w swoich objęciach.

Anika obudziła się przepełniona radością i zanim jeszcze napiła się tinto, zanotowała w swoim dzienniku:

Śniło mi się, że D. był El Dorado.

Dionisio po przebudzeniu także poczuł, że przepełnia go radość, jakby jakaś tajemnicza siła na powrót umieściła go w raju.

Anika zapisała w dzienniku:

Ależ ja byłam głupia. Nawet nie przyszło mi do głowy, że to przecież niemożliwe, żeby te kokainowe gnidy dowiedziały się, że spotykam się z D. w stolicy. Tak więc wpędziłam się w ciążę może zupełnie niepotrzebnie. Ale jestem zdecydowana urodzić to dziecko i nie obchodzi mnie, co pomyśli mój ojciec, co powiedzą ludzie. Wiem, że D. mnie kocha. Ten kryzys pokazał mi zupełnie jasno, że kocha mnie bardziej, niż mogłabym przypuszczać. Przecież on ma nowoczesne poglądy i na pewno nie każe mi siedzieć w domu i zajmować się dziećmi (mam nadzieję), a gotuje znacznie lepiej ode mnie. Wyjdę za niego, ponieważ wiem, że mnie o to poprosi, i ponieważ wiem, że zawsze go będę kochała, a skoro tak, to dlaczego nie miałabym zostać jego żoną? Przecież ja także tego pragnę. Tylko dokąd mamy wyjechać, aby tamci nas nie znaleźli?

Dionisio wszedł do pokoju Jereza, żeby zobaczyć, czy jego współlokator wrócił już z jednej ze swoich tajemniczych podróży. Ci trzej mężczyźni nigdy nie informowali się nawzajem o swoich poczynaniach, zupełnie inaczej niż kobiety, które mieszkając razem, zawsze zostawiają sobie niezliczone karteczki, nawet jeśli jest to zupełnie niepotrzebne.

Jerez jednak nie wrócił już nigdy. Doszedł do wniosku, że czekanie, aż Dionisio wreszcie zostanie usunięty z tego padołu, jest zbyt nudne, więc zabrał cały worek pesos i udał się do Antiochii, gdzie założył świetnie prosperujące przedsiębiorstwo, zajmujące się wydobywaniem z rzek wraków ciężarówek i remontowaniem ich. Zaczął nosić białe garnitury i panamskie kapelusze, przepasane niebieską wstążką, dał sobie oczyścić zęby z osadu nikotynowego, skończył z marihuaną, przerzucając się na hawańskie cygara, po których miewał jeszcze wspanialsze wizje, a w końcu wziął ślub z młodziutką dziewczyną w bieli, imieniem Consuelo. Jej

czarne włosy i czerwone usta uczyniły go człowiekiem szczęśliwym i na starość napisał nawet memuary o Dionisiu Vivo, które - choć zawierały wiele luk i niedomówień - zaliczone zostały do klasyki. Zmarł jako zapobiegliwy, ogólnie szanowany obywatel. Jego córki powychodziły za mąż za przedstawicieli oligarchii, synowie ukończyli Harwardzką Szkołę Biznesu i często przytaczali przykład swojego ojca jako dowód na to, do czego można dojść uczciwością i wyteżoną pracą. Płacili coroczne składki w klubie Hojas i w Partii Konserwatywnej i zaczęli nawet utrzymywać, że wywodzą się z hiszpańskiej szlachty.

Z pokoju Jereza Dionisio wrócił do swojego. I chociaż przed chwilą sprawdzał pogodę, wyglądając przez okno Jereza, u siebie z czystego nawyku także podszedł do okna, żeby zobaczyć, jaki zapowiada się dzień. Na ulicy mężczyzna z workiem zarzuconym na plecy, otoczony całą sforą psów, skinął na niego krótkim ruchem ręki, dając mu znak, aby zszedł na dół.

Dionisio uczynił to nieco zdumiony, jako że nigdy przedtem tego mężczyzny nie widział. Obcy wyglądał jak prawdziwy mieszkaniec dżungli; w sandałach ze starych opon samochodowych, spodniach ze skór zwierzęcych, podartych i postrzępionych na łydkach, i w koszuli, która na skutek częstych uderzeń kijanką dawno już straciła swój pierwotny kolor. Miał też antyczny hiszpański muszkiet, powiązany drutem, i słomiane sombrero z obszarpanym rondem, ozdobione otokiem z zębów kajmana.

Znalazłszy się przed domem, Dionisio podszedł do niego i wyciągnął rękę. Musiał mocno zadzierać głowę, aby spojrzeć mu w twarz. Mężczyzna był niezwykle wysoki i chudy i wyglądał na kogoś, kto przez całe noce potrafi obywać się bez snu, by na koniec i tak zapomnieć się położyć. Mógł mieć około pięćdziesięciu siedmiu lat, co biorąc pod uwagę jego po-

chodzenie i tryb życia, plasowało go w gronie starców, od trzydziestolatka jednak zdawał się różnić go jedynie metaliczny, szary kolor włosów. Z respektem, lecz bez unizoności wyciągnął rękę i ujął dłoń Dionisia, który poczuł nagle swędzenie, jakby ukąsiła go mrówka.

- Don Pedro - przedstawił się mężczyzna ku zdumieniu Dionisia, który nie mógł przecież wiedzieć, że w Cochadebajo de los Gatos Pedro cieszył się takim poważaniem, że wszyscy odruchowo zwracali się do niego „don Pedro”. - To są moje psy - dodał tonem dalszego wyjaśnienia. - Jestem łowcą, albo raczej byłem nim niegdyś.

Dionisio popatrzył na łaszące się zwierzęta, sparszywiałe kundle o wesołych oczach i merdających ogonach. Wyciągnął dłoń i zaczął je głaskać, a one lizały go po ręce, jakby oczekując, że zaraz skapnie im coś do zjedzenia. Wyprostował się gwałtownie.

- W tych psach jest coś niezwykłego. Co to takiego?

Pedro uśmiechnął się z dumą.

- Pochodzą z hodowli Aurelia, którego już pan poznał, senior. Te psy są milczące. Nigdy nie szczekają tak jak inne. To idealne psy do polowań, ale ponieważ obecnie prawie już nie chodzę na łowy, trzymam je raczej z ciekawości niż z potrzeby. Nie pozbywam się ich, ponieważ człowiek powinien wiedzieć, kim właściwie jest.

Słyszając imię Aurelia, Dionisio nadstawił uszu. Pamiętał tego starego, niewysokiego Ajmarę noszącego trenzas, który rozmawiał z nim zagadkami i pozwolił mu pobawić się ze swoimi kotami.

- Aurelio? - powtórzył.

- Aurelio prosił mnie, abym dał panu upominek, przypomniał o trzech niebezpieczeństwach i powiedział, że wkrótce się z panem zobaczy. Kazał pana przeprosić, że nie pojawił się osobiście, i zapewnić, że chętnie by to

uczynił. Ale - dokończył Pedro - miałem ochotę się przejść i oto jestem tutaj zamiast niego.

- Najczęściej paseo bywają krótsze niż stąd do Cochadebajo de los Gatos - zauważył Dionisio. - Wędrówka musiała zająć panu ładnych kilka dni.

- Potrafię w szybkim tempie pokonywać przestrzenie, nie męcząc się przy tym. Byłem łowcą. Nadal nim jestem.

- A jakie są te trzy niebezpieczeństwa? - zapytał Dionisio, który poprzednio zbyt był pochłonięty spotkaniem z jaguarami, żeby pamiętać dokładnie słowa Aurelia.

Pedro przycisnął trzy palce do skroni i skoncentrował się, żeby niczego nie opuścić.

- Pierwsze jest takie: uważa pan, że wszystko pan wie, z czego bierze się drugie, a mianowicie, że niczego pan nie pojmuje. Trzecie zaś polega na tym, że śmierć trafi w niewłaściwym miejscu.

Dionisio zrozumiał opacznie, że dwa pierwsze niebezpieczeństwa odnoszą się do jego własnej najpoważniejszej wady, mianowicie arogancji intelektualnej. Poczul się lekko urażony, jak każdy, kiedy słowa krytyki są zbyt bliskie prawdy. Trzecie z niebezpieczeństw uznał za przepojony zabobonami mistycyzm, tak pogardzany i niemodny w cywilizacjach, które osiągnęły wyższy szczebel rozwoju. Odrobinę pogardliwym tonem zauważył:

- Z pana także jest brujo, jak śmiem przypuszczać.

Pedro odpowiedział z największą prostotą i szczerością:

- Potrafię przybrać postać boga rzeki podczas rybackiej fiesty i znam secretos leczące choroby, przede wszystkim jednak u zwierząt.

Przez chwilę spoglądali na siebie tak, jak ojcowie patrzą na swoich synów, z pobłażliwą świadomością, że pewnego dnia ich potomkowie wyrósł z swoich głupich zapatrywań, wreszcie Pedro łagodnie zdjął z ramienia worek i ostrożnie położył go na ziemi.

- Od Aurelia, który ma godziwy powód, aby pana tym obdarować.

Domyślając się z poruszeń worka, że w środku musi znajdować się jakieś żywe stworzenie, Dionisio przyklęknął, rozsuptał sznurek i zajrzał do wnętrza. Serce stopniało w nim natychmiast na widok dwóch maleńkich jaguarów z ogromnymi uszkami i długimi wąsikami. Jedno z kociąt spało głęboko, drugie spoglądało na Dionisia i miauczało bezgłośnie.

- O los gaitos - powiedział, wkładając rękę do worka.

Kociak wyciągnął łapkę i delikatnie wbił pazurki w jego kostki, tak że Dionisio nie mógł wyjąć dłoni, nie narażając się na podrapanie. Kociak chwycił mocniej, pociągnął, lekko ugryzł, polizał i dopiero puścił. - Kocham te kotki, ale one są zbyt młode, żeby można je było odłączyć od matki. U mnie zdechną - zafrasował się.

- To nie są zwyczajne koty, senior. Pan będzie dla nich matką. Przekona się pan, że nie trzeba ich nawet karmić. Jedzą wyłącznie dla zabawy, a mimo to nabierają ciała. Urosną czarne i ogromne; zresztą wiedziałby pan o tym, gdyby kiedykolwiek zawitał pan do mojego miasta. To są koty z Cochadebajo de los Gatos.

- Słyszałem o tych kotach, ale nie wierzę w ich istnienie. Jeśli w INDERENA dowiedzą się, że trzymam zwierzęta z chronionego gatunku, będę miał kłopoty. Podarunek Aurelia oznacza areszt i grzywnę. Nie, nie mogę ich zatrzymać.

Pedro uśmiechnął się znowu.

- W INDERENA są dobrzy ludzie, ale to są domowe koty z Cochadeba-jo de los Gatos. W INDERENA nie dowiedzą się o panu, a nawet jeśli tak, to nic panu nie zrobią. Te zwierzaki same potrafią zatroszczyć się o siebie, przekona się pan.

Dionisio wyjął kocięta z worka i wsadził je sobie każde pod jedną pachę. Czuł ciepło promieniujące z tłustych brzuszków, przenikające jego ciało, i ukłucia pazurków, kiedy zwierzątka dla utrzymania równowagi wczepiły się w jego koszulę.

- Proszę powiedzieć Aureliowi, że z całego serca dziękuję mu za jego dar, choć nie rozumiem, co go skłoniło do ofiarowania mi tych kotów.

- Aurelio pragnie, aby wszyscy wiedzieli, kim pan jest. Widząc pana z nimi, nikt nie będzie miał wątpliwości. A teraz odchodzę.

Wyciągnął rękę i Dionisio ponownie poczuł swędzenie w dłoni, jakby pokąsały go mrówki. Szybko wsunął ją do kieszeni i wszedł do domu, dźwigając koty, które ciągnęły go za włosy i gryzły w uszy. Pedro zawołał swoje psy i puścił się w drogę powrotną. Dionisio spoglądał przez chwilę za odchodzącym, po czym postawił kocięta na podłodze i spróbował je nakarmić kozim mlekiem. Zwierzątka jednak wżgardziły ofiarowanym posiłkiem i tylko przewróciły spodek. Przez cały dzień usiłował wmusić w nie coś do zjedzenia i w końcu zaczął się obawiać, że jeszcze zdechną z głodu, dopóki nie odkrył otwartych drzwi lodówki i walających się wszędzie skrawków srebrnej folii. Kociaki pożarły cały zapas czekolady, którą kupił, żeby zaspokoić nowy apetyt Aniki. Ciągle jeszcze nie stracił nadziei, że znowu będą razem.

Tymczasem Pedro Łowca przybrał postać mayombero. Nigdy nie używał czarnej magii, chyba że miał się zmagać z samym diabłem, ale nawet wtedy nie mógł się pozbyć uczucia niepewności. Trzeba bowiem dyspo-

nować prawdziwie potężną mocą, aby takie czary nie obróciły się przeciwko człowiekowi i żeby nie skończył on jak ów Congo z Asuncion, który przywołał diabła przeciwko własnemu ojcu i sam umarł z ciałem przeżartym wrzodami.

W swojej mochila Pedro miał słoik zawierający kości czaszki czarnego psa i czarnego kota, siarkę z pól wulkanicznych w górach, trochę ziemi z grobu niegodnego kapłana, sól, tarantulę i trujący bluszcz. Zanim udał się w drogę powrotną do Cochadebajo de los Gatos, przerzucił magiczne bilingo przez ogrodzenie wokół Hacienda Ecobandodo, radując się myślą, że jeszcze trochę, a El Jerarcę czekają nieliczne kłopoty.

46. Lono Pachamamy

Wszystko się zmieniło - mówiła Aksamitna Luiza. Na dole w burdelu Madame Rosy zbliżała się już pora, kiedy wszyscy naraz zaczynają womitować, poza tymi klientami, którzy akurat tańczą w dziwkami, przybierając dziwaczne pozy w daremnej próbie uczynienia swojej erekcji mniej widoczną. Adapter grał sentymentalne bolero z Cuenki, a w kącie szlochał Rosario, gdyż ten rodzaj muzyki dodany do całej ilości chichy, jaką w sobie wlał, i doborowego towarzystwa okazał się kroplą przepelniającą czarę.

Na górze Dionisio mówił w ramionach Aksamitnej Luizy:

- Tak, wszystko się zmieniło, a mnie się zdaje, że ogarnia mnie szaleństwo.

- Może kierował nią jakiś istotny powód - przekonywała Luiza. - Jakże często przez całe lata nie wiemy, dlaczego coś się wydarzyło. Czasami nawet i do końca życia nie będziemy tego wiedzieli. Tymczasem ty - zupeł-

nie niepotrzebnie - wmawiasz sobie, że skoro cię porzuciła, to widocznie z tobą jest coś nie w porządku.

- Bo jest - odparł Dionisio, składając głowę na jej ramieniu, obciążonym czarną, zmysłową skórą. - Zawsze powtarza się ta sama historia. Na początku wydaje mi się, że wszystko układa się wyśmienicie, że zrobiłem wszystko jak należy, gdy nagle niebo zwała mi się na głowę, pogrążając mnie w pustce i ciemności. - Popatrzył na krucyfiks na ścianie i podjął: - Musi tkwić we mnie jakiś defekt, jakaś wada tak odstręczająca, że nikt nie ma serca mi tego powiedzieć. Na czym polega ta tajemnica? Luizo, ty przecież wiesz, więc błagam, powiedz mi.

Luiza westchnęła z lekkim zniecierpliwieniem, muskając palcami włoski na jego piersi. Cmoknęła językiem i zębami, wydając dźwięk, którym czarni manifestują swoją dezaprobatę.

- Wszyscy cię kochają; poza tobą jednym. I na tym właśnie polega twój błąd.

- Bo jestem do niczego. Nienawidzę samego siebie i czuję, że jeszcze trochę, a zwariuję. Kiedy budzę się rano, moja poduszka jest mokra od łez wylanych w nocy. Śnią mi się koszmary, że w odwecie za to, co mi uczyniła, tnę Anikę na kawałki, że ją gwałcę, wybijam jej zęby, i potem budzę się zlany potem i drżący niczym osika. Każdego ranka, zanim jeszcze zjedzą się studenci, staję na katedrze w sali wykładowej, z trudem powstrzymując kolejny atak płaczu, a kiedy po zajęciach wracam do domu, idę biegać i biegam, dopóki nie zaczynam przewracać się ze zmęczenia, albo jeżdżę samochodem tak po wariacku, że któregoś dnia jeszcze zwałę się w przepaść. Jak mam się ratować, skoro ogarnia mnie szaleństwo?

Luiza dostrzegła strach czający się w jego oczach i powiedziała:

- Słuchaj, Dionisio, w takich chwilach po prostu przychodź tutaj, do burdelu, i rozmawiaj ze mną. Nie ma rzeczy, której nie zdarzyłoby mi się wysłuchać - dodała tonem zwierzenia. -Większość mężczyzn wcale nie szuka tu seksu. Przychodzą, aby się wypłakać i wygadać. Nie mam nic przeciwko temu i traktuję to jako część mojej usługi.

Twarz Dionisia przybrała wyraz zakłopotania.

- Ja też nie przyszedłem do ciebie po seks - odrzekł. - Ale zapłacę ci. Chcę cię tylko trzymać w ramionach i wchłaniać ciepło bijące od twojego ciała. To mi pomaga czuć się mniej nędznie.

Później, w barze na dole, Dionisio rozwalił się na stole, między opróżnionymi kieliszkami. Wlał już w siebie tyle copas, że jego ból przycichł, przywarował gdzieś w głębi, on zaś sam balansował na krawędzi utraty świadomości.

Do baru wkroczył potężny Simon Estenseo, wyraźnie szukając zaczepki. Przez większość przezywany był Crazyface , ponieważ miał wytrzeszczone oczy i szramę w poprzek twarzy, wykrzywającą mu wargi. Głównym zajęciem Crazyface'a było pielęgnowanie kultu własnego machismo. Był jednym z tych typków, którzy porywają się na potężniejszego od siebie przeciwnika i ubliżają mu tak długo, dopóki od niego nie oberwą, a potem chodzą w glorii, chełpiąc się zwycięstwem, nawet jeśli wszyscy wokół wiedzą, że przegrali, i to sromotnie.

Crazyface słyszał o Dionisiu, znał legendę jego niezwyciężoności i od razu zaczął z grubej rury.

- Słyszałem, że nazwałeś mnie hijo de puta! - zawołał w jego stronę, łapiąc jednocześnie za stołek.

Przyszła ofiara Crazyface'a z absolutnym brakiem zainteresowania uniosła głowę wspartą na złożonych ramionach, popatrzyła na niego rozkojarzonym spojrzeniem, zmąconym oparami alkoholu, i odparła, z trudem artykułując słowa:

- Dlaczego miałbym rozpowiadać coś takiego? Przecież i tak wszyscy o tym wiedzą.

Crazyface wydał z siebie obłąkańczy ryk i opuścił stołek prosto na ramiona Dionisia. Burdel ogarnęło pełne grozy i napięcia milczenie. Przez kilka sekund nic się nie działo. Dionisio dźwignął się z miejsca, obrzucając Crazyface'a spojrzeniem nie wróżącym nic dobrego. Cały powstrzymywany do tej pory gniew z powodu niepojętej, niczym niedającej się wytłumaczyć zdrady Aniki znalazł teraz ujście w gwałtownym wybuchu.

- Ty hijo de puta, twój ojciec był osłem, a ty sam jesteś mułem, ponieważ miałeś matkę kobyłę, która każdemu dawała się ujeżdżać.

To okazało się zbyt wiele, nawet jak na Crazyface'a, który poczuł się zbity z pantafelku i kompletnie nie wiedział, jak ma zareagować. Madame Rosa już miała interweniować i kazać im wynieść się na ulicę, kiedy Dionisio jednym ruchem przewrócił stół i zbliżył się do swojego adwersarza. Równie zaciętej bijatyki nie widziano w żadnym burdelu, może tylko w stolicy. Część widzów usiłowała odciągnąć Dionisia, który znalazł się na wierzchu przeciwnika i którego gniew zaślepił do tego stopnia, że okładał pięściami podłogę, przekonany, że to głowa Crazyface'a. Znalazła się też spora grupka osób, pragnących być świadkami, jak Crazyface obrywa solidne cięgi, tak jak mu się to od dawna należało, i ci z kolei zaczęli odciągać tych, którzy usiłowali odciągnąć Dionisia. Poszły w ruch najpierw łokcie, potem także i pięści. Wywracano stoły, rozbijano krzesła na głowach. Pokoje na górze opustoszały, podczas gdy kurwy i ich klienci, w

różnych stadiach dezabilu, przybiegli na dół przypatrzeć się zabawie, by po chwili jakimś dziwnym trafem znaleźć się w samym sercu wydarzeń.

Madame Rosa z wielką przytomnością umysłu uwijała się po barze, walcząc butelkami po głowach, aby jak najszybciej zredukować liczbę walczących. Nagie dziwki i nimfetki ciągnęły się za włosy i wymierzały sobie kopniaki, celując w miejsca intymne, campesinos wymachiwali pistoletami i strzelali w sufit, z którego opadały płaty glinianej zaprawy, otoczone kłębamii wirującego pyłu, a co bardziej przedsiębiorczy staruszkowie, korzystając z zamieszania, opróżniali półki z butelek, które następnie upychali do swoich mochillas. Tymczasem Rosalita wyrwała się z objęć Juanita, który mimo całego zamieszania usiłował kochać się z nią, korzystając z osłony baru, i pobiegła na posterunek policji po posiłki.

Kiedy pojawił się Ramon w towarzystwie Agustina, walka była właściwie skończona. Wyrzucony przez okno Crazyface leżał bez przytomności na ulicy, na samym zaś środku izby stał lekko przygarbiony Dionisio, gotując się do dalszego ataku, i donośnym głosem dopytywał się, czy jest tu jeszcze może ktoś żądny śmierci, gdyż on, Dionisio Vivo, chętnie służy swoją osobą. Madame Rosa wymachiwała butelką, wykrzykując przy tym:

- Aj, aj, to była wspaniała bitka, ale kto teraz zapłaci za szkody?

Jej obfite, tłuste łono falowało, twarz błyszczała od potu i podniecenia, a jedno z kół kolczyków, które nosiła w uszach, pragnąc upodobnić się od Cyganki, miało teraz kształt spłaszczonej, nieregularnej elipsy.

Ramon objął wzrokiem strzaskane meble, jeziorka porozlewane alkoholu, rafy porozbijanego szkła, poturbowane ciała, jęczące wargi. Dionisio, jedyny poza Madame Rosą, trzymał się jeszcze na nogach. Ramon

charakterystycznym dla siebie gestem podniósł w górę brew i zawołał do niego:

- Hola, Parmenidesie, pozwól na zewnątrz na słówko.

Dionisio odwrócił się błyskawicznie i już miał uderzyć, kiedy rozpoznał przyjaciela, a wówczas w jednej chwili spłynęły z niego cały gniew i agresja. Rzucił się Ramonowi na szyję i zaczął szlochać. Ramon poklepał go po plecach i zwrócił się do Madame Rosy tonem wyjaśnienia:

- Ostatnimi czasy często mu się to zdarza.

Wyprowadził Dionisia na dwór i odesłał Agustina na posterunek. Kiedy znaleźli się w samochodzie, zaczął snuć wspominki:

- Pamiętasz, jak kiedyś zadzwonił po nas Jerez, ponieważ słyszał krzyki i wrzaski w twoim pokoju i był przekonany, że cię mordują, a kiedy się pojawiliśmy, okazało się, że ty i Anika walczyacie ze sobą na poduszki?

Dionisio poczuł się nagle, jakby otrzymał straszliwe uderzenie w to miejsce, które zwykła wypełniać sobą Anika, i jęknął, kuląc się na siedzeniu. Ramon z konsternacją obserwował szlochającego przyjaciela, uświadamiając sobie, że zaczął ze złej strony. Spróbował inaczej.

- A wiesz, że kiedyś służył u nas policjant, który ledwo potrafił czytać? Ileż my się nagłowiliśmy, dlaczego, ilekroć kogoś aresztował, to zawsze na Calle de Martę, aż w końcu wyszło na jaw, że kiedy kogoś zatrzymywał, prowadził go na Calle de Martę i tam dokonywał aresztowania, ponieważ była to jedyna ulica w mieście, o której był pewien, że będzie ją potrafił poprawnie napisać w raporcie. A my już sądziliśmy, że na Calle de Martę powstało jakieś nowe gniazdo zorganizowanej przestępczości. A słyszałeś może, że El Jerarca też nie umie czytać, choć oczywiście udaje, że potrafi? Usiłuje prowadzić ten swój handelek na podobieństwo interesu z prawdziwego zdarzenia i bez przerwy zwołuje zebrania zarządu, z któ-

rych sporządzane są protokoły. No i wyobraź sobie, że pewnego razu wstał, żeby otworzyć posiedzenie, kiedy ktoś podał mu karteczkę z notatką: „Rozporek ci się rozpiął”. El Jerarca rzucił tylko okiem na notatkę i powiedział: „Wpłynął na moje ręce niezwykle istotny wniosek, jednakże brak czasu nie pozwala nam przedyskutować go w tej chwili, tak że wrócimy do niego podczas naszego kolejnego posiedzenia”. Po czym wręczył karteczkę sekretarce, zaznaczając przy tym: „Proszę to wprowadzić do porządku obrad przyszłoty-godniowego zebrania”, i dalej gadał swoje. Tym sposobem ludzie uświadomili sobie, że facet nie potrafi czytać, i dalejże podsyłać mu rozmaite karteczki w rodzaju: „Twoja matka to kurwa, siostrę masz lesbijkę, twoi synowie to faceci bez jaj, a ty sam jesteś stare, tłuste gówno”, on zaś udaje, że czyta to wszystko, i zaraz mówi: „Wpłynął na moje ręce niezwykle istotny wniosek, jednakże brak czasu nie pozwala nam przedyskutować go w tym tygodniu”, po czym wręcza kartkę protokolującej sekretarce.

Dionisio roześmiał się, ale kiedy znaleźli się pod domem i Ramon dosłownie wniósł go do środka, odwrócił się i objął przyjaciela.

- Ramon - powiedział z rozpaczą. - Przecież ja popadam w szaleństwo. Już dłużej nie wytrzymam.

Ramon westchnął i zapytał:

- A próbowałeś napisać do niej?

- Właśnie dzięki swoim listom uświadomiłem sobie, że zaczynam wariować.

Ton listów Dionisia stopniowo zaczął się zmieniać; teraz były pełne gniewu i gorzkich wymówek, zarzutów winy, oskarżeń o zdradę i błagań, by zmieniła zdanie i wróciła do niego. Każdy kolejny list zaprzeczał po-

przedniemu. Po histerycznym gejerze żalu i goryczy następował potok gniewnych oskarżeń, po którym z kolei szła prawdziwa rozprawa naukowa, logiczna i wyrozumowana, przepojona rezygnacją i czułością. Początkowo Anika skrupulatnie odpowiadała na każdy list, później jednak zaprzestała tego, nie potrafiąc uporać się z bólem, jaki sprawiało jej każde kłamstwo. Milczenie dziewczyny z kolei spowodowało, że Dionisio uwierzył, iż zupełnie przestał ją obchodzić, przez co jeszcze bardziej pograżył się w rozpacz. Anika czytała jego listy i składała je wszystkie do kasetki, przewiązane zieloną i fioletową wstążką.

Niemal od razu uchwyciła w nich ów ton, który zdawał się być początkiem drogi ku obłędowi. Dionisio także uświadamiał sobie swój stan, ponieważ jakaś część jego umysłu zdawała się stać z boku, obserwując wydarzenia, zerkając zza kulis, czyniąc ironiczne uwagi i chłodne spostrzeżenia, rejestrując każdy szczegół moralnego i intelektualnego upadku, który był niczym ręka Boga, coraz głębiej wpychająca jego głowę pod powierzchnię wody i coraz silniej zaciskająca uchwyt.

Nigdy przedtem nie doświadczył podobnie przerażającego uczucia, u podłoża którego tkwiło przekonanie, że skoro Anika go opuściła, to widocznie z tej przyczyny, iż był jej niewart. Zaczął prowadzić skrupulatne rejestry najbardziej niedorzecznych i wydumanych możliwości, co takiego mogła uznać w nim za odrażające, i wysyłać je Anice, ona jednak nadal nie odpisywała. Jej milczenie doprowadzało go do szaleństwa. W stanie najwyższej desperacji i pomieszania biegał po domu, ukrywając twarz w dłoniach, a potem rzucał się na łóżko, wtedy zaś koty ostrożnie gramoliły się za nim i tak długo lizały go po policzkach, ogrzewając go ciepłem swoich ciał, dopóki wyczerpany nie zapadał w sen, pełen majaków i koszmarów o tym, jak wali Anikę po twarzy, zamieniając ją w krwawą mia-

zgę. Po przebudzeniu tłukł się pięściami po głowie i gryzł kostki aż do krwi, w nadziei, że ból przywróci mu rozsądek i pozwoli myśleć racjonalnie.

Aż wreszcie pewnej pustej niedzieli, w tydzień po pamiętnej bójce w burdelu Madame Rosy, doszedł do wniosku, że jest tak niegodziwy, iż najlepiej uczyni, uwalniając świat od swej nędznej osoby. Z bagażnika samochodu przyniósł linę i zawiązał pętlę na końcu. Potem wybrał się w góry i wyszukał odpowiednie urwisko. Długo wędrował jego skrajem, ogarnięty gorączką szaleństwa, aż natrafił na drzewo rosnące tuż nad przepaścią.

Założył stryczek na szyję i wspiął się na drzewo, od mroczków latających mu przed oczami niemal nie widząc tego, co robi. Usiadł na konarze, przywiązał doń linę, najdalej jak tylko mógł sięgnąć. Dłuższy czas siedział nieruchomo, aby uspokoić rozszalałe myśli, gdyż chciał mieć pewność, że z chwilą śmierci będzie myślał o Anice, a potem przechylił się, pozwalając ciału opaść w dół.

Gałąź jednak okazała się zbyt cienka i na tyle giętka, że szarpnięcie liny nie złamało mu karku. Zawisł nad przepaścią, z liną zaciskającą się wokół szyi, czując zagęszczoną krew, napływającą do mózgu, i pęczniejący język wypełniający usta. Gałki oczne uciekły mu w głąb czaszki i wówczas zobaczył, że znajduje się w łonie Pachamamy wypełnionym wirującym, srebrzystym światłem. Była tam piękna, młoda dziewczyna, z kaskadą czarnych włosów opadających na plecy, czyniąca mu wyrzuty i popychająca go z powrotem na świat, nigdzie natomiast w rozwibrowanym łonie Pachamamy nie potrafił dostrzec Aniki.

47. Taniec ognia (5)

Na obrzeżach miasta stały trzy tambos, wzniesione przez mieszkańców dla wygody podróżnych. Do jednego z nich Aurelio skierował Pedra i Misaela, gdy nadciągnęli, wiodąc muły. Zwykle podróżni rozwieszali w tambos swoje hamaki, ale dla Lazara Aurelio sporządził łóżko. Zresztą Lazaro czuł się teraz o wiele lepiej; podczas całej wędrówki jechał sobie wygodnie w hamaku niesionym przez muły, Pedro i Misael karmili go zajazdy i opiekowali się nim starannie, wreszcie znajdował się teraz na terenie położonym znacznie niżej. Jego własny natomiast, odrażający wygląd zawstydział go do tego stopnia, że znalazł w sobie dość siły, aby błagać Aurelia, by ten pozwolił mu odejść.

- Czy widziałeś podeszwy swoich stóp? - zapytał go Indianin, a Lazaro pokręcił głową, że nie.

- Gdybyś je obejrzał - ciągnął Aurelio - wiedziałbyś, że przy pierwszej próbie pokonania gór zniszczyłbyś je do szczytu na ostrych skałach, tak że nawet gdyby same nie odpadły, trzeba by je było amputować i już nigdy nie powędrowałbyś nigdzie.

Aurelio pokazał Lazarowi swoje dłonie.

- Spójrz na te ręce, pokierszowane, poznaczone bliznami od ciągłego pokonywania sierry. Gdybyś jeszcze trochę pobył sam w tych górach, doprowadziłbyś swoje ręce do dalszej ruiny i też trzeba by je było odjąć. Zostaniesz tutaj, a ja położę kres twojej chorobie. - Aurelio popatrzył na Lazara z takim przekonaniem i powagą, że ten opadł z powrotem na łóżko.

- Czy zostanę uleczony? - wychrypiał. Aurelio pokręcił głową.

- Uwolnię cię od ran, otarć, guzów i owrzodzeń i na zawsze zahamuję dalszy postęp choroby, tego jednak, co zostało już bezpowrotnie zniszczone, nie potrafię naprawić, jak również nie przywrócę czucia w miejscach,

w których je utraciłeś. Nad tymi problemami zastanowię się jeszcze, i niewykluczone, że coś mi przyjdzie do głowy. Może któryś z bogów, przemieniwszy się w ptaka, podszeptnie mi jakiś sekret wprost do ucha. Na początek jednak trzeba zabić demona, bo to najważniejsze.

- Jak to uczynisz?

- Najpierw przywrócę ci siły, potem usunę przyczynę choroby, która owładnęła twoim duchem, wreszcie ściągnę na ciebie wielką chorobę. Sprawię, że będziesz tak chory, że przez dłuższy czas będziesz bliski śmierci, ale ta właśnie nowa choroba pokona przyczynę starej, gnieźdzącą się w twoim ciele. Później zaś uczynię kilka rzeczy praktycznych, aby zapobiec samookaleczeniom biorącym się stąd, że nie odczuwasz bólu.

Przez dwa miesiące Aurelio karmił Lazara papką z mielonego mięsa, ziemniaków, kukurydzy, manioku, czosnku i ziół, która z łatwością przechodziła przez zwężony przełyk. Do picia dawał mu sok z mango, gwajawy, cytryn i limonek oraz litry lodowatej wody, spływającej z gór i zasilającej rzeki. Codziennie nacierał jego ciało olejem z awokado, aż pokrywające Lazara rybie łuski zmiękły i zaczęły się upodabniać do normalnej skóry. Rany i jątrzenia przemywał Aurelio sokiem z cytryny, który zabijał infekcję, aż na ich miejscu zaczęła się odradzać nowa, zdrowa tkanka, kiedy zaś gardło wykurowało się do reszty pastą z miodu i octu, wyjął rurkę z tchawicy i Lazaro odkrył, że nie dusi się już podczas oddychania.

Mieszkańcy miasta spoglądali na to wszystko z pewną obawą i wielu z nich twierdziło, że Lazara powinno się usunąć, zanim pozaraża innych, Aurelio jednak wytłumaczył im, że z daleka od tambo powinny trzymać się jedynie dzieci, gdyż infekcja atakuje wyłącznie młode organizmy. Jego autorytet był tak wielki, że nikt nie ośmielił się protestować, choć oczywiście czasami ten i ów sarkał za jego plecami; trzeba jednak przyznać, że

nie zdarzało się to zbyt często. Don Emmanuel, z ryżą brodą i potężnym kałdunem, działając zgodnie z tym, co mu nakazywała jego współczująca natura, powtarzał wszystkim dookoła, że tak naprawdę Lazaro cierpi na ostry przypadek kiły, jednakowoż nie w stadium zakaźnym, i wielu w to uwierzyło.

Kiedy szpetne wrzody, plugawiące ciało Lazara bardziej niż cokolwiek innego, zagoiły się wreszcie, Aurelio wezwał do szałasu Pedra i Misaela, by przystąpić do unicestwienia demona choroby, jaki zagnieździł się w jego duszy.

Najpierw rozniecili ogień, od którego cały szałas napełnił się aromatycznym dymem, i kiedy zrobiło się bardzo gorąco, rozebrali się do naga i zasiedli wokół ognia. Lazarowi kazano usiąść z nimi, więc wstał z łóżka i dołączył do kręgu. Aurelio puścił dookoła sporą tykwę, napełnioną gorzkim naparem, z której pili po kolei, aż wychylili całą jej zawartość. Wówczas podjęli powolną, monotonną melodię, a do uszu Lazara docierał odgłos indiańskich bębenków, choć nikt nie bębnił. Rozejrzał się i dostrzegł, że w szałasie znajduje się jeszcze jedna osoba, której jednak jego na wpół ślepe oczy nie widziały zbyt wyraźnie. Była to córka Aurelia, Parlanchina, zawsze podczas podobnych seansów powracająca ze świata duchów i asystująca ojcu. Jej długie, sięgające aż do pasa włosy i figlarny uśmiech przypominały Lazarowi Rajmundę.

Nagle świat wywrócił się na opak i Lazaro widział wszystko przez swój własny brzuch, w dodatku znalazłszy się na księżycu. Przedmioty wokół niego przybrały barwę zieloną, a on sam poczuł potworną falę mdłości, kiedy porwał go szalony wir, pełen kłębiących się twarzy i purpurowych papug. Widział piranie pożerane przez kapibary i delfina spoglądającego na niego oczami pełnymi wyrzutu, który ofiarował mu pancernika z roz-

kładającym się pyszczkiem i inkrustowaną szmaragdami skorupą. Nagle krzyknął głośno, bo pancernik przemienił się w ludzki szkielet i podrapał mu twarz szczęką jaguara. W chwilę później, równie niespodziewanie, powrócił z księżycą na ziemię i leżał na wznak w szalasię.

Trzej uzdrowiciele zapalili ogromne cygara i dmuchali dymem prosto na niego. Aurelio położył dłoń na brzuchu Lazara i zaczął nią obracać, a dłoń zdawała się zagłębiać we wnętrznościach. Kiedy ją wyszarpnął, mocno ścisnął szamocącego się nietoperza, którego natychmiast wrzucił w płomień. Powtórzył swoją operację, tym razem wyciągając potężną dżdżownicę, którą potraktował w identyczny sposób. Robak ciągle jeszcze wił się i skręcał, kiedy Aurelio kolejno cisnął w ogień węża cipo i całą garść pasożytniczych grzybów espiga de sangre. Wreszcie Indianin sięgnął ręką za siebie, a dziewczyna podała mu orchideę nazywaną kwiatem Ducha Świętego. Aurelio położył ją na brzuchu Lazara i kwiat z wolna zapadł się w ciało i zniknął. Lazaro ponownie został napojony wywarem z ayahuasca i yague, aż ośwładnął nim długi sen, który objawił mu, że jego prawdziwym zwierzęciem jest papuga jastrzębiogłowa, i podczas którego podróżował pod sklepieniem lasu, spoglądając na wszystko swoimi nowymi oczami.

Nazajutrz Aurelio zapytał go, czy czuje się na tyle silny, by stanąć twarzą w twarz ze śmiercią i powrócić żywym. Lazaro nie pojmował, co to właściwie oznacza, odparł jednak, że tak, że ma w sobie dość siły. Aurelio wytłumaczył mu, że jego choroba rozwija się w zimnie i dlatego też zawsze atakuje najpierw kończyny, nigdy zaś owłosioną skórę głowy, która jest najgorętszą częścią ciała.

- Sprowadzę teraz na ciebie wielką i straszliwą gorączkę -prawił Aurelio
- i jeszcze otoczę cię ogniem.

Stary Ajmara usadził Lazara w samym środku szałasów i ze wszystkich stron rozpałił ogień, dopóki Lazarowi nie zdało się, że jeszcze chwila, a spłonie żywcem albo udusi się w dymie. Zmusił go też do wypicia odwaru z kory i ziół zebranych w lesie; oleistego, z kwaśnym posmakiem, palącego żołądek.

W chorobie, na jaką cierpiał Lazo, człowiek przestaje wydzielać pot zainfekowanymi partiami ciała, przez co traci zdolność ochładzania się. Połączone siły ognia i gorączki niemal błyskawicznie doprowadziły Lazara do stanu podobnego delirium, w którym skręcał się konwulsyjnie, naprężał i krzyczał, wstrząsany dreszczami, i trwało to caluteńki tydzień. Aurelio co jakiś czas kładł rękę na czole pacjenta i ochładzał je wodą, kiedy było zbyt rozpalone. W koszmarach Lazo widział przed sobą ludzką czaszkę gigantycznych rozmiarów, kłapiącą szczękami dosłownie o włos od jego twarzy, grożącą mu połknięciem. W pewnej chwili poczuł, że odrywa się od swojego ciała i przedziera przez gryzący dym, by następnie wyfrunąć z tamto i poszybować nad górami. Klęczał na brzegu jeziora i spoglądał na swoje odbicie w wodzie i na powrót był przystojny i nieokaleczony. Jednakże w chwilę później, jakby otrzymawszy wiadomość niezwykle wprost doniosłości, powrócił do szałasów i znów jego spojrzenie spoczęło na owym plugastwie, będącym jego ciałem, i wszedł w nie na powrót, oddając się we władanie koszmarnych snów i straszliwej gorączki.

Kiedy przebudził się ponownie, zobaczył, że Indianin czuwa przy nim nadal, z wielkiego ognia natomiast pozostała jedynie garść popiołu. Czuł się tak rozbity, że zaczął żałować, iż nie umarł.

- Tak jest zawsze - powiedział mu Aurelio - i nic nie da się na to poradzić. Obawiam się, że twoje cojones nabrzmiały do potwornych rozmiarów.

rów i będą cię bolały jak piekło, ale to minie. Twoja choroba jest martwa.
- Napoił Lazara wodą i dodał jeszcze: - Musisz teraz dużo spać.

Podczas następnych dni, które Lazaro spędził pogrążony we śnie, Aurelio sam pokrzepił się snem, reperując swe siły, nadwerężone tyłoma dniami spędzonymi w gorącym piekle, nieustannym dokładaniem do ognia i odpędzaniem śmierci stojącej dosłownie na wyciągnięcie ręki. Później, kiedy Lazaro ciągle jeszcze pogrążony był we śnie, Aurelio wykonał w glinie odciski obu jego stóp, a następnie przystąpił do sporządzania butów.

Zelówki były z opon samochodowych, takie jak nosili wszyscy, pokrywała je jednak warstwa wyściółki z wełny wigoni, uformowanej odpowiednio na glinianej formie. Wierzch uszył Aurelio z najdelikatniejszej skórki dzikiego kozłęcia.

Kiedy Lazaro poczuł się lepiej, Aurelio wręczył mu buty, nakazując chodzić w nich nie więcej niż dwie godziny dziennie. Po dwóch tygodniach Lazaro mógł już chodzić przez cztery godziny w ciągu dnia, a po miesiącu tyle, ile tylko zapragnął, pod warunkiem, że codziennie wieczorem pokaże Aureliowi, w jakim stanie są jego stopy.

Przez cały czas trwania kuracji Lazaro leżał nagi pod ciężkimi prześcieradłami, ale teraz, kiedy otrzymał na powrót swój mnisi habit, zauważył, że ktoś go uprał i wyhaftował we wzory przedstawiające jaguary przemyskające wśród palm piassaua. Uczyniła to Felicidad, najpiękniejsza i najprzekorniejsza dziewczka w całej sierze, która włożyła wiele serca w swoją pracę.

Wkrótce sylwetka Lazara stała się znana w całym mieście, chociaż jego twarzy nikt nie widział. Żył samotnie, w osobnej choza, odwiedzany wy-

łącznie przez tych, co przynosili mu jedzenie, i czasami przez wielkie, czarne koty, które zdawały się wyczuwać jego samotność, do jego wyglądu zaś nie przywiązywały żadnej wagi. Choroba przestała, co prawda, czynić postępy, nadal jednak nie miał normalnej twarzy, nadal pozbawiony był palców u rąk i nóg, jego mięśniom brak było siły, a męskości wigoru, wreszcie jego klatkę piersiową nadal zdołały piersi niczym u hermafrodyty. Najczęściej przesiadywał na stopniach dawnego pałacu albo na postumentach posągów jaguarów i szlochał cicho pod kapturem, wiedząc, że nikt nie byłby zdolny znieść jego szpetoty bez odwracania wzroku. Czasami, kiedy przechodził, dzieci ciskały w niego kamieniami, krzycząc za nim: „Sęp, sęp!” Ilekroć Aurelio powracał z dżungli, Lazaro wypytывał Indianina, czy istnieje możliwość poprawienia jego wyglądu, ale Ajmara odpowiadał nieodmiennie:

- Nawet jeśli istnieje jakiś sposób, ja go nie znam.

I to było właśnie powodem, dla którego Lazaro wybrał się kiedyś z Pedrem i Misaelem do Ipasueno i nigdy już nie powrócił. Wierzył bowiem, że uda mu się spotkać jeszcze potężniejszego brujo.

48. Ostatnia pomyłka Aniki

Dionisio Vivo, który naprawdę nie był tchórzem, niejedną raz w ciągu swojego życia czuł, że umiera. Tym razem świadkiem jego czynu był pasterz kóz, wysoko na skale, z niezdrową fascynacją wlepiający wzrok w huśtające się ciało i rozpełzającą się z przodu plamę uryny, rozważając przy tym, jak właściwie powinien postąpić. Wiedział przecież, że jeśli ktoś decyduje się na taki krok, znaczy to, że z własnej i nieprzymuszonej woli wybiera śmierć, i zdawało mu się, iż ingerencja w ów ostatni racjo-

nalny akt przywiezionej do ostateczności istoty ludzkiej byłaby pogwałceniem świętego prawa jednostki do wolności. Odwrócił się więc i odszedł.

Nie mógł się jednak powstrzymać, żeby nie zawrócić. Z westchnieniem odłożył na ziemię kij pasterski i antarę i jął się wdrapywać się na drzewo. Potem wszakże przyszedł mu do głowy lepszy pomysł, więc począł na powrót złazić. Podniósł z ziemi kij i wychylił się nad przepaścią, próbując, czy uda mu się przyciągnąć linę. Niestety, laska okazała się nieco za krótka, więc wychylił się i sięgnął ponownie, przygiąwszy najpierw gałąź. Napierał ze wszystkich sił, aby przeważyć zwisający ciężar i napięcie sznura, i holował ku sobie bezwładne ciało z wywróconymi oczami i groteskowo wywalonym językiem. Doznał pewnej ulgi, przekonawszy się, że lina jest wystarczająco długa, tak że mógł wywindować swój ciężar ponad skalny nawis. W gorączkowym pośpiechu usiłował rozluźnić stryczek, ten jednak okazał się zaciśnięty zbyt mocno.

- Mierda, mierda, mierda - powtarzał, szarpiąc nie chcący ustąpić węzeł, szybko jednak zmienił ton swoich błagań, adresując je teraz wprost do Viracochy. Wyciągnął nóż i jął przecinać linę, wymacawszy uprzednio na własnym karku miejsce, gdzie nie przebiega żadna ważna arteria. Kiedy nóż dokonał wreszcie dzieła i ostatnie włókna ustąpiły, szyję Dionisia znaczyło sześciocentymetrowej długości cięcie, po którym pozostała później blizna o niemal identycznym zabarwieniu jak - również nie blednąca z czasem - fioletowopurpurowa bruzda w miejscu, gdzie odcisnął się stryczek.

Wiele lat wcześniej pasterz odbył służbę wojskową, podczas której, nie bez oporów, przyswoił sobie umiejętność masażu serca i sztucznego oddychania, ćwicząc na manekinie. Jednakże z prawdziwym człowiekiem

sprawa przedstawiała się zupełnie inaczej. Pasterz miał świadomość, że postępując nieumiejętnie, równie łatwo można serce zatrzymać, jak i wprowadzić w ruch, więc zaczął od przyłożenia ucha do klatki piersiowej wisielca, usłyszał jednak tylko szum wodospadu, tętniący mu w uszach. Usiłował namacać tętno, ale nie potrafił przypomnieć sobie, przy użyciu którego palca człowiek czuje jedynie swój własny puls, nie zaś puls ofiary. Mimo to zaczął ugniatać mostek Dionisia i właczać powietrze do jego klatki piersiowej serią szybkich nacisków obiema rękami na żebra. Potem przypomniał sobie jeszcze, że należy też oczyścić palcem przełyk nieprzytomnego, i rozpoczął sztuczne oddychanie metodą usta-usta, początkowo jednak zapomniał o zaciśnięciu skrzydełek nosa i dopiero kiedy poczuł na twarzy swój własny oddech, naprawił owo zaniedbanie.

Przywrócenie życia nieznanemu stało się dla pasterza prawdziwie męskim wyzwaniem, rzuconym mu przez los. Czynił więc znacznie więcej, niż nakazywałoby zwykłe poczucie obowiązku, przez cały czas obiecując sobie, że rzuci palenie, ponieważ płuca pękały mu przy każdym wydechu, między zaś jednym a drugim wysiłkiem obrzucał wyzwiskami nieruchome ciało, nazywając je *hijo de puta* i *hijo de perra*, i na koniec był święcie przekonany, że jeśli nieznanomy ożył, to wyłącznie dlatego, że jego duch powrócił do ciała z zamiarem odnalezienia autora wszystkich tych zniewag.

Zdążył wypalić dwa papierosy, przyglądając się, jak niedoszły wisielec, jęcząc i stękając, powraca do przytomności. Kiedy Dionisio wciągnął do płuc słodkie powietrze sierry, pomyślał, że pewnie znalazł się w raju, a kiedy otworzył oczy i zobaczył wznoszące się wokół niego potężne, zanurzone w chmurach szczyty, nakryte śnieżnymi czapami, wówczas był już pewien, że to istotnie raj.

Pasterz sprowadził Dionisia na dół, podtrzymując go mocno ramionami i kierując jego krokami. Jeden rzut okiem na samochód uświadomił mu, kogóż to wyrwał z objęć śmierci. Dla samej przyjemności poprowadzenia antycznego wehikułu odwiózł Dionisia do miasta i zostawił na posterunku policji, oddając go w ręce Ramona, który gdy tylko zobaczył przyjaciela, natychmiast zabrał go do kliniki. Mastodontyczna pielęgniarka kazała im czekać, ale Ramon wyciągnął pistolet z kabury i pod groźbą natychmiastowego aresztowania zmusił ją do bezzwłocznego zajęcia się pacjentem. Następnie zawiózł Dionisia do domu i nie odstępował go przez najbliższe dwa tygodnie.

Co do pasterza, korzystał z zasłużonego rozgłosu, jaki przyniosło mu uratowanie słynnego Dionisia Vivo, kiedy ów usiłował powiesić się nad przepaścią, tak że przez najbliższy miesiąc ani razu nie musiał sam płacić za swoje drinki. Jego historia obiegła całe miasto, oczywiście odpowiednio wzbogacona i podkoloryzowana, i niebawem wszyscy już wiedzieli, że Dionisio Vivo po raz kolejny powstał z martwych. Ludzie wręcz twierdzili, że wybrał śmierć na oczach wszystkich wyłącznie po to, by udowodnić swoją niezniszczalność. Ma przecież teraz dwa jaguary, dokładnie takie same jak Aurelio Czarnoksiężnik, a to najlepszy dowód, że historie, jakie o nim opowiadają, są prawdziwe, może nie, cabron? Wszyscy przecież wiemy, jacy ludzie posiadają dwa oswojone jaguary, czarne niczym sam Cerber, prawda, cabron? Każdy też może na własne oczy zobaczyć ślad po zaciśniętej pętli na jego szyi i bliznę w miejscu, gdzie przeciął sobie gardło, nie wykrwawiając się przy tym na śmierć; najlepszy dowód, że to święta prawda, co o nim gadają, amigo.

Kobiety w obozowisku urządziły prawdziwe bachanalia, Janita zaś, usłyszawszy o całym wydarzeniu, zaraz napisała do Aniki, że Dionisio

usiłował pozbać się życia. Dlaczego, na Boga, nie wyznasz mu prawdy? - pisała. - Dionisio ma tu za sobą wszystkich i bez trudu poradzi sobie z El Jerarcą. Anika jednak, czytając o szaleństwie Dionisia i jego heroicznej boleści, pobladła tylko, wstrząsana dreszczem, i nadal wyczekiwała nadejścia czasów, kiedy ich miłość będzie mogła rozkwitnąć bezpiecznie.

Dionisio wyplakał już wszystkie łzy. W czasie wolnym od zajęć prze-siadywał bez końca po barach, pijąc, paląc papierosy dosłownie jeden za drugim, i wdając się w pogawędki z rozmaitymi wagabundami. Zrzucił muzykę, gdyż znienawidził wszystko, co czyniło go sentymentalnym. Nie oglądał telewizji, bo przestało go interesować, co się dzieje w świecie. Jego jedynym zajęciem stało się rozpamiętywanie tych rzeczy, które Anika lubiła albo których nie znosiła, i nawet podczas zwykłej przechadzki skrzętnie notował wszystko, na co ona z pewnością zwróciłaby uwagę, aż w końcu jakby wchłonał w siebie całą osobowość ukochanej, znajdując dzięki temu sposób, by bezustannie prze- bywać w jej towarzystwie.

Kiedy zasypiał, widział wyłaniające się z mroku i rozpraszające się w nim po chwili twarze krewnych i przyjaciół, udzielających mu różnych sprzecznych rad i pouczeń. W snach przeżywał prawdziwą huśtawkę: od pewności sukcesu po otchłań pustki, jaka teraz wypełniała jego życie.

Na jawie doświadczał okresów lodowatego spokoju i obojętności, po których następowały okresy ślepego gniewu, po nich okresy sięgającego dna upodlenia, zakończone skrajnym wy- czerpaniem, po którym zapadał w sen pełen koszmarów i potem budził się skąpany w oceanie potu i obłądnego strachu. W te noce, kiedy nie mógł spać, przebiegał z zamkniętymi oczami całe kilometry, jakoś szczęśliwie bez wypadku, robił pomp-

ki, aż trzeszczały wszystkie kości, płodził setki kiepskich poematów albo pakował prezenty dla Aniki, których całe pudła składał w pokoju Jereza.

Napisał do niej list, że musi się z nią zobaczyć po raz ostatni i że po tym spotkaniu nie będzie jej o nic więcej prosił; mając świadomość, jak niewiele życia mu jeszcze pozostało, pragnie po raz ostatni zobaczyć jej twarz i usłyszeć głos. Ku jego zdumieniu, Anika odpisała, że się zgadza. Podała mu nazwę restauracji i dokładną godzinę, błagając go jednocześnie, aby nikomu nie mówił o swoim przyjeździe do stolicy.

Jeśli Anika nie stoczyła się w otchłań szaleństwa, to wyłącznie dlatego, że przyczyna jej pozornej zdrady nie stanowiła dla niej żadnej zagadki, i dziewczyna nigdy też nie rozstała się z nadzieją, że pewnego dnia wszystko się odmieni. Inaczej niż Dionisio, znajdowała pociechę w sztuce, która - podobnie jak dziecko w jej łonie, będące na razie zaledwie embrionem - pochłaniała część jej uwagi, łagodząc poczucie osamotnienia. Ale zgodziła się na propozycję Dionisia, ponieważ nie potrafiła się jej oprzeć.

Tymczasem Dionisio poturbował studenta za to, że wyśmiewał się z nieszczęścia kolegi. Wywłókł młodego człowieka z ławki i zrzucił go ze schodów budynku wydziału. Od tej pory studenci przestali nazywać go Rycerzem Smętnego Oblicza, obdarzając nowym przydomkiem - Samson, dziekan natomiast wezwał go do siebie ze szczerym zamiarem wręczenia mu dymisji. Kiedy jednak popatrzył na Dionisia, żywo stanęła mu w pamięci historia Filokteta opuszczonego przez wszystkich na wyspie Lemnos, wiecznie zgorzkniałego, z gnijącą stopą. W obliczu tak ewidentnego epickiego nieszczęścia zwierzchnik poprzestał na napisaniu do generała, błagając go o zabranie syna na płatny urlop.

Generał spowodował niemałą sensację, przybywając homeryckim helikopterem bojowym, który wylądował w samym środku plaża w połowie

koncertu meksykańskich mariacki odbywających zagraniczne tournée. W generalskich zamiarach leżało, po pierwsze, napędzić stracha lokalnym gangom kokainowym, po drugie, zademonstrować wszystkim, że dla jego ojcowskiej miłości nie istnieją żadne przeszkody ani kordony. Bardziej bezpośrednim efektem jego pojawienia się było rozpędzenie na cztery wiatry operetkowych sombreros Meksykanów i ich sztucznych wąsików a la Zapata.

Generał i dwaj uzbrojeni po zęby żołnierze pokonali wzniesienie Calle de la Constitution i nie zapukawszy nawet do drzwi, wkroczyli do domu. Zastali Dionisia siedzącego po turecku na podłodze pośrodku pokoju, wśród porozrzucanych pudełek, opróżnionych butelek i niedopałków, podczas gdy dwa na wpół już wyrosnięte jaguary flankowały go z obu stron w pozach strażników bogini Bastet.

Generał wrzucił trochę ubrań syna do walizki, a potem chwycił go pod ramiona, podniósł do pozycji stojącej i uściśnął, Dionisio jednak nie oddał mu uścisku, tylko stał ze zwieszonymi ramionami i zaciśniętymi kurczowo dłońmi. Z obojętnego, autystycznego wyrazu jego oczu generał wyczytał, że jego syn odbywa teraz długą podróż w przestworzach, gdzieś między gwiazdami.

Kiedy Dionisia i jego koty ładowano do helikoptera, zebranych gapiom wydawało się, że ręce żołnierzy, które tak troskliwie pomagały mu wsiąść do środka, są w rzeczywistości rękami porywaczy, i zaraz też rozeszła się pogłoska, że Dionisio Vivo został uprowadzony przez amerykańskich marines i wywieziony do USA, w odwecie za to, że w swoim ostatnim liście krytykował politykę zagraniczną Stanów Zjednoczonych. Spowodowało to -jak zresztą należało oczekiwać - kolejną falę nastrojów antyjankeskich.

Wygląd syna wprowadził mamę Julię w przerażenie. Dionisio nosił teraz długie, rzadkie i proste włosy i zmierzwioną brodę, a jego oczy, w których malował się ów odległy wyraz kogoś, kto podróżuje w przestrzeni międzygwiazdnej, przelały więcej łez niż Bolejące Serce Chrystusa krwi. Mama Julia natychmiast go ogoliła i obcięła mu włosy, uważając, że jeśli zwykły śmiertelnik swoim wyglądem przypomina Zbawiciela, może to być poczytane za świętokradztwo.

Dwa dni Dionisio spędził w łóżku, z kotami zwiniętymi u jego boku, pogrążony we śnie, głębokim i nieprzerwanym, w jakim pogrążyć się może tylko ktoś całkowicie obojętny na sprawy tego świata. Obudził się w stanie kompletnego odrętwienia. Zszedłszy na dół, zastał rodziców i siostry zgromadzonych w komplecie wokół kuchennego stołu. Przywitali go obojętnie, zupełnie jakby był sąsiadem, który wpadł pożyczyć trochę kawy, gdyż między członkami naprawdę zżytej ze sobą i kochającej się rodziny nigdy nie istnieje poczucie wyizolowania i oddalenia, które trzeba by później rekompensować czułymi powitaniem.

Dionisio oznajmił wszystkim, że wkrótce jedzie zobaczyć się z Aniką. Siostry, świeżo mające za sobą dwa dni uciążliwej podróży, bez najmniejszego wahania oznajmiły mu - kierując się ową niezawodną intuicją, cechującą wszystkie żeńskie przedstawicielki rodu Monte Sosów - że pragnieniem Aniki jest, by poprosił ją o rękę. Mama Julia z kolei, wiedzona zmysłem praktycznym, jakim obdarzone były kobiety w jej rodzinie, natychmiast zapowiedziała, że zabiera go do miasta kupić mu nowe buty i spodnie, aby nie musiał się oświadczać w ubraniu przesiąkniętym aurą niedawnej zgryzoty. Doradziła mu też, by ofiarował Anice pierścień króla Portugalii, dopóki nie znajdzie dla niej czegoś bardziej stosownego.

Dionisio wrócił więc helikopterem do Ipasueño, zostawił koty pod opieką Juanita, a potem wsiadł w samolot pocztowy do stolicy, mając na sobie nowe ubranie i trzymając w ręku różę, z której - powodowany zabobonnym odruchem - usunął wszystkie kolce.

W restauracji w pierwszej chwili nie zauważył Aniki, spostrzegając jedynie wysokiego mężczyznę, który kiwał na niego ręką. Musiał się jej dobrze przypatrzeć, zanim dotarło do niego, że to rzeczywiście ona. Pomyślał, że widocznie lekko zbzikowała, zostawszy studentką, gdyż miała na sobie męski płaszcz, obszerny, sfatygowany kapelusz i czarną perukę, która przy bliższych oględzinach okazała się sfabrykowana domowym sposobem. Roześmiał się po raz pierwszy od czasu, kiedy widzieli się po raz ostatni, ale nie powiedział nic, ponieważ śmiertelnie się obawiał, że mógłby ją czymś urazić w ten jakże ważny wieczór.

Ukryta za swoim amatorskim przebraniem Anika była blada i wymizowana od gryzącego ją smutku, choć jednocześnie twarz miała pulchną, a to za sprawą pochłanianej w ogromnych ilościach czekolady oraz naturalnych procesów, zachodzących podczas ciąży. Usiedli naprzeciwko siebie przy stoliku, nie wiedząc, co powiedzieć, aż wreszcie Anika zaczęła, że po Nocebueno wyjeżdża na cztery lata na studia do Urugwaju. Dionisio - jakby nie przyjmując tej informacji do wiadomości - ujął jej ręce przez stół, czując, że wilgotnieją w jego dłoniach, zupełnie tak jak dawniej, i z niezachwianym spokojem kogoś głoszącego najwyższą niebiańską prawdę oznajmił, że kocha ją ponad wszystko, że pragnie ofiarować jej swoje życie i swoją wolność. Powiedział, że ma zamiar znaleźć sobie lepszą pracę w stolicy, co nie będzie trudne, teraz, kiedy stał się powszechnie znaną osobistością, że będzie ją wspierał finansowo podczas studiów, zanim ugruntuje swoją pozycję jako artystka. Powiedział jej też, że dzięki swoim

uczelnianym kontaktom poznał wielu wpływowych ludzi w świecie sztuki, że na pewno będzie szczęśliwa, wszedłszy do jego rodziny, że jego rodzice i siostry już ją pokochali. Roztaczał przed nią całe wizje, jak wszyscy, począwszy od niego samego, będą ją rozpieszczać, byleby tylko była szczęśliwa. Swoją wyszukaną perorę zakończył najprostszymi słowami, prosząc ją, by wzięła jego życie w swoje ręce i została jego żoną.

Anika poczuła się nagle, jakby czyjaś ręka wepchnęła ją w labirynt, z którego nie ma wyjścia. Pobladła, a wargi zaczęły jej drżeć. Utkwiwszy wzrok w szybie, wpatrywała się w strugi jesiennego deszczu i w przejeżdżające cadillaki bogaczy, jednocześnie gorączkowo szukając w myślach jakiejś odpowiedzi. Wreszcie z oczami błyszczącymi od łez odwróciła się ku niemu i powiedziała tę jedną jedyną rzecz, jaka wydała jej się możliwa:

- Proszę, abyś wiedział jedno. Nigdy nie zostanę żoną kogoś, kogo nie kocham.

Nie dodała jednak przesłanki, z której brała się jej deklaracja, gdyż wydawała jej się ona zupełnie oczywista, mianowicie, że nigdy nie pokocha nikogo poza nim i dlatego też nigdy nie wyjdzie za męża. Dionisio, którego umysł nacechowany był nieuleczalną dosłownością filozofa i lingwisty oraz ową męską głuchotą na wszystko, co niewypowiedziane, najpierw znieruchomiał, jakby dotknął go paraliż, a później wyprodukował oczywisty wniosek, że Anika odrzuca go, ponieważ go nie kocha. Przez resztę posiłku siedział w posepnym milczeniu, niczym ktoś, kto wie, że rankiem stanie przed plutonem egzekucyjnym i nie będzie miał nawet prawa do ostatniego życzenia.

Po wyjściu z restauracji Anika objęła go mocno po raz ostatni, nie zważając na ulewę. Pod prochowcem miała znajomy bladoliliowy kostiumik i

pod osłoną poły płaszczka okrywającej ich oboje Dionisio po raz ostatni przycisnął swoje ciało do jej łagodnych, dziewczęcych krzywizn, które od tak dawna stanowiły dla niego nowo odkryty ląd i centralny punkt całego jego świata.

Anika starała się utrwalić w pamięci dotyk ciała ukochanego i sposób, w jaki przylegało do jej kształtów, tak że zdawali się pasować do siebie niczym słynne platońskie rozdzielone połówki androgine. Dionisio wręczył jej różę, mówiąc przy tym:

- Kiedy ten kwiat zwiędnie, pamiętaj, że moja miłość do ciebie jest nadal żywa.

Anika oddaliła w potokach nieustającego deszczu i w drzwiach zatrzymała się jeszcze, by zapłakać z żalości nad okropną wisielczą bruzdą Dionisia. On odszedł, mając na sobie nowe ubranie - znak optymistycznych planów małżeńskich - i przespał noc w dworcowej kawiarni, z głową wspartą na stoliku, ponieważ to miejsce było równie dobre, jak inne, by pogрузić się w nicości.

49. Trochę statystyki

- No dobra, chicos - powiedział El Jerarca, zapalając cygaro i chowając się za zasłoną dymu - sprawcie się dobrze i zabawcie się przy tym, okay?

Anika wracała do domu w potokach ulewy, niosąc portfolio z rysunkami, które zdawało się pęcznieć w takim samym tempie, jak dziecko w jej łonie, kiedy El Guacamayo i El Chiquitin podjechali starym fordem falconem. El Chiquitin otworzył drzwi po stronie kierowcy i zawołał: „Ej, flaca!” Odwróciła się i ujrzała wymierzony w nią pistolet automatyczny i gangstera kiwającego na nią, aby wsiadła do samochodu. W pierwszym

odruchu chciała uciekać, nie potrafiła jednak, obezwładniona, sparaliżowana zbliżaniem się tego, co nieuchronne. Wsiadła, a wówczas El Chiquitin przystawił jej pistolet do szyi.

- Czas na małą przyjemność - powiedział, a El Guacamayo roześmiał się z głębi gardła, czując nabrzmiewający członek.

Zaczęli z niej szydzić.

- Hej, flaca, zgadnij, co z tobą zrobimy. Ty, flaca, a zgadnij dlaczego. Może się nie domyślasz? Jak sądzisz, kto spotkał się z Vivo, łamiąc warunki naszej małej umowy? Zgadnij, kto zapłaci za to fant. Może twój tatuś, co, flaca? Nie, nie tatuś. A teraz zgadnij, czyj tatuś obgadał z nami całą sprawę. Przecież nie moglibyśmy serio planować zabicia kogoś, kto sprzedaje nam zabawki. Nie, to byłoby zbyt okrutne i nie miałyby za grosz sensu. Ale zdradzimy ci pewien mały sekret, flaca. Naszym zdaniem, tatusiowi też się przyda nauczka, bo coś czujemy, że to on kabluje od czasu do czasu rozmaite informacje temu Vivo. Wiesz, flaca, coś ci jeszcze powiemy. Gruntownie sobie wszystko przemyśleliśmy. Pomyśleliśmy tak: „Dlaczego szanowny tatuś miałby płacić za to, że córeczka złamała warunki umowy? Czy to byłoby fair? Nie, z pewnością nie”. A my zawsze gramy fair, może nie, flaca? Działamy sprawiedliwie. Powiemy ci jeszcze jedno. Od czasu do czasu lubimy rozerwać się troszeczkę i od razu pomyśleliśmy sobie: „Hej, z kim jest więcej zabawy, z taką młodą dziewczyną czy z jakimś staruchem?” Oczywiście, że z młodą dziewczyną, pod każdym względem, więc czemu nie skorzystać?

Anika kurczowo ścisnęła portfolio z rysunkami, które miały uczynić ją sławną, i siedziała nieruchomo, ogarnięta wewnętrznym paraliżem.

- Ale ja jestem w ciąży - odezwała się w końcu.

El Guacamayo roześmiał się szeroko, prezentując w całej okazałości swoje złote kły.

- No proszę, gdybyśmy wiedzieli o tym wcześniej, przynieśliśmy ze sobą białego kogutka, co, compañero?

Na co El Chiquitin odpowiedział:

- Jasne, cabron, przynieśliśmy ze sobą miłego białego kogutka.

Istnieje zaraza atakująca goździki. Całymi latami może pozostawać uśpiona w glebie, by nagle wybuchnąć i zniszczyć wszystkie uprawy na zarażonym obszarze. W takim wypadku nie pozostaje nic innego, tylko spalić zbiory i opuścić szklarnie, porzucając ten teren bezpowrotnie. Szpetota zawsze niszczy piękno, uderzając z zasadzki.

Na odległej równinie w pewnym oddaleniu od stolicy stały niezliczone szklarnie goździków, w których w pocie czoła uwijali się robotnicy, w nieznośnej wilgotności, otoczeni chmurą rakotwórczych chemicznych środków chwasto- i owadobójczych, hodując nieskazitelnie białe kwiaty, które potem, jak Europa długa i szeroka, przyozdabiały butonierki weselnym gości, posągi świętych po kościołach, przykrywały ciała zmarłych i wypełniały bukiety szczęśliwie zakochanych.

Napastnicy zabrali Anikę do zrujnowanej cieplarni, opustoszałej od dawna z powodu zarazy. El Chiquitin, wbijając jej w kark lufę pistoletu automatycznego, tego samego, który jej własny ojciec sprzedał El Jerarce, zmusił ją do wejścia do budynku, podczas gdy El Guacamayo wyciągał z przepastnego bagażnika forda falcona torbę z narzędziami. Ponieważ zapadał zmrok, zabrał też lampę, by łatwiej im było pracować.

El Guacamayo wystrojony był w spodnie w kolorze karmazynowym, cynobrową koszulę i żółte buty, pod pomarańczową marynarką nosił magnum. Przyglądał się Anice, przeczesując grzebieniem wybrylantynowane

włosy, w myślach przygotowując się do czekającego go zadania. Anika ciągle ścisnęła portfolio, dopóki El Chiquitin nie wyrwał go jej z rąk, pozwalając zawartości rozsypać się po podłodze. El Guacamayo obrzucił spojrzeniem jaskrawe, zygzakowate szlaki i skomentował:

- Bardzo ładne, flaca, bardzo ładne. Zupełnie niczym ty sama.

Zbliżył się do Aniki, ujął ją pod brodę, uniósł jej głowę i otaksował z profesjonalną obojętnością.

- Niebrzydkie oczy.

Anice udało się wreszcie odzyskać głos.

- Zostawcie mnie. Czego ode mnie chcecie?

El Guacamayo wyciągnął i odbezpieczył magnum. Przystawiając jej lufę do czoła, rzucił krótko:

- Klękaj!

Stojący za nią El Chiquitin wyciągnął rękę, zmuszając ją, by uklękła. Anika opierała się, lecz zobaczywszy palce naciskające język spustu, opadła na kolana i znowu poczuła lufę dotykającą z tyłu jej karku. Dygocząc cała, rzuciła oczami w bok, jakby szukając drogi ucieczki.

El Guacamayo sięgnął ręką w dół i rozpiął rozporek.

- Powiem ci, czego chcemy od ciebie, guapacita . Porządnego dmuchania. I jeszcze jedno - tak dla twojej informacji. Im większą sprawisz nam frajdę, tym więcej minut dodasz do swojego życia.

Z tyłu za nią El Chiquitin odezwał się skrzeczącym głosem:

- Korzystaj z chwili, flaca, dobrze ci radzę, bo to już ostatnia okazja, kiedy możesz dać trochę przyjemności facetowi albo dwóm.

Tuż obok swojej twarzy Anika ujrzała wyprężony penis, z fioletowopurpurową główką błyszczącą od śluzu. Poczowała, że robi jej się niedobrze. El Guacamayo postąpił do przodu, próbując włożyć go jej do ust, jednak

Anika, dławiąc się i krztusząc, uciekła głową w bok. El Chiquitin chwycił ją za włosy i pociągnął, zmuszając, by nie przekręcała głowy.

Ale Anika była wyższa i silniejsza od niego. Szarpiąc się ze wszystkich sił, wstała i wyrwała mu się. Desperacko rzuciła się do ucieczki, szybko jednak została zapędzona w kąt bez wyjścia. Dwaj mężczyźni przybliżyli się do niej, niczym drapieżne koty do pasącego się na uwięzi cielaka, i El Guacamayo okaleczył ją z premedytacją, przestreliwując jej kolano, a El Chiquitin uderzył w skroń kawałkiem belki oderwanym z rozlatującej się konstrukcji, pozbawiając ją przytomności.

El Guacamayo sięgnął po torbę z narzędziami i wyciągnął nóż rzeźnic-ki. Kilkoma zgrabnymi ruchami rozciął na niej ubranie, a potem pochylił się, żeby poczuć jej oddech na swojej twarzy.

- Nigdy nie dmucham trupów - powiedział, na co El Chiquitin odparł:

- Właściwie dlaczego nie, jeśli są jeszcze ciepłe?

El Guacamayo roześmiał się, ponownie błyskając zębami. Wyciągnął z torby trochę smalcu i wtarł Anice między nogi. Przystąpił do niej jako pierwszy, a El Chiquitin zaraz po nim. Obaj mężczyźni szybko osiągnęli spełnienie, ponieważ nieograniczone panowanie nad kimś jest potężnym afrodyzjakiem, a ponadto żaden z nich nigdy nie czuł potrzeby opanowania sztuki bycia naprawdę dobrym kochankiem. Za drugim razem pozwolili sobie działać z mniejszym pośpiechem. Między bezlitosnymi pchnięciami ładowanymi w bezwładne ciało robili przerwy na papierosa, porcyjkę roncany i chwilę pogawędki, poświęconej głównie porównywaniem Aniki ze wszystkimi poprzednimi ofiarami, którym zadali gwałt w ostatnich kilku latach. Zebrało im się nawet na nostalgiczne wspominki ich pierwszego razu, kiedy robili to z małą, zaledwie dwunastoletnią dziew-

czynką z niewielkiego puebla, która w przeciwieństwie do Aniki nie straciła przytomności, tylko przez cały czas płakała.

- Im młodsza, tym słodsza - zauważył El Guacamayo, na co jego partner odparł:

- Ta tutaj też jest niezgorsza.

Kiedy El Guacamayo po raz drugi osiągnął spełnienie, a El Chiquitin zamarkował, że jemu również się to udało, obrzucili spojrzeniem nieruchome ciało i zaczęli się zastanawiać, co dalej. Najpierw wyjęli z torby fartuchy, gdyż El Guacamayo zawsze dbał o to, aby nie powalać sobie ubrania, a jego towarzysz naśladował go we wszystkim, częściowo wiedziony solidarnością, częściowo zaś powodowany kompleksem niższości.

- Al reves? - zapytał teraz, na co El Guacamayo odparł:

- Tak jest, wywalamy wszystko na zewnątrz.

Zajęli się przecinaniem.

- Znasz dźwięk towarzyszący obcinaniu uszu? Przypomina odgłos świdrującego człowieka w mózgu, kiedy trochę piasku dostanie się z jedzeniem między zęby. Chrzęści zupełnie tak samo.

- Mam zamiar przyozdobić ją szerokim uśmiechem. Który nóż będzie do tego najlepszy?

- Potrzebne mi dłuto, żeby odłupać nos. Możesz mi podać?

- Czy wyłupić jej oczy?

- Nie. Oczy ma ładne, a poza tym czasami gałki pękają zniecka i człowiek cały jest upaprany tym czarnym. Niech się tylko gapi, dobra?

Odcięli obie powieki i dorzucili do stosu.

- Ładne cacko - zauważył El Chiquitin, zdejmując pierścionek z wyłamanego palca. - Zobacz, nawet pasuje. - Podniósł w górę mały palec, na którym połyskiwał teraz pierścionek zaręczynowy matki Aniki.

- Przyjemny - skostatował El Guacamayo. - Wreszcie jakaś korzyść z tego, że jesteś taki mały, co, cabron? Bierzemy kolczyki?

- To tylko plastik - powiedział El Chiquitin, rzucając włosy na stosik. - Mam zamiar sporządzić z jej cycka sakiewkę, taką, jak ty zrobiłeś z piersi córki tego faceta, któremu obcieliśmy rękę.

- Weź prawą, jest większa.

Kiedy ułożyli już schludny, acz ociekający krwią stosik, składający się z palców, uszu, powiek, warg, nosa, zębów, sromu, włosów i lewej piersi, wstali i starannie wytarli ręce w resztki turkusowego ubrania Aniki, tak by móc zapalić papierosa i podziwiać swoje dzieło. Anika ciągle oddychała, a krew wokół jam ziejących w jej twarzy zaczynała powoli krzepnąć.

El Guacamayo sięgnął po nóż, zabrany mężczyźnie, którego zarżnęli w Bucaramandze, i przyklęknął. Przesunął palcem po ostrzu, a następnie rozciął jej brzuch, by mogli powkładać do środka wszystkie poodcinane członki, zastępując nimi białego kogucika, jakiego normalnie wkłada się do łona ciężarnym kobietom.

Potem nóż przeszedł do rąk El Chiquitina, który rozciął jej gardło, omijając główną tętnicę, a przez powstały otwór przeciągnął język. Wreszcie obaj wstali i El Guacamayo zauważył lekko przybity:

- To tak jak z chodzeniem na dziwki. Po jakimś czasie cała przyjemność gdzieś się ulatnia.

Oblali jeszcze rany własnym moczem i El Chiquitin, jak zwykle w takich okolicznościach, popisał się dowcipem:

- Tak, cabron, uryna ma właściwości antybiotyczne - a El Guacamayo ulżył sobie, wydając gardłowy chichot.

- Wykańczamy ją?

- Po co się fatygować, przyjacielu, sama się wykrwawi. A nawet gdyby przypadkiem udało jej się przeżyć, doktorzy ją dobiją z czystej litości. A jak nie oni, to sama to robi, ze wstydu, że tak wygląda. Szkoda jej, była bardzo ładna.

- Za wysoka. Ja tam wolę niższe.

El Chiquitin zawinął prawą pierś w resztki bluzki Aniki i raz jeszcze wytarli sobie ręce w strzępki jej ubrania. Potem wrócili do forda falcona i z poczuciem rzetelnie wykonanej roboty pojechali do baru, żeby odechnąć trochę przed kolejnym zadaniem.

50. Letycja Aragon (3)

Nie wiedząc, co przytrafiło się Anice, i świadom jedynie tego, że go odepchnęła, Dionisio zaczął zbierać pamiątki po niej i układać je chronologicznie. Gromadził kamienie, zawsze po dwa. Dwa przyniesione przez lawinę, kiedy ziemia obsunęła się na nich, gdy grali w tejo; dwa z drogi, na której uprawiali jogging; dwa spod drzewa, w którego gałęziach ptaki codziennie śpiewały im serenadę o zmierzchu; dwa z parku, w którym recytował jej wiersz Gabrieli Mistral o pięknie natury; dwa z dna rzeki, z tego miejsca, gdzie omal nie został porwany przez nurt; dwa z alejki, gdzie zaatakowali ich nożownicy; dwa z ukrytej jaskini, w której znaleźli but; dwa z placyku przed tą niesamowitą chińską restauracją; dwa z miejsca, gdzie spotkali Aurelia, Misaela i ich jaguary z Cochadebajo de los Gatos; dwa sprzed baru, gdzie sicario sfuszerował robotę; dwa sprzed kliniki, w której potraktowano go końską dawką antywenerycznego koktajlu, włożoną przez weterynaryjną igłę; dwa z domu rodziców w Valledupar i wreszcie dwa z ogrodu Nagiego Admirala i jego uczonej małżonki.

Wszystkie opatrywał etykietami i po jednym z pary zawijał w zielony papier i odkładał do pudełka dla Aniki.

Jeśli miłość skazała Dionisia na cierpienie, niewątpliwie także dzięki niej został ocalony. Wśród osób żyjących zgodnie z głosem serca i nie obawiających się uzewnętrzniać swoich uczuć, istnieje coś w rodzaju psychicznego telegrafu; tak więc członkowie jego rodziny, choć nie umawiali się przedtem między sobą, na zmianę to dzwoniли, to pisali do niego, i nie było niemal dnia, w którym nie otrzymałby dowodu, że przecież nie jest tak nikczemny i niegodny uczucia, za jakiego się uważa. Ojciec rozpisywał się na wiele stron, zalecając mu nieugiętość, wytrwałość, odwagę i inne, częstokroć lekceważone, cnoty wojskowe. Matka słała całe epistoły, przepelnione macierzyńskim współczuciem, jednocześnie opisując dokładnie każdy szczegół codziennej rutyny, jaka tak naprawdę składa się na nasze życie, tak że nawet w chwilach największego udręczenia wiedział, że dzisiaj mama Julia zajmie się sporządzaniem galaretki z gwajawy, a potem zmieni opatrunek skaleczonej pumie. Siostry najczęściej telefoniowały i wysłuchawszy całej litanii jego narzekań, zapraszały go do siebie, w nadziei, że obecność siostrzeńców i siostrzenic, odbywających - ku przerażeniu ich matek - przejażdżki na lśniących grzbietach jaguarów albo zmuszających wuja do udawania, że jest drzewem, i wspinających się na jego konary, pozwoli mu odzyskać straconą równowagę. Nagi Admirał i jego żona przysłali kilka opracowań, dotyczących historii działań wojennych Floty Karaibskiej, oraz reprint biografii Krzysztofa Kolumba, napisanej przez jego syna Hernanda, który towarzyszył ojcu podczas jego czwartej podróży w 1502 roku.

W college'u jego studenci w jakiś cudowny sposób przeistoczyli się w prymusów, z szeroko otwartymi oczami chłonących każde jego słowo,

uczniów, o jakich nawet kompletnie pozbawiony złudzeń profesor lubi sobie czasami pomarzyć w głębi serca. Dionisio nigdy przedtem w swoim życiu nie wykladał tak porywająco, co spowodowało nawet protesty pozostałych członków grona profesorskiego, że studenci chemii, nieużywanym i nieprzydatnym językom obcym, hermetycznej botaniki, tudzież średniowiecznej hydrauliki bizantyńskiej, świecą nieobecnością podczas ich wykładów, od trzydziestu lat niezmiennie odczytywanych z tych samych notesów w żółtych okładkach, i ciągną tłumnie do sali Dionisia Vivo, który zawsze rozpoczynał swój wykład tymi samymi słowami:

„Nie chcę, abyście wierzyli w cokolwiek z tego, co powiem, ponieważ jest to jedna wielka bzdura. Jednakże w owej bzdurze zatopione są podstawy filarów naszej pseudoeuropejskiej kultury, tak że byłoby dobrze, abyście to wszystko pojęli, jako że nikt, kto nie rozumie historii i systematyki owej bzdury, nie dostrzeże różnicy między bzdurą, pseudobzdurą i antybzdurą”.

Każdy wykład kończyły gromkie brawa roześmianych dziewcząt i chłopców. Uczniowie przynosili mu prezenty: ananasy, panele, rozmaite pamiątki z wakacji, owinięte w chusteczki do nosa. Potrafili też godzinami zostawać po zajęciach, by mógł im jeszcze wytłumaczyć zasadę identyczności nierozróżnialnego, arystotelesowski kwadrat logiczny, empirycznie realne i transcendentnie idealne formy intuicji, złośliwość kartezjańskiego demona, heglowską dialektykę nieubłagalnego marszu ku absolutowi i tegoż absolutu marksistowską materialistyczno-dialektyczną inwersję, dowód na istnienie Boga wynikający z natury niezbędności prawdy, znaczenie oświecenia różokrzyżowców dla kultury i wreszcie, czy możliwy jest taki świat, w którym istniało miasto tak podobne do Macondo, że w rzeczywistości naprawdę będące miastem Macondo.

Wszystkie dziewczęta z jego kursu kochały się w nim na zabój, niepewne, czy bardziej przemawia do nich jego boleść Zbawiciela, czy też otaczająca go aura opuszczenia i samotności, chłopcy nie mogli się nadziwić prędko od stryczka i szramie od noża, z prawdziwym uwielbieniem adorując mit jego niezniszczalności i jego żywą legendę, i nie było wśród nich takiego, który by nie marzył, aby być Dionisem wykładającym o filarach pseudoeuropejskiej kultury, tkwiących podstawami w bzdurze, z dwoma gigantycznymi czarnymi jaguarami siedzącymi obojętnie po obu stronach katedry.

Z małych, komicznych gaitos o ochrypłych głosikach i niszczyielskich łapkach, zakończonych ostrymi pazurkami, które trzeba było co dwa tygodnie przycinać, bo inaczej wszystko w domu byłoby w strzępach, wyrosły z czasem prawdziwe tigres i Dionisio zmuszony był nawet wyciąć otwór w dachu swojego samochodu, tak by siedząc na tylnym siedzeniu, mogły kontynuować swoje kocie figle, polegające na próbie schwywania nisko przelatujących ptaków. Koty stanowiły główne oparcie w życiu Dionisia, który zabierał je wszędzie ze sobą, ryzykując tymczasowe zatrzymanie przez urzędników INDERENY albo próbę porwania zwierząt przez jakiegoś amatora rzadkich futer. Jaguary chodziły za nim krok w krok, poruszając się z powagą, a ich nieruchome, nieodgadnione spojrzenie powodowało, że przestraszeni właściciele sklepików i straganów w niebywały sposób obniżali ceny i niczym zahipnotyzowani podsuwali ich panu najlepszy towar za naprawdę niewielkie pieniądze. W nocy zwały się na niego, przygważdżając go do łóżka ciężarem swoich ciał, głośnym mruczeniem, upajającym aromatem truskawek, zmieszanym z wonią świeżego siana, i krzepiącymi snami o szmaragdowym rajach dżungli, po którym przechadza-

ją się powolne tapiry, których tłuste mięso smakuje niczym najwyborniejsza szwajcarska czekolada.

To właśnie jaguary, kiedy wyglądał przez okno w swoim pokoju, patrząc w kierunku ciemnych okien Aniki w dniu jej dwudziestych pierwszych urodzin i czując w ustach suchość wulkanicznego popiołu, jednocześnie stanęły na tylnych łapach i przewróciły go na podłogę, tak że w chwilę później mocował się z nimi na niby, śmiejąc się głośno i na moment zapominając o dręczącej go pustce. I te właśnie koty sprowadziły Letycję Aragon.

Kiedy Letycja objawiła się przed drzwiami, trzymając w ręku cały swój bagaż i twierdząc, że przyprowadziły ją tu koty, ciągnące ją za rękaw przez całą drogę z obozowiska, Dionisio nie uwierzył jej słowom, bo przecież nie wypuszczał ich samych na dwór, a zresztą dziesięć minut wcześniej bawił się z nimi, łaskocząc ich wąsiki piórkiem trupiała. Ale faktem było również, że w drzwiach stała Letycja, a po obu jej stronach dwa jaguary.

Letycja bardziej przypominała efemerydę niż kobietę z krwi i kości. Była krucha niczym porcelanowa figurynka i mieniła się barwami kolibra. Jej onyksowo czarne włosy posiadały je-dwabistość pajęczej sieci, oczy zaś zdały się w ogóle nie mieć żadnego koloru, tylko coraz to zmieniać barwę w zależności od świetlnego refleksu. Ubranie okrywało jej kształty w sposób, który tylko podkreślał, że jej przyrodzonym stanem jest nagość w głębi lasu pod wygwieżdżonym niebem, a kiedy Dionisio oficjalnie uścisnął jej wyciągniętą dłoń, odniósł wrażenie, że dotyka nie ciała, lecz zmaterializowanego światła.

- Przybyłam, aby z tobą zamieszkać - odezwała się Letycja, a potem dodała jeszcze, jakby precyzując jakiś niejasny punkt: - Jestem dziewicą.

Kiedy w sześć miesięcy później odeszła do Cochadebajo de los Gatos, nosząc w łonie drugie spłodzone przez Dionisia dziecko, on sam nie potrafił przypomnieć sobie żadnego szczegółu, który pomógłby mu ustalić, kim właściwie była. Wiedział tylko, że obszedł się z nią wstrętnie i że ona ani słówkiem nie poskarżyła się na takie traktowanie, nie uroniła ani jednej łzy. Zawsze wiedziała, że ilekroć brał jej ciało w posiadanie, myślami był przy zupełnie innej kobiecie, i zgodziła się, że jeśli urodzi dziewczynkę, nazwie ją Anika. Tylko Letycja wiedziała, w imię czego zносиła to wszystko przez tyle miesięcy. Odchodząc, zostawiła mu list:

Teraz powinienes udać się do tamtych kobiet. Kochałam Cię, ale nigdy Tobą nie zawładnęłam, podobnie jak Ty nigdy nie zawładnąłeś mną. Tak będzie już zawsze.

Na pożegnanie zawiązała kotom na szyjach czerwone kokardki, przetykane złotą nitką, a działo się to mniej więcej w tym samym czasie, kiedy dziecko Aniki miało przyjść na świat.

51. Taniec ognia (6)

Mieszkańcy Ipasueno nie bardzo wiedzieli, jak to właściwie jest z Lazarem; jego ręce i nogi skrywał habit mnisi, stopy zaś - specjalne buty. Co prawda, widać było, że porusza się jakby spastycznymi szarpnięciami, a jego głos brzmi chrypliwie niczym krakanie sępa, ale przecież takie rzeczy spotykało się czasami, a zresztą może istniał zupełnie niewinny powód, dla którego obdarzony został takim właśnie głosem.

Nikt jednak nie żywił wątpliwości, że Lazaro nie jest kimś zupełnie zwyczajnym. Byli tacy, którzy utrzymywali, że to zwiastun śmierci, że widziano go z kosą na ramieniu. Inni z kolei brali go za mnicha z zakonu

kontemplacyjnego. Ale to ostatnie przypuszczenie natrafiało na sprzeciw; przecież mnisi z zakonów kontemplacyjnych nie mewają haftowanych habitów, a już na pewno nie w jaguary i palmy. Osoba Lazara stanowiła zagadkę, lecz przecież innych żebraków, przesiadujących na płaza albo na stopniach kościołów w oczekiwaniu jałmużny, także otaczała tajemnica.

Lazaro, podobnie jak wielu z nich, nocował w krypcie kościoła, w którym posługę kapłańską sprawował cura don Innocencio. Ksiądz ów, odkąd zaczął głosić kazania o powszechnym braterstwie dzieci bożych i tłumaczyć, że w wielkiej rodzinie ludzi, ci, którym się lepiej powiodło, mają obowiązek wspomagać swoich mniej fortunnych krewnych, utracił niejednego z bardziej szacownych i lepiej sytuowanych członków kongregacji. Utracił ich do reszty, kiedy osobiście zaczął wprowadzać w życie głoszone przez siebie zasady, oddając kryptę nędzarzom, by mieli się gdzie schronić. Niektórzy z jego czcigodnych parafian w swoim oburzeniu posunęli się tak daleko, że zaczęli uczęszczać na nabożeństwa do kompletnie pozbawionej dobrego smaku świątyni ufundowanej przez El Jerarcę w coca barrio, przedkładając to nad wspólne przebywanie z ubogimi w jednym domu bożym.

Towarzystwo nędzarzy wiele nauczyło Lazara, jeśli idzie o rodzaj ludzki. Byli wśród nich osobnicy zupełnie zdrowi, silni i sprawni, którzy jednak wysiłku i odpowiedzialności nienawidzili do tego stopnia, że woleli biedę i beztroskie wegetowanie z dnia na dzień; byli szaleńcy uczepieni rzeczywistości za ledwie czubkami paznokci; byli tacy, nad którymi pracodawcy bądź współmałżonkowie pastwili się w najokrutniejszy sposób; byli szukający ucieczki przed sprawiedliwością, deptając im po piętach w ich rodzinnych okręgach, którzy przybyli do Ipasueno, nie mając gdzie się podziać ani też czym się zająć; byli chorzy albo ułomni, niezdolni do zad-

nej pracy, którzy przez krótki okres żyli z żebraniny, zanim przyszło im zemrzeć w zapomnieniu w jakimś opuszczonym kącie; byli alkoholicy i narkomani w ostatnim stadium uzależnienia od kokainy, których zaprawdę niewiele różniło od szaleńców i o których z dużą dozą prawdopodobieństwa można było zawyrokować, że umrą nagle, napiwszy się trucizny na szczury albo benzyny; byli wreszcie upośledzeni umysłowo, niepojmujący tego świata, najczęściej doznający prześladowań i przemocy ze strony innych żebraków, i tym właśnie Lazaro współczuł najbardziej, gdyż to oni najczęściej padali śmiertelnymi ofiarami bezsensownych, niepotrzebnych wypadków, wynikających z ich własnej niezdarności bądź nieuwagi.

Cała ta kompania żebrzących nazwała siebie Los Olvidados, gdyż, po pierwsze, kompletnie nie istnieli w oczach świata, po wtóre, w ich własnej pamięci także się zatarło, kim są i skąd się wywodzą. Dla nich wszystkich wspomnienie rodziny i dzieciństwa zdawało się należeć do jakiejś innej rzeczywistości, do zupełnie innych ludzi. Tamci byli silni i szczęśliwi, ale to wszystko działo się w jakimś wcześniejszym życiu, niemającym żadnych punktów stykowych z obecnym. Wielu z nich od obecnego świata żądało wyłącznie jednego - by wymazał ich z pamięci.

To właśnie od żebraków Lazaro dowiedział się o potężnym czarowniku, Dionisiu Vivo, który chodzi po ulicach, patrząc martwo przed siebie, z dwoma gigantycznymi jaguarami z Cochadebajo de los Gatos, postępującymi trop w trop za nim. Na szyi ma bruzdę od sznura oraz bliznę w miejscu, gdzie nóż przebił jego krtań, nie zabijając go przecież. Dionisio Vivo potrafił przewyciężyć śmierć i czyni inne cuda.

W pewien sobotni poranek Lazaro zobaczył na plaży człowieka, który nie mógł być nikim innym jak owym brujo, i rzucił mu się do stóp. Dioni-

sio przystanął, a ludzie, którzy zawsze śledzili każdy jego krok, przyglądali się temu zajściu ze wzmożonym zainteresowaniem.

Lazaro odrzucił kaptur i na ten widok z wielu ust wyrwał się okrzyk albo jęk przerażenia. Dionisio popatrzył na Lazara, który wyciągał do niego ramiona w błagalnym geście.

- Uzdrów mnie, duenio - przemówił żebrak.

52. Las Locas (2)

Po odejściu Letycji, Dionisia na powrót ogarnęła nieprzenikniona ciemność samotności, więc sięgnął po list, który mu zostawiła, a który stanowił coś na kształt jej ostatniej woli, i zaczął rozważać zawartą w nim sugestię, aby udać się do innych kobiet. W pierwszej chwili zmiął kartkę, potem jednak rozprostował ją i odczytał ponownie.

Po drodze do obozowiska wstąpił na posterunek policji, gdzie zostawił list dla Ramona.

Querido cabron, Masz moje słowo, że w końcu przebudziłem się i powróciłem do świata żywych. Śmierć od dawna mi towarzyszy; raz uznano mnie za zmarłego, kiedy gazety pośpieszyły się z wieścią o moim zgonie, a raz umarłem naprawdę i ślad tego do dzisiaj noszę na swojej szyi. Jako ktoś, kto zaglądał śmierci w oczy, dzięki czemu mógł w pełni pojąć głębię życia, pragnę, abyś wiedział, że jestem Twoim oddanym przyjacielem, lojalnym aż do końca, i że darzę Cię uczuciem tak samo mocnym, jak to, które Ty mi okazałeś -miłością Dawida i Jonatana. Muszę Ci to powiedzieć, stary przyjacielu, ponieważ tyle jestem Ci dłużny w zamian za życie, które Tobie zawdzięczam, i splacam Ci ów dług już teraz, dopóki nie zdołał się on jeszcze zestarzeć w moim sercu.

Dionisio

Fulgencja Astiz, władczą mieszkanka Santandereany z rewolwerem u pasa zamiast zbędnego już amuletu odstraszaającego gwałcicieli, zaopatrzona we flakony pełne najprzeróżniejszych afrodyzjaków, umięśnioną niczym chłopska przywódczyni obozowiska, rozpoznała Dionisia natychmiast, gdy tylko wkroczył na teren obozu. Wystarczyło jej jedno zaledwie spojrzenie na tego mężczyznę o ruchach Indianina i naznaczonego wisielczą bruzdą, który pojawił się w towarzystwie dwóch potężnych kotów o żółtych oczach i łapach obutych w czarny aksamit, by wiedziała z całym przekonaniem, że ma przed sobą Dionisia Vivo, obiekt jej macierzyńskich nadziei. Zbliżyła się zamaszystym krokiem, stanęła przed nim, ujmując się pod boki i szeroko rozstawiając nogi, a w jej powitaniu brzmiało zniecierpliwienie poirytowanej żony:

- Aj, aj - zaczęła pokrzykiwać - gdzie się u licha podziewałeś przez cały ten czas? Czekamy i czekamy całymi miesiącami, a tu nic się nie dzieje. Jesteśmy już tak znużone tym beczynnym wyczekiwaniem, że nawet owo nic wydaje nam się podniecające.

- Pora nie była odpowiednia - odparł Dionisio; - Przyjmijcie moje przeprosiny za ten brak kurtuazji. Teraz jednak jestem.

Młode mieszkanki obozowiska jedna po drugiej wylaniały się ze swoich barracas, plastikowych szałasów i szop skleconych z blachy falistej i kartonu i zbliżały się do Fulgencji i Dionisia, podchodząc śmiało, jak przystało kobietom, które dowiodły, że potrafią same zatroszczyć się o siebie, które odparły uzbrojonych gwałcicieli, rabusiów i innych natrętów, strącając ich w przepaść, zignorowały kpiny i zaczepki, polowały w górach na wigonie, mając do dyspozycji jedynie odłamki skalne i własną zręczność, przeżyły schodzące z gór lawiny i przejechały setki kilometrów wiedzione

intuicją, podpowiadającą im, że oto uczestniczą w czymś niezmiernie doniosłym.

Patrząc na nie, stojące z opuszczonymi ramionami, spalone słońcem od ustawicznego przebywania na dworze, zahartowane narzuconym sobie okresem cierpliwego wyczekiwania, Dionisio odnosił wrażenie, że otoczony jest żołnierzami. Przepęniało go zdumienie: oto tutaj, w jednym miejscu zgromadziły się kobiety reprezentujące wszystkie, najodleglejsze nawet regiony kraju, silne, wytrwałe, rozpłomienione prawdziwym idealizmem, obcym rodzajowi męskiemu, praktyczne na sposób mężczyzn, kompletnie nieznany, wierne sobie samym. Jedna po drugiej występowały naprzód i całowały go w policzek, jak to czynią comrades.

Dionisio zwrócił się do Fulgencji Astiz:

- Mam pewien plan... - zaczął, na co ona odparła:

- Ja również.

Siedząc po turecku przy obozowym ognisku, dyskutowali o swoich planach, które okazały się niemal identyczne.

W ciągu następnych miesięcy Dionisiowi udało się jakoś wyciszyć swój ból, przekształcić w pewnego rodzaju respekt. Życie w obozowisku podporządkowane było jak najsprawiedliwszemu podziałowi obowiązków, złagodzonemu czysto ludzkimi odruchami. Kobiety nawzajem dawały pierś dzieciom i kolejno prały nawzajem swoje rzeczy w strumieniu. Między sobą nie uznawały żadnej hierarchii i na zakończenie każdej kłótni, połączonej z szarpaniem się za włosy i kwestionowaniem legalnego pochodzenia przeciwniczki, obejmowały się niczym najlepsze przyjaciółki. Wszystkie też z własnego wyboru przekroczyły wszelkie ograniczenia, narzucone przez ogólnie przyjęte nakazy moralności, w pogoni za błędnym ognikiem obranym sobie za cel.

W tej przesyconej piżmem dżungli kobiecych ciał i niewiarygodnej, zaskakującej różnorodności pozycji miłosnych, Dionisia ogarnęło uczucie jakby oderwania od własnej osoby. W ciemności zaimprovizowanych schronień z kartonu i karoserii samochodowych, pod gołym niebem, w niemal namacalnym blasku bijącym od skał i wśród ulotnych fajerwerkach meteorów, ani na moment nie opuszczało go wrażenie, że energia, jaka nim kieruje, pochodzi w rzeczywistości ze źródła znajdującego się gdzieś poza nim samym. Brał te kobiety z pustym spojrzeniem i bez najmniejszego drgnienia w sercu.

Najbardziej uderzała go łatwość tego wszystkiego, kompletny brak zmęczenia, kiedy po całkowicie nieprzespanej nocy szedł na zajęcia, by poinformować swoich studentów, że na dzisiejszym wykładzie nadal będzie przybliżał im ową bzdurę, stanowiącą podwaliny kultury i sącząca się z każdej jej szczeliny, bzdurę, którą koniecznie powinni zrozumieć, jeśli chcą nauczyć się rozpoznawać to, w co pod żadnym pozorem nie powinni wierzyć i czego żadną miarą nie powinni brać serio. Ta łatwość kazała mu podejrzewać, że jego krokami kieruje ktoś inny, a mimo to nie odczuwał znajomego szarpnięcia w trzewiach, jakim jego nieposkromiony charakter zwykł reagować na każdy przymus, tak że jeśli ktoś mówił mu: „Jedz, bo będziesz głodny”, natychmiast tracił apetyt. Podczas służby wojskowej na rozkaz kaprała: „Czyścić broń, maricon, ty cholerny pedale, albo odeślę cię do szorowania latryn”, Dionisio natychmiast szedł sprzątać latryny, byle tylko nie wykonać rozkazu, a kiedy kapral mówił: „Czyść broń, hijo de puta, albo złożę raport kapitanowi”, Dionisio momentalnie szedł do kapitana z raportem na sobie, że miałem zasyfioną lufę, melduję posłusznie, pełną kłaczków od wyciora, a one są bardzo niebezpieczne, melduję posłusznie, bo przecież jeśli jutro zaatakują nas Sowieci - a wszyscy wkoło

są przekonani, że to niechybnie nastąpi, melduję posłusznie - to pocisk może zaklinować się w lufie i oberwać moje własne jaja, przez co armia będzie miała jeszcze jednego bezużytecznego żołnierza, melduję posłusznie, zupełnie nieprzydatnego w przypadku napaści barbarzyńskich komuchów, dążących - jak wszyscy wiemy - do zniszczenia naszej cywilizacji, melduję posłusznie, a kapitan wzdrygał się nerwowo i skazywał go na karcer, a potem podsłuchiwał pod drzwiami, jak Dionisio przymawia się o papierosy i opowiada kawały rozbawionym żandarmom, którzy mieli dać mu szkołę. Kapitan zasiadał więc do pisania kolejnego długiego listu do brygadiera Hernando Monte Sosy o tym, jak jego syn jest niepoprawny, wreszcie szedł porozmawiać z kapralem, który błagał go, żeby odkomenderować tego faceta do innego plutonu, melduję posłusznie, ja już tego nie zniosę, on mi demoralizuje całą kompanię, melduję posłusznie, a z tego, co wiem, cały batalion także, melduję posłusznie.

Niejednokrotnie uderzała go myśl, że jest niczym honorowy pułkownik regimentu, posiadający prestiż, ale nie władzę, regimentu, w którym faktycznym pułkownikiem jest Fulgencja Astiz, generał zaś przebywa gdzieś daleko na tyłach, jak to zwykle czynią generałowie. Czasami zaś widział siebie na podobieństwo pułkowego sztandaru, któremu wszyscy oddają honory i który przechowywany jest w pułkowej kaplicy, a każdy żołnierz ubiega się o zaszczyt wypolerowania jego srebrnych nakładek i mahoniowego drzewca.

Ta myśl jednak nie wywoływała w nim uśmiechu, jakby to niechybnie miało miejsce dawniej, nie kazała mu podejrzewać, że utracił kontrolę nad swoją autonomią, ani też nie wzbudzała w nim poczucia winy.

Kiedy wypełnił się czas dla kobiet, z których część zdecydowała się pozostać w Ipasueño, część powrócić w swoje rodzinne strony, by tam po-

szukać sobie mężów, część wreszcie podążyć za Dionisiem i Aureliem do Cochadebajo de los Gatos i osiedlić się tam, na świat przyszło dwadzieścioro dziewięcioro dzieci. Z szesnastu dziewczynek wyrosły później kobiety noszące niezwykle imię Anika, z trzynastu chłopców mężczyźni o krępej budowie Indianina i intensywnie niebieskich oczach conde Pompeyo Xaviera de Estremadury. Każdy z nich miał szyję naznaczoną bruzdą od pętli i sześciocentymetrowej długości blizną.

53. Taniec ognia (7)

Jakie jest twoje imię? - zapytał Dionisio.

- Lazaro, duenio.

Zbity z tropu Dionisio zastanawiał się przez moment, zanim pojął znaczenie tego, co usłyszał przed chwilą.

- Jakie jest twoje prawdziwe imię?

- Procopio, duenio.

- Pójdź za mną, Procopio - rzekł Dionisio, ujmując Lazara pod ramię i pomagając mu wstać.

Ci z tłumu, którzy usłyszeli, że Dionisio pyta Lazara o jego prawdziwe imię, od razu nabrali pewności, że stoi przed nimi ktoś znający magię, bo komu innemu potrzebna byłaby znajomość prawdziwego imienia człowieka. Zaczęli więc iść za nimi, ale Dionisio odwrócił się z irytacją i powiedział:

- Por el amor de Dios oddalście się i zostawcie nas.

Ciągnący za nimi pomyśleli nagle, że jaguary wyglądają dzisiaj jakoś wyjątkowo groźnie, a poza tym a nuż Dionisio sprawi, że gapiom powy-

padają włosy, jeśli go nie usłuchają. Przystanęli więc w posepnym milczeniu, patrząc, jak dwaj mężczyźni odchodzą.

W klinice pielęgniarce wystarczył jeden rzut okiem na Lazara, by rozpoznała, jaka trapi go dolegliwość. Mogła być szpetna i nieużyta, ponura i owłosiona, nie była jednak ignorantką i potrafiła zbadać Lazara, na wypadek gdyby jej wstępna diagnoza okazała się mylna. Szybko przewertowała „Vademecum diagnostyki” i wyeliminowała pachydermię, atrofię mięśni strzałkowych, leiszmaniozę, granulomę, erytemę, mięsak Kaposiego, sarkomę, sarkoidozę, kiłę trzeciorzędową, obrzęk śluzakowaty i jeszcze kilka jednostek chorobowych, jakie przyszyły jej do głowy. Wszystkie testy i badania kończyły się nieodmiennie jedną tylko konkluzją.

- Ma pan trąd - oznajmiła.

Wykonała biopsję skóry, nerwu, pobrała próbkę wydzieliny z nosa, zrobiła test histaminowy, test na wydzielanie potu i ku swojemu zdumieniu stwierdziła, że występujące obficie prątki są martwe. Popatrzyła zza biurka, przy którym oglądała próbki pod mikroskopem.

- Pan albo został wyleczony, albo też mamy do czynienia z remisją. Innego wytłumaczenia nie widzę.

Lazaro spojrział na nią, wcale niezdziwiony.

- Wiem - odparł po prostu. - Wyleczył mnie Aurelio Czarnoksiężnik. Ale ja chcę, aby moje ciało było takie jak niegdyś. Chcę na powrót wyglądać jak mężczyzna i jak mężczyzna kochać się z kobietą.

Siostra zmarszczyła czoło i poskrobała się paznokciem po skroni w nagłym odruchu współczucia, które choć raz utorowało sobie drogę do jej duszy i przez jedną krótką chwilę uczyniło ją promienną. Uśmiechnęła się z rezygnacją.

- Vale, chirurgia plastyczna jest w stanie skorygować twoje piersi, twarz i niemal wszystko inne, na tamto zaś mogłyby pomóc zastrzyki z testosteronu, w naszym kraju jednak nie dysponujemy podobnymi możliwościami. Musielibyśmy wysłać cię do Estados Unidos albo do Anglii. Samego nie byłoby cię przecież stać na taką podróż.

Lazaro pochylił głowę. Rozpacz przepelniała mu serce.

- Nie mogę pozostać taki jak teraz. Co mam zrobić? - zwrócił się do Dionisia. - Czy możesz mi pomóc, wzorem Aurelia Czarnoksiężnika, i dokończyć jego dzieła?

Dionisio pomyślał, że można by spróbować rozpisać publiczną kwesę albo zorganizować loterię w alkaldii, więc odparł:

- Zobaczę, co się da zrobić, ale musisz uzbroić się w cierpliwość. To zajmie trochę czasu.

Jednakże Lazaro nie mógł czekać, więc postanowił błagać o litość człowieka, o którym słyszał, że jest najbogatszy w okręgu. Następnego dnia wstał o świcie i wyszedł z krypty, pobłogosławiony przed odejściem przez don Innocencia, modlącego się przed ołtarzem w porze, którą ukochał najbardziej ze wszystkich, gdyż o tej godzinie na całym świecie panował pokój.

Oczywiście pielęgniarka nie potrafiła się oprzeć pokusie i opowiedziała mężowi o tym dziwnym trędowatym, który przyszedł do kliniki przypro- wadzony przez Dionisia Vivo, całkowicie wyleczony. Podobnej pokusie uległ także mąż pielęgniarki i - naturalnie w ścisłym zaufaniu - opowiedział o tym wydarzeniu wszystkim znajomym. Za sprawcę cudu bez wahania uznano Dionisia, który odtąd, ilekroć się pokazał, natychmiast był nagabywany przez chorych, kiedy zaś kazał im iść do lekarza, musiał wysłuchiwać ich gniewnych oskarżeń o najgorszy z możliwych grzechów -

duchową oziębłość. Ale pozostałych bynajmniej nie powstrzymywało to przed utrzymywaniem, że tak naprawdę to Dionisio, a nie siostra, wykurował ich syfilityczne owrzodzenia i sączące się wypryski na błonie śluzowej w miejscach intymnych oraz naciągnięte ścięgna, o których rozprawiali z takim przejęciem, jakby były objawami śmiertelnej choroby.

Walcząc z odmawiającymi mu posłuszeństwa nogami i ograniczeniami wynikającymi z deformacji stóp, Lazaro strawił dwa dni, zanim doszedł do Hacienda Ecobandoda. Wiodła go wyłącznie nadzieja. Droga okazała się długa, miejscami wznosiła się stromo. Często zatrzymywał się w gościnnym cieniu cedrów, chroniąc się przed nieubłaganymi atakami słońca. Przyglądał się przemykającym uizcachas i myślał, że pewnego dnia on także będzie tak biegał. Czuł elektryczność spływającą z gór i igrającą w jego włosach i obserwował alcarany, górskie skorpiony, mozolnie torujące sobie drogę wśród kłębiących się diabełków kurzowych. Raz usłyszał w oddali muzykę yauari i wiedział, że gdzieś w pobliżu znajdują się Indianie, wyczarowujący te przepojone niesamowitością dźwięki, dmuchając w piszczałki olla umieszczone wewnątrz naczyń. Muzyka kazała mu myśleć o pięknie, o tym, że pewnego dnia on także na powrót stanie się piękny. Czasami przystawał przy małych jarmarcznych ołtarzykach na poboczu drogi, postawionych w celu upamiętnienia śmierci w wypadku drogowym, i wówczas przepełniało go współczucie dla nieszczęśliwców, którzy zginęli w tym miejscu, ponieważ on sam niebawem miał zostać przywrócony z martwych ku życiu. Czasami słał się na nogach, parł jednak naprzód, snując niekończące się fantazje, jak to odzyskawszy młodość, odzyska Rajmundę, wyłącznie po to, by ją odtrącić z pogardą. Uśmiechnął się z mściwą satysfakcją. A może rzuci się jej w objęcia, przebaczy, i znowu będą się kochać w chacie na palach? To będzie takie romantyczne;

uśmiechnął się na myśl, że ponownie doświadczy podobnego szczęścia. A jeśli Rajmunda zestarzała się i jest gruba i szpetna? Wtedy znajdzie sobie nową, młodą żonę. A jeśli Rajmunda wyszła za mąż za kogoś innego? Porwie ją wówczas i zbiegną razem do lasu. Ile lat mają jego dzieci? Nagle uświadomił sobie, że nie ma pojęcia, ile czasu właściwie upłynęło. Nawet własnych lat nie potrafił się doliczyć. Ile mógł ich mieć? Trzydzieści? Sześćdziesiąt? Przebywał poza życiem i poza czasem. Jednakże teraz, po długim okresie mroku, jego historia miała się zacząć od nowa. Był szczęśliwy, że wraca do świata żywych. Żegnajcie, ciemności, przedśmionku śmierci.

W nocy zasypiał wśród traw ichu porastających pajonale, owinięty swoim wyszywanym habitem, napawając się myślą, że już wkrótce, kiedy napotka ariero prowadzącego karawanę mułów, popatrzy mu prosto w oczy, bez kaptura skrywającego twarz, i powie: Buena' dia' , a ariero przyjacielsko skinie głową i odpowie: Buena' dia', que tal? , i utną sobie przyjacielską pogawędkę o pogodzie, tak jak inni ludzie. Kilkakrotnie przebudziło go zimno, więc pomyślał z goryczą, że utrata czucia w rękach i nogach także ma swoje dobre strony, i zasnął ponownie, gdyż jego żarliwe pragnienie tego nowego świata, w którym ludzie będą witać go skinieniem głowy i pozdrowieniem buena' dia', niosło z sobą ciepło przebaczenia i absencji, było niczym żar tłących się polan drzewa palo santo . Jak cudowne będzie teraz życie! A Rajmunda na powrót go pokocha, nie może być inaczej.

Wczesnym popołudniem dotarł do Hacienda Ecobandoda, zakurzony, głodny i spragniony, choć nie tak dawno zaczerpnął wody z arroyo i zjadł kilka owoców, które niósł ze sobą przez całą drogę z Ipasueño. Przy bramie stał uzbrojony w strzelbę mężczyzna o nieokrzesanym wyglądzie, z

butelką chacty wetkniętą w kieszeń koszuli. Był nieogolony i miał kaprawe oczy, którymi mierzył z pogardą tajemniczą postać okrytą habitem. Nie odezwawszy się ani jednym słowem, uniósł pytająco brwi i ruchem głowy nakazał Lazarowi powiedzieć, z czym przybywa.

- Przyszedłem zobaczyć się z El Jerarcą - wychrypiał Lazaro. - Przyszedłem błagać go o litość. Jestem trędowaty i potrzebuję pieniędzy na leczenie.

Strażnik zaśmiał się ironicznie i odparł, udając wyszukaną kurtuazję:

- Ależ oczywiście, don Leprozo, szef zawsze chętnie pomaga wszystkim trędowatym. A teraz w tył zwrot i zabieraj się stąd albo osobiście uwolnię cię od twojego brzemienia.

Zniżył broń i wycelował ją prosto w brzuch Lazara. W jednej chwili Lazaro ujrzał wszystkie swoje nadzieje walące się w przepaść, niczym most, w którym zerwały się liny.

- Zaklinam cię w imię Boga - zaczął, ale strażnik przystawił mu lufę do piersi i popchnął mocno, śmiejąc się przy tym.

W tym właśnie momencie, wzbijając chmurę pyłu, pojawił się pick-up z El Chiquitinem za kierownicą i El Guacamayem zajmującym siedzenie pasażera. Obaj wracali z całonocnej imprezy, podczas której zabawiali się gwałceniem i krajaniem na kawałki dwóch małych dziewczynek w choza, ale przecież nie byli aż tak zmęczeni, by nie zabawić się jeszcze trochę. Wysłuchawszy objaśnień wartownika, kazali Lazarowi ładować się na tył samochodu, co uczynił nie bez trudności, za to z nową nadzieją, wzbierającą w sercu.

Zostawili go w korralu, gdzie polecieli mu czekać, podczas gdy sami poszli prosto do El Jerarki i opowiedzieli mu całą historię, a ten, nudząc się śmiertelnie, chętnie powitał pomysł małego przedstawienia, tak że skrzyk-

nał cały personel i wszyscy udali się do korralu rozbawionym, rozgadany orszakiem, gdy tymczasem El Chiquitin gromadził odpowiednie akcesoria. El Jerarca zasiadł w cieniu drzewa ceiba, zupełnie jak podczas corridy, i czekał na powrót El Chiquitina, który pojawił się niebawem, dźwigając ogromny kanister. Przepchnął go między prętami ogrodzenia, sam przelazł przez płot i zatargał pojemnik do miejsca w samym środku korralu, gdzie czekał cierpliwie Lazaro, czując się kimś niebywale ważnym. Zwracając się do niego, El Chiquitin celowo podnosił głos, tak by wszyscy mogli go usłyszeć i zabawić się tym nowym błazeństwem.

- Znamy pewną kurację, która nazywa się La danza del fuego - zaczął. - Jest bardzo tania, cabron. Bardzo tania. Należy zacząć od obmycia się w specjalnej leczniczej wodzie, tak więc siedź spokojnie, a ja cię poleję.

Lazaro już miał rozpocząć wygłaszanie specjalnej mowy dziękczynnej, którą od dwóch dni układał sobie w głowie, ale El Jerarca powstrzymał go gestem wyciągniętej ręki, dając mu do zrozumienia, iż skromność nie zezwala mu na przyjęcie takiego hołdu, więc Lazaro usiadł. Choroba kompletnie pozbawiła go węchu i nie zorientował się, że płyn bynajmniej nie jest wodą. Siedział cierpliwie, skąpany w benzynie, oczekując dalszych instrukcji, i nie poruszył się, kiedy El Chiquitin rzucił zapalniczkę.

W pierwszej chwili poczuł oszołomienie i zdumienie, gdy nagle znalazł się jakby w samym środku wirującego słupa powietrza. Potem poczuł, że brak mu tchu, więc zerwał się na nogi, chwytając się rękami za gardło. Nic nie widział przez płomienistą kipieli i początkowo nie czuł nawet bólu, co częściowo było spowodowane zaskoczeniem, a częściowo tym, że płomień ogarnął najpierw unoszące się opary benzyny, a dopiero potem dotarł do żywego ciała.

Jednakże tak było zaledwie przez ułamek chwili. Kiedy poczuł ból kłuszący niczym tysiące piranii, cała jego świadomość przemieniła się w jeden nieprzerwany krzyk. Obląkany z bólu i braku powietrza, wirował niczym bąk, ogarnięty kolumną płomienia, a El Jerarca i jego kompani, których nie mógł dojrzeć ani usłyszeć, wrzeszczeli i klaskali, trąc oczy z uciechy i wykrzykując rozmaite uwagi, według ich mniemania nad wyraz dowcipne.

El Chiquitin doskakiwał z kanistrem tak blisko, na ile starczyło mu odwagi, podsyczał na nowo ogniste inferno i odskakiwał z powrotem.

Nawet gdyby żar nie stopił gałek ocznych w nieosłoniętych powiekami oczodołach, Lazaro i tak nie byłby w stanie niczego zobaczyć przez płonące wyziewy. Toczył się nieprzytomnie, młóćąc rękami powietrze, kręcąc się wokoło, zataczając i potykając. W agonii bólu krzyczał i jęczał, dopóki płomienie na zawsze nie zamknęły jego gardła. Wreszcie upadł na ziemię i znieruchomiał. Bliskość śmierci przemieniła go, na powrót stał się przystojny, nieokaleczony, szczęśliwy w objęciach Rajmundy i w tej samej chwili nad korralem zatoczyła krąg papuga jastrzębiogłowa i poszybowała na zachód.

Wszyscy otoczyli zwęglone szczątki.

- Zobaczcie, chłopcy, to była baba. Miała cycki - zauważył El Jerarca.

Ale El Chiquitin wskazał na coś palcem.

- Polla też. To był ktoś, kto jednocześnie był mężczyzną, szefie.

El Guacamayo zastanowił się przez chwilę.

- Udana kuracja, szefie, trądu ani śladu - powiedział, błyskając złotym uśmiechem.

Ale El Jerarca uznał za zły omen, że ofiara okazała się obojnakiem, więc skwitował krótko:

- Cuchnie. Zabrać to ścierwo.
- Dokąd z nim, szefie?
- Do ogrodu Vivo, gdzie by indziej?
- Co on wykrzykiwał, kiedy tak tańczył? - dopytywał się El Guacamayo.
- Nie zrozumiałem dokładnie.

El Chiquitin objaśnił towarzysza:

- Dla mnie brzmiało to jakoś tak, jakby „Rajmunda”, ale widocznie musiałem się przesłyszeć. Podobny potworek nie mógł przecież mieć kobiety.

54. Pierścionek

Nie zwracając sobie głowy pukaniem do drzwi wejściowych, Ramon od razu pośpieszył do pokoju Dionisia, który siedział zadumany w fotelu na biegunach. Słyszając wchodzącego przyjaciela, odwrócił głowę i uśmiechnął się. Ramon przykucnął, podrapał jaguary za uszami i wyprostował się.

- Hola, Anaksymenesie! - zawołał, wymachując butelką. -Zobacz, przynoszę chilijski cabernet sauvignon.

Dionisio wstał z fotela i objął przyjaciela serdecznym gestem.

- Ramon, przestać wyrzucać pieniądze, bo sam ich przecież nie masz za wiele.

- Warto, przyjacielu, chociażby po to, żeby wreszcie zobaczyć uśmiech na twojej twarzy, poza tym kupiłem je za pieniądze otrzymane od tych szalonych kobiet, którym wynajmuję półko, tak że właściwie zawdzięczam je tobie.

Dionisio przyniósł z kuchni korkociąg. Ramon nie przestawał mówić:

- Widzę, że nareszcie się ogoliłeś. Czy to oznacza, że nie muszę tu więcej zachodzić i robić tego za ciebie? Czy to oznacza, że nie muszę cię już wiązać, aby cię ostrzyć? Wiesz, takie udawanie, że jestem twoją matką, było nawet zabawne, ale pod koniec już mi się trochę zaczęło przejadać.

- Zdradź mi lepiej, cabron, jak to się dzieje, że zawsze nosisz dwudniowy zarost - przerwał mu Dionisio. - Czy aby nie potrzebujesz się golić, żeby osiągnąć taki efekt? Jakoś nigdy nie widziałem cię gładko wygolonym.

- Tajemnica, Heraklicie - odparł Ramon, kiwając głową i przesuwając palcami po skrzydełku nosa. Potem spowaźniał i odezwał się: - Słuchaj, mam złe wieści. O Anice. Właściwie nie powinienem ci tego mówić, bo prawo do informacji ma wyłącznie rodzina, ale otrzymałem raport policyjny ze stolicy i zanim tu przyszedłem, widziałem się z seniorem Moreno.

Dionisio pobladł, a kieliszek w jego dłoni zadrżał lekko.

- Ramon, nie chcę więcej o niej mówić.

- Więc nie mów, tylko słuchaj. Nie jest to wiadomość dla kogoś o słabych nerwach. Wiem, że nigdy nie przestałeś jej kochać, więc zostawmy te bzdury. - Ramon wciąż wpatrywał się w podłogę. Wreszcie podniósł wzrok. - Anika nie żyje, i było to morderstwo narkotykowe. Bardzo mi przykro. Ja też ją kochałem, jak zresztą wszyscy. Była najwspanialszą kobietą w całym mieście.

Dionisio potrafił tylko powtórzyć:

- Morderstwo narkotykowe? Jak to?

- Szczegółów ci nie podam, bo byś się od nich tylko pochorował. Zwłoki były w okropnym stanie i sporo czasu zajęło, zanim udało się je dopasować do opisu w rejestrze osób zaginionych. Najwidoczniej kierownic-

ka akademika zameldowała policji, że Anika zaginęła, jednak dopóki nie natrafiono na ciało, nie przedsięwzięto żadnych kroków.

Przyjaciele spoglądali na siebie w milczeniu, a potem Dionisio pustym wzrokiem popatrzył przez okno.

- Nauczyłem się myśleć o niej jak o nieżyjącej - powiedział.

- Pamiętasz ten jej zielony kolczyk w kształcie trójkąta? -zapytał Ramon, a Dionisio przytaknął. - Znaleziono go wewnątrz jej ciała i tylko dzięki niemu została zidentyfikowana. Bardzo mi przykro.

Dionisio przesunął ręką po oczach i zapytał:

- Ale dlaczego?

Ramon westchnął.

- Przed chwilą widziałem się z seniorem Moreno, który był tak wzburzony, że nieostrożnie zdradził mi kilka rzeczy, które powinien był raczej zatrzymać dla siebie. Widzisz, Dio, to Moreno zaopatrywał El Jerarcę w broń, a co najdziwniejsze, zdaje się, że cały handel odbywał się najzupełniej legalnie. W każdym razie senior Moreno wiedział, że będą usiłowali cię zabić, i bał się, że Anika przez przypadek także może stracić życie w strzelaninie. Tak więc zawarł z El Jerarcą następującą umowę: on nastraszy Anikę, że jeśli od ciebie nie odejdzie, jego ludzie zamordują jej ojca i całą rodzinę, a senior Moreno udzieli mu rabatu przy najbliższym zakupie. Zgodnie z ustaleniami, gangsterzy El Jerarki sterroryzowali Anikę, a ona porzuciła cię, pragnąc ocalić rodzinę. Wiesz, Dio, ona cię nadal kochała i wszystko, co ci wmawiała, było zwykłym mydleniem oczu. Postępowała tak wyłącznie dlatego, że nie miała innego wyjścia. I jeszcze jedno. Specjalnie zaszła w ciążę, bo pragnęła twojego dziecka, i odmówiła, kiedy ojciec kazał jej się go pozbyć. Czy mam mówić dalej?

Dionisio skinął głową.

- Na razie jestem jak otumaniony; boleć będzie dopiero później. Mów.

- Teraz przyjdzie to najgorsze. Zdaje się, że spotkała się z tobą jeszcze raz, kiedy już minął wyznaczony jej termin, i El Jerarca się to nie spodobało. Oczywiście nie miał zamiaru zabijać człowieka, który dostarczał mu broń, tak więc pozwolił swoim ludziom zająć się Aniką. To dziecko... dziecko umarło razem z nią. Miałbyś córeczkę, tak jak tego pragnąłeś.

- Czyli to ja ją zabiłem. To wszystko moja wina.

Ramon pokręcił głową.

- Cała ironia polega na tym, że gdyby została z tobą, byłaby całkowicie bezpieczna, ponieważ El Jerarca się ciebie boi. Uważa cię za brujo. Jeśli ktoś ją zabił, to jej własny ojciec, któremu się wydawało, że ją w ten sposób uchroni. Myślę, że powinieneś to zrozumieć. Poza tym sądzę, że El Jerarca zdawał sobie sprawę, że może cię zniszczyć w jeden tylko sposób - niszcząc to, co miałeś najdroższego.

- I nie przeliczył się. Dopiął swego. - Dionisio upił łyk wina i podjął po długim milczeniu: - Ale powiem ci jedno. Przywróciłeś mi wiarę w Anikę, a moją nienawiść do niej na powrót zamieniłeś w miłość. Dziękuję ci, Ramon, że mi powiedziałeś, ponieważ ciężko mi było żyć z nienawiścią w sercu.

- No tak, zawsze to coś - odezwał się Ramon z bladym uśmiechem, na co Dionisio odparł:

- Anika poszła kiedyś do takiej wróżbiarki, która mieszka w pobliżu Madame Rosy. Tłumaczyłem jej, że to wszystko bzdury, ale wiesz, co ta kobieta jej przepowiedziała? Że ostatni rok jej życia będzie najszczęśliwszy.

- Jestem pewien, że tak było, i to dzięki tobie - odparł policjant. Wstając, dorzucił jeszcze: - Byłbym zapomniał, mam tu coś dla ciebie.

Rozpiął kaburę, wyciągnął automatyczny rewolwer, skierował go lufą w dół i potrząsnął. Z lufy wysunęło się długie, wąskie cygaro, które Ramon wręczył Dionisiowi.

- To dla ciebie. Odkąd noszę je w ten sposób, nie są już takie wymiętoszone. Słuchaj, delektuj się nim, bo to prawdziwa hawana.

Dionisiowi zwilgotniały oczy. Wargi mu drżały, kiedy mówił:

- Znasz powiedzenie, że ten kraj jest żebrakiem siedzącym na stosie złota?

- Tak.

- Gdyby wszyscy u nas byli tak dobrzy, jak ty, przemieniłby się w prawdziwy raj.

Ramon uśmiechnął się z zakłopotaniem.

- Ty też nie jesteś najgorszy, Parmenidesie. Wiesz, ciągle myślę o tych twoich zwierzakach. To chyba nie są prawdziwe jaguary. Dla mnie wyglądają zupełnie niczym trochę wyrosnięte czarne domowe koty, wiesz, te przysadziste, krótkowłose.

Dionisio popatrzył na nie i podumał chwilę.

- Ależ, Ramon, przecież tak właśnie wyglądają czarne jaguary.

Wiele tygodni później Dionisio wybrał się w góry, chcąc, aby jego koty wybiegały się porządnie na andenes, założonych niegdyś przez Indian pod uprawy. Obok mostu, gdzie zawsze gromadzili się narkomani, przyspieszył nieco i właśnie wyszedł z zakrętu, kiedy zobaczył zepsutego dzipa i dwóch mężczyzn zaglądających pod maskę.

El Chiquitin i El Guacamayo wracali do bazy, kiedy przerwał im się pasek klinowy. Byli całkowicie pochłonięci jego wymianą, gdy Dionisio zatrzymał samochód, wysiadł - a wraz z nim jaguary - i zaoferował swoją

pomoc. Dwaj zamachowcy wyprostowali się i strach ścisnął im serca na jego widok.

Dionisio zauważył natychmiast, że El Chiquitin nosi na małym palcu pierścionek zaręczynowy matki Aniki.

Raport policyjny Posterunek policji Ipasueño: raport oficera Ramona Dario Kopia dla alkaldii *Ciała Eduarda Carriego, alias El Guacamayo, lat 27, i Evarista Mallei, alias El Chiquitin, lat 34, zostały odnalezione dzisiaj przy ulicy Santa Maria Virgen. Pełny tekst zeznań świadków, którzy natknęli się zwłoki, w załączeniu. Brak jeszcze raportu z obdukcji, wstępne oględziny natomiast zdają się sugerować, że obrażenia zostały spowodowane przez dzikie zwierzęta. Denaci mieli rozszarpane gardła, a ich ciała nosiły ślady pazurów czworonogów, prawdopodobnie z rodziny kotowatych.*

Jednakże powyższe przypuszczenie nie tłumaczy całej sprawy w sposób wyczerpujący. Ataki dzikich jaguarów na ludzi są czymś niemal niespotykanym, ponadto w okolicy nie notuje się obecności tych zwierząt. Co więcej, rozmiary obrażeń wskazują na stworzenia potężniejsze od jaguarów. Jest absolutnie wykluczone, by tej wielkości rany były wynikiem napaści jakiegoś mniejszego drapieżnika, na przykład pumy.

Ofiary były powszechnie znane jako płatni mordercy w służbie Pabla Ecobandodo, co pozwala zakładać, że mamy tu do czynienia raczej z zabójstwem na tle narkotykowym, upozorowanym na atak dzikich zwierząt. Powyższą hipotezę zdaje się potwierdzać jeden dodatkowy szczegół, mianowicie ten, że języki obu ofiar były przeciągnięte przez otwory w krtani.

Podpisano: Ramon Dario, posterunek policji w Ipasueño

Kopię raportu Ramon wsunął pod drzwi Dionisia, naskrobawszy na górze kartki:

Moje gratulacje. Zważ, że nie wspomniałem nic o oswojonych jaguarach.

55. Ramon

Dionisio podniósł się z łóżka i podszedł do okna, żeby zobaczyć, jak zapowiada się dzień. Nie zwlekając, sięgnął po telefon i zadzwonił na policję.

Tym razem - inaczej niż zwykle - obyło się bez mylnych połączeń, a głos na drugim końcu linii powiedział:

- Policja.

- Agustin, to ty? Tu Dionisio z Calle de la Constitution. Słuchaj, te sukiny dorwały Ramona. Tak, jestem pewien, że to Ramon. Tak, kolumbijski krawat. Dobra, Agustin, ja także. Będę odpędzał sępy. Nie, nie będę do nich strzelał. Okay.

Narzuciwszy na siebie jedynie koszulę, tak obszerną, że sięgała mu niemal kolan, zbiegł na dół, z nadzieją, że może to jednak nie Ramon. Wyszedłszy za próg, od razu zauważył, że pajaro który zawsze wyśpiewywał o świcie, dzisiaj milczy. Dionisio zbliżył się do ciała swojego najdroższego przyjaciela, z którym wspólnie otworzyli tyle butelek, aby się nawzajem wesprzeć i pocieszyć, i po raz kolejny poczuł się, jakby wyrwano mu wnętrzności.

Ramon był bez butów, a stopy miał popalone. Krew nadal sączyła się z osmalonego, poznaczonego smugami węgla drzewnego ciała, a brud wżarty w krwawą masę wskazywał na to, że Ramon, zanim jeszcze pode-

rżnięto mu gardło i wyciągnięto język, został zmuszony do przejścia kilku kroków. Automatyczny rewolwer zabójcy umieścili na powrót w kaburze, manifestując tym gestem swoją pogardę wobec całkowitej bezsilności policjanta. Dionisio wyjął broń z olstra i położył za drzwiami.

Pochylił się i zmiotł z twarzy zmarłego kilka mrówek, rojących się wokół uchylonych ust. Popatrzył na zegarek, zastanawiając się, kiedy pojawi się Agustin. Pochylił się raz jeszcze i pocałował Ramona w oba policzki, tak jak to czynią comrades. Przesunął palcami po wargach, które wypowiedziały tyle słów pociechy i tyle złośliwych żarcików.

- Stary przyjacielu - powiedział.

Z kieszeni na piersi zmarłego sterczał jakiś zgnieciony papier, więc wyciągnął go i rozprostował. „Prezent urodzinowy” -przeczytał. Musiał zastanowić się przez chwilę, zanim przypomniał sobie, że dzisiaj przypadają urodziny El Jerarki, i z tej okazji w Barrio Jerarca odbywa się siedmiodniowa fiesta, pobłogosławiona przez wysługujących się kacykowi księży i uświetniona występami trzech orkiestr dętych oraz zespołu tanecznego Morenado, sprowadzonego z okręgu górniczego.

- Tak więc nieć twojego życia także przeciął, drogi przyjacielu.

Uświadomił sobie, że od miesiący nie napisał ani jednego listu wymierzonego przeciw handlowi narkotykami i zdumiał go ogrom zaciętości kokainowego kacyka, który mimo że upłynęło już tyle czasu, nadal chwycił się sposobów, aby ugodzić tego, który ośmielił się odsłonić światu jego prawdziwe oblicze.

Pojawił się Agustin, nagle postarzały, ale znacznie dokładniej niż wówczas, kiedy przyjechał tu zabrać poprzedni krawat, wypełniający sobą policyjny uniform. Profesjonalnym ruchem naciągał żółte rękawiczki, oczy jednak szklily mu łzy.

Młody policjant popatrzył na leżące zwłoki człowieka, który nieodmiennie był gwarantem uczciwości policyjnego posterunku i który wypełniał go swoim ironicznym, gorzkim humorem. Wskazał ręką ciało noszące ślady bezlitosnych tortur i z trudem dobywając słowa, powiedział do Dionisia, jakby pragnął mu coś wyjaśnić:

- On nauczył mnie wszystkiego.

Dionisio poprawił kosmyk włosów Ramona i podniósł się z kolan. Przez chwilę on i Agustin w milczeniu spoglądali na rozciągnięte ciało, wreszcie Dionisio zapytał:

- Kto pełni służbę patrolową w tym tygodniu? Ty? - Agustin otarł oczy rękawem i przytaknął. - W takim razie musisz wyświadczyć mi przysługę.

Agustin ponownie pokiwał głową, niezdolny wydobyć głosu z nabrzmiałego od nieprzelanych łez gardła.

- Upewnij się, że żaden policjant nie pojawi się na fieście, a jeśli jakiś naoczny świadek zgłosi się, aby zeznawać, zaprotokołuj jego zeznania, a potem użyj tych kartek na podpalkę. Gdybyś zaś musiał przeprowadzić dochodzenie, upewnij się, że przesłuchujesz wyłącznie te osoby, które nic nie widziały.

Agustin przytaknął po raz ostatni i wskazał na ciało Ramona.

- Te sukinsyny torturowały go. Znał każde ich poruszenie, wiedział o nich wszystko. - Umilkł na chwilę. - I był moim przyjacielem.

- 1 kolejną ofiarą, która zginęła przeze mnie - dokończył Dionisio.

Widząc, że Agustin ostatkiem sił walczy z napływającymi łzami, położył mu rękę na ramieniu. Policjant rozszlochał się rozpaczliwie, wstrząsany dreszczem, więc Dionisio objął go za szyję i przytulił niczym dziecko. Stali, obejmując się wzajemnie, i Dionisio odkrył, że nie potrafi nawet opłakiwać przyjaciela, gdyż braknie mu łez.

- Wkrótce - powiedział, kołysząc łkającego nieprzerwanie młodszego kolegę Ramona - uczynię coś, za co Ramon oddałby życie, by móc to zobaczyć. Przysięgam, a to znaczy tyle, jakbym już tego dokonał.

Łagodnie unieśli ciało i złożyli je pod budą ciężarówki, która przewiozła już tyle zwłok w najrozmaitszym stopniu rozkładu, że trwale przesiąkła odorem sępów i ostrą wonią środka dezynfekcyjnego. Dionisio śledził wzrokiem jej odjazd, a potem wszedł do domu, zabierając po drodze automat Ramona. Przez dłuższą chwilę trwał, siedząc w stanie absolutnego bezruchu, wreszcie sięgnął po rulon papieru nutowego. To właśnie wtedy skomponował swoje „Requiem Angelico”, w ciągu jednej godziny i bez żadnych poprawek. Oryginalny zapis partytury obejmował klawiaturę, quenas i mandole i nawet w tej instrumentacji „Anielskie Requiem” wywarło wstrząsające wrażenie na żałobnikach uczestniczących w pogrzebie Ramona Dario. Członkowie gwardii honorowej, pełniący straż na zewnątrz kościoła w pełnych mundurach galowych, mieli łzy w oczach, nie tyle z powodu żałobnego charakteru muzyki, lecz dlatego, że przepełniało ją owo saudade zwiastujące triumf prawdziwej łagodności. Wszyscy, którzy kiedykolwiek wysłuchali tego utworu, podkreślali, że jest w nim taki moment, kiedy człowiek czuje na twarzy powiew skrzydeł anielskich i przenikliwy dreszcz ponadnaturalnego zimna, przebiegający wzdłuż stosu pacierzowego, aż skóra cierpnie, i inny, gdzie nostalgia i delikatna melodia części pierwszej zmieniają się raptownie w triumfalny hymn części drugiej, brzmiący tak, jak zapewne brzmiały chóry zastępów anielskich, głoszące chwałę poranka w pierwszym dniu stworzenia. „Requiem” stało się sławne w całej hiszpańskojęzycznej części Ameryki, a niebawem dotarło i do Europy, sprowadzone tam przez pewnego antropologa muzyki, przy-

puszczającego w swojej naiwności, że to melodia ludowa. Muzykolog ten zresztą osiedlił się później w Cochadebajo de los Gatos.

Skończywszy komponowanie owego hymnu na cześć prawdziwej przyjaźni i oddania, Dionisio wziął w rękę automat Ramona i przez chwilę wazył go w dłoni. Zawołał swoje koty i wraz z nimi wyruszył w kierunku obozowiska Las Locas.

Po drodze zaczepił go pewien mężczyzna w okularach, z notesem w rękę i licznymi długopisami, z których żaden nie pisał, wystającymi mu z kieszeni. Mężczyzna ów rozpoznał go z daleka, przede wszystkim dzięki charakterystycznym jaguaram, przez najbliższy tydzień nie odstępował go ani na krok i bez przerwy zasypywał pytaniami, które do Dionisia nawet nie docierały, jako że umysł miał zaprzątnięty wyłącznie jednym.

Tym dżentelmenem był Narciso Alameida, znany szeroko nieustraszony reporter „La Prensa”, który od czterech lat, ryzykując własne życie, opisywał nękającą kraj wojnę narkotykową i jej okrucieństwa, by uzmysłowić inteligencji i warstwom rządzącym wagę problemu. Teraz obarczono go czysto rutynowym zadaniem ustalenia przyczyny, dlaczego jeden z najwytrwalszych antagonistów kokainowych caudillos od dłuższego czasu pogrzyżył się w milczeniu. To właśnie Alameida - za sprawą jednego sensacyjnego artykułu - bardziej niż ktokolwiek inny przyczynił się do rozpropagowania i utrwalenia legendy Dionisia Vivo.

CZEŚĆ TRZECIA

56. Niezwykłe wydarzenia w Ipasueño

Wasz reporter przybył do Ipasueño, otrzymawszy zadanie przeprowadzenia wywiadu z Dionisiem Vivo, osobistością szeroko znaną w wielu kręgach, i usłyszenia z jego własnych ust, dlaczego zaprzestał pisywania swoich słynnych listów, znanych powszechnie jako „Listy przeciw koka-
inie”, w redakcji „La Prensya” bowiem obawiano się już, że być może senior Vivo został uciszony raz na zawsze.

Jednakże w ciągu ostatnich kilku dni byłem świadkiem tak niezwykłych wydarzeń, że opisanie tychże zgodnie z regułami logiki, a tym bardziej próba ich wytłumaczenia, okazały się zadaniem ponad siły nawet dla kogoś z tak wszechstronnym doświadczeniem reporterskim, jak moje. Tak więc poprzestanę jedynie na wiernym zrelacjonowaniu wszystkiego, co się tutaj wydarzyło, wnioski pozostawiając czytelnikom.

Zawitawszy do Ipasueño, zorientowałem się niemal natychmiast, że mieszkańcy albo nie mają pojęcia, gdzie zamieszkuje senior Vivo, albo też chronią go przed wścibstwem i natarczywością obcych. Ilekroć o niego pytałem, zawsze spotykałem się z tą samą odpowiedzią, porzekadłem, jakże często używanym w tym regionie: „Pregunta a las mariposas”. Wreszcie, wielokrotnie odsyłany, bym poszedł i zapytał motyli, z wielką ulgą usiadłem w jednym z barów, którego bywalcy akurat rozmawiali na temat interesującej mnie osoby.

Z ich rozmowy, którą udało mi się podsłuchać, można by wysnuć wniosek, że senior Vivo jest raczej mitologicznym herosem niż człowiekiem z krwi i kości, gdyż wszystkie historie, jakie o nim opowiadają, normalnie spotyka się wyłącznie oddając się lekturze mitologii dawnych Greków i Rzymian. Podobno w ratuszu czeka na niego trzydzieści worków z nieotwartą pocztą; i ze wszystkich informacji, jakie udało mi się o nim zebrać, ta wydała mi się najmniej osobliwa. Tutejsi ludzie wierzą, że senior

Vivo posiada ciało niedostępne dla ran, i każdy, kto usiłowałby go ugodzić, zostałby ugodzony dokładnie w taki sam sposób, jaki przeznaczał dla niego. Wierzą też, że otacza go magia, czyniąca daremnymi zamachy na jego życie, że dwukrotnie już umarł i potem zmartwychwstał. Mówi się także, że spłodził ogromną liczbę dzieci z kobietami mieszkającymi w obozowisku na obrzeżach miasta, a wszyscy jego synowie mają wokół szyi bruzdę wisielczą, identyczną jak ojciec. Tę ostatnią pogłoskę zweryfikowałem osobiście. Muszę tu dodać, że kobiety z obozowiska bynajmniej nie odesłały mnie do motyli z moimi pytaniami, tylko zagroziły, że strącą mnie w przepaść. Senior Vivo do każdej z nich zwraca się per „siostró”, aczkolwiek ja ich zachowania w najmniejszym nawet stopniu nie mogłem uznać za siostrzane. Senior Vivo posiada samochód, który jest tak stary i sfatygowany, że miejscowi są przekonani, iż porusza go nie benzyna, lecz specjalne zaklęcie. Powiada się też, że nasz bohater potrafi przeobrazić się w kozła albo w lwa, sprawić, że wyrasta winorośl, że jeździ rydwanem ciągnionym przez tygrysy. Powszechna jest wiara, że wszelkie próby skrepowania go są daremne, gdyż natychmiast opadają z niego więzy. Udało mi się krótko porozmawiać ze studentami Ipasueño College i z tej rozmowy dowiedziałem się, że senior Vivo uważany jest za porywającego wykładowcę, który wszakże swój przedmiot traktuje ze sporą dozą szyderstwa. Dowiedziałem się również, że cieszy się opinią człowieka absolutnie nieprzekupnego, a w gniewie potrafi przybrać nadludzkie rozmiary i siac spustoszenie. Co więcej, słyszałem, że gdziekolwiek się udaje, wszędzie towarzyszą mu dwa potężne czarne jaguary, których, podobnie jak jego samego, nie sposób zranić i które jedzą wyłącznie dla przyjemności, nie zaś z potrzeby. Podobno można wkraść się w ich łaski, częstując je czekoladą. Te niezwykle stworzenia stanowią jakoby osobliwy gatunek

kotów, wywodzący się z miejsca znanego pod nazwą Cochadebajo de los Gatos. Zaszedłszy na miejscowy posterunek policji, poprosiłem, aby mnie objaśniono, gdzie właściwie leży owo miasto, i wówczas z całą powagą wskazano mi punkt na mapie ewidentnie znajdujący się pod wodą. Określenie, jakie słyszałem najczęściej, ilekroć była mowa o seniorze Vivo, brzmiało „brujo”, i jak zdążyłem się przekonać, jego osobę otacza zarówno zabobonny strach, jak i niekłamana sympatia.

Doszedłem do wniosku, że najprostszym sposobem zawarcia znajomości z seniorem Vivo będzie uczestnictwo w prowadzonych przez niego zajęciach w Ipasueño College. Władze college'u bowiem uczyniły jego wykłady otwartymi dla publiczności, w widocznym zamiarze przysporzenia sławy szkole.

Przez najbliższych kilka dni gorliwie uczęszczałem na każdy wykład, początkowo z ciekawości, później powodowany autentycznym zainteresowaniem. Myślę, że najlepiej oddam naszym czytelnikom ich atmosferę, opisując pierwszy z nich.

Sala była niemiłosiernie zatłoczona, co należało zawdzięczać obecności licznych studentów oficjalnie zapisanych na inne kierunki, a także osobników takich jak ja, którzy naprawdę nie mieli tam nic do szukania. Senior Vivo, flankowany przez dwa siedzące w całkowitym bezruchu koty (o których więcej niebawem), mówił o monadologii Leibniza. Tłumaczył filozofię tego myśliciela tak jasno i precyzyjnie, a jednocześnie tak porywająco i nieodparcie, że nie upłynęło wiele czasu, a wszyscy obecni na sali bez cienia wątpliwości uwierzyli w realne istnienie harmonii wpród ustanowionej, zasadę racji dostatecznej, entelechie mniej i bardziej doskonałej, zasadę nierozróżnialności niepodzielnego i świat najdoskonalszy z możliwych. Następnie senior Vivo zapowiedział, że teraz dowiedzie nam, iż to

wszystko to m...a (potoczny wulgaryzm oznaczający ekskrementy), i uczynił to równie klarownie, precyzyjnie, porywająco i nieodparcie. Po zakończonym wykładzie wszyscy klaskali z ogromnym entuzjazmem, a wiele osób zostało jeszcze na sali, uniemożliwiając tym seniorowi Vivo odbycie śjesty.

Po zajęciach szedłem za nim, kiedy udawał się do domu, ale muszę wyznać, że otaczała go taka aura dostojności, iż absolutnie nie ośmieliłbym się do niego podejść, zadowolilem się więc jedynie cierpliwym czekaniem na ulicy przed jego domem, dopóki nie pojawi się ponownie.

Niebawem też wyszedł, odziany w źle dopasowany garnitur, w którym spodnie były o wiele za długie, marynarka zaś przykusa, co skłoniło mnie do refleksji, że należy on do tych ludzi, którzy nigdy nie wyglądają prawdziwie elegancko. Jak zwykle, towarzyszyły mu te niesamowite koty, miał też ze sobą instrument muzyczny, wyglądający jak wielka, bogato zdobiona mandolina, i arkusz papieru nutowego, zapisany ręcznie.

Udałem się w ślad za nim na pogrzeb niejakiego Ramona Dario, policjanta, który -jak się dowiedziałem - był wielkim przyjacielem seniora Vivo. Na dzień przedtem, zanim zaczyna się moja opowieść, był w najokrutniejszy sposób torturowany, a następnie poniósł śmierć z rąk morderczej hałasty na usługach seniora Ecobandodo. W połowie nabożeństwa senior Vivo i czterech innych muzyków - jak później ustaliłem, studentów muzyki w Ipasueño College - zagrało utwór zatytułowany „Requiem Angelico”, skomponowany przez samego seniora Vivo dla uczczenia zmarłego przyjaciela. Dzieło to wstrząsnęło wszystkimi obecnymi w kościele (nie wyłączając piszącego te słowa, choć przecież nie znałem osobiście zmarłego). Jest to niewyobrażalnie piękna melodia, składająca się z dwóch tematów. Pierwszy budzi w sercu słuchacza wrażenie przemożnego

smutku i tęsknoty, by potem, zupełnie nieoczekiwanie, przeobrazić się w drugi, pełen triumfu i grandezzy. Zaiste, mogę potwierdzić, że w chwili kiedy kończył się pierwszy temat i zaczynał drugi, w całym kościele nie było ani jednej osoby, której łzy nie płynęłyby ciurkiem po policzkach. Wasz korespondent przyznaje bez najmniejszego wstydu, że bynajmniej nie stanowił wyjątku. Do swoich słów dołączam fotokopię zapisu nutowego, którą na moją prośbę wykonał jeden z urzędników w alkaldii, sporządzając przy tej okazji kopię i dla siebie.

Spłakany ksiądz przez dłuższą chwilę nie był zdolny do kontynuowania obrzędu. Po nabożeństwie żałobnicy udali się na cmentarz, gdzie senior Vivo wystąpił z oracją, jeszcze bardziej porywającą niż ta, którą jego słynny ojciec wygłosił podczas cortege generała Carla Marii Fuerte w Valledupar - uroczystości, którą wasz korespondent relacjonował na łamach tej samej gazety osiem lat temu.

Noc przyszło mi spędzić w raczej nędznym lokaliku, u Madame Rosy, mylnie określanym tu jako hotel. Rankiem siedziałem właśnie na plaży, kiedy dostrzegłem seniora Vivo i jego jaguary. Był w samej koszuli, a za pasek wetknięty miał pistolet automatyczny. Półdługie włosy i oczy o zaskakująco intensywnym odcieniu błękitu nadawały mu wygląd, którego nie potrafię inaczej opisać, jak tylko używając określenia „mesjański”. Z pewnym drżeniem, co należało przypisać obecności owych kotów, które -powiedziałbym - były co najmniej pół metra dłuższe i o dobre cztery palce wyższe niż pozostali przedstawiciele tego gatunku, zbliżyłem się do seniora Vivo, aby przeprowadzić z nim wywiad; niestety, przez cały czas, kiedy przebywałem z nim, nie udało mi się skłonić go, by odezwał się do mnie choć jednym słowem. Po raz pierwszy w całym swoim życiu poczułem się tak, jakbym był ze szkła.

To jednak nie powstrzymało mnie przed towarzyszeniem mu przez cały czas, podczas tych dramatycznych, zgoła niepojętych - że użyję tego określenia - wydarzeń, jakie wkrótce nastąpiły.

Szedłem w ślad za nim do obozowiska Las Locas, gdzie przywitała go kobieta o wyglądzie prawdziwej Amazonki, z rewolwerem u pasa, jedna z owych oryginalnych sióstr, które zaproponowały mi krótką, za to pełną wrażeń wycieczkę w dół przepaści. Ucałowali się w policzki, a do moich uszu dobiegły słowa seniora Vivo: „Jutro o brzasku”.

Szedłem za nim dalej, notując w pamięci, że porusza się niczym Indianin i ma indiańską budowę ciała, aż znaleźliśmy się w osiedlu noszącym nazwę Barrio Jerarca, wybudowanym przez tego niegodziwca Pablo Ecobandodo jako dzielnica robotnicza. Istotnie obfituje w udogodnienia, jakich brak w pozostałych częściach miasta, jednakże należy przy tym podkreślić, że cała architektura, zaprojektowana wyłącznie z myślą o zdemonstrowaniu bogactwa, a nie po to, by spełniać funkcje użytkowe, poraża brakiem smaku i brzydotą. Kościół aż kapie od ozdób i jest chyba najbardziej przeładowanym ze wszystkich przeładowanych świątyń w tym kraju, ale wszedłszy do środka, człowiek doznaje owego przejmującego do głębi poczucia uwięzienia w rozpaczliwej samotności, spowodowanego dobrowolnym odejściem Boga z tego miejsca.

Tego dnia świętowano urodziny Pabla Ecobandodo, który utrzymuje, że ma trzydzieści kilka lat, mimo że zbliża się do sześćdziesiątki, o ile już jej nie przekroczył. Alkohol lał się strumieniami i wszędzie panował ogłuszający harmider, zwłaszcza że jednocześnie przygrywały trzy, najwyraźniej konkurujące ze sobą, orkiestry dęte. Według moich szacunków, w fieście brało udział jakieś trzy tysiące osób, w większości typy spod ciemnej

gwiazdy, jakim rozsądny człowiek nawet w biały dzień za wszelką cenę stara się zejść z drogi.

Kiedy senior Vivo wkroczył w ten tłum, zapadła wokół niego nagle cisza i zauważyłem, że wielu uczestników fiesty, bynajmniej niesprawiających wrażenia nadmiernie pobożnych, żegna się krzyżem i pada na kolana. Co dziwniejsze, senior Vivo przeszedł między zgromadzonymi niezaczepiany przez nikogo i nie miałem najmniejszych wątpliwości, że wszyscy bez wyjątku wiedzą, kim on jest, co z pewnością należy tłumaczyć sławą otaczającą jaguary, postępujące po obu jego bokach i mierzące ciżbę spojrzeniem pełnym takiej żarłoczności, że doszło wręcz do paniki i przepychanek, w których wyniku wiele osób doznało obrażeń.

Senior Ecobandodo siedział na podwyższeniu, otoczony przez księży w odświętnych ornatach, wymachujących kadzielnicami i błogosławiących tłumy nadskakiwaczy. Na widok zbliżającego się seniora Vivo na jego twarzy pojawił się wyraz niepokoju. Powiedziałbym, że wyglądał na zdumionego i przerażonego jednocześnie. Powstał z miejsca, przez co jego potężny, wypchany brzuch ujawnił się w całej okazałości, i uczynił ruch, jakby miał zamiar podejść do swojego konia, siwego ogiera uwiązanego do pobliskiego drzewka cytrynowego. Na to senior Vivo zareagował manewrem, którego do dzisiaj nie potrafię sobie wytłumaczyć; zdawało mi się, że dystans siedemdziesięciu pięciu metrów przebył w przeciągu kilku sekund, ani na moment nie przyśpieszając przy tym kroku.

Senior Ecobandodo stał jak wrośnięty w ziemię; widziałem, że usiłuje się poruszyć, jednakże bez skutku. W tym momencie jeden z licznych uzbrojonych ochroniarzy caudilla podniósł pistolet maszynowy, celując do seniora Vivo, po krótkim namyśle jednak skierował ogień na jaguary. Salwa z broni palnej nie wyrządziła zwierzętom najmniejszej krzywdy;

przeciwnie, widząc wzbijające się fontanny kurzu, zaczęły zabawnie podskakiwać, jakby chciały z nimi pofiglować, jeden z rykoszetów natomiast trafił kobietę z tłumu, raniąc ją w udo. Ranna wydała z siebie okrzyk bólu, co tylko spotęgowało dramatyzm rozgrywającej się na moich oczach sceny.

Oba koty, niczym dwaj wartownicy, usiadły po obu stronach seniora Ecobandodo, jeszcze bardziej ograniczając przestrzeń, w którą został schwytany. Domyśliłem się, że zmoczył się ze strachu, gdyż z przodu jego spodni rozlała się szeroko wilgotna plama. Na jego twarzy malowała się panika, oczy nieustannie biegały mu na boki, a wargi dygotały. Zdało mi się, że nie potrafi nawet poruszyć głową.

Na oczach tłumu, który trwał na klęczkach, nie mając odwagi drgnąć, senior Vivo wyciągnął zza paska pistolet automatyczny i powoli, jakby celebrując każdy ruch, przytknął lufę do czoła seniora Ecobandodo, dokładnie między oczami. I tu ponownie byłem świadkiem fenomenu, którego w żaden sposób nie potrafię wytłumaczyć. Wydawało mi się mianowicie, że senior Vivo nagle urósł, mniej więcej o jedną czwartą. Przeniosłem wzrok z czubka jego głowy na wierzchołek drzewa cytrynowego i przekonałem się, że porównując obiektywnie, senior Vivo jest dokładnie tego samego wzrostu, co poprzednio. A jednak nadal będę się upierał, że złudzenie, iż gwałtownie urósł, było nieodparte.

Nieporuszony senior Vivo dotykał lufą pistoletu czoła caudilla, któremu łzy spływały ciurkiem po policzkach, a potem uczynił coś nieoczekiwane-
go i zaskakującego. Wolnym ruchem zatknął pistolet z powrotem za pasek.

Senior Ecobandodo z wyraźną ulgą usiłował zmusić twarz do ułożenia się w pełen wdzięczności uśmiech, jednakże nadal nie był w stanie wydu-

się z siebie ani słowa. Wówczas senior Vivo podniósł prawą rękę, przyłożył trzy palce do serca swojej ofiary, jakby celował z pistoletu. Na twarzy seniora Ecobandodo rozlał się najpierw wyraz nagłego zdumienia, a potem bezmiernego bólu. Z błagalnym okrzykiem wyrzucił w górę ramiona, zatoczył się i upadł twarzą do ziemi. Przez tłum przebiegł szmer westchnienia, którego znaczenie trudno mi było odgadnąć, i wszyscy padli na twarz, jakby pragnąc uciec od widoku tego, co jeszcze miało nastąpić.

Senior Vivo zbliżył się do drzewka cytrynowego i odwiązał wodze konia. Odwrócił się i ruszył tą samą drogą, którą nadszedł. Kilku księży rzuciło się ku zwłokom, aby udzielić im ostatniego namaszczenia, ale dla wszystkich było oczywiste, że senior Ecobandodo jest nieodwracalnie martwy.

Senior Vivo kroczył wolno wśród tłumu, który trwał w ciszy, jeśli nie liczyć jęków zranionej kobiety, a siwy ogier podszedł do ciała swojego dawnego pana. Obwąchał je krótko, a potem odwrócił się i podążył za seniorem Vivo i jego nadał groźnie spoglądającymi jaguarami, wlokąc cugle w pyle drogi i rozsiewając wkoło błyski od drogich kamieni, zdobiących jego uprzęż. W tym momencie po raz pierwszy zauważyłem, że senior Vivo nosi na małym palcu lewej ręki damski pierścionek.

Jeszcze tego samego dnia lekarze seniora Ecobandodo przystąpili do sekcji zwłok, która wykazała rozległy zawał serca. Mięsień sercowy został rozsadzony od środka, tak że nawet identyfikacja poszczególnych części tego organu sprawiała trudności; jeden z lekarzy przyrównał to do efektów eksplodującego pocisku.

Podążałem za seniorem Vivo z powrotem do centrum Ipasueno i w pobliżu posterunku policji nagle straciłem go z oczu. Noc spędziłem w moim „hotelu”, rankiem jednak, tuż przed wschodem słońca, obudziły

mnie przyciszone głosy, dobiegające z ulicy, i światła latarni niesionych pod oknami mojego pokoju.

Wstałem z łóżka, wyrząłem przez szparę okiennic i ujrzałem zmierzający dokądś niewielki oddziałek kobiet. Ubrałem się pośpiesznie i podążyłem za nimi, ale w pewnej odległości, drżąc z obawy o własne życie, gdybym tak miał wpaść w ich ręce. Oddziałek skręcił w Calle de la Constitution, najokazalszą arterię Ipasueño, przy której stoi sporo ładnych domów. Kobiety zatrzymały się koło jednego z nich, niemal przy końcu ulicy. Tymczasem zdążyło już pojaśnić, tak że bez trudu dostrzegłem ich przywódczynię o posturze Amazonki, grożącą mi uprzednio śmiercią, konferującą teraz z seniorem Vivo, któremu towarzyszyły dwa koty i siwy ogier, należący przedtem do seniora Ecobandodo.

Senior Vivo popatrzył nagle w stronę drzewa, za którym szukałem schronienia, i skinął na mnie, abym się przybliżył. Podeszedłem do niego pełen zawstydzenia i konsternacji, choć starałem się nadrabiać miną, przekonany, że zaraz mi się oberwie za wścibianie nosa w nie swoje sprawy, senior Vivo jednak nie odezwał się do mnie wcale, z czego wyciągnąłem wniosek, że po prostu pragnie, abym był świadkiem dalszych wydarzeń.

Wraz z przywódczynią kobiet i jaguarami skierował swe kroki do domu po przeciwnej stronie ulicy i zapukał do drzwi. Otworzyła mu służąca, z którą zamienił kilka słów. Służąca zniknęła i zaraz potem pojawił się właściciel w nocnym stroju. Między nimi potoczyła się następująca rozmowa:

Senior Vivo: Nadszedł czas. Czy ma pan broń?

Właściciel: Tak, cały ostatni transport. Weźmie ją pan teraz?

Senior Vivo: Tak, wezmę.

W tym momencie odniosłem wrażenie, że właściciela gnębi jakaś troska, gdyż przyłożył rękę do czoła i powiedział:

- A więc odpłaci im pan w imieniu nas obu?

Senior Vivo odrzekł:

- Zarabiał pan na życie, handlując śmiercią, i jest pan współwinnym jej śmierci, ale tak, odpłacę im w imieniu nas obu.

Senior Vivo wskazał kobiety stojące przy bramie, z których część była już uzbrojona. Ich liderka nakazała gestem, aby się zbliżyły, i kilka z nich weszło za właścicielem do środka. Po chwili wyszły, dźwigając dwie wielkie paki i kilka mniejszych pudełek, pewnie z amunicją. Po odbiciu wiek kobiety rozdzieliły między siebie kałasznikowy z odpowiednim zapasem naboju.

Senior Vivo zażądał od właściciela zademonstrowania, jak należy obchodzić się z bronią, a ten uczynił, jak kazano, choć ręce mu się trzęsły, a głos miał drżący i niepewny. Te z kobiet, które przyglądały się z bliska pokazowi, powtórzyły go dla swoich towarzyszek.

Cały oddział przemaszerował przez miasto na oczach wszystkich, jako że od wschodu słońca upłynęło już dobre pół godziny i ulice były pełne ludzi. Przed posterunkiem policji zatrzymał się na chwilę i senior Vivo wszedł do środka, a kiedy ponownie pojawił się na dworze, towarzyszył mu młody policjant, który jednak nie nosił kurtki mundurowej, pewnie dlatego, by nikt nie zdołał odczytać z epoletów jego numeru służbowego. Był jedynym mężczyzną, jaki dołączył do całej grupy, nie licząc oczywiście mnie.

Ód tego momentu pozbawiony jeźdźca koń seniora Ecobandodo, nadal noszący nabijaną klejnotami uprząż, wysforował się na czoło pochodu. Z perspektywy czasu wydaje mi się tu zupełnie naturalne, jako że oddział zmierzał w stronę jego dawnego domu w Hacienda Ecobandoda, wówczas

wszakże nie mogłem się oprzeć niemiłemu odczuciu, że koń świadomie nas tam prowadzi.

W pobliże hacjendy dotarliśmy dopiero w południe, gdyż leży ona w sporej odległości od miasta, a i droga, pełna stromizn i męczących podejść, nie należy wcale do łatwych. Na jakiś kilometr przed hacjendą wyczerpany marszem oddział zboczył z szosy i wkroczył do dolinki rozciągającej się na kształt łuku i tam zażywał sjesty aż do wczesnych godzin wieczornych. Spędziłem ten czas, próbując przeprowadzić wywiad z seniorem Vivo, przywódczynią kobiet, której nazwisko, jak udało mi się ustalić, brzmiało seniora Fulgencja Astiz, i kilkoma innymi kobietami z obozowiska. Senior Vivo i seniora Astiz nie zwrócili najmniejszej uwagi na moje nagabywania, a pozostałe kobiety albo kazały mi iść i pregunta a las mariposas, albo też bardzo nieprzyjaźnie obrzucały mnie deszczem skórek pomarańczowych i łupin ananasów, głośno przy tym szydząc.

Kiedy już straciłem nadzieję uzyskania jakiegokolwiek wywiadu, odszedłem na bok i ułożyłem się do snu między skałami, by niebawem zostać obudzonym przez dwa potężnych rozmiarów kociska, którym strzeliło do głowy potraktować mnie jak poduszkę. Co najmniej przez dwie godziny leżałem przywalony ciężarem ich cielsk, dopóki nie odwołał ich senior Vivo, który jednak nie uznał przy tym za stosowne wyrazić skruchy, że jego zwierzęta naraziły mnie na tak okropne przejścia.

Niestety, czego nie mogę odżałować, ominęła mnie większość szczegółów straszliwej bitwy, jaka się później rozegrała, gdyż oddział rozdzielił się, otaczając posiadłość ze wszystkich stron, ja zaś - co oczywiste - nie mogłem przecież znaleźć się we wszystkich miejscach jednocześnie i być świadkiem pełnego przebiegu walk. Ani na chwilę nie odstępowałem seniora Vivo, który przekroczył bramę hacjendy na oczach jej obrońców, ci

zaś, widząc go idącego w towarzystwie jaguarów i siwego ogiera, należącego przedtem do ich pana, błyskawicznie wycofali się do budynku mieszkalnego. Siedząc na grzbiecie ogiera, senior Vivo pozostawał na podjeździe dokładnie na linii strzałów, lecz nikt nie odważył się w niego wycelować, gdyż -jak się domyśliłem - tak silna była wiara w mit, że ktokolwiek usiłowałby go zabić, padłby ugodzony wystrzeloną przez siebie kulą.

W czasie kiedy senior Vivo samą swoją obecnością niepokoił mieszkańców hacjendy, skupiając na sobie całą ich uwagę, kobiety otoczyły rozległą posiadłość, po czym sforsowały mur ogrodzenia i zaatakowały ze wszystkich stron kompleks zabudowań, poprzedzając atak serią przeraźliwych, ścinających krew w żyłach okrzyków i lawiną kul, która uderzyła w ściany z takim impetem, że wkrótce w powietrzu unosił się nie tylko zapach kordytu, ale i chmura białego cementowego pyłu.

Dawni służalcy caudilla, widząc nieuniknioną klęskę, zaczęli wychodzić jeden po drugim, zatknąwszy białe płachty na lufy karabinów, z zamiarem poddania się seniorowi Vivo, ten jednak w zwięzłych słowach odesłał ich do seniory Fulgencji Astiz, która kazała im rozebrać się do naga, zanim opuszczą teren hacjendy. Musieli to uczynić, a kiedy wychodzili przez główną bramę, wstydliwie osłaniając dłońmi swoje klejnoty, kobiety obrzuciły ich kamieniami.

Połowa bojowniczek zajęła budynek i kiedy opuszczałem teren hacjendy w towarzystwie seniora Vivo i pozostałych, zajęte już były inwentaryzowaniem jego niegustownego wyposażenia, z zamiarem sprzedania wszystkich znajdujących się w nim przedmiotów na aukcji na cele charytatywne. Dyskutowały też żywo, jak najkorzystniej podzielić wnętrze, tak by wszystkie mogły w nim zamieszkać, nie przeszkadzając sobie nawzajem.

Wracający po zapadnięciu zmroku do Ipasueño uszczuplony oddziałek wkroczył na teren Barrio Jerarca, nie napotykając najsłabszego nawet oporu. Kobiety weszły do monstrualnego, przeładowanego ozdobami kościoła, gdzie wystawione na katafalku spoczywały w otwartej trumnie zwłoki seniora Ecobandodo, przykryte snopami białych goździków, położonymi z pewnością nie w tym celu, aby oddać hołd zmarłemu, lecz raczej przytłumić przenikliwy fetor ropy i gnicia, bijący od rozkładającego się już ciała.

Seniora Astiz odsunęła na bok księży odmawiających litanie za zmarłych i katafalk został wyniesiony na plac przed kościołem. Tutaj senior Vivo dokonał czegoś, czego moje oczy nie widziały od czasów, kiedy przestąpiłem progi Elektryczno-Mechanicznej Szkoły Saperów, żeby opisać ową funkcjonującą w tajemnicy izbę tortur tamtych czasów oraz zebrać dokumentację o jej ofiarach. Mianowicie wyciągnął nóż i przeciął krtań zmarłego, następnie wsunął w ten otwór rękę i wyciągnął tamtędy język, czerniejący i nabrzmiały. Przyznaję, że na widok tak barbarzyńskiego aktu nie potrafiłem powstrzymać odruchu wymiotnego. Później dopiero miałem się dowiedzieć, że było to - można rzec -standardowe okaleczenie, z upodobaniem stosowane przez zmarłego na znak jego panowania nad tym regionem. Senior Vivo dokonał tego z całkowitą obojętnością, po czym obmył ręce w fontannie i oddalił się konno na swoim siwym rumańku i z nieodłącznym orszakiem jaguarów.

Ponieważ nadal było mi niedobrze i nie miałem siły iść za nim, zostałem chwilę na miejscu, tak że byłem świadkiem, jak ciało Pabla Ecobandodo zawisło na latarni, gdzie przez dwa dni wisiało głową w dół, otoczone wianuszkami sępów. Na chodnik co chwila spadały robaki, aż w końcu odór stał się tak nieznośny, że trzeba było wezwać policję, żeby usunęła

truchło. Jak mi później powiedział młody policjant, który towarzyszył grupie kobiet, pogrzebano je pod hałdą śmieci na miejskim wysypisku. W ten oto zaskakujący sposób wąż zginął zduszony przez dziecięcego Heraklesa naszych czasów, a koliber zwyciężył jastrzębia.

Przez dwa kolejne dni kontynuowałem uczęszczanie na wykłady seniora Vivo, aż wreszcie pewnego wieczoru zaszedłem do niego do domu, gdzie w drzwiach przywitał mnie przystojny młody człowiek, przedstawiając się jako Juanito. Towarzyszyła mu młoda kobieta imieniem Rosalita, w której rozpoznałem rezydentkę mojego „hotelu” i z którą najwyraźniej miło spędzał czas na krótko przed moim przyjściem. Juanito odmówił odpowiedzi na pytania dotyczące jego współlokatora, okazał się natomiast tak uprzejmy, że zaprosił mnie do środka, aby pokazać mi dom, i zaproponował tinto, które z wdzięcznością przyjąłem. Senior Vivo przebywał u siebie w pokoju w towarzystwie swoich przerażających czworonożnych kompanów, a kiedy zajrzałem do niego, mogłem przekonać się naocznie, że żyje otoczony sporym nieładem. Na ścianie miał powieszony rysunek przedstawiający egipską boginię Izydę oraz niezliczone fotografie młodej Mulatki, bardzo wysokiej, o rysach niemal nordyckich, ubierającej się w sposób wskazujący na raczej ekscentryczny gust. Resztę pokoju wypełniały instrumenty muzyczne i książki. Senior Vivo kompletnie zignorował moją obecność, więc zajrzałem do następnego pokoju, pełnego rozmaitych pudeł, wypełnionych paczuszkami zawierającymi ani chybi prezenty, gdyż wszystkie opakowane były w zielony albo liliowy papier. W jednym z pudeł zgromadzono kamienie, opatrzone odpowiednimi nalepkami i także owinięte w zielony papier, z czego wywnioskowałem, że senior Vivo pasjonuje się geologią.

Senior Juanito zaproponował mi, abym przenocował, z czego skwapliwie skorzystałem, mimo że nie zdążyłem jeszcze spożyć kolacji, w nadziei, że może w ciągu nocy uda mi się dowiedzieć czegoś więcej na temat seniora Vivo. Niestety, płonna to była nadzieja, gdyż olbrzymie, wstrętne kocury, ledwo znalazłem się w łóżku, natychmiast wskoczyły na mnie i zasnęły głęboko, przygwoździwszy mnie do łóżka, tak że nie mogłem nawet drgnąć, nie mówiąc już o wstaniu w celu oddania hołdu naturze. Przez większą część nocy nie zmrużyłem oka, co należy przypisać piekielnemu zgoła natężeniu ich pomruków i towarzyszącym im przerażającym wibracjom.

Przebudziwszy się rankiem, stwierdziłem, że jestem wolny od kociego brzemienia, więc szybko wciągnąłem ubranie. Ostrożnie otworzyłem drzwi do pokoju seniora Vivo, ale okazało się, że wstał przede mną i nie ma go u siebie. Słyszając głosy na zewnątrz, zbiegłem po schodach na dół i wyszedłem do ogrodu.

Zastąpiłem tam seniora Vivo pogrążonego w rozmowie z niewysokim, mocno posuniętym w latach Indianinem Ajmara, noszącym pełny tradycyjny strój i trenzas, któremu towarzyszyły dwa koty, kolorem i rozmiarami dorównujące kotom seniora Vivo, które także wybiegły do ogrodu i teraz zajęte były mocowaniem się na niby ze zwierzętami Indianina. Obaj mężczyźni zignorowali moją obecność i kontynuowali rozmowę, porozumiewając się jakimiś zagadkami i odgrywając jednocześnie coś w rodzaju komedii -jak się domyślałem - na mój benefit.

Spoglądając gdzieś w bok, gdzie absolutnie nikogo nie było, senior Vivo mówił:

- A więc to jest ta piękna, młoda kobieta, o której tyle słyszałem.

Na co Indianin odpowiedział:

- Tak, to właśnie jest moja córka Parlanchina. -1 zwracając się do pustej przestrzeni, dorzucił: - Gwubba, to jest Dionisio.

Senior Vivo udał, że ściska dłoń nieistniejącej kobiety, potem pocałował to miejsce, które byłoby jej policzkiem, gdyby istniała, następnie zaś pochylił się i poklepał po łbie również nieistniejące zwierzę, wykrzykując przy tym:

- A to jest ten śliczny ocelot! Hola, elgatito, como estas?

Ajmara zapytał:

- Czy wszystkie brudy zostały spalone? - senior Vivo zaś odpowiedział:

- Tak.

Wówczas Ajmara powiedział:

- Przyjdiesz do Cochadebajo de los Gatos. Będziemy potrzebować twojej obecności.

Senior Vivo wszedł do domu i w kilka minut później wyszedł, trzymając w ręku kopertę, którą wręczył mi, nie zaszczycając mnie nawet jednym spojrzeniem.

Na kopercie widniał napis: „Ostatni list przeciwko kokainie”.

Włożyłem ją do kieszeni na piersi, by później zapoznać się z jej zawartością.

Obydwaj mężczyźni z siwym ogierem i nedorzecznym orszakiem kotów udali się w stronę obozowiska i senior Vivo krótko porozmawiał z obecnymi tam kobietami, zapowiadając im, że za miesiąc będzie gotowy poprowadzić te, które tego zapragną, do Cochadebajo de los Gatos.

Później senior Vivo i Ajmara ruszyli na przełaj, pokonując niezliczone wertepy i stromizny. Nie przestawali przy tym co chwila zwracać się do owej niewidzialnej kobiety i jej rzekomego ocelota, aż poczułem się ura-

żony, że tak długo odgrywają przede mną swój żart a la Tespis, czyniąc mnie jego ofiarą. Po dobrych trzech kilometrach tej żmudnej wędrówki doszedłem do wniosku, że w żaden sposób nie zdołam dotrzymać im kroku, choć jednocześnie wydawało mi się, że poruszają się w tempie niemal spacerowym. Kiedy jednak wysforowali się daleko przede mną, z niechęcią pogodziłem się z tym, że muszę zrezygnować z pogoni, i w końcu nie pozostało mi nic innego, jak wrócić do Ipasueño.

Zabawiłem tam jeszcze przez tydzień, chcąc dokładnie zastanowić się nad wszystkimi niecodziennymi wydarzeniami i jednocześnie nacieszyć urokami tego miasta. Pod sam koniec mojego pobytu spotkałem na ulicy młodego człowieka, którego poznałem podczas wykładów z filozofii seniora Vivo. Student zagadnął mnie:

- Nie widziałem pana na zajęciach w ostatnim tygodniu. Stracił pan wszystkie wykłady o Spinozie, a z pewnością by się panu podobały.

Zdumiony tą informacją, gdyż przecież sądziłem, że senior Vivo cały czas przebywa w Cochadebajo de los Gatos, udałem się do obozu kobiet, gdzie seniora Astiz poinformowała mnie, że ona widuje go codziennie, ja natomiast najwyraźniej dopraszam się wycieczki w przepaść. Co więcej, natknąłem się też na grupę przyjezdnych z Cochadebajo de los Gatos i jeden z nich, ordynarny i prostacki grubas, z potężnym brzuszyskiem i długą ryżą brodą, powiedział mi, że istotnie widział siwego ogiera, wzmiankowane koty i seniora Vivo w - że posłużę się jego własnymi słowami - „naszym wspaniałym podwodnym mieście nieposkromionego wyuzdania”.

Z tego wszystkiego jasno wynika, że senior Vivo musiał potężnie zdrwić sobie ze mnie. Mimo to polecam naszym czytelnikom uważną lek-

ture jego ostatniego listu; wydaje się, że stanowi on podsumowanie filozofii tego zagadkowego, niezgłębionego człowieka, który niemal w pojedynkę potrafił zmienić nastawienie opinii publicznej i zwrócić ją przeciwko handlarzom narkotyków, przez co po raz kolejny dowiódł prawdziwości przesłania zawartego w słynnym stwierdzeniu doktora Fabia Lazaro Simonellego, że: „Dziennikarstwo w wielkim stopniu ponosi odpowiedzialność za kształtowanie naszego charakteru narodowego”. Czytelnicy niech będą świadomi, że są to ostatnie słowa człowieka, który działając bez niczyjej pomocy, wyplenił ten haniebnny proceder z naszego regionu. Mamy gorącą nadzieję, że od tej chwili nasi obywatele będą mogli żyć w spokoju.

Moi Drodzy, Niezależnie od ideologii i systemu społecznego, w jakim żyjemy, jest faktem znanym nam wszystkim, że jedyną siłą, która nas zarówno jednoczy, jak i nadaje naszemu życiu prawdziwy cel i sens, jest wzajemna skłonność ku sobie nawzajem, która czyni nas prawdziwymi ludźmi i w której szlachetnym płomieniu wykuwają się więzy obopólnego zaufania.

Dlatego też jest rzeczą absolutnie konieczną położyć kres poczynaniom compadres zmarłego Pabla Ecobandodo, ponieważ oni sami, niezdolni do miłości, świętokradczo buntują się przeciwko niej, ilekroć napotkają ją na swej drodze.

Dionisio Vivo, profesor filozofii świeckiej, Ipasueño

Epilog

Femando, z jakichś niewyjaśnionych powodów nazywany przez wszystkich Kulką Gnoju, wydał policzki i zaczął wachlować twarz sombrerem. Czynił tak nie tylko dlatego, że w pomieszczeniu było duszno, a wolno

obracający się wentylator nawiewał wilgotne powietrze wprost na niego. Fernando czuł, że narasta w nim gniew i frustracja. Znajdował się w lokalnym biurze Departamentu do Spraw Rozwoju i Reformy Rolnictwa.

- Escuchame - mówił - ceny kawy spadły o trzydzieści procent, aleja nie chcę żadnej subwencji. Chcę pożyczki, dopóki ceny nie pójdą w górę. W tej chwili produkcja przestała być opłacalna.

Urzędnik westchnął i odrzekł.

- Tłumaczyłem już panu, że nie na tym polega nasza polityka. Budżet naszego departamentu nie przewiduje podobnych wydatków, tak że bardzo mi przykro, ale to niemożliwe. Gdyby szło o kokę, mógłby pan otrzymać dotację na zniszczenie krzewów i posadzenie w to miejsce drzewek kawowych. Pan nie uprawia koki, prawda?

Fernando Kulka Gnoju pokręcił głową i zapytał z czystej ciekawości:

- A jaka jest wysokość owej dotacji?

Urzędnik wygrzebał z szuflady biurka kartkę papieru i wręczył mu. Fernando przeczytał ją, marszcząc brwi, ilekroć jego oczy natrafiały na jakiś dłuższy wyraz. Wreszcie gwizdnął przeciągle.

- To więcej niż osiągam rocznie z kawy.

- Dzięki łaskawości naszego rządu i bez wątpienia gringos także - odparł biurokrata sucho.

- Mierda, to znaczy, że mogę wykarczować krzewy kawowe, zasadzić kokę, sprzedać ją z zyskiem, a potem wystąpić o tłustą dotację, żeby powrywać kokę i ponownie posadzić kawę, kiedy ceny pójdą w górę, czy tak?

Urzędnik wzruszył ramionami.

- Sądzę, że tak.

Fernando Kulka Gnoju zastanowił się przez chwilę, rozważając, o ile mógłby się wzbogacić. Potem jednak przypomniał sobie swoje drzewka kawowe, pielęgnowane z oddaniem całymi latami. Nagle ogarnął go gniew, a jego twarz poczerwieniała jeszcze bardziej. Odwrócił się i ruszył ku drzwiom, gdzie odwrócił się ponownie, wymachując kartką i wymownie stukając się w czoło.

- Wszyscy jesteście locos - rzucił.

szefów, przywódców

posłuchaj

jasne

Prosiak

łajdaku

srebro albo ołów, przen. pieniądze albo kula w łeb

właśc. Valedor - przyjacielu

trawiasta równina w Andach Centralnych

Cygara

wódki

kieliszki

papierosy

Indianie pozostający w kręgu oddziaływania kultury białych, także Metysi, mieszańcy

chłopcy

premie

nożowników, skrytobójców

przechadzkę

kochany

chudzino

toalety

wójtów, burmistrzów (właśc. alkalde)

czarownikiem

obrządek religijny, stanowiący element rocznego cyklu rytualnego, zwany także karmieniem bóstw

szerokie, bufiaste spodnie

pancerniku

szopy, nędznie sklecone domki

maniok

nierafinowany cukier w głowach

rumu z trzciny cukrowej

kochanek

wariatem, szaleńcem

łóżko

wiesniacy

co będą gadać

ozdobny worek z taśmą na ramię, wyrabiany przez Indian

Do jasnej cholery, pedale jeden

Earl to naprawdę równy gość

we własnej osobie

Spacery

zaklęcia

rzucanie kostek

napój alkoholowy, najczęściej z kukurydzy

napoje orzeźwiające

bananów

farmą

czarwonego wina

dzielnicy nędzy

Szalone, wariatki

bezdżewne równiny w międzyzwrotnikowych obszarach Ameryki Południowej

niewypalane, dużych rozmiarów cegły formowane z gliny z dodatkiem słomy lub suchej trawy

awokado

cegła z niewypalanej gliny zmieszanej ze słomą, także forma do wyrobu takich cegieł

Anglik

sokiem z trzciny cukrowej

Metysów; także Indian pozostających w kręgu oddziaływania kultury białych

Straży Przełęcz

Szwadron Śmierci

Papuga, Ara

Brzdąc, Berbec

ślicznotko

pioniera

sklepiku

owoców granatu

tęsknoty, smutku, rzewności

dziewczyno

piasku, plaży

ropucha

tarasy uprawne, założone w czasach inkaskich na stokach Andów
ruczaju, strumyka

Czy się zgadzasz?

niewielki drapieżnik z rodziny kotów, podobny do ocelota

karawana jucznych zwierząt

wąwozy, parowy, także strumienie

chacie, lepiance

pieczoną fasolę albo kukurydzę

choroba wysokogórska

przełęcz

płaskowyż, góra stołowa

moje maleństwa

Instituto de Desarrollo de los Recursos Naturales, Renovable y del Ambiente; Instytut Rozwoju Zasobów Naturalnych

Szalona Twarz

Bożym Narodzeniu

ślicznotko

odwrotnie, na lewą stronę

Zapomniani

panie

na miłość boską

mulnika

dzień dobry

jak się masz?

palisandrowego

taniec ognia

ptak

Cześć, kociaku, jak się masz?

cudzoziemcy